

Nad Gawia

Kazimierz Niechwiadowicz

Nad Gawia

„Ludzie żyją koło rzek i jezior, ale wiedzą o nich tylko 10-15 km, a więcej absolutnie nic. Nawet jak rzeka płynie, skąd zaczyna się i gdzie wpada. Tylko rybak powie, że Wilia wpada do Niemna w Kownie”.

Józef Rusakiewicz z Dowgiałowszczyzny



Poznań 2018

Projekt okładki
Kazimierz Niechwiadowicz

Zdjęcia na okładce:
przód: autor na moście na Gawii, lato 2016
tył: autor z rodzicami w Lesznie 1959

Projekt typograficzny i skład
Kazimierz Niechwiadowicz

Copyright © by Kazimierz Niechwiadowicz

Druk i oprawa
UNI-DRUK
Wydawnictwo i Drukarnia
ul. Przemysłowa 13
62-030 Luboń

www.uni-druk.pl

ISBN 978-8-39-208825-7

Wydanie I
Poznań 2018

Kocham cię Gawio

Stoję często nad moją Gawią,
dziewczyna z warkoczem
z książką pod pachą.
Wędruję brzegiem
i myślę, skąd
i dokąd płynie.

Kocham cię Gawio,
kiedy rozlewasz wody
jak okiem sięgnąć i
szalejesz jak burza.

Kiedy jesteś łagodnie przyjazna,
wierzby i olchy w zadumie
do ciebie się tulą,
dawne dzieje las opowiada.

Przychodzę z daleka
na żabi i ptasi koncert.
Próbuję uczesać myśli i uczucia
na gałązkach czasu,
nad moją Gawią.

Irena Hryncewicz¹

Wstęp

Pomysłem do napisania tej książki były opisy moich trzech podróży na Białoruś, do rodzinnych stron na Grodzieńszczyźnie i w parę innych miejsc na Polesie, które odbyłem w 2006 roku. Opisy te w formie krótkich relacji zamieszczałem w mini gazetce „Gawia”. Była ona wydawana domowym sposobem i przeznaczona głównie dla ziemia^{li}aków² mieszkających w Polsce. Chciałem, żeby dzięki niej utrzymywali oni więź z ziemią rodzinną, żeby o niej nie zapomnieli.

Pierwszy numer „Gawii” powstał w lipcu 2000 roku, ostatni trzynasty w grudniu 2006 roku. Każdy nowy egzemplarz tworzyłem przy pomocy komputera i drukowałem na drukarce atramentowej. Następnie z tak utworzonej matrycy robiłem kserokopie, które rozsyłałem w kraju i przywoziłem na Białoruś.

Siedem pierwszych numerów „Gawii” znalazło swoje odbicie w książce „Moje Sobotniki”. Opisy podróży do mojej małej ojczyzny z lat 2007, 2009-2011 były tylko w moim notesie i w mej pamięci. Postanowiłem zebrać je razem i połączyć z „Gawiami” z 2006 roku. Dołączyłem do nich jeszcze dwa ostatnie wyjazdy na Białoruś z lat 2013-2014.

I tak powstała współczesna, aktualna i bardzo dynamiczna książka o Białorusi i o Polakach na Białorusi. Jest w niej śnieg i mróz, słońce i wiatr, deszcz i mgła, droga i rzeka, pole i las. Są też ludzie i zwierzęta, miasto i wieś, i historia spleciona z teraźniejszością.

Ta książka zachęca do wyjazdu na Białoruś, do odwiedzenia tego kraju przez każdego Polaka, a nie tylko przez osoby wywodzące z niego swoje korzenie. Jest też ona pewnym rodzajem przewodnika po Białorusi.

Ja mam bardzo ciepłe uczucie do tej ziemi, odczuwam silną więź z nią, mam do kogo i do czego wracać. I będę wracał, nawet gdy tam zostaną tylko same groby.

Oprócz opisów z przebywania na ziemi rodzinnej i wypadu na Polesie, w „Nad Gawią” przedstawiłem trochę przemian, jakie w ostatnich latach zaszły na Białorusi i nadal się dokonują, szczególnie na prowincji. Napisałem także o ludzkim losie i jego przemijaniu. Również o historii, na którą ludzie tam mieszkający nie mieli wpływu po zakończeniu ostatniej wojny. Ta historia niespodziewanie wkroczyła w ich życie, przewróciła je do góry nogami i nadała mu nowy, a niechciany przez nich bieg.

W kilku tytułach rozdziałów tej książki, w imionach solenizantów oraz w ludowych porzekadłach związanych z prognozowaniem pogody i wiejskim życiem użyłem słów białoruskich. Zacerpnałem je z „Biełaruskaho kaliandara 1993” (Wydawnictwa „Biełaruskaja Encykłapedia” imia Pietrusia Broŭki, Minsk 1992).

Zrobiłem tak dlatego, że bardzo lubię język białoruski. Jest on dla mnie zrozumiały, śpiewny, łagodny i przyjazny. Lubię białoruską prowincję z miasteczkami, wioskami, koloniami i chutorami³, gdzie czas płynie wolniej, a dawna historia jest jeszcze na wyciągnięcie ręki.

W rozdziale „Czerwień/Lipień 2007” pokłoniłem się prostej mowie, którą nadal posługują się mieszkańcy wielu wiosek Grodzieńszczyzny. Zapisałem ją tak, jak usłyszałem podczas wymawiania. Dla poprawnego czytania tego tekstu, a także pojedynczych wyrazów w tym białoruskich, pogrubioną czcionką na przykład „a” zaznaczyłem miejsce, w którym przypada akcent. Znakiem „ŭ” zaznaczyłem tak zwane długie „u” wymawiane jak polskie „ł”. Występuje ono przed spółgłoskami i na końcu wyrazu. Ale jeżeli to „ŭ” jest łącznikiem między dwoma wyrazami, z których jeden kończy się samogłoską a drugi rozpoczyna spółgłoską, to oznacza ono „do” lub „w”. Niektóre nazwy i wyrazy napisane prostą mową oraz pojedyncze słowa białoruskie spolszczyłem, a w przypisach podałem ich prawidłową wymowę. Wymiennie użyłem słów „dom” i „chata”.

W tekście zastosowałem następujące skróty: (brs.) - białoruski, (czyt.) - czytaj, (d-ca) - dowódca, (łac.) - łaciński, (ok.) - około, (ob.) - obecnie, (pocz.) - początku, (pol.) - polski, (pow.) - powiat, (ros.) - rosyjski, (ur.) - urodzony, (właśc.) - właściwie, (wł.) - włoski, (woj.) województwo, (wyd.) - wydawnictwo, (zm.) - zmarł.

Książkę nazwałem „Nad Gawią”, żeby już sam tytułu kojarzył się czytelnikowi z Kresami i zachęcił go do sięgnięcia po nią. Chciałem nim również zaakcentować naszą łączność z tą ziemią, która jest żywa mimo zmiany granic po drugiej wojnie światowej i będzie istnieć nieprzerwanie.

Nasze miasteczko Sobotniki leży nad rzeką Gawią, prawym dopływem Niemna, w rejonie⁴ Iwie, w obwodzie⁵ grodzieńskim na Białorusi. Grodzieńszczyzna jest spadkobierczynią Nowogródzczyzny, a obecny rejon Iwie jest częścią przedwojennego powiatu lidzkiego. W swojej wielowiekowej historii Sobotniki najdłużej należały do powiatu oszmiańskiego województwa Wileńskiego, utworzonego w 1413 roku w Wielkim Księstwie Litewskim. W tej samej strukturze administracyjnej od 1569 roku znalazły się w Rzeczypospolitej Obojga Narodów⁶ i w prawie niezmienionej formie (powiat Oszmiański, województwo Wileńskie, a w czasie rozbiorów gubernia Wileńska) przetrwały prawie do końca 1920 roku.

12 grudnia 1920 roku gmina Sobotniki została przyłączona do nowo utworzonego powiatu wołożyńskiego pod Tymczasowym Zarządem Terenów Przyfrontowych i Etapowych⁷. 19 lutego 1921 roku wraz z całym powiatem weszła w skład nowo utworzonego województwa Nowogródzkiego w odrodzonym po zaborach państwie polskim.

W 1926 roku przeprowadzono reformę administracyjną Polski. Zgodnie z rozporządzeniem Rady Ministrów z dnia 13 stycznia 1926 roku o zmianie granic powiatów na obszarze województw nowogródzkiego, gminy: Sobotniki, Iwie, Lipniszki i Siedlisko zostały wyłączone z powiatu wołożyńskiego i od 22 stycznia przydzielone do powiatu

lidzkiego. 11 kwietnia 1929 roku do gminy Sobotniki przyłączono część obszaru zniesionej gminy Siedliszcze, w miejsce której powstała gmina Gieraniony. Ten stan trwał do dnia 17 września 1939 roku, czyli do napaści Sowietów na Polskę i zajęcia przez nich Kresów Wschodnich. Od dnia 15 stycznia 1940 roku Sobotniki znajdują się w rejonie iwiejskim, znacznie mniejszym niż przedwojenny powiat lidzki, a od 8 stycznia 1954 roku należą do utworzonego wówczas obwodu grodzieńskiego.

W 1936 roku została przeprowadzona reforma ortograficzna języka polskiego, co wprowadziło pewną korektę między innymi w nazwach geograficznych. I tak na przykład Iwje zmieniło się na Iwie. Nie dotyczyło to Gieranion, których prawidłowa przedwojenna i historyczna nazwa brzmiała Gieranony.

Gmina Sobotniki od północnej strony dotyka Litwy i za graniczną miedzą ma gminę Dziewieniszki w rejonie sołecznickim, którego zdecydowaną większość stanowią Polacy. Po stronie białoruskiej sąsiadują z nią gminy: Gieraniony, Lipniszki, Iwie, Juraciszki i Traby. Ziemie te w swojej dawnej historii związane były z takimi postaciami jak król Zygmunt August⁸, Barbara Radziwiłł⁹, z rodami Gasztołdów¹⁰, Kisków¹¹ i Radziwiłłów¹², z polskimi Tatarami¹³, z braćmi polskimi¹⁴, a w bliższych nam czasach z Józefem Piłsudskim¹⁵.

Część tych ziem łączy rzeka Gawia, która swój początek bierze w okolicy niewielkiej wioski Dzijaki, tuż za Łukszanami. Jest to na północ od Dziewieniszek, ale po stronie białoruskiej w rejonie oszmiańskim. Od źródeł do granicy z Litwą jest niedaleko i Gawia szybko ją przekracza wpływając na tak zwany Worek Dziewieniski. Za wioską Girdziuny ponownie wraca na Białoruś i płynie przez nasz rejon iwiejski. Po pokonaniu w sumie siedemdziesięciu pięciu kilometrów, Gawia przy wiosce Burnosy wpada do Niemna.

Dziękuję moim bliskim oraz przyjaciółom z Białorusi, a wszyscy oni są wymienieni w tej książce, za pomoc w tłumaczeniu białoruskich zwrotów i słów.

Poszarpane wybory

(15- 21 marca 2006)

Podróż

Moja pierwsza podróż na Białoruś w 2006 roku wypadła trochę przypadkowo. Zbliżał się termin wyborów prezydenckich w tym kraju i jak podawały nasze media temperatura wydarzeń u wschodnich sąsiadów robiła się coraz bardziej gorąca. Była już gotowa moja kolejna książka „Żemłostaw” i chciałem choć trochę egzemplarzy zawieźć do Sobotnik i Żemłostawia. Kończyły mi się terminy ważności paszportu oraz wizy i nie mogłem przewidzieć tego, co będzie po wyborach. Włożyłem kilkanaście książek do podręcznego bagażu i utartym szlakiem ruszyłem w drogę.

Na Dworcu Głównym w Poznaniu kupiłem „Tygodnik Powszechny” ze specjalną wkładką poświęconą Białorusi. Dlaczego tak późno? Dlaczego tak późno zaczęliśmy interesować się tym sąsiednim i bardzo nam historycznie bliskim krajem? Wyraźne sygnały niedemokratycznych rządów na Białorusi nadchodziły do Polski już dobrych kilka lat temu. Ostatnim dzwonkiem na nasze przerwanie obojętności wobec wschodniego sąsiada były wybory do białoruskiego parlamentu w 2004 roku. Nie wszedł do niego żaden kandydat z opozycyjnych partii. Wtedy też przeprowadzono referendum dotyczące możliwości ubiegania się przez Aleksandra Łukaszenkę startowania w wyborach prezydenckich na trzecią kolejną kadencję. Było to niezgodne z obowiązującą konstytucją Białorusi, ale racje urzędującej głowy państwa znalazły się ponad wszystkim, co też potwierdziły wyniki referendum.

Polski autobus relacji Białystok-Mińsk był prawie pusty. Oprócz jednej osoby, która co chwilę rozmawiała z kimś z białoruskiej stolicy w sprawie bliskich wyborów, nikt nie poruszał ich tematyki. Przed przejściem granicznym w Kuź-

nicy Białostockiej wisiał transparent zachęcający do wyboru wspólnego kandydata opozycji Aleksandra Milinkiewicza na prezydenta. Dwa dni wcześniej miała tu miejsce akcja agitacyjna na jego rzecz, przeprowadzona wśród wracających do domu obywateli Białorusi.

Wieczorne Grodno było słabo oświetlone. Na ulicach nie zauważyłem żadnych oznak wyborów, ale jak zwykle wypatrywałem Niemna, który jest dla mnie najważniejszą wizytówką tego miasta. Wreszcie przejechalismy przez most nad rzeką szczególnie przykrytą lodowo-śnieżnym szalem.

Po dwóch godzinach podróży byliśmy w Lidzie. Wysiadłem z autobusu i wziąłem taksówkę, którą pojechałem do cici Władzi. Na rozwieszonym nad ulicą Sowiecką, przedwojenna Suwalską, transparencie widniał napis: 18 marca 2006 wybory prezydenta Republiki Białoruś.

Prowincja

W dniu następnym był dalszy ciąg mojego podróżowania. Udałem się autobusem do Iwii, żeby zarejestrować się na milicji. Było to moim obowiązkiem obcokrajowca, który chciał przebywać na Białorusi dłużej niż trzy dni robocze. Musiałem wypełnić o jeden papierek więcej niż zwykle. „Wybory” - powiedzieli mi. No i Sobotniki leżały w strefie przygranicznej z Litwą.

Wróciłem na dworzec autobusowy, z którego miałem w końcu pojechać do Sobotnik. Był piątek, dzień targowy. Starsi ludzie z różnymi zakupami oczekiwali na powroty do swoich miasteczek i wiosek. Stara kobieta, z nieprawdopodobnie dużą ilością pustych i niezłożonych kartonów na plecach, niezdecydowanie kręciła się po peronach. Na dworcu było sporo młodzieży w wieku czternastu-osiemnastu lat, która wracała na swoje wioski z iwiejskich szkół. Stali grupkami po kilka osób żywo ze sobą dyskutując, a niektórzy chłopcy palili papierosy. Nie słyszałem, żeby rozmawiali o wyborach.

Ci młodzi ludzie byli przyszłością białoruskiego państwa. Jaka będzie ta przyszłość? Czy za parę lat, kiedy rozpoczną dorosłe życie ich kraj będzie wyglądał podobnie jak dzisiaj? Czy Białoruś na tyle zmieni się, że będą oni mieli większe możliwości decydowania o sobie, o swoim państwie i realne perspektywy lepszego życia?

W końcu zajechałem do rodzinnych Sobotnik. Zima jeszcze mocno stała na dwóch nogach. Było mroźno, bardzo biało i wiał dokuczliwy wiatr. Ale to już miało trwać niedługo. Szkoda, że podobnie jak zmienia się przyroda wraz z nadejściem wiosny, nie zawsze zmieniają się na lepsze ludzkie rzeczy i sprawy.

Głosowanie

Część mieszkańców naszej gminy już głosowała wykorzystując przepis mówiący o tym, że ta procedura rozpoczyna się na trzy dni przed wyborami. Jednak większość osób poszła to zrobić w niedzielę 18 marca. Chociaż ta możliwość kilkudniowych wyborów nie była czymś wyjątkowym w Europie, to jednak na Białorusi zawsze budziła uzasadnione podejrzenia, że zostaną one sfałszowane. Władze zrobiły wiele, żeby jak najwięcej obywateli wcześniej udało się do urn wyborczych. Żołnierze poszli na rozkaz, a studentów skuszono darmowymi przejazdami do domów.

Ludzie w Sobotnikach wiedzieli, że oprócz Łukaszenki były też kandydatury innych osób na prezydenta. Ale czy coś więcej mogli o nich powiedzieć? Czy znali ich programy? W wielu wioskach nic nie słyszano o innych pretendencjach oprócz aktualnie urzędującej głowy państwa.

I jeszcze jedna charakterystyczna rzecz, a niezgodna z obowiązującym prawem białoruskim. Komisja Wyborcza zezwalała głosować wyborcom w imieniu członków ich rodzin nie mogących osobiście tego zrobić. Mówiono mi nawet o przypadkach fikcyjnego oddawania głosów. Osoby, które z różnych przyczyn nie wzięły udziału w wyborach

ku swoim zdziwieniu stwierdziły, że ktoś to zrobił za nich bez żadnego upoważnienia. Było to dość powszechne postępowanie na Białorusi ignorowane wówczas przez międzynarodowych obserwatorów wyborów prezydenckich i parlamentarnych w tym kraju.

W niedzielę, tuż przed rozpoczęciem mszy z godziny jedenastej, proboszcz ojciec Franciszek Gałdyś ogłosił, że będziemy na niej mieli gości z Kazachstanu. Tuż po rozpoczęciu liturgii do kościoła wszedł przewodniczący sobotnickiej gminy w towarzystwie dwóch skośnookich śniadych mężczyzn, zagranicznych obserwatorów wyborów w naszej gminie. Po krótkim obejrzeniu wnętrza zeszli oni na chwilę do kunsztownie wykonanej krypty, w której został pochowany fundator naszej świątyni hrabia Władysław Umiastowski i jego najbliżsi krewni.

Nasz kościół Świętego Władysława¹⁶ jest rzadkim i cennym zabytkiem sakralnym w skali całej Białorusi. Jeszcze nie tak dawno jego prezbiterium było oddzielone od nawy głównej podwójnym rzędem balasków zrobionych z kutego żelaza. Był to jedyny taki przypadek w architekturze wnętrz kościołów katolickich w tym kraju. Sobotnicka świątynia jest też jedyną na Białorusi, której patronuje Święty Władysław król Węgier. Jako ważny zabytek została umieszczona w unikatowym albumie „Spadczyna Biełarusi” („Dziedzictwo Białorusi”) autorstwa Aleksandra Aleksiejewa i Aleha Łukaszewicza (Wydawiectwa „Minskaja fabryka kaliarowaha druku”, Minsk 2004), a wydany pod patronatem Ministerstwa Informacji Białorusi i przy finansowej pomocy UNESCO¹⁷.

My, sobotniczanie i mieszkańcy całej naszej parafii jesteśmy dumni z naszego kościoła, w którym zostaliśmy ochrzczeni, braliśmy śluby, żegnaliśmy zmarłych z naszych rodzin, do którego przychodzimy na spotkanie z Bogiem.

Po południu państwowa telewizja podała pierwsze komunikaty o frekwencji wyborczej. Najlepsze były jednostki wojskowe z wynikiem prawie sto procent. Ale jak mogło być

inaczej i co to był za argument? Podano również wstępne dane głosowania na poszczególnych kandydatów na prezydenta. Łukaszenka otrzymał ponad osiemdziesiąt punktów procentowych, a pozostałe osoby zaledwie po kilka.

Mina mi rzredła, gdyż uważałem, że przeciwnicy obecnego prezydenta osiągną lepszy wynik. Nie znałem jednak wtedy zbyt dobrze białoruskiej rzeczywistości i nie wiedziałem, że wśród ponad siedemdziesięciu dwóch tysięcy członków komisji wyborczych było tylko dwóch przedstawicieli opozycji.

Wszystkie źródła informacji przekazywanej społeczeństwu na Białorusi są praktycznie w rękach władzy. Coraz więcej pracowników jest zatrudniana na zasadzie kontraktu i w tym kraju nie ma wolnych związków zawodowych. Kierownicy urzędów administracyjnych wszystkich szczebli nie są wybierani, lecz mianowani. Z kolei oni dobierają wygodnych im współpracowników i tak wszyscy są od siebie zależni. O urzędnikach państwowych różnych kategorii ludzie mówią, że „jeden drugiego podtrzymuje i każdy z tego ma dodatkowe osobiste korzyści”.

W wieczór powyborczy odbyła się wielka konferencja prasowa wybranego nowego-starego prezydenta Łukaszenki. Byli na niej obecni zagraniczni dziennikarze i międzynarodowi obserwatorzy wyborów. Ci ostatni pochodzili głównie z krajów Wspólnoty Niepodległych Państw: Armenia, Azerbejdżan, Białoruś, Gruzja, Kazachstan, Kirgistan, Mołdawia, Rosja, Tadżykistan, Turkmenistan, Uzbekistan i Ukraina. Zaproszono także przedstawicieli Chin, Kuby, Serbii i Gruzji. Ostatnie dwa państwa reprezentowały partie będące w opozycji do rządów w ich krajach.

Na konferencji wystąpili mówcy z zawczasu przygotowanymi czołobitnymi przemówieniami, w których wyrazili uznanie od bratnich narodów dla szczytów białoruskiej demokracji. Pochwalne przemówienie na rzecz nowego prezydenta wygłosił obserwator z egzotycznego archipelagu. Był też ktoś z USA, który przekazał Łukaszence pozdrowienia

i słowa wsparcia podobno od milionów obywateli amerykańskich. Każde takie wystąpienie było przeplatane rzęsiстыми oklaskami.

Przyszła też pora na zadawanie prezydentowi pytań przez dziennikarzy. Prawie wszystkie były bardzo poprawne oprócz kilku, jak poniższego:

- Dlaczego w jednym z miasteczek leżącym w strefie mocno podwyższonej radioaktywności, związanej z wybuchem w elektrowni atomowej w Czarnobylu, kobieta pracująca w miejscowym kołchozie nie może sama utrzymać swoich dzieci, natomiast nie brakuje funduszy na rozbudowę milicji i jednostek specjalnych?

Odpowiadając prezydent był mocno poirytowany. On nigdy nie lubił niewygodnych pytań, które go denerwowały i wzburzały.

Od tego słuchania rozboleła mnie głowa, a do tego ciągle te same poprawne wiadomości informacyjne w telewizji. I wszystko w języku rosyjskim, a ja chciałem słuchać wypowiedzi w języku białoruskim. Tego samego wieczoru na Placu Październikowym w Mińsku zebrały się tysiące zwolenników Aleksandra Milinkiewicza, którzy nie uznali wyników wyborów i żądali ich powtórzenia. Współczesny Mińsk chyba nie pamiętał tak liczного zgromadzenia.

W poniedziałek rano opuściłem Sobotniki. Pojechałem do Iwia, skąd po kilku minutach odjechałem do Lidy. Droga wiodła na Lipniszki. Przed Berdówką pracownicy leśni przerzedzali drzewa i krzewy na poboczu drogi. W kilku miejscach palili gałęzie, a przyjemna i delikatna woń dymu przeniknęła do wnętrza autobusu.

We wtorek musiałem już wracać do domu. W Grodnie rozmawiałem o wyborach z młodymi ludźmi jadącymi do Polski w sprawach handlowych.

- Nie mogło być inaczej - powiedział jeden z nich. - Pięć lat temu Łukaszenka otrzymał siedemdziesiąt pięć procent. Przed obecnymi wyborami propaganda w mediach podniosła wszystkie wskaźniki ekonomiczno-społeczne mocno do

góry. Pokazała ludzi coraz bardziej zadowolonych z rządu i prezydenta, więc Łukaszenka musiał otrzymać lepszy wynik niż poprzednio - dodał.

Sobotnicki proboszcz, chrystusowiec¹⁷ ojciec Franciszek Gałdyś, już dziesiąty rok pracuje w naszej parafii. Ojciec Franciszek wkłada wiele wysiłku w dalszy jej rozwój, w odnowę religijną i moralną. Stara się o różną pomoc materialną, o którą też często zabiega prywatnie. Nie wszystkie prace w kościele i na cmentarzu są wykonywane wyłącznie ze składek parafian. Dzięki ojcowi Franciszkowi mieszkańcy miasteczka i gminy mogą korzystać z aparatury medycznej w miejscowym ambulatorium. Jednak kapłan ciągle musi się borykać z tymi samymi problemami i z tymi samymi wiecznie niezadowolonymi ludźmi, głównie z Sobotnik.

Mają oni do proboszcza wiele pretensji o jakieś sprawy istniejące tylko w plotkach. Uważają, że mogą mieć wpływ na niego i jego ewentualne odwołanie nie będzie dla nich wielkim problemem. A jak nie będzie ojca Franciszka, to żadna strata. Przyjdzie inny ksiądz i też będzie dobrze. Chodzą z jakimiś urojonymi pretensjami do gminy jakby zapomnieli, że dawne czasy już minęły i nie tędy droga. Jeżeli mają zarzuty względem swojego proboszcza, to dlaczego nie przyjdą do niego bezpośrednio? Dlaczego ich dzieci i wnuki, dotyczy to także części innych rodzin, tak rzadko widuje się w kościele? Nie zawsze są na niedzielnej mszy świętej, omijają Drogę Krzyżową, inne ważne nabożeństwa. Dlaczego część dorosłych mieszkańców Sobotnik żyje życiem, które jest bardzo dalekie od chrześcijańskiego?

W kościele katolickim na Grodzieńszczyźnie prawie wszystkie msze i nabożeństwa są odprawiane w języku polskim, gdyż zdecydowaną większość wiernych w tym obwodzie tworzą Polacy i osoby polskiego pochodzenia. Niektórzy ludzie na Białorusi uważający się za katolików tłumaczą swoją nieobecność w kościele tym, że nie rozumieją modlitw i śpiewów po polsku.

Niedawno w naszej parafii odbyły się rekolekcje wielkopostne. I właśnie dla osób nie chodzących do kościoła i argumentujących to niezrozumiałym dla nich językiem liturgii, ojciec Franciszek specjalnie zaprosił kapłana dobrze mówiącego po białorusku. Frekwencja w Sobotnikach była właściwie żadna, a przecież w tym okresie jest zwykle mniej pracy w gospodarstwach niż w inne pory roku i ludzie mają więcej czasu. Czemu nie przeznaczają go w trochę większym stopniu na praktyki religijne, na wiarę i kościół, o który w tym miejscu i jeszcze nie tak dawno mocno i z sukcesem walczano?

Z tego krótkiego pobytu na Białorusi pozostało mi w pamięci kilka obrazów: ulica Wileńska w Sobotnikach, na której ubity śnieg skrzył się w pełnym słońcu aż oczy bolały; konie zaprzężone do wozów i sań, zajadające siano i czekające na swoich gospodarzy w wyznaczonym miejscu koło naszego kościoła; stara kobieta z kartonami na dworcu w Iwii, na który właśnie wjechał autobus relacji Nowogródek-Smorgonie; biegnący po chodniku w Lidzie mężczyzna ubrany jedynie w sportowe buty i spodnie; słup ogłoszeniowy z wyborczymi plakatami Milinkiewicza i Kazulina przed dworcem kolejowym w Grodnie.

Wizyta druga

(22 czerwca - 7 lipca 2006)

Święto w Surwiliszkach

We wtorek 27 czerwca, zaraz po naszym odpuszcie na Władysławę, pojechaliśmy z ojcem Franciszkiem do bliskich Surwiliszek na poświęcenie nowego kościoła. Nazwa miasteczka pochodzi od nazwiska Surwiłło i ma wyraźne korzenie litewskie. W jego okolicy przebiegała dawna granica osadnictwa litewskiego obejmująca również Traby, siedzibę gminy.

Surwiliszki to niewielka, ale bardzo stara parafia. W 1591 roku kasztelanowa Róża Gajkowska wraz z braćmi Antonim i Janem ufundowali tu pierwszy kościół poświęcony Świętej Trójcy. W jego otoczeniu zaczęto chować zmarłych mieszkańców Surwiliszek, co dało początek powstaniu miejscowego cmentarza. Od 1678 roku właścicielami miasteczka i pobliskiego folwarku byli jezuici z Wilna, którzy w 1758 roku wybudowali na tym samym miejscu nową świątynię.

Z upływem czasu budynek się zawalił i w 1993 roku na placu, gdzie kiedyś stała stara przedwojenna szkoła, postawiono drewnianą kaplicę. Trzy lata temu zniszczył ją pożar, w którym spłonął szesnastowieczny obraz Matki Bożej z Dzieciątkiem namalowany we włoskiej szkole malarskiej. Mieszkańcy parafii znowu nie dali za wygraną i na tym samym miejscu, w którym stała pierwsza świątynia, postanowili wybudować nowy kościół.

Na wojskowej mapie topograficznej z 1927 roku widnieje prosta droga z Sobotnik do Surwiliszek. Prowadzi ona przez Żemłosław, dalej wzdłuż rzeki Gawii, następnie jej dopływu Klewy i przez most na niej między wioskami Maciuki i Bobryki. Tej dawnej trasy już nie ma.

Jechaliśmy przez Żemłosław, Żemajtuki, Romany i Białyńszczyznę, ostatnią wioskę z tej strony naszej parafii. W jedynej zamieszkałej w niej chacie żyło wtedy pięcioro lu-

dzi. W 1940 roku w Białynszczyźnie mieszkało sto sześć osób w szesnastu domach. Przy następnej wsi Samiszczu przywitał nas prawosławny krzyż. To już była trabska parafia. Lekko pofałdowany teren skraju Wyżyny Oszmiańskiej dodawał tej ziemi swoistego uroku. W Trabach skręciliśmy przy cerkwi Świętych Apostołów Piotra i Pawła na Surwiliszki i po kilkunastu minutach byliśmy na miejscu.

Na niewielkim wzniesieniu stał biały kościółek pokryty blachą pomalowaną na kolor czerwony. Był tak mały, że nie mógł pomieścić wszystkich ludzi, którzy przyszli na jego poświęcenie. Wierni z okolicznych wiosek nie żalowali grosza na budowę nowej świątyni, a przecież mieli bardzo blisko do gminnych Trab z dużym neogotyckim kościołem Narodzenia Najświętszej Maryi Panny. Oni jednak ponownie chcieli mieć swój własny dom Boży, tak jak ich ojcowie, dziadowie, pradziadowie. I za to przywiązanie do swojego kościoła, za ofiarę złożoną na jego wybudowanie dziękował im w homilii ordynariusz grodzieński ksiądz biskup Aleksander Kaszkiewicz.

Bazar w Iwiu

W piątek rano pojechałem z kuzynem Jankiem na zakupy do Iwia. W każdy piątek w Iwiu odbywa się tradycyjny bazar. Kultuwuje się w ten sposób tradycję z dawnych czasów Wielkiego Księstwa Litewskiego, kiedy to w miasteczkach organizowano kiermasze nie tylko w święta parafialne, ale i co tydzień. Jeszcze przed drugą wojną światową nie było to czymś wyjątkowym. W dzisiejszym Iwiu są dwa bazyry. Jeden z różnymi produktami spożywczymi w samym mieście, a drugi z wszelkimi innymi wyrobami i artykułami tuż za jego rogatkami.

Janek wprawdzie chciał kupić jakieś mięso. Weszliśmy do blaszanego boksu, gdzie je sprzedawano. To, co zobaczyłem, nie zachęciłoby mnie do jakichkolwiek zakupów. Panowały tam niehigieniczne warunki. Wśród sprzedających tylko jed-

na osoba miała na sobie biały fartuch i to mocno porwany. Pozostali wyglądali tak, jakby weszli tu przypadkowo z ulicy, wzięli do rąk narzędzia i zabrali się do rozbierania i sprzedawania mięsa. A to mięso leżało na gołych metalowych stołach i nie było odpowiedniego papieru do jego pakowania.

Tak wyglądało i u nas w Polsce, ale pod koniec komuny, kiedy brakowało wszystkiego. Kuzyn kupił całą świńską głowę ozdobioną wysuniętym i zawadiacko ułożonym w bok językiem. Później w jego domu pierwszy raz w życiu jadłem gotowane świńskie ucho. Było bardzo smaczne, delikatne i chrupiące. Na bazarze z artykułami przemysłowymi Janek kupił farbę do malowania drewna, a ja dla cioci Zosi czajnik elektryczny. Tuż za miasteczkiem inspekcja ochrony przyrody sprawdziła spaliny w naszym samochodzie - nie mieli żadnych zastrzeżeń.

Krowy mają pierwszeństwo

Sobotniki, niedziela po Świętym Władysławie. Popołudnie. Pojechałem rowerem na cmentarz. Przede mną, blisko mostu na Gawii, stado krów szło na pastwisko. Pośrodku niego w rytm krowich kroków toczył się autobus z Żemłosławia do Iwia. Ponad zadkami zwierząt był widoczny tył pojazdu, a właściwie tylko jego górna połowa. Krowy miały pierwszeństwo i chyba same były przekonane o swojej wartości i wyższości nad tym dziwadłem, które nie daje odżywczego mleka, a jedynie wydziela jakieś śmierdzące i trujące gazy.

Kobieta z telefonem

Minąłem młodą kobietę podganiającą żwawym krokiem swoją karmicielkę do stada. Ubrana była w niebieski podkoszulek z szerokimi ramiączkami, pod którymi czarny biustonosz osłaniał jej duże jędrne piersi. Spodnie, kiedyś zapewne

koloru czerwonego, były wyblakłe od intensywnego słońca. Ich nogawki sięgały kobiecie trochę za kolana i na bokach były rozcięte. Na stopach miała podniszczzone wsuwane sandały. W jednym ręku trzymała witkę¹⁸, którą machała w kierunku krowy, żeby szybciej dołączyła do innych. W drugiej ręce miała mabilnik¹⁹ i z kimś rozmawiała. Może dzwoniła do Lipniszek, może do Iwia, Lidy lub Mińska? A może gdzieś na kraniec świata, gdzie był ktoś bliski, z którym trzeba było zamienić kilka ciepłych serdecznych słów?

Spływ Gawią

Latem ubiegłego roku wraz z kuzynem Jankiem spłynęliśmy Gawią z Żemłosławia do Sobotnik. Płynęliśmy dość wygodnym, nadmuchiwany plastikowym pontonem koloru żółtego, który kupiłem w poznańskim Praktikerze. Rzeka od środka wyglądała inaczej niż z brzegu i była o wiele piękniejsza. Następnie ja sam popłynąłem od Sobotnik kawałek za Borowiki. Największą dla mnie atrakcją były płochliwe czaple białe i siwe gnieźdzące się w pobliżu tej wioski. Podczas tego pobytu też dwukrotnie popłynąłem naszą rzeką. Trasa była prawie taka sama, od końca wioski Szarkucie do Sobotnik.

Pierwszy raz załogę pontonu uzupełnili synowie moich stryjecznych kuzynek, Wadim i Sasza. Wzięliśmy sprzęt pod pachy i ruszyliśmy pieszo z Sobotnik przez wioskę Rybaki na początek spływu. Jakoś zmieściliśmy się wszyscy w pontonie i popłynęliśmy. Z pewnością dla chłopaków była to frajda tym bardziej, że oglądając piękne i różnorodne widoki trafiliśmy na kaczą rodzinę. Była to pani kaczka z dwunastoma maluchami. Niechcący gnaliśmy je przed sobą, a one to nurkowały na kilkanaście sekund pod wodę, to zrywały się jak do lotu i trzepocząc skrzydłami biegly po jej powierzchni. W pewnym momencie matka jakby przez nieuwagę zostawiła swoje dzieci, a może chciała nas od nich odciągnąć kierując się w przeciwną stronę. Kiedy przepłynęliśmy obok

niej, to co chwilę z tyłu nawoływała swoje pisklaki. Już się obawiałem, że się zgubią, gdyż maluchy były ciągle przed nami. Nagle kaczka poderwała się do góry, przeleciała nad nami i zwodowała pośród swojej gromadki. Więcej ich nie zobaczyliśmy. Być może schowały się w szuwarach, a kiedy nasz ponton przepływał obok zanurkowały pod wodę dla większego bezpieczeństwa.

Po przepłynięciu kolejnego zakola Gawii ujrzelśmy przed nami żywą przeszkodę. Kilkanaście krów z pasącego się nad brzegiem stada stało do połowy zanurzone w wodzie i chłodziło się. Zdumione tak niezwykłym dla nich widokiem żółtego pontonu zwierzęta na chwilę przerwały swoje bezustanne przeżuwanie. Następnie bardzo niechętnie usunęły się do brzegu robiąc naszej fregacie otwartą drogę do dalszej ekspedycji.

Dwa dni później popłynąłem tylko z Wadimem nadmuchiwym czerwonym kajakiem „Amazone”, który również przywiozłem z Poznania. Płynęliśmy szybciej niż poprzednio, ale tylko fragmentami rzeki, tak niski był w niej poziom wody. Zostało to spowodowane przez podniesienie tamy w Żemłosławiu, gdzie w latach pięćdziesiątych ubiegłego wieku utworzono na Gawii sztuczne jezioro i wybudowano niewielką elektrownię wodną.

Miejscami wysiadaliśmy z kajaka i ciągnęliśmy go za sobą. Przyjemnie było kroczyć po rzece w płytkiej wodzie. Jeszcze przyjemniej było, kiedy usiadłem na jej dnie w trochę głębszym miejscu, z głową i ramionami wystającymi na powierzchnię wody, na popołudniowe słońce. Usłyszałem wtedy wyraźny głos Gawii i domyśliłem się, że rzeka do mnie coś mówiła, gdyż na całym swoim ciele poczułem jej siłę, którą chciała mnie ruszyć z miejsca i delikatnie unieść ze sobą gdzieś do Niemna. Ale nie teraz Gawio. Proszę poczekaj trochę i za jakiś czas popłyniemy razem.

Taki przerywany spływ miał też swoją dobrą stronę, gdyż można było dokładniej przyjrzeć się Gawii. Znaleźliśmy ciekawe miejsce w połowie drogi między Szarkuciami i Ryba-

kami, gdzie dno rzeki było wyłożone drobnymi kolorowymi kamykami. Nie wyglądały one na dzieło natury, ale na pozostałość wytworów rąk ludzkich z dawnej przeszłości.

Deszcz na kolonii

Upalne dni przechodziły jeden za drugim. Słońce prażyło i nie było gdzie się przed nim schować. Komunikaty pogodowe, za którymi codziennie śledził każdy mieszkaniec naszej gminy, nie przewidywały opadów i ochłodzenia. Nie rozumiałem tej ważności prognozy nadworia²¹ dla moich ziarniaków, bowiem prywatnie uprawiali zaledwie kilka sotek ziemi koło swoich chat i kilkadziesiąt dzierżawionych od kołchozu na potrzeby swojej żywności²². Ale na białoruskiej wiosce z samej pensji nie wyżyjesz. Musisz uprawiać ogród, trzymać zwierzęta, dbać o pożywienie dla nich. Dlatego tak bacznie przyglądano się niebu. Te niewielkie kawałki ziemi starano się jak najlepiej wykorzystać, co było w tradycjach rodzinnych pozostałych jeszcze z polskich czasów.

Było późne popołudnie. Niewielkie kopy siana suszyły się w pobliżu chaty dziadka Jana. Poszedłem do sadu. Niebo nad wysokimi drzewami od strony rzeczki Łyntupki przybrało kolor ciemnoszary. Na coś się zanosilo, a może i nie, gdyż przeważająca jego część była jasnoblękitna z kilkoma wolno żeglującymi białymi chmurkami.

Wtem do moich uszu doszedł jakiś szum. Z początku nie mogłem zlokalizować jego położenia. Wzmagał się, przybierał na sile i po chwili już wiedziałem skąd nadchodził. Biegł od Łyntupki jak sprinter na olimpiadzie i błyskawicznie mnie dopadł!

W pierwszej chwili myślałem, że jest to grad, przed którego zimnymi i bolesnymi kulkami odruchowo schowałem głowę w ramiona. Na szczęście to nie był grad, ale duże i ciepłe krople deszczu, które gwałtownie atakowały mnie z góry.

- Przykrywać kopy! - krzyknął wujek Władek wybiegając z chaty.

Biegłem od kopy do kopy siana, narzucałem na nie kawałki folii i przyduszałem gałęziami. Ogarnęło mnie uczucie wielkiej radości i czułem się cudownie. I wcale nie chciałem się chować jak to bywa przed zwykłym deszczem. Wyciągnąłem ręce do nieba i tak szedłem do chaty obmywany tysiącami kropel, owiewany chłodniejszym wiatrem.

Niedaleko od kolonii przechodziła burza a wraz z nią gwałtowny ulewny deszcz, nawalniczny²³, który przykrył nas skrajem swojego płaszcza. Jeszcze słyhać było kroki odchodzącego grzmotu, który pierwszy parł do przodu gdzieś dalej i co pewien czas głośniejsz tarabanił w burzowe bębny. Na horyzoncie małanka²⁴ ostatni raz, jakby na pożegnanie, rozświetliła ciemnoszare niebo i spieszenie podążyła za swoją panią. Najdłużej ociągał się deszcz, który nad kolonią jeszcze kropił, pokropywał sobie.

Stałem przy samej dziadkowej chacie i przytuliłem się do drzwi wejściowych do werandy. Z wąskiego okapu dachu pojedyncze krople deszczu spadały na moją głowę i wolno spływały po skroniach, czole i twarzy rozciągając swoje kuliste kształty. Kilka z nich połączyło się w delikatną wodną nitkę, która przesuwiała się po nosie i łaskotała mnie w jego czubek.

Było ciepło i trochę parno. Przyjemnie czyste i świeże powietrze samo wpływało do moich płuc. Ono zawsze jest tutaj takie o poranku, ale niedawna burza coś mu jeszcze od siebie dla mnie dodała, więc nie chciało mi się wchodzić do chaty. Stałem w bezruchu i nasłuchiwałem otaczającej mnie ciszy. Tej ciszy, którą lubię najbardziej. Ciszy, kiedy tylko przyroda ze sobą rozmawia.

W ciemnoszarej powłoce nieba od strony Gieranion pojawiła się bardzo jasna szczelina. Ukazało się w niej słońce, które z trudem, ale skutecznie rozsuwało na boki chmury i jak snopem mocnego reflektora przebijało się w moją stronę przez gęstwinę drzew i krzewów. Jak dobry znajomy przy-

jażnie podało mi swoją promienną dłoń, którą ufnie pochwyciłem i z uśmiechem przymknąłem oczy.

Blisko mnie cały czas śpiewały ptaki rozradowane tym, że najgorsze już się skończyło, a to pokropywanie jest nawet przyjemne. No i znowu świeci słońce!

Krótko w Trokielach

Na parę godzin pojechałem do diecezjalnego sanktuarium Maryjnego grodzieńszczyzny w Trokielach. Na dworcu autobusowym w Lidzie pierwszy raz zdarzyło mi się, że kasjerka zapytała mnie o pozwolenie na wjazd do strefy przygranicznej z Litwą, w której znajdowały się Trokiele. Miałem takie w związku z pobytem w Sobotnikach, które leżały jeszcze bliżej tej granicy, bo zaledwie siedem kilometrów.

Był czwartek 6 lipca, dzień przed docieraniem do Trokiel pierwszych pielgrzymek i nocnym czuwaniem młodzieży. Główne uroczystości odbyły się w sobotę 8 lipca. Z tej okazji do kościoła Nawiedzenia Najświętszej Maryi Panny została sprowadzona kopia Całunu Turyńskiego²⁵, którą pokazał mi kustosz sanktuarium ksiądz Paweł Goliński. Nawiedziła ona także Sobotniki oraz inne parafie dekanatu Iwie.

Na koniec Grodno

Tego samego dnia wracałem pociągiem z Grodna do Polski i wreszcie miałem trochę czasu, żeby przyjrzeć się temu miastu. Ale właściwie było to zaledwie jego dotknięcie w biegu. Może przy następnej podróży uda się zobaczyć więcej. Stara zabytkowa część Grodna zrobiła na mnie bardzo dobre wrażenie. Była zadbana i przyjemna. Może brakowało jeszcze więcej miejsc, gdzie można by spokojnie usiąść i odpocząć, wypić zimne piwo, przyjrzeć się życiu ulicy i zastanowić się nad dalszym zwiedzaniem miasta.

I to już był koniec mojej drugiej wizyty na ziemi rodzinnej, na ajczynie²⁶, na baćkaŭszczyźnie²⁷. W czwartek 6 lipca stuknęło mi czterdzieści dziewięć lat, ale tego dnia nikt mnie nie ciągnął za uszy²⁸.

Białoruś po raz trzeci

(8 - 15 września 2006)

Droga

Piątek 8 września 2006 roku. Stało się tak, jak tego chciałem i pragnąłem. Kolejny raz pojechałem na Białoruś. Jak zwykle pierwszy etap mojej podróży przebiegał z Poznania do Białegostoku. Pokonałem go bez przesiadki pociągiem Twoich Linii Kolejowych. Powinny się one także nazywać Tanie Linie Kolejowe, gdyż za bilet drugiej klasy z rezerwacją miejsca zapłaciłem tylko pięćdziesiąt sześć złotych.

Tego dnia nie było bezpośredniego połączenia autobusowego Białystok-Lida, więc pojechałem wpierw do Grodna. Na granicy w Bruzgach, już po białoruskiej stronie, podejrzliwy pogranicznik długo oglądał moją polisę ubezpieczeniową, którą wykupiłem w Towarzystwie Ubezpieczeniowym „Warta”. Na szczęście okazało się, że była w porządku.

Wjechałem do Grodna. Podczas przejazdu przez miasto jak zwykle wypatrywałem Niemna. Kiedy był już w dole pod mostem szybko spoglądałem to w lewą, to w prawą stronę, żeby jak najwięcej uchwycić wzrokiem z mijanego krajobrazu. Najbliższa naszym uczuciom rzeka za granicami Polski i bliska w rzeczywistości. I jeszcze bliższa odkąd Kanał Augustowski został otwarty po białoruskiej stronie. W Grodnie przesiadłem się do lidzkiego autobusu i do Lidy dojechałem wieczorem. Wziąłem taksówkę i po piętnastu minutach dzwoniłem do mieszkania cici Władzi, najmłodszej siostry mojej mamy.

Sobotniki

Następnego dnia rano pojechałem autobusem do rodzinnych Sobotnik. W niedzielę, po zakończeniu mszy z godziny jedenastej, stanąłem przed kościołem z moimi książkami.

Mieszkańcy miasteczka je znali, ale liczyłem na to, że może akurat przyjedzie ktoś nowy odwiedzić swoich krewnych lub zjawią się jacyś niespodziewani goście.

No i proszę, pojawili się! Wycieczka z nadniemeńskiej Brzozówki znanej z huty szkła „Niemen”. Jej początek miał miejsce w 1873 roku, kiedy to szlachcic Zenon Łęski założył w swoim majątku Ustronie niewielki zakład produkujący głównie butelki i szklanki. W 1891 roku hutę wydzierżawił Polakowi Wilhelmowi Krajewskiemu i Czechowi Juliuszowi Stolle. Wspólnicy ją z czasem wykupili i rozbudowali o nowy zakład położony w pobliżu Brzozówki, a następnie przejęli konkurencyjną hutę szkła w samej Brzozówce.

W okresie międzywojennym zakład pod nazwą Huty Szklane Juliusza Stolle Niemen S.A. z siedzibą w Brzozówce był najsłynniejszą polską hutą szkła użytkowego i artystycznego. Był on także największym polskim producentem i eksporterem szkła prasowanego i dmuchanego do takich krajów jak: Francja, Holandia, Kanada, Argentyna, Syria oraz Palestyna. W 1935 roku w hucie „Niemen” odlano z błękitnego szkła urnę, w której złożono serce Józefa Piłsudskiego u grobu jego matki na wileńskiej Rossie. Wyroby artystyczne huty z lat 1921-1939 są bardzo cenione na rynkach antykwarycznych na całym świecie.

Małym autobusem przyjechały z Brzozówki osoby w średnim wieku, wśród których znajdowało się kilkoro młodych ludzi. Wszyscy pięknie mówili po polsku. Zwiedzili kościół i jego podziemie, a ja sprzedałem im kilkanaście książek obowiązkowo z pamiątkowym autografem. Następnie rodacy udali się do pobliskiego Żemłostawia obejrzeć pałac i zachowane budynki dawnej rezydencji Umiastowskich.

Po obiedzie wzięłem od kuzyna Janka rower i pojechałem na sobotnicką kolonię koło Dowgiałowszczyzny. Musiałem odwiedzić ciocię Zosię, drugą siostrę mojej mamy i moją chrzestną. Jak zwykle zrobiłem spacer po sadzie założonym przez dziadka Jana i nie mogłem się nadziwić rozrastającej się krainie bobrów na rzeczce Łyntupce.

Do miasteczka wracałem wieczorową burzową porą. Było bardzo parno i duszno. Szarobiałe kłębiaste chmury pokrywały niebo. Z Łyntupskiej Drogi dostrzegłem wspaniałą tęczę nad Sobotnikami. Niedawno, gdzieś tam blisko za nimi i może już po litewskiej stronie przechodziła gwałtowna burza. Zatrzymałem się w centrum miasteczka urzeczony niespotykanym widokiem naszej świątyni. Na czerwoną cegłę budynku zachodzące słońce nałożyło dodatkową własną barwę czerwieni. Nowy szaroniebieski kolor dachu, niebo z resztkami burzowych chmur i zapadający zmrok dodały całości niesamowitego i tajemniczego wyglądu.

Jeszcze tylko skok na cmentarz przez most na Gawii, jednej z licznych córek Niemna. Chciałem pokłonić się grobom moich przodków. Było już ciemno, więc pomodliłem się tylko za Kononowiczów: prababcię Michalinę, dziadka Jana, babcię Wiktorię i dziadka siostrę Jadwigę.

Jabłonie

W tym roku na Białorusi nad podziw obrodziły jabłonie. Gałęzie młodych drzew uginały się pod ciężarem owoców. Nie ustępowały im dziczki wyrosłe z nasion rozwianych przez wiatr. Obudziły się drzewa posadzone rękoma naszych przodków. Stare jabłonie wyciągnęły ku słońcu gałęzie pełne życia pośród tych, które już bezpowrotnie obumarły. Przypomniały ludziom o swoim istnieniu, że jeszcze nie zginęły, świadkowie minionych żywotów bliskich nam osób. Nawet drzewa powalone przez wichry i burze, złamane ze starości, które rozpaczliwie uczepiły się gałęziami ziemi i zakorzeniły, wydały owoce. Zachowała się do dzisiejszego dnia ich miejscowa nazwa - polskie jabłka: kosztele, gołąbki, kogutki, cukrówki, szetynki i wiele innych.

Stare jabłonie. Latami rosły pozostawione i smutne, a właściwie tkwiły jakby uśpione w czujnym i trwożnym oczekiwaniu, żeby je nie ścięto i nie wykarczowano. Czasami i to bardzo nieśmiało dawały znać o sobie rodząc pojedyncze

owoce. A może właśnie tego roku przyszedł dla nich czas, na który wciąż czekały jak baśniowi rycerze śpiący w skalnej grocie? Na nowo otrzymały życie i śmiały się do nas ukazując w blasku słońca swoje skarby.

Jabłonie rosły w starych sadach, gdzie jeszcze stały chaty zamieszkałe przez nielicznych już mieszkańców. Egzystowały w opuszczonych siedzibach, świadcząc o niedawno trwającym w nich życiu. Obok umierał zapadnięty ze starości dom lub było tylko niewielkie podwyższenie, pozostałość po chacie, która gdzieś wywędrowała ze swoimi przeważnie nowymi właścicielami.

Stare drzewa rosły swobodnie i miały rozłożyste korony. Były mocno wrosnięte w ziemię i jakby nierozzerwalnie z nią związane, a jednocześnie gałęzie miały wyciągnięte ku niebu i słońcu. Jak anteny przekazujące życiodajną energię łączącą naszą planetę z kosmosem.

Kosa

Wrzesień 2006 roku. Nie mam tutaj zamiaru podawać osiągnięć w rozwoju techniki rolniczej, które nastąpiły chociażby w ostatnich latach. Kosa na białoruskiej wsi jest jednak nadal jednym z podstawowych narzędzi pracy w indywidualnych gospodarstwach. Mogłoby się wydawać, że wraz z odejściem naszych ojców i naszym przemijaniem kosy zostaną odstawione do lamusa. Ale tak nie jest, skoro uczy się nią posługiwać młodzież męską w szkołach średnich na białoruskiej prowincji, co zaobserwowałem czekając na dworcu autobusowym w Iwiu. Może to dobrze, że młodzi ludzie praktycznie poznają jedno z historycznie najważniejszych narzędzi związanych z pracą człowieka na roli. Może przez to nauczą się szacunku do tradycji i ciężkiej fizycznej pracy.

Jesień

To już była jesień. Pojedyncze liście spadały na moją głowę i pierwsze nitki babiego lata prządl wiatr. Zebrany w snopki jasnobrązowy len dosuszał się na żemłosławskich polach.

Cały sierpień i na początku września padało. W lasach obrodziły grzyby, których amatorem zbierania jest każdy mieszkaniec Białorusi. Ale było też więcej kleszczy niż zazwyczaj. Przezorniejsi zbieracze po jednym, dwóch wypadach do lasu i przyniesieniu kleszczy do domu, nie wybierali się więcej na grzybobranie.

Wykopki

Od dawna jest tradycją, że kiedy nadejdzie wrześnieowa pora, to cała Białoruś kopie ziemniaki. Prawie każdy mieszkaniec miasta ma rodzinę na wsi, którą wspomaga w tej fizycznie ciężkiej i bardzo ważnej pracy. Na Grodzieńszczyźnie ziemia jest bardzo kamienista. Mówi się o niej, że rodzi kamienie, co bardzo utrudnia zbieranie ziemniaków nawet przy pomocy kombajnów.

Mieszkańcy wsi sadzą kartoflane bulwy na działkach przyzagrodowych i niewielkich areałach od trzydziestu do osiemdziesięciu sotek, które co roku otrzymują od kołchozu w formie nieodpłatnej dzierżawy. Wykopki przeprowadzają głównie pługiem konnym. Można wynająć kogoś, kto ma swój traktor, ale osób posiadających taki sprzęt jest niewiele. Można również skorzystać z usług świadczonych przez kołchoz. Zmechanizowana praca jest jednak kosztowna, nie zawsze opłacalna i nie każdego na nią stać. Ziemniak to jeden z najważniejszych produktów żywnościowych w życiu wsi i miasta.

Czas wykopków na Białorusi ma zalety dla tych ludzi, którzy mają coś do załatwienia w urzędach. Jest tam swobodniej i luźniej z powodu mniejszej ilości petentów. Urzędnicy również mają rodziny na wsi i też spieszą im z pomocą

przy kopaniu ziemniaków. Czasami powoduje to sytuacje komediowe.

Będąc kiedyś w tym okresie w Lidzie poszedłem zarejestrować się na milicji. Niestety nie mogłem tego uczynić, gdyż na drzwiach wydziału paszportowego wisiała kartka z napisem: „Dzisiaj zamknięte z powodu wyjazdu na kopanie ziemniaków”.

Świat

Na Białorusi coraz bardziej przemija świat naszych rodziców, a świat dziadków już dawno odszedł. Podczas moich wizyt widziałem wymierające chutory, kolonie i wsie. Ich mieszkańcy doszli już do kresu swojej drogi i tylko oczekują, aż zostaną powołani przez Pana do niebiańskiego lepszego życia.

W latach powojennych wiele osób nie potrafiło odnaleźć się w sowieckiej, teoretycznie wyidealizowanej rzeczywistości. Ludzie ci popadli w alkoholizm trudny do wyleczenia w białoruskich warunkach.

Łuniniec

Miałem mało czasu, więc pojechałem tylko na jeden dzień do kuzyna Tadeusza, do Łunińca w obwodzie brzeskim. Chciałem przede wszystkim odwiedzić siostrę mojego taty, ciocię Janinę, którą córka Irena wzięła z Sobotnik do siebie na stałe, do wioski Sienkiewiczze w rejonie łuninieckim. Samej Irki nie widziałem chyba ze dwadzieścia lat. Kuzynka była najmłodszą z czworga rodzeństwa. Następnym w kolejności był starszy ode mnie o rok Janek, potem Kazik mieszkający w wiosce Saugucie blisko Iwia i właśnie Tadeusz.

Pociąg relacji Grodno-Homel przez Łuniniec odjeżdżał z Lidy o godzinie dwudziestej drugiej dwadzieścia sześć.

Na dworcu czyhunki²⁹ byłem godzinę wcześniej. Kupiłem bilet płackart³⁰ i poszedłem do poczekalni. Podróżnych było zaledwie kilku. W dworcowym sklepiu obsługiwanym przez młodą i ładną blondynkę zamówiłem ludzkie piwo Żygulowskie i przeglądając gazetę zostawioną na stoliku oczekiwałem na pociąg.

Wreszcie przyjechał ze spalinową lokomotywą na czelę. Jak przeczytałem na moim bilecie był to ekspres. Przed każdym wagonem stała jego opiekunka, ładna dziewczyna, która sprawdzała bilety wchodzącym pasażerom. Za równowartość trzech złotych zamówiłem pościel i ukołysany w rytm jazdy przespałem całą podróż.

Z Lidy do Łunińca jest około dwustu dziesięciu kilometrów i mój ekspres pokonał tę odległość w cztery godziny. Niemen przejechałem w Sielcu. Następnie była Nowojelnia, gdzie w przedwojennej Polsce znajdowało się największe sanatorium klimatyczne na pięćset łóżek. Dalej były Mołczadz i Baranowicze. Wreszcie wjechałem w poleską krainę z pierwszym przystankiem w Hancewiczach i kolejnym w Łunińcu. Tadeusz już na mnie czekał. Wsiedliśmy do samochodu i po dziesięciu minutach byliśmy przed blokiem, w którym mieszkał z żoną Marią.

Oboje z zawodu byli lekarzami. On pracował jako neurolog, którego ceniono za profesjonalizm i za bardzo dobre podejście do pacjentów. Maria była anestezjologiem. Ich córka Bożena jeszcze studiowała na ostatnim roku Akademii Medycznej w Grodnie. Była młodą mężatką, a jej mąż odbywał praktykę lekarską w szpitalu w Hancewiczach. Po tej rozbitej nocy nie spałem długo. Zjadłem śniadanie i wyszedłem zwiedzić miasto.

Łuniniec to nieduże, ładne, czyste i przyjemne rejonowe miasto oddalone o siedem kilometrów od Prypoci. Na ulicach, skwerach, placach i przydomowych ogródkach rośło dużo kwiatów, wśród których przeważały turki. Ulice w Łunińcu są szerokie, a mnie najbardziej podobała się Prypecka. Położona trochę na uboczu, cicha i przestronna, z wieloma

starymi drewnianymi domami ozdobionymi ciekawymi elementami ludowej snycerki. W płot przed jednym z nich wczepiła się wieloma pędami dynia, ukazując niewielkie jasnożółte owoce przechodzącym ludziom.

W centralnej części miasta znajdują się dworce kolejowy i autobusowy, wielobranżowy rynek handlowy, dom towarowy oraz inne mniejsze sklepy. Przed rynkiem można było kupić świeże karasie sprzedawane prosto z samochodu, zjeść kawałek szaszłyka zapijając go piwem, którego wybór był spory. Dominowała produkcja z browaru w Brześciu, ale też było zachwalane piwo z Rzeczyca, z uznanego browaru w Lidzie i nawet czeski Wielkopopowicki Koziel.

Obok rynku stał nowy budynek kościoła ewangelickiego, a trochę dalej przedwojenny kościół katolicki Świętego Józefa. Największą świątynią w Łunińcu jest cerkiew Podwyższenia Krzyża Świętego. Znajduje się w innej części miasta, ale w sumie też niedaleko od centrum.

Katolików, a w domyśle Polaków, było w Łunińcu około czterdziestu. Nie mieli oni stałego duszpasterza i ksiądz dojeżdżał tu z Hancewicz. Był to Oleg Szpieć pochodzący z Iwii. W 2005 roku ukończył wyższe seminarium duchowne Towarzystwa Chrystusowego dla Polonii Zagranicznej w Poznaniu i został pierwszym chrystusowcem wywodzącym się z Białorusi. Uczestniczyłem w jego święceniach i prymicji, które odbyły się w Iwii, a całe to uroczyste wydarzenie opisałem w książce „Białoruskie podróże”.

Po obiedzie pojechaliśmy do Sienkiewicz oddalonych od Łunińca o trzydzieści osiem kilometrów. W tej części Polesia wszystkie większe drogi były asfaltowe i szerokie. Wioski, przez które przejeżdżaliśmy: Jażewki, Jażwinki, Witycze, Cna i Drewsk wyglądały na większe, czy też szerzej rozłożone niż u nas na Grodzieńszczyźnie.

Ziemia na Polesiu nie rodzi też tylu kamieni i jest bardziej urodzajna. Wiosna przychodzi tam prędzej, a rolnicy wcześniej zbierają swoje plony. Tadeusz często przywoził do Sobotnik pierwsze ziemniaki i truskawki ze swojej daczki.

Sienkiewicze są dużą prawosławną wsią z drewnianą cerkwią Świętego Jerzego. Irka mieszkała na skraju wioski o rzut kamieniem od rzeki Łań, wpadającej siedem kilometrów dalej do Prypeci. Spotkałem się wreszcie z ciocią Janką, z którą widziałem się codziennie ilekroć byłem w Sobotnikach. Nasze bezpośrednie kontakty ustały, od kiedy ona zamieszkała w Sienkiewiczach. Irka była jeszcze w pracy. Miała się zwolnić wcześniej z okazji mojego przyjazdu, więc udaliśmy się po nią do Mikaszewicz.

Odległość szesnastu kilometrów przejechaliśmy dobrą międzynarodową drogą prowadzącą prosto do Homla, skąd było już blisko do Rosji i Ukrainy. Przed miastem minęliśmy ukryte za koronami drzew wysokie hałdy odpadów z granitowego urobku.

Mikaszewicze słyną na Białorusi z wydobycia granitu, którego złoża ciągną się także w kierunku Sienkiewicz. Niedawno miejscowość ta uzyskała prawa miejskie dzięki swojemu rozwojowi właśnie na bazie granitu. Działo tam wiele firm, które zajmowały się jego obróbką z przeznaczeniem do różnych celów budowlanych.

Ludzie w Mikaszewiczach, których praca związana była bezpośrednio z granitem, zarabiali bardzo dobrze jak na białoruskie realia. Nieźle pobory mieli także ci mieszkańcy, którzy pracowali w innych zawodach i branżach. Nawet w miejscowym kołchozie, gdzie dojarka otrzymywała pensję około dziewięciuset tysięcy białoruskich rubli, czyli około tysiąca trzystu złotych. Taką wypłatę odbierał wówczas w Łunińcu lekarz specjalista z wieloletnim stażem.

Wróciliśmy do Sienkiewicz. Ciocia już energicznie krzątała się po kuchni przyrządzając smakowite dania z okazji rodzinnego obiadu i wizyty gościa z Polski. Kiedy wszystko było już gotowe usiedliśmy za stołem. Wznieśliśmy toast za wspólne spotkanie, a później toczyły się zwykłe rodzinne rozmowy.

Moja kuzynka przez większość lat swojego zawodowego życia pracowała na stanowisku agronoma w miejscowym

kołchozie. Dwa lata temu zmieniła posadę i zatrudniła się w prywatnym sklepie z damską bielizną, firankami i zasłonami w Mikaszewiczach. Była to dla niej o wiele lżejsza i nie gorzej płatna posada. Mąż Irki, inżynier radiotechnik, pracował na pobliskiej stacji radiowo-telewizyjnej. Mieli dwie córki, Karolinę i Weronikę. Karolina chodziła do ostatniej kasy liceum w Łunińcu i mieszkała tam w internacie. Należała do wyróżniających się uczniów. Dobrze знаła język polski i angielski. Szczególnie interesowały ją informatyka oraz komputerowe programy graficzne. Po swojej mamie emanowała na zewnątrz pozytywną energią i miała ciągły uśmiech na twarzy. Weronika chodziła do siódmej klasy szkoły podstawowej w Sienkiewiczach. W odróżnieniu od swojej siostry była spokojna i trochę nieśmiała, a swoich zainteresowań nie miała jeszcze sprecyzowanych.

Nauka w państwowych wyższych szkołach na Białorusi jest przeważnie bezpłatna. Jednak dla niezbyt zamożnych rodziców wysłanie dwójki dzieci na uczelnię przerasta ich możliwości finansowe. Nawet studia jednego dziecka są dla rodziny dużym obciążeniem. Często na pokrycie miesięcznych kosztów nauki i życia studenta musi być przeznaczona jedna z pensji rodziców. Przeważnie nie są one wysokie w stosunku do cen obowiązujących na Białorusi.

Do Łunińca wracaliśmy wieczorową porą. Nie kluczyliśmy już przez wioski, ale mknęliśmy tą samą międzynarodową drogą, która tuż za Mikaszewiczami miała połączenie z Mińskiem, a prosto wiodła do Brześcia. Podczas jazdy, gdzieś po prawej stronie drogi, zaobserwowałem cudowne zjawisko. Były to pierwsze wieczorne mgły unoszące się nisko nad ziemią. Wyglądały jak cienkie delikatne obłoczki o białoszarej barwie z odrobiną niebieskiego koloru. W jednej z mijanych mgiełek zauważyłem stado krów, które za niedługo miały wracać z popołudniowego wypasu. Zwierzęta były częściowo zanurzone w tej mlecznej szarości, co nadało całemu obrazowi tajemniczego i baśniowego wyglądu.

Lida

14 września, czwartek. Odpust w najstarszej ludzkiej świątyni Podwyższenia Krzyża Świętego. Kościół ten zwany farnym został ufundowany przez króla Władysława II Jagiełłę³¹ w 1387 roku. Była piękna wczesnojesienna pogoda. Chociaż największe święto parafialne przypadło w dzień roboczy, to już w wigilię uroczystości została odprawiona pierwsza msza święta, a w czwartek były ich cztery. Na wszystkich liturgiach wiernych było tak dużo, że nie mieścili się oni w murach kościoła.

Za zgodą księdza proboszcza ustawiłem skromne stoisko z książkami mojego autorstwa. Obok mnie inne osoby oferowały dewocjonała i święte obrazy. Sprzedałem kilka egzemplarzy „Białoruskich podróży” z dedykacjami dla pań pięknie mówiących po polsku.

Uroczysta suma odpustowa o godzinie trzynastej zakończyła się procesją wokół świątyni. Z biegnącej tuż obok ruchliwej ulicy Sowieckiej, przedwojennej Suwalskiej, hałas trochę przeszkadzał uroczystościom. Budującym dla mnie widokiem był umundurowany milicjant, który przeciskając się przez zgromadzony na zewnątrz kościoła tłum zdjął czapkę z głowy.

Trokiele

Był już piątek, kiedy rano pojechałem na parę chwil do Trokiel autobusem relacji Lida-Gieraniony. To zaledwie siedemnaście kilometrów na północny-wschód od miasta, ale już w rejonie woronowskim. Jeżeli chodzi o narodowość jest to najbardziej polski rejon na Białorusi. Według oficjalnych statystyk ponad osiemdziesiąt procent jego mieszkańców przyznaje się do polskości i polskiego pochodzenia.

Wieś i diecezjalne sanktuarium Maryjne były ciche i puste o tej porze dnia i roku. Dwa miesiące wcześniej, w drugą sobotę lipca, Trokiele zaludniły się kilkoma tysiącami pielgrzy-

mów przybyłych z całej Grodzieńszczyzny, żeby pokłonić się Matce Bożej z okazji jej święta.

Powrót

Tego samego dnia, przed południem, wracałem do Polski pociągiem z Grodna wypatrując Niemna podczas przejazdu przez miasto. Płynął głębokim jarem i był bardzo nisko pod mostem kolejowym. Za sobą na Białorusi zostawiałem pierwsze zapachy jesiennych liści, utkane nitki babiego lata, tasiemki mgieł z poleskich pól i pszeniczno-lniane włosy kobiet. Do domu jak zawsze zabrałem tęsknotę za ziemią rodzinną, za baćkaŭszczyną, za ajczyną.

Sakawik 2007

(15 - 24 marca 2007)

15 marca, czwartek

Imianiny Arsena, Fiadota, Liudwiki

*Jeżeli na Fiadota są zamiecie i tworzą się śniegowe zasy,
to wiosną późno wszędzie trawa.*

Białoruska nazwa miesiąca marca - sakawik, bardzo trafnie oddaje stan przyrody w tym okresie. Wyczuwa ona nadchodzącą wiosnę i przygotowuje się na jej powitanie. Życiodajne płyny zaczynają krążyć w uspionych w czasie zimy drzewach i jest to czas, kiedy mieszkańcy białoruskiej ziemi spuszczają sok brzoźowy z drzew o białej korze naznaczonej głębokimi czarnymi pęknięciami. Sok ten ma wiele właściwości zdrowotnych. Jeszcze nie tak dawno nazywano go na Kresach Północno-Wschodnich „suła” i w większych gospodarstwach trzymano go w dębowych beczkach. Tak samo nazywa się rzeka na Ukrainie, która wpada do Dniepru. Może te nazwy mają coś wspólnego ze sobą?

Z Poznania przeskok na Białoruś do Lidy przejściem drogowym Kuźnica Białostocka-Bruzgi. Blisko po obu stronach granicy są takie same drewniane chaty, pola i drzewa. Rzeka Łosośna też jest taka sama, ale jej wody płyną tylko w jednym kierunku, z Polski do Niemna. Jednak po stronie białoruskiej odczuwałem inny zapach powietrza, choć może było to tylko moje subiektywne wrażenie związane z przekroczeniem granicy.

Zobaczyłem też inną wczesnowiosenną zielen, bardziej soczystą niż u nas. Inne też było państwo, chociaż historycznie i obecnie bardzo nam bliskie. Inny był język ale zrozumiały, przyjazny i ciepły. Inna też była rzeczywistość, chociaż niezawiniona przez mieszkańców tej ziemi.

A ona od wieków pozostała taka sama. Te same miasta, miasteczka i wioski o swojsko brzmiących nazwach. Te same

stare groby na cmentarzach poprzepłatanych współczesnymi pochówkami.

Stutysięczne miasto Lida, Sobotniki z siedmiuset mieszkańcami i w końcu sobotnicka kolonia koło wioski Dowgiałowszczyzna, gdzie żyło tylko kilka osób. Prawie osiemset kilometrów dzieli Poznań od tego miejsca. Dwa światy. Ten na kolonii i w wiosce to życie i przemijanie. Trwanie i odchodzenie. Zarastanie. A wszystko kiedyś miało być inaczej. Kiedy? Przed wojną.

Jechałem rejsowym autobusem relacji Białystok-Mińsk przez Lidę, w którym było zaledwie czternaście osób. Razem ze mną podróżował jeden pan z Zielonki koło Warszawy. Udawał się do niewielkiego miasta, którego nazwa w przedwojennej Polsce była powszechnie znana - Smorgonie. W tym mieście w 1934 roku było cztery tysiące czterystu mieszkańców i osiemdziesiąt piekarń wytwarzających różnorodne obwarzanki zwane też suszkami, które sprzedawano głównie na Wileńskim Kaziuku. I chociaż obwarzanki są rodem z Małopolski, to te smorgońskie zdobyły największą popularność i uznanie w Polsce międzywojennej.

Na przejściu granicznym po polskiej stronie czekaliśmy czterdzieści minut. Po stronie białoruskiej sprawdzono nasze paszporty i pozostała tylko kontrola celna. Minęła jedna godzina i nic się nie działo. Minęła kolejna godzina i wyglądało na to, że zapomniano o nas. Nie wytrzymała jedna z pasażerek wracających do Mińska i energicznie wbiegła do budynku mytni³². Nie wiem, jakich użyła słów i argumentów, ale po chwili zjawili się ukryci dotąd celnicy i odprawili nas w ciągu kwadransa. Otrzymaliśmy jeszcze krótką instrukcję na temat zagrożeń jakie niesie ptasia grypa i mogliśmy jechać.

Niespodziewanie w Grodnie musieliśmy się przesiąść do innego autobusu, którym ruszyliśmy w dalszą trasę. Zmęczony długą i uciążliwą podróżą wkrótce zasnąłem. Obudziłem się dopiero na przedmieściu Lidy. Było już ciemno i późna godzina. Pożegnałem się z rodakiem, który poszedł na dwo-

rzec kolejowy. Miał przed sobą czas oczekiwania na pociąg i około stu dwudziestu kilometrów drogi. Zanim dotarł do Smorgoń minęło kilka dobrych godzin.

Zadzwoiłem po radio taxi firmy 44444. Miałem jej karnet, który po dziesięciu przejazdach upoważniał do jedenastego lihotnego³³. Cena kursu w mieście była stała i wynosiła pięć tysięcy białoruskich rubli za kurs. Jeden dolar to wówczas było około dwa tysiące sto czterdzieści rubli. Podjechaliśmy pod blok, w którym mieszkała ciocia Władzia. Wyciągnąłem banknot o nominale pięćdziesięciu tysięcy rubli, ale okazało się, że młody taksówkarz nie miał wydać reszty. Machnął ręką i powiedział: „Zapłacisz przy okazji”.

16 marca, piątek

Imianiny Zianona, Izabely

Luty dżdży śnieżkom, a marzec kapiakom.

Nazajutrz rano za dobrą radą cioci Władzi zostawiłem bagaż u niej i wpierw pojechałem zarejestrować się na milicji w Iwiu.

Lidzki autobus jechał do Iwia przez Lipniszki. Po drodze największą wsią była Berdówka. Ze względu na prace drogowe trwające na głównej trasie objechaliśmy ją z drugiej strony, gdzie zauważyłem jakieś stare i z pewnością przedwojenne budynki.

Za polskich czasów w Berdówce działała Ludowa Szkoła Rolnicza należąca do Sejmiku Lidzkiego³⁴, która znajdowała się w dawnym pałacu Zachwatowiczów. Prowadzono w niej bezpłatne roczne kursy dla starszej młodzieży męskiej. Nauczano na nich rolnictwa, hodowli, sadownictwa i warzywnictwa oraz przedmiotów ogólnych. W Berdówce była też państwowa stacja ogierów.

Nasz autobus wyjechał na główną drogę i od razu po lewej stronie w gładkiej tafli jeziora na rzeczce Berdówce ujrzałem odbicie budynku kościoła Świętej Trójcy. Ta nie-

wielka wznoszona od paru lat świątynia zastąpi tymczasową drewnianą kaplicę.

Przejechaliśmy przez most na Żyźmie i po paru minutach, też po lewej stronie, ukazała się widoczna z daleka wysoka smukła wieża lipniskiego kościoła Świętego Kazimierza. Został wybudowany w stylu neogotyckim z cegły i obłożony z zewnątrz kamiennymi blokami. To go odróżnia od większości kościołów na Grodzieńszczyźnie postawionych w tym stylu z czerwonej cegły na przełomie XIX i XX wieków.

W Lipniskach w roku 1894 Józef Piłsudski w tajnej drukarni współtworzył gazetę „Robotnik”, organ prasowy Polskiej Partii Socjalistycznej. Wydano tutaj tylko sześć numerów pisma, gdyż po dekonspiracji drukarni musiano ją przenieść w inne miejsce. Wybór padł na majątek Nacza Czarnockich w powiecie słuckim. Ich syn Napoleon był lekarzem w Lipniskach i został wtajemniczony w działalność Piłsudskiego i jego towarzyszy. Z Lipnisk do Sobotnik jest zaledwie szesnaście kilometrów.

Wyjechaliśmy z miasteczka. Za chwilę był most na Gawii, wioska Gawia i stacja kolejowa Gawia. To z niej 10 lutego 1940 roku, kiedy od czterdziestostopniowego mrozu pękały drzewa a śnieg leżał równo z płotami, odjeżdżały z rejonu Iwie pierwsze pociągi z Polakami zesłanymi na Sybir i do Kazachstanu. Po kilku minutach dalszej jazdy znalazłem się w centrum powiatu.

Pierwszą spotkaną osobą po wyjściu z autobusu była Maryna Kiewra z sobotnickiej kolonii koło Dowgiałowszczyzny. Razem z nią chrzcilem Janę, córkę mojego kuzyna Witka. Maryna przyjechała do Iwia załatwić jakieś dokumenty. Kończyła w Mińsku studia z zakresu kulturoznawstwa i miała pracować w Domu Kultury w Juraciszkach.

Gmina Juraciszki sąsiaduje z naszą, a miasteczko jest oddalone piętnaście kilometrów od Sobotnik. Znajduje się w nim kościół Przemienienia Pańskiego i cerkiew Świętego Mikołaja Cudotwórcy.

Dość szybko przeszedłem procedurę rejestracyjną na mi-
licji i mogłem jechać z powrotem.

Do Lidy wracałem autobusem relacji Grodno-Smorgonie. Była to inna trasa i krótsza od tej, którą przyjechałem. Prowadziła wygodną szeroką jednopasmówką i też przecinała Gawię. Niedaleko mostu na Gawii leży wioska Biskupce. Urodziła się w niej współczesna białoruska poetka Danuta Biczal³⁵. W jej poezji jest wyraźny rys religijny, katolicki, a ja mam jej zbiorek wierszy „Na białych obłokach snów” kupiony kilka lat temu na Trokielance³⁶.

Parę kilometrów przed Lidą jak zwykle wypatrywałem mszaru zwanego też rojstem, który znajdował się po prawej stronie drogi na wysokości wioski Ogrodniki. Kiedy pisałem te słowa sięgnąłem do I tomu „Anody i Katody” Melchiora Wańkowicza³⁷, żeby przypomnieć sobie zdjęcia mojego znanego ziarniaka stojącego na kładce pośród jelniańskich³⁸ mszarów.

Przedemną na horyzoncie, z oparów unoszących się nad pasemkami wody, wyłoniły się wprawdzie rachityczne drzewka. Ten obraz szybko zbliżał się do drogi i po minucie, dwóch, obserwowałem ciekawy widok - rzadko porośnięty niewielki las drobnych drzew poprzecinany wodnymi kanałami. Miejscami widać było nieregularne wodne oczka z ubogimi brzoźkami, które nieśmiało spoglądały w moją stronę. Na brzegu tuż przy drodze stało kilka samochodów, a na wodzie unosiły się dwa pontony z nieruchomymi sylwetkami wędkarzy.

W Lidzie nie wysiadłem blisko osiedla, na którym mieszkała ciocia Władzia ale na dworcu autobusowym, ponieważ chciałem kupić w przedsprzedaży bilet na wieczorny kurs do Sobotnik.

Był piątek i jak zwykle więcej osób jechało do swoich rodzin na dwa dni wolne od pracy. Kasjerka słysząc nazwę Sobotniki zapytała mnie, czy mam sprawkę³⁹ na wjazd do strefy przygranicznej, w której znajdowało się moje miasteczko. Wyciągnąłem otrzymany w Iwii kawałek papieru,

pomachałem nim przed kasowym okienkiem i po chwili miałem bilet w ręku.

Na dworze zrobiło się szaro, kiedy stanąłem z cicią na przystanku autobusowym, na żądanie, niedaleko jej bloku mieszkalnego. To już były roгатki Lidy. Raz czy dwa zdarzyło mi się, że nie wsiadłem w tym miejscu do autobusu. Był tak przepełniony, że kierowca zignorował moje machanie ręką. Tym razem zatrzymał się. W ciemnym wnętrzu pojazdu paliły się tylko światelka w kabinie kierowcy. Ruszyliśmy.

W mroku wypatrywałem sylwetek pasażerów, a byli to głównie młodzi ludzie, którzy na zapiątek⁴⁰ jechali do rodzinnych domów, gdzie czekał na nich ktoś bardzo bliski i serdeczny.

Podróż autobusem z Lidy do Sobotnik umownie dzielę na dwie części. Lida-Lipniszki i Lipniszki-Sobotniki. Za Lidą w pierw są Nowosiółki, następnie Dubrownia, Ogrodniki, Nieciecz, Kosowszczyzna, Ścierkowo, Berdówka, Bakuny, Kirianowce, Wielkie Kniazikowce, Ściganie i Lipniszki. Za Lipniszkami już z pamięci odczytuję nazwy kolejnych wiosek, przez które przejeżdżam: Zygunciszki, Kamienczany, Centralna, Nackowicze, Czechowce, Borowiki. Za Borowikami są Sobotniki, a cztery kilometry dalej przystanek końcowy w Żemłosławiu. Z Żemłosławia do granicy z Litwą są trzy kilometry, a dalej przez Szajdziuny, Dziewieniszki i Soleczniki Małe dojedziemy do Wilna, do Pani Ostrobramskiej. Z Sobotnik to niecałe osiemdziesiąt kilometrów.

Żemłosław to był dawny duży majątek Umiastowskich, z którego zachowały się pałac w stylu neoklasycyzmu, dwie oficyny, funkcjonująca z przerwami gorzelnia oraz inne zabudowania gospodarcze. Umiastowscy byli kiedyś właścicielami Sobotnik, wielu okolicznych wsi, folwarków i dużych kompleksów leśnych. Zaliczali się do znamienitych rodzin w dawnym powiecie oszmiańskim.

Autobus zwolnił i zaczęliśmy jechać, a właściwie toczyliśmy się bardzo wolno. Czyżby nastąpiła jakaś drobna usterka, czy też kierowca pierwszy raz jechał tą trasą? Chy-

ba to drugie, bo na dworze zrobiło się ciemno, a droga nie była oświetlona. W Kamienczanach podeszły do niego dwie młode dziewczyny i chciały kupić bilety do Żemłosławia. Były zaskoczone, kiedy poprosił je o okazanie przepustek na wjazd do strefy przygranicznej rozpoczynającej się od Borowik. One ich nie miały. W Lidzie kupiły bilety tylko do Kamienczan, a dalej chciały postąpić tak, jak to robiło wiele osób - w autobusie przedłużyć podróż do strefy.

Z tym kierowcą im to się nie udało. Był nowy na trasie i bardzo służbowo podszedł do swoich obowiązków. I ja go rozumiałem, gdyż w razie kontroli pograniczników mogłby mieć nieprzyjemności. Biedne nastolatki musiały wysiąść w Kamienczanach. Do Żemłosławia było stamtąd dwanaście kilometrów i mieliśmy godzinę dwudziestą pierwszą. Czy dotarły one na miejsce? Tego się nie dowiedziałem.

Wjechaliśmy do Sobotnik i serce zaczęło mi żywiej bić, chociaż może nie tak mocno, jak przed laty. Tyle już odbyłem podróży do naszego miasteczka. Nie chciałem wysiąść na przystanku przy kościele, ale podjechać kawałek dalej pod ulicę Antakol, przy której mieszkała moja rodzina. Jednak wypatrywałem w ciemności, czy aby kuzyn Janek nie wyszedł mnie spotkać. Przyszedł! Zauważyłem też szwagierkę taty, ciocię Janinę z rowerem. Czyżby i ona po mnie wyszła? Okazuje się, że nie. Razem ze mną jechała jej córka Alicja i ciocia miała ją spotkać. Tak to przejechaliśmy z kuzynką czterdzieści trzy kilometry w ciemnym autobusie nie wiedząc, że jedziemy razem.

U Janka zasiedliśmy do późnej wiaczery⁴¹. Jego żona Irka usmażyła draniki, czyli placki ziemniaczane, najpopularniejszą potrawę na Białorusi. Mnie one najbardziej smakują z gęstą kwaśną śmietaną, ale też są dobre z masłem i różnego rodzaju farszami.

Gorące, złociste i chrupiące draniki zanurzałem w zimnej śmietanie. Do posiłku wypiliśmy z Jankiem po przysłowio-
wym „sto gram”⁴² i poszliśmy spać.

Nasze miasteczko Sobotniki

Nazwa „miasteczko” jeszcze funkcjonuje na zachodnich terenach Białorusi, które przed drugą wojną światową znajdowały się w granicach Polski. Ma ona w sobie ciepłą i czułą nutę płynącą od naszych przodków z minionych wieków i dziesięcioleci. W naszym sercu jest dla niej miejsce, a nasze usta wypowiadają ją z pieśczęcią niosącą zamyślenie, uspokojenie i tęsknotę.

Miasteczko w Wielkim Księstwie Litewskim, na którego historycznym terenie leżą Sobotniki, było harmonijnym i doskonałym typem osadnictwa usytuowanego między wsią a miastem. Pierwsze i nieliczne jeszcze miasteczka powstały w XIV wieku na bazie finansowej uzyskanej ze sprzedaży lasów. Było to głównie drewno masztowe z wysokich i smukłych sosen, które płynęło rzekami i Morzem Bałtyckim przeważnie do Anglii. Angielskie okręty floty królewskiej, która pokonała hiszpańską Wielką Armadę w 1588 roku, były zbudowane w znacznej mierze z drewna pozyskanego z lasów i puszczy Wielkiego Księstwa.

W piętnastym wieku administracja książęca zaczęła tworzyć specjalne targi zamiast tradycyjnych wiejskich kiermaszy. Można na nich było sprzedawać produkty rolne także za pieniądze, a nie jak dotychczas jedynie na drodze wymiany towarowej. Targi te powstawały także obok ważnych skrzyżowań dróg i przy większych przystaniach rzecznych. Przyciągały one do siebie nie tylko handlujących, ale również ludzi, którzy w tych miejscach chcieli osiedlić się na stałe. Tak została zapoczątkowana sieć nowego typu osadnictwa, osobliwych miejsc handlowo-wytwórczych, miejsc życia i pracy nazwanych z czasem miasteczkami.

Rozkwit miasteczek przypadł na okres od drugiej połowy XVI wieku do połowy XVIII wieku, kiedy to nastąpił wyraźny wzrost gospodarki rolnej w Wielkim Księstwie i każdy szlachcic, a nawet instytucja kościelna mogli być ich właścicielami. Po uwłaszczeniu chłopów i rozwoju kolejnictwa rola

miasteczek, jako przekaźników i łączników między miastem a wsią jeszcze bardziej wzrosła. Niektóre z nich położone nad brzegami spławnych rzek stawały się centrami handlu międzyregionalnego, jak na przykład Mikołajów nad Niemnem w obecnym rejonie Iwie. Do niego drogami lądowymi i rzecznyymi docierały produkty rolne z miasteczek wytypowanych na punkty zbiorcze, a następnie płynęły Niemnem do Bałtyku.

Miasteczka na linii wieś-miasto-wieś przenosiły wartości kultury, różnorodną produkcję towarową i nowości z wielkiego świata dodając do tego swój własny niepowtarzalny ryt. Stawały się one także skarbnicami narodowej wytwórczości specjalizując się w określonej produkcji przedmiotów użytkowych, czy też w wykonywaniu konkretnych usług również na potrzeby swoich mieszkańców i najbliższej okolicy - gminy i parafii. Przykładem jest sąsiadująca z Sołotnikami gmina i miasteczko Traby. W dawnym powiecie oszmiańskim Traby były centrum produkcji sukna i wyrobów z miedzi. W niektórych miasteczkach podobnie jak w większych majątkach funkcjonowały gorzelnie i browary, pracowały tartaki, powszechne były młyny wodne.

Miasteczka spełniały także istotną rolę centrów kulturalno-oświatowych. Zakładano w nich początkowe szkoły wiejskie i parafialne obejmujące swym zasięgiem również pobliskie wioski. Niektóre miasteczka były wielonarodowościowe, a dzięki temu wielokulturowe, co je ubogacało i dodawało im ciekawego kolorytu. W Iwiu jeszcze przed drugą wojną światową razem mieszkali Żydzi, Polacy i Tatarzy.

Co do swojej publicznie ważnej roli miasteczka mało ustępowały miastom. Dlatego też na sejmie warszawskim 1563/1564 niektóre z nich na równi z miastami otrzymały możliwość nabywania praw magdeburskich⁴³. Dawało im to szansę wyzwolenia się spod władzy możnych panów. Takie też prawo w roku 1792 otrzymały Lipniszki.

Najbardziej charakterystyczną cechą różniącą miasteczko od osadnictwa innego typu była różnorodność prac wyko-

nywanych przez jego mieszkańców. Zajmowali się oni handlem, rzemiosłem, drobną wytwórczością w manufakturach i wiejską gospodarką: rolnictwem, ogrodnictwem i hodowlą. Ta wielokierunkowość w działaniu odgrywała istotną rolę w rozwoju miasteczek i zależała od składu narodowościowego ich mieszkańców. Mam tutaj na myśli głównie Żydów, którzy nie pracowali na ziemi. Tam, gdzie oni byli dominującą grupą społeczną, tam przeważał handel, rzemiosło i drobna wytwórczość. Jednak dla mieszkańców większości miasteczek głównym źródłem utrzymania było rolnictwo.

Inną ważną cechą wyróżniającą miasteczko od zwykłej osady wiejskiej była duża w nim liczba karczm w stosunku do ilości mieszkańców. W niektórych miasteczkach było ich nawet około dwudziestu. Jednak nie świadczyło to o ilości zajazdów karczemnych, gdyż w jednym budynku mogły znajdować się nawet trzy karczmy: piwna, gorzałczana oraz miodowa. Za prawo sprzedaży tych trunków należało płacić kapszczyznę za każdy z nich, czyli określony w umowie czynsz.

Miasteczko charakteryzowało się też specyficznym układem urbanistycznym. W jego centrum był plac kiermaszowy, następnie targowy, na którym sprzedawano wiejskie towary codziennego użytku. W pobliżu placu stał kościół lub cerkiew i budynek miejscowej władzy. W centrum znajdowały się też domy należące do bogatszych handlarzy i osób duchownych. Trochę dalej mieszkali i pracowali rzemieślnicy, a nas skraju miasteczka żyli bogaci chłopci. Główna droga przechodząca przez miasteczko była szersza od innych i nieraz wybrukowana polnymi kamieniami. Przy wjeździe na podróźnych oczekiwały zajazd i karczma. Na skrzyżowaniu dróg stał duży krzyż lub kapliczka.

Białoruś, a szczególnie jej zachodnia część była krainą miasteczek, ale ów model zabudowy nie był rodzimego chowu. Przyszedł na te ziemie z centralnej i zachodniej Europy.

W Rosji nie znano tego typu lokalizacji osadnictwa i był on obcy jej kulturze. W czasie zaboru rosyjskiego ilość mia-

steczek na terenie Wielkiego Księstwa Litewskiego zmniejszała się z czterystu osiemnastu w 1863 roku, do trzystu dwudziestu dwóch na początku XX wieku. Rząd carski planował część mniejszych miasteczek przemianować na wioski, a z większych uczynić miasta. Rozpoczął modernizację architektoniczną miast Rosji, polegającą na kwartalnym systemie zabudowy wzorowanej na stylu empire⁴⁴. Wprowadził ją także na ziemiach Wielkiego Księstwa, ale z powodu braku środków finansowych jej nie dokończył i przekształcenia ominęły opisywaną tutaj ziemię iwiejską. Największe miasteczka, które oparły się wpływowi carskiej administracji stawały się centrami gmin i parafii.

Tuż po rewolucji bolszewickiej na ziemiach białoruskich znajdujących się w Związku Sowieckim było oficjalnie sto siedemdziesiąt sześć miasteczek. Jednak naprawdę powinno ich być około trzystu. Liczba ta gwałtownie spadała, gdyż większe miasteczka klasyfikowano do miast, a mniejsze do wiosek. Po 1925 roku nastąpił niewielki ich wzrost z czterdziestu trzech do sześćdziesięciu ośmiu w 1930 roku. Osiem lat później nazwa „miasteczko” i wszystko, co się z nią łączyło nie znalazły już miejsca w administracji terytorialnej BSSR⁴⁵. Zastąpiły je osiedla miejskie i robotnicze, a część miasteczek została wioskami. Swoją historyczny charakter zachowały jedynie na ziemiach należących przed 17 września 1939 roku do Polski.

Chociaż od początków powstania miasteczek minęło kilka wieków, nastąpiło wiele zmian geopolitycznych, a w ubiegłym stuleciu były dwie straszne wojny, to nadal niektóre zamieszkałe miejsca na zachodzie Białorusi przyjemnie nazywa się miasteczkami. Ich odpowiednikami na wschodzie kraju są po prostu wioski.

17 marca, sobota

Imianiny Hierasima, Wiaczasława, Hertrudy

Na Hierasima krukowego przylatują kruki. Kiedy od razu siadają do gniazda, to wiosna będzie przyjazna.

Zachmurzone poranne niebo rozpląkało się drobnym deszczem. Po śniadaniu poszedłem do kościoła na mszę świętą z godziny dziewiątej. Wiedziałem, że proboszcz Franciszek Gałdyś jest na rekolekcjach w Polsce i zastępuje go ojciec Władysław Lisek. Był on trochę takim kołem ratunkowym wśród chrystusowców na Białorusi. Nie mając wówczas stałego przydziału pomagał współbraciom, którzy na Białorusi objęli pięć parafii: Sobotnik i sąsiednie Gieraniony na Grodzieńszczyźnie, oraz Hancewicze, Iszkołdź oraz Niedźwiedzicę w obwodzie brzeskim.

Ojciec Władysław w swojej pracy duszpasterskiej przebywał wśród Polaków mieszkających w Australii, Nowej Zelandii i na Tasmanii. W Nowej Zelandii spotkał rodaków mających takie samo nazwisko jak moje. W Australii odprawił jubileuszową mszę świętą z okazji dziewięćdziesiątych urodzin byłego mieszkańca wioski Mażule naszej parafii, w której nadal mieszkała jego rodzona siostra.

W kościele było niewiele osób, głównie starsze kobiety. Jedna pani, przy której siedzieli młoda dziewczyna i chłopak wydała mi się znajoma. Po mszy poszedłem do zakrystii i akurat ta kobieta rozmawiała z ojcem Władysławem w sprawie odprawienia w niedzielę mszy pogrzebowej za zmarłego.

- A kto zmarł? - zapytałem go. - Jan Nowicki z Szarkuc
- odpowiedział kapłan.

I już wiedziałem, że zamówić mszę chciała wdowa po zmarłym, Janina Nowicka z domu Siankowska. Janek pochodził z Dowgiałowszczyzny i poszedł w prymy do wioski Szarkucie, czyli był prymakiem⁴⁶. Razem z Janką Nowicką

były jej wnuki Grażyna i Paweł mieszkające z rodzicami w Wilnie. Drugi z synów Nowickich mieszkał w Mińsku.

Powstał problem z odprawieniem mszy pogrzebowej w tę niedzielę. Ojciec Władysław miał cztery msze w parafii i był sam. Zaproponował poniedziałek. Pani Janka powiedziała, że bardzo chcieliby w niedzielę. Przyjechała rodzina mieszkająca w Mińsku i na Litwie, i oni nie bardzo mogli czekać do poniedziałku.

Co można było zrobić w takiej sytuacji? Odszedł człowiek, który bardzo przyczynił się do obrony naszego kościoła przed zamknięciem po śmierci w 1962 roku przedwojennego jeszcze proboszcza księdza Pawła Bagińskiego. Jan Nowicki, wieloletni organista w naszej świątyni, zasłużył sobie na to, żeby po swoim odejściu mieć pewne względy. Janek był kolegą mojej mamy z młodych lat. Wraz z Albinem Kursewiczem z wioski Ślesary sobotnickiej gminy prowadzili ją pod ręce przez miasteczko w weselnym korowodzie do ślubu kościelnego. Janek w zastępstwie księdza Bagińskiego wypisał dla moich rodziców zaświadczenie z mojego chrztu w sobotnickim kościele.

Zadzwoiłem do sąsiedniej parafii w Lipniskach. Proboszczem w niej był ojciec Krzysztof Groszyk, kapucyn⁴⁷ z Polski. W latach 1990-1996 przewodził sobotnickiej parafii i dobrze znał Janka Nowickiego. Na szczęście Krzysztof miał trochę wolnego czasu w niedzielne popołudnie i zgodził się odprawić nabożeństwo żałobne za duszę zmarłego.

Wciąż siąpił deszcz, kiedy wyszedłem z Sobotnik na Łyntupską Droę. Była możliwa do przejścia, ale w miejscu, w którym zwykle skręcałem z niej w kierunku domu dziadka Jana, została mocno rozjeżdżona przez traktory. I gdyby nie specjalne gumowe kalosze nakładane na buty, to później mógłbym moje obuwie po prostu wyrzucić do pieca.

Szedłem dróżką przez las, który wyrósł na dziadkowym polu. Jego dawny widok zapamiętałem z dziecięcych lat. Był wtedy młody, niski i rzadki, i pełen dorodnych grzybów. Nie zasłaniał słomianego dachu chaty widocznej trochę na

wprost z Łyntupskiej Drogi. Później jedynym widocznym znakiem, że w tym miejscu znajduje się siedziba Kononowiczów były korony dwóch potężnych brzoź rosnących obok gumna⁴⁸.

W ciągu minionych lat wysoko i gęsto wyrosły smukłe drzewa, a wiatr kołysząc ich wierzchołkami zamykał niebo nade mną. Nie było śladu po drzewach powalonych przez trąbę powietrzną dwa lata temu. Zbliżniały się nowymi sadzonkami jasne polany. Rosły na nich niewielkie brzoźki i ledwo widoczne sosenki, które nieśmiało wystawiały ku słońcu swoje igiełki. Jednak kawałek dalej na dróżce oraz w jej pobliżu zauważyłem kilkanaście leżących i połamanych drzew, których w ubiegłym roku nie było. Okazało się, że trąba powietrzna na moment powróciła, jakby zapomniała o czymś za pierwszym razem. Potrząsnęła silnie lasem, zawirowała nad dziadkowym domem i odleciała.

Jak zwykle bardzo ciepło przywitałem się z cicią Zosią i wujkiem Władkiem. Już wiedzieli, że zmarł Janek Nowicki. W bliskiej Dowgiałowszczyźnie mieszkał starszy o trzy lata jego brat Józef, z którym wujek razem trzymali konia. Miesiąc temu śmierć zabrała mieszkańca kolonii Franka Bohuszewicza. Wracał z wioski do bliskiego domu przez kładkę na Łyntupce. Poślizgnął się, wpadł do płytkiej wody i zwyczajnie się utopił. Ale to była jego wina.

Wieś na Grodzieńszczyźnie wymiera, odchodzi do miasta i jest to trwały i smutny proces. Już tylko na mapach pozostały niektóre chutory, kolonie i małe wioski. Jaka szkoda i żal. A wydawało się, że będzie inaczej. Kiedy? Przed wojną.

Dowgiałowszczyzna to rodzinna wioska Józefa Rusakiewicza, mieszkańca podwileńskiej Mejszaży. Leży ona trochę na uboczu naszej gminy w otaczającym ją zacinzu pól i lasów. Stąd do Sobotnik są około dwa kilometry. Bezpośrednio do wioski, oddzielona tylko rzeczką Łyntupką, sięga sobotnicka kolonia od południowo-zachodniej strony miasteczka.

Józef Rusakiewicz, Józik syn Emiliana, zwany też czasami Emiliańczyk, był emerytowanym nauczycielem geografii. Od studenckich lat pasjonował się turystyką, odkrywaniem i dokumentowaniem historii ziemi rodzinnej i Wileńszczyzny. Przeplłynął na tratwach i kajakami Niemen, Wilię, Berezynę i Mereczankę. Przeszedł puszcę Nalibocką i Rudnicką. Był nad Bajkałem i wśród Polaków na Syberii. Józik z wypraw po historycznej Wileńszczyźnie zebrał olbrzymi materiał dokumentujący obecnie już nie istniejące lub zniszczone zabytki. W swych podróżach spotkał wielu ciekawych ludzi. Ma w rękopisie przygotowany przewodnik pod roboczym tytułem „12 tras z Wilna w głąb Białorusi i Litwy”. Mogłaby to być rewelacja pod względem wydawniczym, jeżeli chodzi o kresową tematykę turystyczną. Jednak Józik nie znalazł dotąd sponsora do swojej pracy, a i ja z własnego doświadczenia wiem, jakie to jest trudne.

Józik dobrze fotografował, rzeźbił i rysował, a te zdolności osiągnął dzięki genom odziedziczonym po ojcu. Emilian Rusakiewicz był dobrym introligatorem. Przed wojną oprawiał książki w pałacowej bibliotece w Żemłosławiu, w majątkach Kwiatkowce, Łyntupka oraz innych. Dzięki temu jego syn od dziecka siedział zanurzony w książkach po same uszy. Józik kilka razy do roku przyjeżdżał do swojej wioski, która bardzo ciepło zachowała się w jego wspomnieniach z młodych lat.

W czasie wojny Niemcy prawie do Dowgiałowszczyzny nie zaglądali. Może dzięki temu miejscowe powiązania ludzi z Armią Krajową były tak silne. Za Sowietów takie działania jak wywózki na Sybir, przygotowania do organizowania kołchozów, oddawanie państwu wysokich norm narzuconych na produkty spożywcze takie jak zboże, mleko, mięso, a nawet jajka - to przechodziły całe Kresy Wschodnie. Ludzie żeby przeżyć, jak tylko mogli omijali te nakazy. Było wówczas nie mało tak zwanych stukaczy, czyli donosicieli. W Dowgiałowszczyźnie wszystkich ich z całej gminy znano i zagrożono im, że jeżeli chociaż jedna osoba z wioski zosta-

nie tknięta przez bolszewików, to wszyscy stukacze zostaną odprawieni w mahilowszczyznę⁴⁹. I stukacze dobrze wiedzieli, co to oznacza i że naprawdę tak się stanie.

Po wojnie często w okolicy pojawiali się obcy ludzie, wygłodnieli i oberwani, którzy szukali jakiegokolwiek przytułku. Pewnego razu do Dowgiałowszczyzny zawitał niewysoki, krępy i żwawy młodzieniec. Nazywał się Edward Ropucho. Chodził od domu do domu, zapukał także do chaty Józka Rusakiewicza. Matka Józika, Józefa z domu Niechwiadowicz, poradziła mu iść na kolonię za rzeczkę Łyntupkę, do Justyna i Kazimierzy Tuczkowskich. Mieli oni syna Albina, który po 17 września 1939 roku trafił do sowieckiej niewoli i został zabrany do obozu w Ostaszkowie⁵¹ nad jeziorem Seliger.

Albin cudem został stamtąd wypuszczony i półżywy wrócił do rodzinnego domu, gdzie powoli przychodził do zdrowia. Następnie ożenił się i przeprowadził do Wasilewicz, wioski nad rzeczką Jakuńką w naszej gminie, z której pochodziła jego matka. W domu na sporej gospodarce zostali starzy rodzice i siostra Wiktoria. Potrzebne im były dodatkowe ręce do pracy, więc przyjęli Edka, a on z czasem jak przybrany syn został członkiem ich rodziny.

Od tamtej chwili w gospodarstwie Tuczkowskich najwięcej pracy spadło na jego plecy. Edek robił właściwie wszystko. Orał i to dobrze, kosił, pomagał nawet Józikowi młócić żyto i piłować drewno. Chodził do kościoła i na tańce. Pościł, kiedy było trzeba. Jeździł nawet na rynek sprzedawać plony i kupować to, co było potrzebne do pracy na roli. Edek był niesamowicie silny.

Pewnego razu Józik z kolegą zarzucili mu na plecy ogromny wór wymłóconego zboża. Edek przeszedł z nim pięćdziesiąt metrów i bez żadnej pomocy wszedł po drabinie na strych chaty. Bardzo szybko stał się prawdziwym obywatelem Dowgiałowszczyzny i jak to w naszych stronach było i jest w zwyczaju otrzymał przydomek. Został nazwany Cito od powiedzenia, które często używał: „Ci to”.

W latach pięćdziesiątych nawet tak małe wioski jak Dowgiałowszczyzna były gwarne i pełne życia. Jak wspominał dalej Józik żyło się wówczas całkiem nieźle. Każda rodzina miała po dwie dojne krowy, cielaka, trzymała po sześć-osiem owiec, kilkanaście kur. Kto mieszkał bliżej rzeczki Łyntupki, ten hodował gęsi. Wioskowe krowy razem z cielętami pasło od dwóch do trzech pastuchów. Mieszkańcy kłuli po dwa dwustukilogramowe kabany w roku. Taką świnię sześciu chłopów z ledwością wносиło do chaty, a słonina z niej była gruba, jak przedwojenna walizka. Świnie do stu kilogramów uważano za żebrackie prosiaki i takich nie bito. Józik osobiście zrobił sporo domowych kiełbas i każdego roku po dwa-trzy kindziuki⁵¹ duże jak piłka. Jego rodzina miała w sadzie kilka pszczelich uli, a sąsiad i krewniak Franciszek Rusakiewicz trzymał ich sześćdziesiąt, z czego połowa to były tak zwane kłody⁵².

Jesienią nadmiar produktów zawożono na rynek do sąsiedniej gminy w Trabach. Był to bardzo duży rynek, większy niż w Lipniskach i nawet w Iwui. Rozpoczynał się w niedzielę wcześniej rano, kiedy było jeszcze ciemno, i trwał do późna w nocy. Sprzedać i kupić na nim można było wszystko. Po dziś dzień ludzie oprócz targu w Wilnie pamiętają huczne i wesołe rynki w Trabach.

Wujek Józka, Antoni Niechwiadowicz z Wasilewicz, pędził najlepszy samogon w sobotnickiej gminie. Miał duży sad, w którym rosło kilkanaście jabłoni. Pod każdą z nich miał zakopane butelki ludowej czystej wódki.

- To z której jabłoni skosztujemy? - zapytał raz dorosłego już Józika, który przyjechał do niego w odwiedziny. - Z tej - ten odpowiedział pokazując na drzewo.

Wujek przyniósł stół, dwa zedliki i łopatę. Po chwili kopania wydostał z ziemi butelkę całą w piasku. Pod jej dnem na przyklejonej kartce widniała data napisana ołówkiem - 1953. Następnie zwrócił się do swojego siostrzeńca tymi słowami:

- W tym roku byłeś Józiku chrzestnym mojej córki Zosi. Dobrze wyszła za mąż i ma dwóch synów. Wódkę mamy cudowną, a zakąska chociaż nie taka jak w Wilnie, też się znajdzie. O tutaj proszę kumpiak⁵³, słonina taka gruba, że nożem nie przekroisz i swojska kiełbasa, co prawda trochę wysechszы. Przyniosę kindziuka, miodu i szklaneczki, a ogórki są tu na miejscu w ogrodzie.

Bardzo popularny w tamtych czasach był wioskowy humor, który często powstawał z prawdziwych sytuacji mających miejsce w codziennym życiu. Niedaleko domu dziadka Jana mieszkał osadnik wojskowy Józef Dobrzyński z żoną Józefą zwaną Dabrynszczycha. Józef został zmobilizowany do wojska tuż przed wybuchem wojny w 1939 roku. Wyprawiając męża na front żona klękawszy przed świętym obrazem ze łzami w oczach nakazywała mu:

- Ty tam Juzuk hladzi i nia leż, aby kudy. I nia budź tam waronaj. Dobra pryhladajsia i kali kula budzie lacieć to zbaczysia.

W swoim cywilnym życiu Józef najdalej od domu był tylko w Oszmianie, do Turgiel nawet nie dojechawszy. W czasie wojny przeszedł od Dowgiałowszczyzny przez pół Europy. Powrócił z medalami bez żadnej rany, a nawet zadraśnięcia. Józef był bardzo dobrym śpiewakiem i do końca swojego życia prowadził rytuał pogrzebowy w wiosce.

Często zapraszano go i jego przyjaciół na śpiew do Gieranion, Iwia, Lidy, a nawet na Litwę. Dobrze też śpiewali Emilian Rusakiewicz i Julian Dubicki. Należeli do chóru kościelnego w Sobotnikach, a także regularnie prowadzili śpiewy i modlitwy z mieszkańcami Dowgiałowszczyzny.

Po takich spotkaniach omawiano i dyskutowano nad ważnymi wydarzeniami, które miały miejsce w naszej gminie, w rejonie, Trabach, Lidzie, Oszmianie, Nowogródku, a nawet w Wilnie.

Muzykalność Dowgiałowszczyzny wzmacniali kościelni organiści, Andrzej Stankiewicz i Jan Nowicki.

Janek grał w naszym kościele w latach pięćdziesiątych, do śmierci księdza Bagińskiego w 1962 roku. Andrzej, który miał wykształcenie muzyczne, grał przed wojną na organach w Wilnie, Nowej Wilejce i Mickunach. W Mickunach uczył też muzyki w miejscowej szkole.

Co jakiś czas młodzież po pracy zbierała się w domach na wieczorynki. Dziewczyny robiły na drutach, szyły, haftowały, a przez całą zimę razem z kobietami tkwały na krosnach. Przy tych babskich zajęciach często śpiewały. Chłopcy siedzieli przy dziewczynach i albo grali w karty (wóz, tysiąc, kozioł), lub opowiadali różne historie, legendy, wspominali wojnę. Trwało to nawet do godziny drugiej w nocy. Edek Ropucho zawsze opowiadał o tym, jak trafił na Syberię.

Kiedy armia sowiecka weszła na nasze wschodnie tereny 17 września 1939 roku, to natychmiast spośród sprzyjających im osób wyznaczono różnych kierowników, milicjantów, agentów i skaperowano donosicieli. Tak też było w białostockiej Sokółce, rodzinnym mieście Edka.

Pewnego razu w miejscowym klubie zebrali się mężczyźni i zrobili alkoholową libację. Jak to często w takich wypadkach bywa doszło do kłótni, która przerodziła się w bijatykę.

Edek został zaatakowany przez kilka osób i troje z nich odesłał do szpitala. Napastnikom wstyd było się przyznać, że takie z wyglądu chuchro dało radę tylu chłopom, dlatego wymyślili perfidną intrygę. Na wiszącym w klubie portrecie Stalina wykłuli oczy i pokroili nożami inne wizerunki sowieckich przywódców.

Po tym jak to wyszło na jaw zgodnie powiedzieli przed sądem, że sprawcą zdarzenia był Edek, który cały czas źle wypowiadał się o sowieckiej władzy i zaprowadzonym przez nią nowym porządku. To wystarczyło, żeby znaleźć się za Bajkałem. Edek spędził tam kilka lat.

Pewnego dnia na stadionie sportowym w miejscowości, w której przebywał, odbywały się zawody sportowe. Zapro-

ponowano ochotnikom spośród widzów wzięcie udziału w amatorskim podnoszeniu ciężarów.

Zgłosiło się kilku wyglądających na silnych mężczyzn i niepozorny Edek. Jego postać wywołała śmiech i kpiny wśród widzów. Był niewielkiego wzrostu i miał nieciekawe nazwisko Ropucho.

I oto nagle stał się swoisty cud. Ten najmniejszy zawodnik z obcego dalekiego kraju, pokonał wszystkich miejscowych siłaczy i stanął na najwyższym podium. Jak wspominał Edek była to najpiękniejsza chwila w jego życiu.

Niektóre wieczorynki miały w swoim programie zabawy taneczne z udziałem muzykantów w liczbie dwóch-trzech osób. Czasami przyjeżdżał z Litwy zespół „Katy”, który przygrywał o wiele lepiej niż miejscowi grajkowie. Bardzo popularne były takie tańce jak oberek, lawonicha, czy kadryl, do którego potrzeba było więcej par. Jeżeli zabawa trwała do samego rana, to dla odpoczynku i żeby się trochę posilić siadano za wcześniej przygotowanymi stołami dwa lub trzy razy. Alkohol pito symbolicznie i był to najwyżej jeden lub dwa kieliszki wódki. Nie było mody na większą ilość, a już picie gdzieś z boku za węgłem było wielkim wstydem. W pierwszym okresie po wojnie nie było też żadnych bójek na wieczorynkach. Pojawiły się one później, ale w Dowgiałowszczyźnie jeden Edek Ropucho potrafił ugasić gorące głowy i to bez żadnej fizycznej przemocy.

Dla wielu gości, głównie studentów, którzy przyjeżdżali tu latem na odpoczynek, Dowgiałowszczyzna wydawała się rajem. Blisko płynęła czysta rzeka Gawia, a nad nią w Sobotnikach było sanatorium wśród sosnowych drzew. W Żemłosławiu stał pałac z parkiem, w którym śpiewały słowiki. W bliskich lasach w zasięgu ręki rosło pełno jagód, malin, brusznicy i grzybów. Liczne łąki bogate były w różnorodne trawy, kwiaty i zioła, które dodawały im romantycznego uroku. Źródła krynicznej wody zasilają rzeczki wpadające do Gawii. Wszędzie było czyste zdrowe powietrze przesiąknięte czymś,

co powodowało, że rano wstawało się zawsze wypoczętym i z pełną energią do dalszego działania.

18 marca, niedziela

Imianiny Konana, Fiodara, Irajdy, Eduarda

Jak w marcu tuman, tak w żniwa deszcz-pan.

Po śniadaniu udałem się pieszo z kolonii do Sobotnik. Szedłem drogą inną niż zwykle. Wpierw pozarastaną trawą ścieżką obok niezamieszkałego już od kilkunastu lat domu Grażyńskich, która dalej biegła skrajem niewielkiego lasu.

Za Grażyńskimi stał od dawna pusty, bez okien i drzwi dom Tuczkowskich, w którym znalazł miejsce Edek Ropucho. Jeszcze kawałek i ścieżka spotyka się z Dowgiałowską Drogą łączącą Dowgiałowszczyznę z Sobotnikami. Po prawej stronie na wyciągnięcie ręki leżała wioska, a przed nią mostek na Łyntupce. Szedłem wzdłuż kolonii dalej tą drogą, która lekko prowadziła pod górę. Minąłem gospodarstwa Kwiatkowskich i Bohuszewiczów, pozostałości po niewielkim i gęstym kilkudziesięcioletnim brzeźniaku prawie całkowicie połamanym przez trąbę powietrzną i po chwili wyszedłem na otwartą przestrzeń.

W oddali ujrzałem nasze miasteczko z niewielką jeszcze sylwetką kościoła, z wieżą ciśnień i połączonymi w prawie jedną plamę chatami. Po prawej stronie leżały lekko pofalowane i zieleniejące się już pola zamknięte na horyzoncie lasem Ściana. Pośrodku nich rozciągała się dolina Łyntypki. Bezlistna jeszcze wstążka drzew ukazywała bieg tej niewielkiej rzeczki zamieszkałej przez bobry.

Z przyjemnością wdychałem rześkie i trochę wilgotne poranne marcowe powietrze. Szedłem wciąż Dowgiałowską Drogą, która łagodnym łukiem skręcała do Sobotnik. Nagle do moich uszu doszedł nieznany mi ptasi głos. Spojrzałem w lewą stronę na zaorane pole. Znów usłyszałem to nawoływanie i po chwili w oddali zobaczyłem dwa duże nieznane

mi ptaki. Z początku myślałem, że to bociany, ale dzioby ptaków wyglądały na krótsze, ich głos nie był znanym mi klekotem i chyba dla boćków była to jeszcze za wczesna pora na wiosenne powroty. Pomyślałem sobie, że to z pewnością są żurawie, które wydają z siebie charakterystyczny klęgor, a samce uczestniczą w rytualnym tańcu godowym na ziemi. Mocno podekscytowany tym spotkaniem energicznie ruszyłem dalej często oglądając się za siebie, aż sylwetki żurawi stopiły się z otoczeniem.

Niedzielną mszę świętą w naszym kościele. Pod jej koniec pojawiło się kilka obcych osób, które robiły zdjęcia wnętrza świątyni. Wziąłem torbę z książkami i wyszedłem na zewnątrz mijając w babinie grupkę nieznanymi mi ludzi w wieku średnim i młodszych. Przed kościołem było ich więcej, a za bramą stał autobus z mińską rejestracją. Rozłożyłem niewielki stolik i wyjąłem moje prace. Wśród turystów było pewne nimi zainteresowanie. Sprzedałem kilka książek w tym „Moje Sobotniki”, których drugie wydanie miało tylko polską wersję. Jeden z egzemplarzy kupiła młoda dziewczyna, a na stwierdzenie koleżanki, że przecież nie zna tego języka odpowiedziała:

- Język polski to po języku białoruskim najważniejszy język w naszym kraju.

Bardzo mi było przyjemnie to usłyszeć i wewnętrznie poczułem, że moje książki są tutaj jeszcze bardziej potrzebne.

Niektórzy z turystów mieli wpięte w ubrania odznaki Białoruskiego Narodowego Frontu (BNF)⁵⁴. Partię tę, która była w opozycji do obecnej władzy i kilka lat temu przeszła pewien podział, zakładał Zenon Poźniak⁵⁵, nasz ziamliak z Sobotnik. Widać było, że niektórzy z mieszkańców miasteczka z pewną niechęcią spoglądali na mińszczan ze znaczkami BNFu. Negatywna propaganda w mediach kontrolowanych przez państwo odniosła skutek.

Wielu ludziom nie chce się zrobić nawet minimalnego wysiłku, jak posłuchania czasem innej stacji radiowej niż państwowej. Zastanowić się, porównać z własnym trzeźwym

osądem czy to, co przekazują rządowe media jest prawdą czy fałszem? Jedni twierdzą, że nie mają na to czasu. Drudzy, że po co to, co im to da? Ani ja, ani my wszyscy niczego nie zmienimy. Jeszcze inni uważają, że się polityką nie interesują. Jest dobrze jak jest, a w porównaniu z niektórymi sąsiednimi krajami na Białorusi żyje się lepiej. No i są także tacy, którzy bez żadnego filtrowania przyjmują wszystko to, co się im przekazuje.

Umówiłem się z ojcem Władysławem i razem pojechaliśmy na mszę świętą na godzinę trzynastą do Żemłosławia. Ja właściwie poszedłem do biblioteki, która znajdowała się w pałacu i gdzie były moje książki. Stałem przed dawną rezydencją Umiastowskich i nie wierzyłem własnym oczom. Czułem się jakbym był tutaj bardzo dawno temu, a przecież ostatnimi laty często odwiedzałem ten dawny majątek. To niemożliwe, żeby w ciągu kilku miesięcy nastąpiła tak zatrażająca zmiana w stanie budynków! Odpadający tynk, powybijane szyby w oknach, drzwi trzymające się na pojedynczych zawiasach w oficynach i którymi obracał wiatr, ziemniaki zsypane do pałacowych piwnic.

Miejscowa poczta już się z pałacu wyniosła, kantorę⁵⁶ kołchozu „Żemłosław” przeniesiono do Sobotnik. Będzie teraz jeden wspólny kołchoz „Sobotniki”, a właściwie nie kołchoz, tylko SPK „Sobotniki” (Spółdzielnia Rolno-Produkcyjna).

Jest to jednak tylko kosmetyczna zmiana nazwy podmiotu gospodarczego - kołchozu, który dominuje na białoruskiej wsi od lat pięćdziesiątych. Mieszkańcy miasteczka od razu i na swój sposób rozszyfrowali skrót SPK: Skoro Piżdziec Kałchozam. Podobnie jak wcześniej skrót istniejącego jeszcze niedawno tworu państwowego CCCP⁵⁷ (czytaj SSSR, dekoduj na: Swoj Sachar Swaja Rabota, czyli samogon). W pałacu pozostała jeszcze biblioteka, ale i ona wkrótce zostanie przeniesiona do miejscowej szkoły średniej. Do smutnego i beznadziejnego obrazu całości dostroiła się marcowa deszczowa pogoda.

Przyjechali do Żemłosławia także turyści z Mińska. Rozbiegli się po przypałacowym terenie. Robili sobie zdjęcia na tle tych prawie ruin nie wiedząc, jak majątek wyglądał dawniej, chociażby przed wojną. Jak w swojej historii się rozwijał prowadzony przez Umiastowskich gospodarną ręką. Jakie należały do niego wspaniałe lasy klewickie jakością nie ustępujące lasom fińskim. Przed wojną w nowoczesnym tartaku parowym w folwarku Giełoże koło Dziewieniszek, należącym do Żemłosławia, produkowano z klewickiego drewna deski na eksport do Anglii. To w Żemłosławiu powstał pierwszy w przedwojennej Polsce rezerwat z hodowlą bobrów⁵⁸, zwierząt, które nie były wówczas tak powszechne w przyrodzie jak obecnie. Były też w dziejach Żemłosławia lata trudne, ale zawsze jego właścicielom udawało się je przezwyciężać i powracać na drogę postępu i nowoczesności.

Tak było do dnia 17 września 1939 roku, kiedy to przyszli nowi „panowie” ze wschodu. Przynieśli stworzoną przez siebie kulturę, która niby miała budować, a niszczyła i na koniec ich samych unicestwiła. W rezultacie obecności i działań tych „panów” dorobek kilku pokoleń Umiastowskich został bezpowrotnie stracony.

O godzinie czternastej w sobotnickim kościele miała się rozpocząć msza pogrzebowa za Janka Nowickiego. Szybkim krokiem oddaliłem się od pałacu w kierunku wioski Szarkucie graniczącej z Żemłosławiem. Chciałem zdążyć na kondukt pogrzebowy, który miał odwieźć zmarłego do kościoła. Niestety, spóźniłem się dosłownie o minutę, bo ujrzałem jedynie tyły odjeżdżających samochodów. Trudno, ale z Szarkuc do miasteczka było niedaleko. Szedłem piaszczystą drogą przez iglasty las, który pachniał wilgocią od padającego deszczu. Coś jeszcze wyczuwałem w tym zapachu. Coś, co powodowało, że oddychało się lekko i z przyjemnością. Może to były olejki eteryczne wydzielane przez miejscowe sosny?

Leśnej drodze towarzyszyły kręte ścieżki wydeptane ludzkimi stopami, wyjeżdżone rowerowymi kołami. Blisko, po lewej stronie tuż za lasem płynęła Gawia. Zbliżałem się

do wsi Rybaki. Na jej skraju po prawej stronie minąłem pustą chatę z oczami okien i ustami drzwi zabitymi deskami. Te drzwi już dawno przestały zapraszać wędrowców w gościnne progi. Obok stały resztki gumna i rozwalony chlew. Budynki kilku gospodarstw, które zostały w Rybakach były dobrze utrzymane. Przeszedłem pod tunelem utworzonym ze splecionych gałęzi przydrożnych drzew. Przed wojną był on o wiele większy, a na zabudowę wioski składały się trzy równoległe rzędy chat. W 1939 roku w Rybakach mieszkało sto sześćdziesiąt osiem osób, w 1999 roku dwadzieścia dwie osoby w dwunastu chatach. We wrześniu 2009 roku w wiosce mieszkali już tylko cztery osoby w czterech chatach.

Dawniej nie tylko wioska Rybaki wyglądała inaczej, ale cała okolica nad Gawią od Rybak do Sobotnik. I sama Gawia na całej swojej długości też była inna, przede wszystkim znacznie szersza i głębsza. Wczesną wiosną, kiedy przychodziły roztopy to tak się rozlewała, że czasami odcinała dotarcie do miasteczka od strony wioski Dobrowalny.

Na zdjęciu z 23 kwietnia 1931 roku widać Gawię szerszą niż Niemen. W oddali, od strony właśnie Dobrowlan, płynie łódka z kilkoma osobami, a jeszcze bardziej z tyłu na brzegu stoi grupka ludzi czekających na swoją kolej. Wszyscy wybierają się na uroczystości kościelne ku czci pierwszego patrona naszego kościoła Świętego Jerzego.

Ale mam też dwa inne zdjęcia Gawii z wiosny 2006 roku, które przysłał mi kuzyn Janek. Jedno przedstawia podobne ujęcie jak to przedwojenne. Woda +podeszła pod sam mur okalający nasz cmentarz i odcięła najkrótszą drogę z Sobotnik do Dobrowlan. Na zdjęciu zrobionym z mostu w kierunku szpitala, z biegiem rzeki, wszędzie jak okiem sięgnąć widać rozlaną Gawię. Zaszalała nasza rzeka. Przypomniała sobie przedwojenne czasy świetności.

Idąc przez Rybaki przypominałem sobie, jak pewnego dnia zaszedłem do Marii i Antoniego Tuczowskich mieszkających na Antakolu. Maria urodziła się przed wojną w Sobotnikach i sporo pamiętała z tamtych lat. Usiedliśmy z nią za stołem,

a ja rozłożyłem topograficzną mapę w skali 1: 1000000 z 1923 roku, na której była nasza gmina i częściowo sąsiednie, oraz mój odrębny plan Sobotnik i najbliższej okolicy. Poprosiłem Marię, żeby mi opisała fragment krajobrazu nad Gawią.

Dodam, że w jej wypowiedzi słowo **reczka** odnosi się do Gawii i w naszej gminie tak przeważnie na nią mówią, rzadziej używając nazwy własnej rzeki. Natomiast określenia: **ruczajok**, **ruczejnik**, **raūczak**, **raūczaczok** i **reczeczka** oznaczają małą rzeczkę, strumień. Naszej rozmowie przysłuchiwała się Jadzia Dabryńska (Dobrzyńska), która przyszła w odwiedziny do sonsiadki z Antakola.

- A tutaj byli tak**ij**e **jak**by dwie wyspy - Maria pokazała na planie miejsce niedaleko dużego młyna na Gawi, który jeszcze stał w latach pięćdziesiątych ubiegłego wieku. - Eto **prociw** Jerałowicza, gdzie **ci**pier **żywie** na Wileńskiej **ulicy**. I tam **prama** **pa**ūstawleny **dre**wy, **ściany** byli tak**ij**e **drzewem** **zro**blone. **Po**tym Zonin Jan **traktaram** **cia**haū **ety**je **dre**wy. Tut **nieszto** było **nie**kali **da**ūniej, **addzielna** **nieszto** było. Czy to Sybotniki... .

Eta **nihto** ni **pomni**ć **szt**o tam było też. **Pad** Rybakami też byli ū **Ga**ūji **pazahani**anyje **pa**lenie, ale tam **u**żo byli tak o **redka** **pazahani**ane. Tam **widzimo** **dub**, bo **nadto** **mo**cny byū. Czy tam młyn **nie**kali **sta**jał, czy tam **szt**o.

- O tutaj za **Ga**ūjaj - **zaznaczyła** nowe miejsce. - Joś **zagrod**, **karzin** **taki**, i **tutak** **jak** **reczeczka**, tam **mo**żna było tak **praj**ści. I tam **łaka** była **u**żo **da** **Zamasława**. Eta **nazywa**łasia **Balszaja** **Łuka**, **Wielka** **Łaka**. A tutaj bliżej, **pierad** **Sinim** **Okam**, byū **pa**ław⁵⁹ **u**żo **dla** **ludzi**. Jednego, drugiego, trzeciego...

- Aha, był podzielony na ludzi - powiedziałem.

- Ety **letam** **pradawali** **pa** **radio** **pra** **Zamasłau**, **jak** **teho** **Umiasto**ūskaho, **szt**o u nas **ka**ścioł **sta**wił, **ojciec** **zakupi**ūszy byū to **wszystko**. A **po**tym **ety** **ja**koś **ludzi**am **razdziel**ił.

- Pani Mario, a gdzie było miejsce, które nazywano **Kaciszki**.

- A tutaj **wo** za **Mackiewiczem** na Wileńskiej **ulicy**, **pawarot** na Rybaki, i **wsio** **eta** aż do **Tuczko**ūskawej **chaty** i **da** **reczki**

nazywali Kaciszki. Tuczoŋski Władyk (ich zwali Buzary) szto kala reczki żył. Tut at Subotnik da Rybakoŋ adzin jała-wiec ros. Dyk tam, tam to była luna⁶⁰, nie było prajści można. A później rowy te wykapali prad wajnoj i puścili ruczajok u Gaŋju. Tut jon paszoŋ kala Rybakoŋ, tut mościk byŋ, o tut za wierbami - pani Maria zaznaczyła na planie. - On jość, cipiureka idzie praz hety mościk. Tady⁶¹ użo stała sucha. Wykapali usie jałaŋcy, pastawili kolonii, dali ludziom. Tam nasza kolonia była. Nie ma tam luny, niczoha nima, nic nie raście.

- Tut wierby silna balszyje byli aż na Rybaki. Eta Zama-sława było wysadziŋszy wierby. Tam musi tolki adna czy dźwie wierby stajać cipier. I Rybaki silna u bierozy balszyje, tak o, było wysadźone. Tak jak prama idziesz, jak tunelem. Wsio Zamaśława było wysadziŋszy pa tej darozie. Tego nima, pawyrezaŋszy. Może tolki adna czy dźwie jość. Ot ładnie było, a bo jak horasza. Tutżesz była i wioska. Pa dwa rady chat na adnej stronie, a tam treci rząd byŋ. A tut jak jechać na Szarkuci i tut byli. Tam jeszcze miejsce jość, gdzie dama byŋszy. Trochi les pasadzili i tut i tut. A później na kolonii pawyjechali, tut pastawili, u etyje Rybaki, tut zrabili. Tak było.

- A czy jest takie miejsca zaraz za cmentarzem, które nazywano Czerwona Góra, Czerwona Hara? Słyszała pani Mario o takim miejscu?

- Dyk wo tutaj nad reczkaj, eta nazywali Czerwona Hara, kala mahilnika.

- Tak?

- Nad reczkaj. Tam wysoki taki srazu abryw i czerwony piasek. Ety Paszkoŋski, wo ety wo, zabił Dziadula. Tut wo Dziadulowaho etoho brata z Antakola. I kinuŋ z etaj hary. Daże u Dziaduloŋ jeść zdjęcie z etaj hary u reczku. I jon wi-dać u reczcy lażyć utoplany.

- I za Wielkaj Łakaj taki abryw byŋ jak u nas. Góra taka wysoka jak Czerwona Góra. Prociw paszci Szarkuciej jana. Krasza nazywaśia.

- Teraz ta Kaczerha⁶², o tutaj - pokazałem na planie. - To takie miejsce jest, to nie jest żadna rzeczka, Kaczerha?

- Rzeczekka za cmentarzem. Tudy jak nowy cmentarz stać, tam Kaczerha. I schodzi się ona tudy aż do tej rzeczeki Szkierdziniec. No tam cipiereka jest mościk. Daroha idzie na Zalesie i Iūje, i pa lewaj ruce Szkierdziniec użo.

- A Żabniki to miejsce takie było?

- Takie miejsce, Żabniki. Jak tolki ety mościk schodzić, jak jedziem z Zalesia u Sybotniki, pa prawej ruce tam Żabniki.

- Nie udało mi się do tej pory znaleźć zdjęcia młyna, a przecież stał on na Gawii do początku lat pięćdziesiątych. Tata mi wspominał, że po wojnie pracował w młynie z Bronisławem Wasilewskim, który później wyjechał w Traby.

- Hetyż stróżem byū w młynie. A jaho córka Tarenia cipiereka u kaściele u Zamasławie pamahaje. Może u jej gdzie jość zdjęcie dzie jakoje.

- Eta jaho dzieūczynna tam ubiraje^{63?} - zapytała sonsiadkę Jadzia.

- Tarenia, Tarenia - odpowiedziała gospodyni.

- No jaż znaju joch dźwioch dzieūczat ich.

- Eta sama starsza - zaznaczyła Maria i trochę dłużej się zastanawiała jakby coś sobie przypominając.

- Wasileūski musi pa wajnie byū mielnikam. A stróżem byū ety, znajesz kto byū stróżem? - zwróciła się do koleżanki.

- Ety Daūlaszewicz, ety wo ..., Stasi etaj Błazukowej. Wo tut Stasia Bahuszejwiczowa, wo tut gdzie ety dzieūczata żywuć kala wo ciotki, w etym samym domie. Dyk eta jajej uże swiakruchi⁶⁴ dzied stał stróżem da wajny, a Wasileūski mielnikam byū. Wo, mnie cipier wyszło.

- No może być - potwierdziła Jadzia. - Ja pomniu, że mielnikam byū Wasileūski. A potym uże ū wajnu ū Libinej chacie siadzieū, żydoūskaj.

- Tam może gdzie u Szarkucioch u kaho jość zdjęcie młyna? - zastanawiała się Maria.

- Bo **eta** dzieciż tyje Błazuki, a jaje matka była za **niej**kim tam Daūlaszewiczem, czy jak **eta** było. Karusia **heta**. **Pomnisz ty jejo?** - zwróciła się do Jadzi.

- **Pomniu**, czahoż ja nie **pomniu**. Jaszcz **stary cipier** **pamior hety**. Janyż byli **stróžem** tam za **reczkaj**.

- Dyk **etaż** nie **hety** byū - energicznie zaprzeczyła Maria.

- **Etaż jana** **potym** **żaniłasia**. **Raniejszy** byū. Ja **jeszcze** **pomniu**, **małaja** była, bo za **reczkaj** **strasznaja** **luna** była, **strasznaja**. **Balszaja** **reczka** ...

- Ale to tu, **luna** nad **Matruną** **gdzieś** koło **Kaweckiego**, a za **Gawią** jest **Sinie Oko** - przerwałem **gospodyni**.

- Tam **toż** było, ale **niewielkie** - potwierdziła moje słowa **Jadzia**.

- Za **Gaūjaj** **Sinie Oka** - zgodziła się **Maria**. - A za **Sinim Okam** była **Palana**. Za **Palanaj** byū **balszy** **les Paszkoūskich**, **balszy** **les** **szo** **Tarucku** **Darohu** **daże** **pierachodzić**. **Ana** **idzie** **daroha** na **Traby**, **potym** na **Taruci** **idzie** **daroha**.

- A **tut** z **Gaūji** **reczczka** **ciekła** **takaja** **kala** **Siniego Oka**, i **tam** była **luna**. **Reczczka** **iszła** **siuda** na **ten** **mościk**, **dalej** **kala** **samoha** **samoha** **lesu** - **kolejno** **zaznaczała** na **moim** **planie**. - A **tut** **paszła** **eta** **górką**, **tutak** **eta** było, a **tam** **użo** **cmentarz** **paszoū** **dalej**. I **tut** **wo** **jana** **upadała** **niedzie** **ū** **reczku**. O, **tut** **eta** **uwachodził** u **Gaūju**, **kala** **końskaha** **mahilnika**, **raūczaczok** **ety**.

- Ależ **szeroka** **heta** **reczczka** była - **dodała** **Jadzia**.

- Tam **jość** **kładka**, **gdzie** był **ety** **raūczak**. Tam **niewielka** **trasinka** była **pierad** **Sinim Okam** - kontynuowała **Maria**.

- Tam **skolki** **razy** **hieołohi** **przyjeżdżali**. Tam **jakby** to **żale**za, **tam** **prama** **takaja** **jak** **żalezna** **wada**, **rża** **takaja**. **Cipier** **jak** **osuszyli** **nima** **etoha** **raūczaczka**. **Teraz** **jany** **jakujuż** **reczku** **zrabili?** **Taka** **jak** **Matruna** **niekali** była, **taka** **cipier** **reczka** **stała**. **Reczkaż** była **balszaja** **siłna** i **toj** **ruczajok** **balszy** byū, a **cipier** **tam** **użo** **nima** **niczoha**. **Tolki** **znak** **tej** **reczki**.

Wyszedłem z **Rybak** w **kierunku** **Sobotnik** i **od** **razu** **zoba**czyłem **nasz** **kościół**. Po **kilkunastu** **minutach** **byłem** w **jego** **wnętrzu**. **Rozpoczęła** się **msza** **żałobna**. **Przy** **organach**, na

których kiedyś grał zmarły, usiadła zaproszona organistka z Lipniszek. Ze starego instrumentu wydobywała smutne melodie.

Ojciec Groszyk przypomniiał czasy, w których kształtowała się sylwetka Janka Nowickiego. Była to głównie praca u boku księdza Pawła Bagińskiego, który niejako przygotowywał go do chwili swojego odejścia. Od tej pory Janek został prawą ręką proboszcza, a z czasem głównym obrońcą zachowania naszej świątyni.

Kiedy kapłan zmarł 24 marca 1962 roku nad naszym kościołem zawisło realne zagrożenie jego zamknięcia. I wtedy w obronie świątyni i wiary katolickiej stanęli mieszkańcy sobotnickiej gminy na czele z Józefem Wasilewskim z Wasilewicz i Janem Minko z Wodoli. Byli to ludzie dużej wiary, bardzo prawi, zahartowani przez życie, nie znający żadnej bojaźni oprócz Bożej. Jan Minko z pierwszej wojny światowej przywiózł order, który osobiście przypięła mu do munduru caryca Aleksandra⁶⁵, kiedy leżał ranny w szpitalu. Jako wotum za szczęśliwy powrót do domu złożył je w kościele pod obrazem Świętego Jerzego.

Jan i Józef prowadzili każde niedzielne i świąteczne nabożeństwo, jeżeli akurat nie było przyjezdnego kapłana, a pojawiał się on rzadko. Oczywiście podczas liturgii nie wykonywali czynności należnych tylko księdzu. I przy nich był młody Jan Nowicki, później główny organizator akcji zbierania podpisów w obronie kościoła. Na szali walki o naszą świątynię i wiarę położył swoje życie zawodowe i rodzinne, i nie ugiął się.

Truna⁶⁶ została wyniesiona z kościoła i położona na odkrytej ciężarówce udekorowanej w czarne barwy przyprószone srebrem ornamentów. Za nią ustawił się kondukt pogrzebowy. Na jego czele był mieszkaniak Szarkuć, wioski, gdzie Janek założył rodzinę, ubrany w komżę i trzymający krzyż. Za trumną też trzymano krzyż, który później został ustawiony na grobie. Ostatnie spojrzenie przez zamknięte oczy zmarłego na kościół, który obronił.

Ruszyliśmy przy śpiewie psalmów. Za mostem na Gawii skręciliśmy z asfaltowej drogi na piaszczystą i nierówną, prowadzącą do bliskiego cmentarza i dalej do wioski Dobrowlany. Przed cmentarną bramą truna została zdjęta z samochodu i zaniesiona na barkach mężczyzn do miejsca pochówku. Zgromadzeni nad grobem odmówiliśmy ostatnie modlitwy. Następnie najbliższa rodzina pożegnała się ze zmarłym przy otwartej trumnie. Usypano grób i to był dla ciała jego ziemski koniec.

Synowie Janka Nowickiego zaprosili mnie na tradycyjny poczęstunek związany z pogrzebem, czyli stypę. U nas mówi się też „paprasić sieści za stoł” i jest to zaproszenie na uroczysty posiłek związane nie tylko z pogrzebem. Najbliższa rodzina, krewni, przyjaciele i sąsiedzi zgromadzili się w stałowej⁶⁷ w miasteczku. Od dawna jest ona nieczynna i wykorzystuje się ją tylko na specjalne okazje.

Na ustawionych w podkowę stołach ułożono ładnie przygotowane i bardzo smaczne potrawy. I gdyby nie poważny nastrój na niej panujący to ktoś, kto akurat wszedłby do sali mógłby pomyśleć, że trafił na wesele, a wszyscy czekają tylko na przyjazd młodej pary z muzykantami.

Już od kilku lat na poczęstunku nie podaje się wódki, w czym jest olbrzymia zasługa ojca Franciszka. Było jedynie trochę dobrego piwa. Jedliśmy, rozmawialiśmy. Przyglądałem się biesiadnikom, z których część dobrze znałem. W kilka osób wyszliśmy z sali na papierosa. Pałac chwilę rozmawialiśmy.

- Jak szedłem z kolonii koło Dowgiałowszczyzny, to widziałem na polu dwa żurawie - powiedziałem chcąc się pochwalić.

- A ja wczoraj widziałem ich sześć - odpowiedział obojętnym tonem, jakby to było coś zwyczajnego, Józik Nowicki, bratanek zmarłego.

Ja, właściwie mieszczuch, chciałem zaimponować żurawiami chłopcom z wioski. Józik był starszy ode mnie o parę lat, a znaliśmy się jeszcze z dziecięcych czasów,

kiedy z rodzicami przyjeżdżałem w odwiedziny do jednych i drugich dziadków. Razem z innymi chłopakami z Dowgiałowszczyzny bawiliśmy się nad Łyntupką, chodziliśmy zrywać jabłka z cudzych sadów i nie raz uciekaliśmy przed goniącymi nas gospodarzami. To od tych starszych chłopców nauczyłem się śpiewać piosenkę „Kasiū Jaś kaniuszynu spahladaū na dziaūczynu (...)”⁶⁸.

Józik Nowicki, potężny chłop, zawsze mi mówił jak byłem w Sobotnikach: „Kazik, jeżeli tylko ktoś cię zaczepi, to daj mi znać”.

Niestety, nie dam ci znać Józiku. I nie wypijemy już razem piwa przed sklepem w naszym miasteczku. Rok później odszedłeś niespodziewanie i o wiele za wcześniej.

Nagle z sali doszły nas śpiewy kilku kobiet, do których po chwili dołączyli pozostali. Zgasiliśmy papierosy i wróciliśmy na swoje miejsca. Na zakończenie stypy jej uczestnicy śpiewali tradycyjne polskie pieśni religijne związane z obrzędami pogrzebowymi i życiem zmarłych.

Oto jedna z nich pod tytułem „Zapada zmrok”, zapisana tak jak ją usłyszałem:

Zapada zmrok już wszystko światło zgasło,
bo właśnie nadszedł twego życia kres.

I tylko jedno światło nie zagasło,
tym światłem Pan, co dziś powołał cień.

Zostawiasz nas, jak smutna jest ta chwila,
wśród kwiatów leży martwe ciało twe.

Przy głowie świeca wokół twa rodzina,
smutek na twarzy z oczu płyną łzy.

Więc żegnaj nam, śmierć życie twe zabrało
ziemskiej pielgrzymki skoczył się twój trud.

Ciało zostało, dusza uleciała

tam, gdzie jej miejsce przygotował Bóg (...)

Słowa tej pieśni trafił do Sobotnik z Galimszczyzny, wioski leżącej też nad Gawią, ale bardziej w górę rzeki w sąsiedniej

gminie Lipniszki. Nie wiadomo kto przyniósł jej tekst i złożył przed drzwiami chaty Władzi Kiełdanowicz. Kobiety w miasteczku długo zastanawiały się jak śpiewać tę nową piosenkę. W końcu Wiera Żułpowa z Antakola, wieczny pokój, odebrała najbardziej pasującą do niej melodię wzorując się na popularnym utworze „Panience na dobranoc”, autorstwa siostry Magdaleny, nazaretanki z Polski.

Kiedy truna ze zmarłym jest wynoszona z chaty zwykle w naszych stronach śpiewa się pieśń pod tytułem „Ostatni dzwon”. Kilka dni po pogrzebie Janka Nowickiego zaśpiewały mi ją panie Władzia Kiełdanowicz i Ania Nastusiewicz z ręcznie przepisanego śpiewnika, a ja zapisałem tak jak usłyszałem.

Ostatni zwon, ostatni zwon
jak wiele dusz pobudzi on
Gdy przyjaciele żegnałem was
słyszałem zwon ostatni raz

Nie ujrzysz już radosnych dni
choć pamięć ich świeża się tkwi
I wiele ich nie żyje już
młodzieńczych tych wesołych róż

Podobny ten czeka nas los
żałosnych piesien smutny głos
W dolinie wiatr rozniesie wzdłuż
i śladu żeń nie będzie już

W mogile ciemnej położon cień
i żółtym piaskiem zasypion cień
Słońca promień ogrzeje grób
siostra i brat spoczywa tu

Ostatni zwon, ostatni zwon
jak wiele dusz pobudzi on
A jak nie ja, lecz będzie on
obcować ten ostatni zwon

Przy pożegnaniu ostatni zwon
w trumnie na cmentarz prowadzi on
W krainie ciszy gdzie wieczny dom
prowadzi ten ostatni zwon

A gdy zaśniemy wiecznym snem
nie zbudzi zwon i jego hymn
Bo dusza Twa spoczywa w nas
nie zbudzi zwon ostatni raz

O Boże mój już zniosłeś dni
co najpiękniejsze były mi
I chociaż śmierć już przy mnie jest
ja będę żyć w ojczyźnie tej

Już po powrocie do domu znalazłem trochę informacji o rodowodzie tej pieśni. Autorem oryginalnego tekstu pod tytułem „Those Evening Bells” był poeta irlandzki Thomas Moore (1779-1852), który napisał go w okresie nasilonej emigracji swoich rodaków do Ameryki. Angielskie słowa na język rosyjski przełożył poeta romantyczny Iwan Kozłow (1779-1840), a muzykę do nich skomponował Aleksandr Aljabjew (1787-1851), wybitny mistrz rosyjskiej liryki wokalne. I tak powstała pieśń pod tytułem „Вечерний звон”, bardzo popularna w Rosji jeszcze pod koniec XX wieku.

Przypomniałem ją sobie ze starych filmów sowieckich pokazywanych u nas często za czasów komuny. Wpływ kultury rosyjskiej na Wileńszczyźnie był niemały, dlatego ta pieśń zyskała sobie uznanie i został u nas zaadoptowana, ale jedynie do wykonywania podczas obrzędów pogrzebowych.

Polski tekst pieśni, ułożony przez nieznanego poetę ludowego, został rozbudowany o nowe zwrotki dołączone do rosyjskiego tłumaczenia oryginału. Krążył on po miastach, miasteczkach i wioskach, i był ręcznie przepisywany do wielu domowych śpiewników. W rosyjskiej kulturze masowej rozpowszechniona była inna wersja melodii tej pieśni mająca ludowe pochodzenie. Ona też z niewielkimi zmianami przyjęła się na Wileńszczyźnie.

Kiedy umarł młody człowiek, który źle przeżył swoje życie, na poczęstunku śpiewa się pieśń pod tytułem „Czemu nieszczęsny”. Ją także zaśpiewały mi obie panie:

Czemu nieszczęsny człowiek się rodzi
nie uznał świata a śmierć przychodzi
śmierć jadowita gdy kwiat zakwita wnet zerwie

Ja nie widziałem takiej marności
że tak za młodu śmierć mnie zagości
wesół byłem i nie zdążyłem pokuty

Módlcie się za mnie moi rodzice
bo ja skończyłem młode swe życie
życie skończyłem i nie zdonyłem przebłagać

Proszę cię odpuść mi grzechy
bo nie ma w czyśćcu ulgi pociechy
moja jest wina śmierci godzina bom zgrzeszył

Przestrzegam wszystkich kto się narodził
by moją drogą nikt nie przechodził
w takim cierpieniu i użaleniu powiadam

Ufaj że szczerze iść prostą drogą
co cię prowadzi z miłością Bożą
Bo ktoś pomoże tylko mój Boże w pomocy

Tradycja śpiewania pieśni pogrzebowych w domu zmarłego powoli zanika w naszych stronach. Odeszła już z wielu mniejszych wiosek zachowując się jeszcze w niektórych dużych wsiach i w miasteczkach. Mało kto jeszcze potrafi poprowadzić rytuał pogrzebowy, jak kiedyś Józef Dobrzyński w Dowgiałowszczyźnie, niewielu jest śpiewaków.

A kto odmówi różaniec za umarłego ostatniego mieszkańca wioski?

19 marca, poniedziałek

Imianiny Arkadźja, Josifa

Wiasna i wosień - pogody na dni osiem.

Rano pojechałem do Lipniszek, żeby spotkać się z dyrektorką miejscowej szkoły średniej w sprawie wystawy prac Ryszarda Stryjca. Ryszard Stryjec urodził się 30 kwietnia 1932 roku w Lipniskach. Jego ojciec Józef brał udział w wojnie polsko-bolszewickiej w latach 1919-1920. Za położone w niej zasługi otrzymał ziemię rolną w pobliżu Lipniszek i osiedlił się na niej. Po 17 września 1939 roku Józef Stryjec został aresztowany przez NKWD⁶⁹ i później zamordowany, a 10 lutego 1940 roku jego żonę Helenę wraz z dwójką małych dzieci zesłano w pierwszej wywózce Polaków do Kazachstanu. Na kazachskich stepach mały Rysiek wykazał się talentem plastycznym lepiąc figurki z gliny. Pięć lat później z rodziną przyjechał do nowej Polski.

Młody chłopak przejawiał duże zdolności do rysunku i za dobrą poradą starszych osób wybrał naukę w liceum plastycznym w Gdyni. Po jego ukończeniu rozpoczął studia w Państwowej Szkole Sztuk Pięknych w Sopocie, które ukończył w gdańskiej Akademii Sztuk Pięknych. Zauroczony starą częścią portowego miasta zamieszkał w swojej pracowni na rogu Targu Rybnego i ulicy Straganiarskiej, gdzie tworzył i pracował aż do śmierci w dniu 5 czerwca 1997 roku.

Ryszard Stryjec uprawiał malarstwo, rzeźbę i ceramikę. Jednak głównie zajmował się grafiką oraz rysunkiem i w tych sztukach został uznany za mistrza. Jego twórczość poprzez motywy symboliczne, alegoryczne, mitologiczne i fantastyczne odzwierciedla świat realny, opisuje codzienność, dotyka problemów charakterystycznych dla czasu obecnego, wnikliwie i nostalgicznie opisuje ludzką kondycję.

Grafiki i rysunki artysty wyróżnia perfekcyjny warsztat oraz doskonałość formy. Günter Grass⁷⁰, z którym Stryjec był zaprzyjaźniony, nazwał go Gdańskim Dürerem⁷¹ i poświęcił mu część głośnej powieści „Der Butt” („Płastuga”).

Prace Ryszarda Stryjca posiadają kolekcjonerzy z Polski, Niemiec oraz wielu innych państw Europy. Są one w Stanach Zjednoczonych, w tym także w Białym Domu, a jedna z jego grafik znajduje się w Watykanie. W Polsce najwięcej dzieł twórcy posiada Państwowa Galeria Sztuki w Sopocie.

W 2007 roku przypadły siedemdziesiąta piąta rocznica urodzin i dziesiąta rocznica śmierci Ryszarda Stryjca. Z tej okazji Zbigniew Buski, dyrektor sopockiej Galerii, wyszedł z pomysłem zrobienia wystaw prac artysty w Grodnie i Lipniskach.

Przy mojej pomocy Galeria nawiązała kontakt z najbardziej reprezentatywną grodzieńską Salą Wystawową, która znajdowała się przy ulicy Orzeszko 38. Jej dyrektorem była wtedy Irina Silwanowicz. Podjąłem się również znalezienia miejsca w Lipniskach na pokazanie około dwudziestu prac Stryjca.

Wybór padł na miejscową szkołę średnią, której dyrektorka Inna Nikołajewna Mierowa zgodziła się, żeby zostały one wyeksponowane w jej placówce. Budowa tej szkoły trwała wiele lat i w końcu została ukończona. Nowy duży budynek został połączony ze starym, jeszcze przedwojennym, dając przez to wyraz długiej i ciągłej edukacji na tym terenie.

Antoni Żabczyński, prywatny kolekcjoner z Sopotu a zarazem przyjaciel Ryszarda Stryjca, opowiedział mi później o tych wystawach. Obydwie były bardzo udane, a szczególnie ta w Grodnie, gdzie pokazano osiemdziesiąt prac. Pan Antoni podarował szkole w Lipniskach jedną z grafik artysty ze swojej kolekcji. Miłe też dla mnie było jego stwierdzenie, że Grodzieńszczyzna bardziej mu się podobała niż tereny ukraińskie, na których niedawno gościł.

Moim zamysłem w przypadku Ryszarda Stryjca było odkrycie i pokazanie mieszkańcom Grodzieńszczyzny sylwetki twórcy urodzonego na tej ziemi, o którym nie wiedzieli nawet artyści tej samej co on profesji.

Białoruś w swojej historii i kulturze została nasycona nazwiskami Rosjan nie mających z tym krajem często nic

wspólnego. Natomiast wśród tych, którzy zaznaczyli tu swoją obecność byli też i tacy, którzy wyrządzili Białorusi wiele krzywd i zniszczeń.

Z trudem i powoli wyłaniają się z zapomnienia rodzimi twórcy i postacie historyczne, dające własne świadectwo narodowej odrębności. Odrębności bogatej w pracę i działania na wielu płaszczyznach życia, także osób innych narodowości związanych z tą ziemią urodzeniem, przebywaniem i ciepłym do niej uczuciem.

Ryszard Stryjec z pewnością miał bolesne wspomnienia związane z zesłaniem do Kazachstanu. Może też zostały one zaznaczone w jego pracach. I chociaż już nigdy nie odwiedził rodzinnych stron, to na zawsze pozostanie Ryszardem Stryjem z Lipniszek.

O jego rodzinie nie znalazłem w miasteczku żadnych wiadomości. Lipniski proboszcz ojciec Krzysztof Groszyk pytał się o to starsze osoby, ale nikt Stryjców nie pamiętał.

Ze szkoły poszedłem na klebanie⁷² żeby się z nim spotkać. To był już siedemnasty rok posługiwania Krzysztofa w kościele na Grodzieńszczyźnie i to prawie ciągle w tym samym miejscu. Wpierw przez sześć lat był duszpasterzem w sobotnickiej parafii, a następnie został skierowany do sąsiednich Lipniszek, gdzie kapucyni swoją obecność zaznaczyli jeszcze przed wojną. W ciągu tak długiego czasu pracy Krzysztof dobrze poznał miejscową społeczność i prawdziwą powojenną historię tej ziemi, chociaż nie było to łatwe. Często bowiem fakty, myśli i odczucia ludzi pozostają tylko w ich umysłach i sercach, i nie zawsze chętnie są przekazywane innym osobom, szczególnie na Kresach.

Nie mieliśmy zbyt dużo czasu na rozmowę, bo Krzysztof miał jechać na wioski do chorych. W świetle wydarzeń z końca ubiegłego roku nie wiedział, jak jeszcze długo będzie w Lipniskach. Obwodowy urząd do spraw religii i narodowości nie wydał zgody na dalszą pracę i nie przedłużył wiz pobytowych siedmiu księżom i pięciu siostram zakonnym z Polski. Krzysztof miał zezwolenie tylko do końca czerwca.

W razie powrotu do kraju jego parafia nie zostanie bez opieki. Na miejscu był ojciec Jerzy Kotowicz i jeden brat zakonny. Obydwaj urodzeni na Białorusi. Pożegnałem się z Krzysztofem do następnego razu i oby znowu w Lipniskach.

Było południe i do autobusu do Sobotnik miałem prawie cztery godziny czasu. Nie chciało mi się tak długo czekać, więc poszedłem na roгатki miasteczka i spróbowałem te szesnaście kilometrów przejechać autostopem. Po jakimś półgodzinnym staniu wyglądało na to, że kierunek na Sobotniki był mniej uczęszczany. Większość samochodów skręcała na Gieraniony, gdzie znajdowało się przejście graniczne z Litwą. Z tych paru aut, które przejechały obok mnie, żaden kierowca nie zareagował na machanie ręką. W końcu zatrzymała się wysłużona czarna wołga i nią podjechałem do wioski Kamienczanie. To już była połowa drogi. Postanowiłem dalej iść pieszo oglądając się co jakiś czas za siebie, czy coś nie jedzie. Minęły mnie dwa samochody osobowe nie zatrzymując się na dawane przeze mnie znaki, a ja z upływającymi minutami nie żałowałem tego.

Szedłem pustą, szeroką szutrową drogą. Po bokach miałem albo zielony, wysoki i gęsty iglasty las, albo przestrzeń lekko pofalowanych i nagich pól. Przechodziłem przez wioski znane mi dotąd tylko z okien autobusu: Nackowicze pradziadka Emiliana Raksy, Czechowce nauczycielki Zosi Dubickiej, Borowiki, gdzie moja mama uczyła szycia młode dziewczyny sama będąc niewiele starsza od nich. Szedłem mocnym krokiem i choć to był jeszcze marzec, to rozpiąłem zamek skórzanej kurtki i opuściłem kołnierz ciepłego swetra. Osiem kilometrów marszu przyniosło mi zmęczenie, ale było ono przyjemne i radosne. Moje płuca oddychały czystym świeżym powietrzem. Moje oczy zachłannie pochłaniały mijane krajobrazy, te bliskie i te dalekie.

20 marca, wtorek

Imianiny Emialijana, Paūła, Kłāūdzi

We wtorek rano pożegnałem Sobotniki. Musiałem pobyć w Lidzie, chociaż ze dwa dni, a także pojechać do Grodna. Jednak wewnętrznie już wiedziałem, że do mojego miasteczka powrócę w tym roku jeszcze nie raz. W porannej drodze do Iwia towarzyszył mi kuzyn Janek. Jak tylko autobus ruszył rozpoczęły się ożywione rozmowy, którym tak bardzo lubię się przysłuchiwać w naszych stronach. Na dodatek wszyscy pasażerowie dobrze się znali. Siedzący obok nas Wicia Juchniewicz opowiadał swoje wrażenia z uczestnictwa w nagonkach podczas polowań. Chciał zostać myśliwym i to były jego początki.

Po obu stronach asfaltowej drogi ciągnął się sosnowy bór, oddzielony od niej wąskimi pourywanymi pasemkami resztek śniegu. Po lewej stronie mijaliśmy leśne trakty służące do wywożenia pozyskanego drewna. Jeden z nich prowadził do bliskich Mażuli, wioski położonej wśród smukłych sosen, gdzie przed wojną wyrabiano terpentynę z karczwy pozostałych po ściętych drzewach. Mażule i zaraz przy nich Małe Mażule, zwane też Mażulami Szlacheckimi. Minęliśmy Wasilewicz, Chilewicz i Wodole - ostatnią wioskę z południowej strony naszej gminy. Przejechaliśmy przez Urciszki i po kilku minutach byliśmy w Iwiu. Już stał autobus do Lidy i za chwilę miał odjeżdżać, więc Janek pomógł nieść mój bagaż. Pożegnaliśmy się do następnego i byle szybkiego spotkania. Biało-niebieski autobus z ludzkiej bazy powoli ruszył z dworca w kierunku Lipniszek.

21 marca, środa

Imianiny Lazara, Liubamira

Z powrotem byłem w Lidzie i miałem przed sobą dwa spotkania. Wpierw z księdzem Józefem Gańczyem, który

był proboszczem w jednej z większych w mieście i dość nowej parafii z kościołem Świętej Rodziny. Pierwsze msze odbywały się w niewielkiej drewnianej szopie, która przypominała stajenkę betlejemską, jak żartował ksiądz Józef. Następnie została postawiona duża, ale też czasowa kaplica. Tuż obok niej wyrosła bryła nowego kościoła z czerwonej klinkierowej cegły. Tempo prac budowlanych nie było szybkie, ale czasami budowniczowie nie mieli żadnego wpływu na ich przyspieszenie. Na przykład latem ubiegłego roku w całej Białorusi brakowało cementu.

Rozmawialiśmy o siostrach zakonnych i kapłanach, którzy w ostatnim czasie musieli wrócić do Polski. Między nimi były osoby bardzo zasłużone dla kościoła grodzieńskiego. Poświęciły one kilkanaście lat swojego życia pracując wśród wiernych i starając się zaspokajać ich potrzeby nie tylko duchowe. Takim przykładem był ksiądz Mariusz Iliaszewicz, proboszcz w parafii Świętego Szymona i Judy Tadeusza w Łazdunach w naszym rejonie iwiejskim.

Właśnie w jego obronie rodzimi parafianie oraz wierni z niedalekich Juraciszek, gdzie kapłan mocno zaangażował się przy budowie nowego kościoła, zaprotestowali parudniową głodówką w łazduńskiej świątyni. Niestety, nie odniosło to pożądanego skutku. Tak jak i zbieranie podpisów przed kościołami w Lidzie w obronie księży i siostr zakonnych, którym odmówiono dalszej pracy na Białorusi. Zapewne ksiądz Iliaszewicz był zbyt aktywny w swojej pracy duszpasterskiej, jak na standardy narzucane kościołowi przez władze białoruskie. Chciał zrobić dla ludzi więcej i zajmował się nie tylko zwykłym prowadzeniem swojej parafii. Organizował grupy Anonimowych Alkoholików i spotkania młodzieży różnych wyznań w ramach tygodni kultury chrześcijańskiej.

A ludzie, którzy stanęli w obronie swojego księdza, ale w końcu odpuścili. Czy mieli takie same cechy charakteru jak ich rodzice, dziadkowie i krewni urodzeni przed wojną? Były to osoby o zdecydowanych postawach wobec dobra i zła, prawdy i fałszu, wiary i patriotyzmu. W Polsce przed

wojną przymioty te kształtowały w jednym duchu rodzina, szkoła, kościół i państwo. Po wojnie nasi rodacy zostali nagle bez dawnej Polski, która jeszcze wczoraj była i bez jakiegokolwiek pomocy od tej nowej przez długie lata. Łączyły ich z nią tylko odwiedziny bliskich członków rodziny, którzy zostali zmuszeni opuścić ajczynę i listy pisane w obydwie strony. Sami znacznie rzadziej podróżowali do tej nowej Polski. I właśnie ta generacja ludzi w zdecydowanie trudniejszych warunkach obroniła swoje świątynie przed całkowitą zagładą. Zachowała wiarę i polskość, i tak jak umiała przekazała je swoim potomnym. Z szacunkiem i miłością pochylny przed nią głowy.

Drugą wizytę złożyłem księdzu Wincentemu Lisowskiemu, ludzkiemu dziekanowi i proboszczowi na Słobódce, dzielnicy Lidy, w której jeszcze przeważała zabudowa starych drewnianych domów. Kościół na Słobódce został wzniesiony pod wezwaniem Niepokalanego Poczęcia Matki Bożej. Właściwie były tam dwa kościoły. Przedwojenny drewniany i nowy o ciekawej nowoczesnej architekturze wybudowany już za kadencji księdza Lisowskiego.

W 1987 roku ksiądz Wincenty objął sobotnicką parafię, dokładnie w dwadzieścia pięć lat po śmierci księdza Pawła Bagińskiego, i kierował nią przez trzy lata. W tym czasie miał wiele obowiązków związanych z remontem kościoła i jego odnowieniem. Niełatwe też były jego początki pracy duszpasterskiej wśród wiernych, którzy długo byli jej pozbawieni na co dzień i często w święta. Ksiądz Wincenty miał też możliwość zetknąć się i współpracować z osobami, które obroniły sobotnicki kościół przed zamknięciem, zamienieniem go na magazyn lub na rejonowe muzeum ateizmu. Wiele z tego, co mi powiedział kapłan było dla mnie nowością. Tej wiedzy nie umieściłem w książce „Moje Sobotniki”, ale uzupełniłem to w jej wersji internetowej.

Niedaleko plebanii znajdował się przystanek autobusowy, z którego podjechałem dziewiątką do centrum miasta. Przy ulicy Lenińskiej ubrane w czerwone kamizelki kobiety sadi-

ły iglaste krzewy na specjalnie przygotowanych klombach. Na rogu Sowieckiej i Mickiewicza siedziały dwie babcie i sprzedawały pestki słonecznika, główki czosnku, ziemniaki, kabaczki i ogórki. Ubrane były w ciepłe czarne kurtki i przypominały mi parę kruków, które przytuliły się do siebie chcąc się dodatkowo zabezpieczyć przed otaczającym je chłodem.

Miasto Lida, założone w 1323 roku przez litewskiego księcia Giedymina, ma bogatą i ciekawą historię. Niestety nie widać tego w nazewnictwie ulic, które jak na przykład w polskich miastach jest swego rodzaju podręcznikiem historii i też w pewien sposób kształtuje świadomość narodową ich mieszkańców. W przypadku Lidy z jej historii wyrwykowo i myślę, że celowo wybrano czasy rosyjskiego panowania, lata drugiej wojny światowej i okres komunizmu. Tak samo jest w innych miastach, miasteczkach, a nawet wioskach Białorusi.

W Sobotnikach przed wojną była ulica Antokol. Nazwano ją tak bardzo dawno temu dla uczczenia pięknej ulicy Antokol w niedalekim Wilnie. Stoi przy niej barokowy kościół Świętego Piotra i Pawła, perła rzeźby sakralnej w wystroju wnętrza w skali europejskiej. Po wojnie sobotnicki Antokol przemianowano na ulicę Październikową, która jest w każdej większej wiosce na Białorusi. A przecież stara nazwa mogła pozostać, gdyż nikt nie słyszał o trzeciej ulicy Antokol poza Wilnem i Sobotnikami. I nazwa Antokol lepiej brzmi i lepiej się kojarzy. I nadal się jej używa w naszym miasteczku wymawiając Antakol.

Zwykle nazwami ulic upamiętniamy osoby wielce zasłużone dla polityki, rozwoju nauki, kultury i sztuki konkretnego narodu. Honorujemy ludzi, którzy walczyli o niepodległość swojego kraju, pozytywnie zaznaczyli się w jego historii, w historii danego miasta, a nawet świata. Natomiast w Lidzie spacerujemy ulicami Kutuzowa, Suworowa, Paszkiewicza, Bagrationa, Marksa, Engelsa, Róży Luksemburg, Lenina, Krupskiej, Rewolucyjną, Komunistyczną, Komsomolską,

Krasnoarmiejską, Internacjonalną, Październikową, Sowietką, Kujbyszewą, Kalinina, Kirowa, Telmana, Ordżonikidze, Frunzego, Dzierżyńskiego, Czapajewa, Tuchaczewskiego.

W nazwach ludzkich ulic są też żołnierze i komuniści z czasów drugiej wojny światowej, powojenni działacze partyjni a nawet Aleksander Newski i Bohdan Chmielnicki.

Jeżeli chodzi o upamiętnienie ludzi kultury i nauki, to też dominują Rosjanie: Puszkina, Tolstoj, Turgieniew, Czechow, Lermontow, Kryłow, Gorki, Niekrasow, Miczurin. Jest też w Lidzie ulica ukraińskiego poety Gogola i na szczęście dostrzeżono wielkość Adama Mickiewicza oraz jego związki z ziemią lidzką.

Dopiero od niedawna dwie skromne uliczki nazwano imieniem Janki Kupały⁷³ i Szolema Alejchemy⁷⁴. Ten drugi był wybitnym żydowskim pisarzem i przedstawicielem narodu tworzącego przed wojną tworzył znaczną społeczność Lidy, w której mieściła się jedna z największych szkół rabinicznych w Europie.

Uważam, że w Lidzie powinien mieć swoją ulicę Franciszek Bahuszewicz⁷⁵ pracujący przez pewien czas jako nauczyciel we wsi Dociszki powiatu lidzkiego. Powinien ją także mieć Karuś Kahaniec⁷⁶, który był zatrudniony w Lidzie przy budowie linii kolejowej do Siedlca. Powinien być również uhonorowani Jakub Kołas⁷⁷ i Maksim Bahdanowicz⁷⁸, a ze współczesnych twórców literatury Uładzimir Karatkiewicz⁷⁹ i Wasil Bykaŭ⁸⁰. Powinni być, ale nie są. Dlaczego? Czyżby ci Białorusini byli za mało białoruscy? A może nie byli białoruscy według oficjalnej, odgórnie ustalonej kiedyś i przez kogoś linii?

22 marca, czwartek

Imianiny Waleryja, Bahusława

Saraki-wiosenne święto rolników. U prawosławnych jest to dzień „Czterdziestu męczenników z Sebasty”⁸¹. Tego dnia oczekiwano przylotu pierwszych skowronków, odtajania drzew. Zima się kończyła, a wiosna zaczynała. Kiedy od Gromnicznej do Czterdziestu utrzymuje się dobra pogoda, to latem można spodziewać się suszy. Po „Czterdziestu męczennikach” przyjdzie jeszcze czterdzieści zimnych dni zanim nastanie prawdziwe ciepło.

Wcześniej rano pojechałem do Grodna, a powodem tej podróży były moje książki. Dwa lata temu przekazałem do sklepiku znajdującego się przy kurii biskupiej broszurę „Trokiele 2003”. W ubiegłym roku dostarczyłem trzy nowe tytuły: „Moje Sobotniki”, „Żemłosław” i „Białoruskie podróże”. Okazało się, że mimo nie tak krótkiego czasu liczba sprzedanych egzemplarzy była znikoma. Nie mogłem sobie tego wytłumaczyć. W moich pracach opisałem historię i życie Polaków na Grodzieńszczyźnie na przykładzie mojej ziemi rodzinnej, w tym także ich życie religijne. W „Białoruskich podróżach” przedstawiłem cztery różnej rangi uroczystości kościelne z roku 2005. Jedną z nich była koronacja Matki Bożej Kongregackiej, patronki Grodna, i jubileusz trzechsetlecia konsekracji bazyliki Świętego Franciszka Ksawerego. Na tej uroczystości było kilka tysięcy wiernych, a ja dałem do sklepiku tylko sześćdziesiąt egzemplarzy książki napisanej w wersji polsko-białoruskiej.

Na miejscu znowu spotkałem się z nieprzychylnym przyjęciem. Siostra zakonna obsługująca sklepik poradziła mi, żebym zabrał książki i pojechał z nimi do Mińska. Jej słowa były dla mnie dziwne. W Grodnie z trzystu tysięcy jego mieszkańców około trzydzieści procent stanowili Polacy i osoby polskiego pochodzenia. W księgarniach nie było polskich książek. Moje prace przeznaczyłem dla Polaków na Grodzieńszczyźnie, a miałem jechać z nimi do Mińska?!

Przekonałem się sam sprzedając moje książki przed kościołami w Sobotnikach, Iwiu i Lidzie, że rodacy byli zainteresowani tym, co napisałem. Trzeba tylko chcieć ich poinformować o istnieniu takich książek. Pokazać im je i zachęcać do nabywania. Widocznie w sklepiu przy kurii biskupiej nikt tego nie chciał.

I jeszcze jedno zdarzenie z tego miejsca, które wywołało moje zdziwienie i konsternację. Przede mną stało dwóch młodych księży. Pierwszy z nich zwracał się do siostry trasianką. Jest to język oparty na połączeniu białoruskiej fonetyki z rosyjskim słownictwem, a czasami i składnią. Taki sam język występuje w słowie drukowanym. Jeżdżę od dawna na Białoruś i trochę znam realia tego kraju. Rozumiem, że ten młody człowiek został wychowany w tym języku, który jest podstawowym na Białorusi. Myślę jednak, że znał też język polski i białoruski. Z pewnością używał ich podczas studiów w seminarium i odprawiając msze oraz nabożeństwa. Powinien też być wiedzieć, że są także inne miejsca czy sytuacje, w których lepiej brzmi i wygląda posługiwanie się jednym z tych języków zamiast trasianką.

Drugi ksiądz robiąc zakupy posługiwał się czystym językiem polskim nawet bez wyraźnego akcentu kresowego. Ten kapłan znał moją książkę o Sobotnikach i bardzo ją chwalił. Był proboszczem w Brzostowicy Wielkiej leżącej blisko naszej granicy. Miasteczko to jest jednym z bastionów polskości i wiary katolickiej na Grodzieńszczyźnie przekazywanych z pokolenia na pokolenie.

Kiedy kilka razy dzwoniłem do grodzieńskiego seminarium, to dyżurna osoba zawsze odzywała się do mnie trasianką. Nie po białorusku, nie po polsku. I to właśnie język trasianki powinien być eliminowany z życia publicznego, szkolnictwa, wychowania i rodziny na korzyść języka białoruskiego, żeby ten nie stał się z czasem tylko elementem folkloru dla zagranicznych turystów.

Uważam, że tak powinno być jeżeli język, którym posługują się obywatele Białorusi i w którym powstaje słowo pi-

sane ma mieć istotne znaczenie dla białoruskiej tożsamości, a nie wyłącznie wewnętrzne przekonanie każdego człowieka. Moim zdaniem trasianka stanowi zagrożenie dla języka białoruskiego, a nie język polski w kościele katolickim, jak uważają na Białorusi niektóre środowiska także opozycyjne wobec obecnej władzy. Podobny też pogląd mają duchowni białoruscy o wyraźnym narodowym i niechętnym Polakom nastawieniu. Do Lidy wróciłem rozgoryczony i z zabranymi ze sklepiu książkami.

24 marca, sobota

Imianiny Safrona, Jafima, Marka

Rano pożegnałem ciocię Władzię i Lidę, i odjechałem do Grodna. Na dworcu autobusowym miał mnie spotkać Stanisław Mulica. To mój ziarniak z wioski Dojlidy położonej niedaleko Iwia. Jego mama Jadwiga Szawioła pochodziła z wioski Kiśe sobotnickiej parafii. W dziecięcych latach Staś wszystkie wakacje spędzał u dziadków w Kiśtych.

Staś był prezesem Towarzystwa Twórców Ludowych na Białorusi. Działo ono przy Związku Polaków na Białorusi, tym nielegalnym, którym wówczas kierowała Andżelika Borys. Towarzystwo powołano do życia w 2002 roku, a inspiracją do jego powstania były obchody pierwszego Kaziuka Grodzieńskiego.

Zebrało się na nim osiemdziesięciu twórców ludowych z Grodna i rejonu grodzieńskiego. Wkrótce dołączyły do nich osoby pochodzące z innych miast i miasteczek Białorusi. Wśród nich znalazły się osoby reprezentujące regionalne ludowe rzemiosła artystyczne takie jak: kowalstwo, tkactwo, wycinanki i pisanki, palmy grodzieńskie, koronkarstwo i haft, wyroby ze słomy i skóry, malarstwo a także wyspecjalizowane w przygotowaniu tradycyjnych potraw kuchni białoruskiej.

Towarzystwo współpracowało z Państwowym Muzeum Kultury Ludowej w Mińsku, z Obwodowym Centrum Twór-

czości Ludowej w Grodnie, z Państwowym Muzeum Historii i Archeologii w Grodnie i z wieloma różnymi ośrodkami rzemiosła ludowego na Białorusi. Nawiązało też kontakty z instytucjami naukowo-badawczymi z Polski, Ukrainy i Litwy, które zajmowały się kulturą ludową.

W Polsce Towarzystwo utrzymywało dobre więzi z Muzeum Etnograficznym w Warszawie, z Muzeum Kultury Ludowej w Węgorzewie, z Muzeum Podlaskim w Białymstoku, z Muzeum Narodowym w Gdańsku, z Muzeum Kultury Ludowej w Otrębusach, ze Stowarzyszeniem „Uroczysko” z Supraśla i wieloma innymi.

Członkowie Towarzystwa wzięli udział w ponad dwustu jarmarkach i wystawach zorganizowanych na Białorusi oraz w Polsce. Na zaproszenie Międzynarodowych Targów Poznańskich byli w ubiegłym roku na grudniowym Festiwalu Sztuki i Przedmiotów Artystycznych. Staś oprócz prezesowania i organizowania zajmował się robieniem wycinanek według wzorów pochodzących z terenów Grodzieńszczyzny.

Z dworca autobusowego Staś odprowadził mnie do niedalekiego żede⁸². Do odjazdu pociągu miałem mało czasu, więc po drodze staraliśmy się wymienić jak najwięcej informacji. Staś i jego Towarzystwo wspierali działania Andżeliki Borys. On sam brał aktywny udział w spotkaniach zarządu Związku, które odbywały się niedaleko siedziby naszego konsulatu w Grodnie.

Szliśmy ulicą Budionnego i właśnie koło niego przechodziliśmy. Był jeszcze zamknięty, a przed bramą ustawiała się spora grupa petentów. Zawieszone na masztach flagi Polski i Unii Europejskiej wyglądały trochę smętnie i były brudne. I znowu męczyły mnie nazwy ulic, tym razem Grodna. Zdecydowanie przeważały w nich nadania imion z niedawnych komunistycznych czasów, w wielu przypadkach takie same jak w Lidzie i w innych białoruskich miastach. Oczywiście byli też Rosjanie z okresu zaborów. Na przykład carski generał Suworow, który pod Stołowiczami zwalczał konfederatów barskich⁸³ na czele z hetmanem wielkim Michałem

Kazimierzem Ogińskim⁸⁴. Nadal też była w Grodnie ulica 17 września 1939 roku.

Z pewnością na Białorusi są jeszcze mocne związki z minioną epoką, dlatego bardzo nieśmiało pojawiają się w nazewnictwie Grodna słowa mówiące o prawdziwej, pięknej i chlubnej historii tego nadniemeńskiego miasta. „Królewskie miasto”, tak reklamowane jest Grodno w niektórych białoruskich przewodnikach. Tak, królewskie, bo ulubione przez Stefana Batorego⁸⁵, który w nim zmarł. Tutaj także zakończył swoje święte życie królewicz Kazimierz⁸⁶. Tutaj odbywały się sejmy grodzieńskie⁸⁷, a baron Antoni Tyzenhauz⁸⁸ dokonał dużego dzieła uprzemysłowienia miasta i okolicy. I jeszcze wiele więcej można by wymienić.

Niedawno ulica Batorego i plac Tyzenhauza dołączyły do ulicy Elizy Orzeszkowej⁸⁹. Pozytywną też zmianę zauważyłem w tym, że chodząc ulicami Grodna mogłem wreszcie czytać to miasto w języku białoruskim, w którym słowo „kawiarnia” wymawia się tak samo jak po polsku.

Kupiłem bilet do Kuźnicy Białostockiej, dwie butelki nieznanego mi piwa rosyjskiego i wymieniłem pozostałe ruble białoruskie na dolary. Staś zrobił mi miłą niespodziankę dając w prezencie kilka swoich wycinanek, parę słomkowych ozdób przedstawiających aniołka i dzwoneczki, kolorową wydmuszkę, zbiorek wierszy autorstwa swojej żony „Spowiedź duszy”, książkę Tadeusza Gawina „Związek Polaków na Białorusi. Historia niszczenia niezależności 1988-2005” oraz dwa wydania „Głosu znad Niemna” i „Magazynu Polskiego” wydrukowane na obczyźnie.

- Tylko schowaj dobrze książkę i niezależną prasę - powiedział Staś. - Jak nasi celnicy je znajdą, to nie pozwolą ci ich przewieźć.

Pożegnaliśmy się do następnego spotkania na Białorusi, a może w Polsce? Będziemy ze sobą w kontakcie internetowym.

Stałem w kolejce do myjni. Podszedł do mnie znany mi już z widzenia mężczyzna z pytaniem, czy nie przewio-

złbym przez granicę kartonu papierosów. Zgodziłem się tym bardziej, że sam nie wiozłem nawet paczki. Celnik nawet nie zajrzał do mojej walizki i po krótkim oczekiwaniu siedziałem już w pociągu.

Po kilku minutach byliśmy nad Niemnem. Rzeczywiście nad Niemnem, nad którym przejechaliśmy wysoko kolejowym mostem. Niemen jest rzeką, której widok tak samo jak Łyntupki, Matruny, Gawii, Wisły i Warty zawsze przyspieszał bicie mojego serca.

W Kuźnicy Białostockiej oddałem powierzone mi papierosy i skorzystałem z usług białoruskich kierowców. Akurat byli na dworcu i swoimi samochodami osobowymi przewozili chętnych podróżnych do Białegostoku. Szczególnie ważne to było dla takich osób, którzy jak ja jechali jeszcze dalej. W ten sposób niedrogo, wtedy zapłaciłem dziesięć złotych, i o wiele szybciej mogłem dojechać do stolicy Podlasia.

Białystok, pociąg, most nad wczesnowiosennie rozlaną Narwią, noc rozjaśniona światłami stolicy, Poznań, dom.

Powrót do domu. Do domu....

1 maja 1958 roku wyjechałem z rodzicami z Sobotnik na stałe do Polski. Miałem wówczas zaledwie dziesięć miesięcy. Pierwszym naszym osiedleniem było Państwowe Gospodarstwo Rolne w Witosławiu koło Osiecznej w leszczyńskim. Mieszkaliśmy tam zaledwie trzy miesiące, więc z tego czasu nic nie pozostało w mojej świadomej pamięci. Następnie przez pięć lat były Żary koło Żagania, dokąd nas ściągnął Stanisław Dziadul, ziarniak z Sobotnik, który z żoną i dziećmi wyjechał z ajczyzny w 1945 roku, zaraz po zakończeniu wojny.

Odwiedziłem Żary przejazdem w 2004 roku, po czterdziestu jeden latach od ich opuszczenia. Odnalazłem ulicę Zgorzelecką, ale kiedy stanąłem przed naszym domem, który zapamiętałem jak przez mgłę, to wydał mi się jakiś mniejszy i nie mogłem go sobie przypomnieć. Sama ulica też wydała mi się obca.

Mieszkał tam jeszcze Jarek Dziadul, wnuk Stanisława, ze swoją rodziną i mamą. Jarek pokazał mi nasze mieszkanie na parterze z oknami wychodzącymi na podwórze. Zajmowała je wnuczka jednego z domowników z naszych jeszcze czasów, ale jej akurat nie było. Nie mogłem więc wejść do środka i spróbować przypomnieć sobie malutką kuchnię oraz duży pokój.

Nie zająrzałem też na tyły domu, gdzie jak zapamiętałem był jakiś ogród przechodzący w łąkę z niewielkim strumieniem. Dlatego nie zobaczyłem siebie stojącego na krześle pod drzewem, ubranego w białą koszulkę z kołnierzykiem i krótkimi rękawami, w czarne spodnie do kolan z szelkami połączonymi na przedzie poprzecznym paskiem. Na stopach mam skarpetki i jasne skórzane półbuty. Trzymam się wysokiego oparcia krzesła, lekko w bok przekrzywiam dużą głowę i mruję oczy przed słońcem pozując do ustawionego zdjęcia.

Nie mogłem też przypomnieć siebie siedzącego na zielonym dziecięcym rowerze marki Bobo, opartym o fragment muru porośniętego winoroślą. Nie umiałem wtedy jeszcze jeździć, a tata może dopiero jutro przymocuje mi za siodełkiem kawałek drewnianej łąty i trzymając ją przeprowadzi pierwszą lekcję rowerowej jazdy. Na zdjęciu trzymam mocno przekrzywioną w bok kierownicę i spoglądam prosto w obiektyw aparatu. Ubrany jestem w letnie jasne ubranko, może uszyte przez mamę, a może kupione w sklepie lub na rynku w mieście. Na głowie mam kolorowy słomkowy kapelusz z szerokim podwiniętym rondem. Jest przesunięty do tyłu i widać moje włosy z krótko przyciętą grzywką, tworzącą wysoko nad czołem jedną równą poziomą linię.

Tak, za mało miałem czasu, żeby dłużej porozmawiać z Jarkiem, wspomnieć Wieśka Kaczmarka, razem tworzyliśmy nierozłączną trójkę rówieśników, który wrócił z rodzicami gdzieś pod Kraków, rozdmuchać tę mgłę i jeszcze raz ujrzeć nasze najmłodsze i pierwsze zapamiętane lata.

W 1963 roku zamieszkaliśmy w Poznaniu dzięki Marii Kononowicz, żonie stryja mamy Franciszka, starszego brata dziadka Jana. Franciszek w drugiej połowie lat trzydziestych ubiegłego wieku wyjechał za chlebem z Sobotnik do Francji. Znalazł pracę w zakładzie hutniczym w mieście Denain koło Lille, w okręgu Valenciennes na północy kraju. Poznał tam Marię Koszarek, urodzoną w Strzałkowie koło Wrześni, która przyjechała na pewien czas do Francji do swoich krewnych. Maria miała dziesięcioro rodzeństwa i była trzecia w kolejności, jeżeli chodzi o wiek.

W 1931 roku Franciszek i Maria pobrali się, a w 1947 przyjechali do Poznania. Zamieszkali na osiedlu Warszawskim w domu przy ulicy Łęczyckiej 7. Byli jego współwłaścicielami, a budynek powstał jeszcze przed wojną. Na jego realizację małżonkowie przysyłali pieniądze zarobione we Francji. Franek pomagał też finansowo swojemu bratu Jankowi, dzięki czemu rozpoczął on stawianie nowej chaty na kolonii sobotnickiej koło Dowgiałowszczyzny.

Po osiedleniu się w Poznaniu Franciszek pisał do brata w listach, że dokona wszelkich starań, żeby jego rodzina na stałe przyjechała do Polski. Tak się też miało stać w roku 1946 i wszelkie formalności były już załatwione. Niestety, tragiczna śmierć babci Wiktorii, żony dziadka Jana, pokrzyżowała plany rodziny Kononowiczów. Nie chciał on już wyjeżdżać mimo obiecywanej pomocy brata. Ekspatriacja⁹⁰ została zrealizowana się częściowo dopiero po ślubie moich rodziców. Franciszek wtedy już nie żył, zmarł 25 czerwca 1951 roku, ale sprawę sprowadzenia do Poznania rodziny brata przekazał swojej żonie Marii, która się tego podjęła. I za to jesteśmy jej bardzo wdzięczni, a szczególnie moja mama.

Przyjechaliliśmy więc do Poznania na osiedle Warszawskie przy ulicy Łęczyckiej 7. Nasza ulica była wybrukowana kocimi łbami, tak jak wówczas wszystkie na osiedlu. Tylko odcinek ulicy Swarzędzkiej, gdzie mieściła się apteka, pokryty był asfaltem.

Na zdjęciu z 1936 roku nasz dom stoi w całej swojej okazałości. Jest nieotynkowany. Z frontu, na parterze po prawej stronie, widać witrynę i drzwi wejściowe do sklepu prawdopodobnie z artykułami drogowymi i chemicznymi. Z trudem odczytuję umieszczone na szybie okna wystawowego niewielkie nazwy reklam Persil i Henko.

Z lewej strony budynku widać fragment sąsiedniego domu Nowickich. Z tyłu za nim i po prawej jego stronie rozpościera się pustkowie aż po horyzont zamknięty rzędem drzew. Chociaż drugi plan fotografii jest niewyraźny, to rozpoznaję na nim paliki wytyczające kolejne posesje na zabudowanych dzisiaj ulicach Inowrocławskiej i Pilskiej.

W 1963 roku dom przy ulicy Łęczyckiej był nadal nieotynkowany. Mimo że Franciszek i Maria Kononowiczowie byli jego współwłaścicielami, to nasze warunki mieszkaniowe były trudne. W budynku znajdowały się cztery niewielkie mieszkania o powierzchni czterdziestu dwóch metrów kwadratowych i czterech lokatorów: na parterze mieszkali Chwirotowie i Helkowie, na piętrze Maria Kononowicz i Woźniakowie. Dodatkowo u babci, tak mówiłem do mamy cioci, mieszkała jedna pani, która wynajmowała najmniejszy pokój zaadaptowany z kuchni. Babcia Maria odstąpiła nam jeden z czternastometrowych pokoi, a sama przeniosła się do drugiego. Ten pokój służył nam także za kuchnię.

Kiedy w 1964 roku urodziła się moja siostra Irena, jeszcze przez pewien czas mieszkaliśmy we czworo w tym jednym pokoju zanim sublokatorka się wyprowadziła. Minęło kilka lat i babcia przeniosła się na parter, na zwolnione lokum po Helkach. No i my mieliśmy już całe mieszkanie dla siebie.

Drzwi wejście do naszego budynku znajdowały się na ścianie wschodniej, od strony posesji Kopaczów, gdzie mieszkali także Kobylińscy. Za drzwiami było zejście do piwnic i pralni oraz schody prowadzące do samego strychu, do parteru pięć stopni betonowych, a dalej drewniane. Klatki schodowe, betonowa na parterze, były obszerne kosztem metrażu miesz-

kań, przez co nie było w nich łazienek tylko większe toalety z umywalkami.

Piwnice służyły do składu węgla i drewna opałowego, do przechowywania kompotów oraz innych przetworów spożywczych na zimę, niewielkiej beczki z kiszonymi ogórkami bądź kapustą. W swojej piwnicy Feliks Woźniak prowadził warsztat mechaniczny, w którym produkował noże tokarskie. W pralni był piec z dużym metalowym kotłem do podgrzewania wody. Stały w niej także blaszane wanny i tarki oraz pralka wirowa Frania z ręczną wyżyrmarką. Na strychu, który się rozciągał nad całym piętrem, wieszano się pranie do wysuszenia. Nie wszystkie domy na ulicy Łęczyckiej miały tak obszerne strychy, dlatego niektórzy sąsiedzi czasami przynosili swoje pranie do nas.

Przy ścianie frontowej domu, południowej, rosło słodkie białe winogrono o dużych owocach. Było mocno rozkrzewione i wspinało się po drewnianym stelażu przymocowanym do ściany aż do okien pierwszego piętra i balkonu.

Przed domem był niewielki ogródek, w którym królowała wiśnia łutówka. Drzewo było dość wysokie i miało szeroką rozłożystą koronę. Co roku na wiosnę bujnie zakwitało, a latem dawało mnogość dużych ciemnoczerwonych owoców o kwaśnym smaku przenikniętym odrobiną słodczy.

Przy drugiej ścianie bocznej domu, zachodniej, od strony sąsiadów Nowickich ale bardziej z tyłu, rosły dwie wysokie grusze. Jedna miała owoce niezbyt duże i twarde w kolorze szarej zieleni, które nabierały miękkości i smaku dopiero po dłuższym leżakowaniu w kartonie. Owoce drugiej były duże z żółtoczerwonym rumieńcem, dojrzewały na drzewie, były soczyste i bardzo smaczne. Przy tej gruszy na narożniku budynku stała niewielka drewniana szopa.

Na tyłach domu mieściła się niewielka spółdzielcza piekarnia. Pracowało w niej dwóch mistrzów piekarskich, kilku czeladników i pomocników. Kierownikiem zakładu był Bronisław Nowak, były więzień Oświęcimia. Latem, wieczorami, z otwartych okien piekarni dochodziła radiowa muzyka

i odgłosy pracujących ludzi, dla których dopiero rozpoczynał się dzień roboczy, a właściwie był to początek roboczej nocy, podczas gdy dla nas zwykły dzień dobiegał końca.

W porannych zapachach wokół domu był smak świeżego ciepłego chleba, spękanej jasno złotobrazowej i chrupiącej skórki na bokach bochenka, podłużnych kawiorów, niewielkich i krągłych pszennych bułek. Pieczywo sprzedawano bezpośrednio w piekarni od godziny szóstej, a od ósmej w niewielkim sklepie spożywczym, który znajdował się na parterze frontu naszego domu w miejscu przedwojennej drogerii.

Wiklinowe kosze pełne pachnących bochenków postawionych na sztorc niecierpliwie czekały na stopniach wejściowych do sklepu, aż otworzą się drzwi i zostaną wniesione do środka. Ta ich niecierpliwość wynikała z obawy, żeby nie uciekło ciepło z ich zawartości, a z nim smak miękiszu i osobno przeżuwanej skórki chleba, zanim nie trafi on do rąk kupujących. Później puste już kosze stały na podwórku między domem i piekarnią i były świetną zabawą do tworzenia z nich budowli z sekretnymi tunelami.

Piekarnia piekła nie tylko swoje wyroby. Dwa razy w roku, na Boże Narodzenie i na Wielkanoc, mieszkańcy okolicznych ulic przynosili do wypieku blachy z sernikami, makowcami i jabłecznikami własnej roboty. Może nie każdy miał możliwości takiego wypieku w domu, ale z pewnością placki upieczone w piekarniczym piecu smakowały lepiej niż te z domowego piekarnika.

Przed sklepem około godziny piątej pojawiali się mleczarze. Nadjeżdżali od strony ulicy Mogileńskiej niemelodyjnie stukocząc podskakującymi na samochodzie kankami z mlekiem i śmietaną, zastąpionymi później przez szklane butelki w ażurowych drucianych pojemnikach. Największy hałas był oczywiście podczas rozładunku pod naszym domem.

W tym sklepie, ja i moi najbliżsi koledzy: Jacek, Maciej i Mariusz - kilkuletni szczawiki, kupowaliśmy lizaki w kształcie kogutka lub głowy Mikołaja, landrynki na wagę, dropsy

o smaku owocowym - kolorowe krążki zawinięte w papierową tubkę, kawałki słodkich bloków o smaku czekoladowym lub kawowym z wtopionymi weń herbatnikami. Jednak największym dla nas smakołykiem była oranżada w proszku, zamknięta w niewielkiej papierowej torebce. Otwieraliśmy ją i językiem nabieraliśmy do buzi odrobinę pomarańczowej substancji cmokając przy tym głośno i smakowicie.

Dom przy ulicy Łęczyckiej 7 w Poznaniu był moim prawdziwym domem rodzinnym, który zawsze będę ciepło wspominał. Mieszkalem w nim dziewiętnaście lat, najpiękniejszych lat mojego życia. Tutaj swoje pierwsze trzy lata przeżył mój syn Jasiu. Moje i siostry dzieci mówiły na babcię Marię Kononowicz „Babcia Starsza”, żeby odróżnić ją od tych babć prawdziwych i też o imieniu Maria. Babcia Starsza umarła w swoim mieszkaniu cichutko i spokojnie dnia 28 kwietnia 2000 roku. Miała dziewięćdziesiąt siedem lat.

Ale przecież mój dom rodzinny mógł być równie dobrze tam, w Sobotnikach na Białorusi. Właściwie przede wszystkim tam. W miasteczku i gminie ze strony mamy i taty zostali rodzice, bracia i siostry, najbliższe wujostwo i kuzynostwo oraz dalsi krewni. I została ziemia i kościół, i Gawia z Matrzną i Łyntupką, i groby na cmentarzu. Dobrze, że one mają swoich strażników, że nie wszyscy wyjechali.

Kim bym tam był w dorosłym życiu gdybyśmy zostali? Nigdy się nad tym nie zastanawiałem. Czy mieszkałbym w Sobotnikach i pracował w miejscowym kołchozie? A może zdobyłbym wyższe wykształcenie i osiedlił się w Lidzie, Grodnie lub w Mińsku? Za kogo bym się uważał pod względem narodowościowym? Z pewnością za Polaka, ale co by się kryło pod tym słowem? Czy umiałbym mówić po polsku? W jakim stopniu znałbym i pielęgnował polskie tradycje kulturowe i religijne?

To by dużo zależało od wychowania w moim domu rodzinnym, ale o to mógłbym być spokojny. Dobre wychowanie dzieci i młodzieży w polskich domach na Kresach Wschodnich było dla nich skuteczną obroną przed wynarodowie-

niem, ateizmem, narzuceniem sowieckich norm moralnych i obyczajowych.

Kiedy pisałem ten tekst u progu moich pięćdziesięciu jeden lat wiedziałem, że mieszkając na Białorusi mógłbym też w sercu uważać się trochę za Litwina. Ale nie za przedstawiciela narodu żyjącego we współczesnym państwie litewskim powstałym w dwudziestym wieku, który na Białorusi jest nazywany Litowcem. Za Licwina, jak tam mówią, któremu bliska jest wielonarodowa i wielokulturowa tradycja dawnych ziem Wielkiego Księstwa Litewskiego. Wielu mieszkańców Białorusi uważa się właśnie, i według mnie słusznie, za Licwinów, czyli za Litwinów w podobnym naszym polskim historycznym rozumieniu tego słowa. „Litwo! Ojczyzno moja! (...)”⁹¹ pisał mój wielki ziemiak Adam myśląc o tych terenach.

Czerwień/lipień 2007

(26.06-11.07.2007)

26 czerwca, wtorek

Imianiny Akuliny, Antaniny, Paūła

W czerwcu gospodarz zobaczy, co mu Bóg dać raczy.

Wędrawne chmury deszczu nie niosą.

I znowu pociągiem TLK do Białegostoku. Tym razem pojechałem z mamą, która ostatni raz odwiedziła rodzinne strony pięć lat temu. Mama bardzo chciała ponownie spotkać się ze swoimi siostrami Władzią i Zosią. Okazją do tej podróży był IX Zjazd Lidzian⁹². Wzięliśmy w nim udział, ale wpraw przez tydzień byliśmy w Sobotnikach i na kolonii.

Z Poznania wyjechaliśmy o godzinie drugiej minut czternaście. Dlaczego tak wcześnie, chociaż autobus do Lidy relacji Białystok-Mińsk odjeżdżał dwadzieścia minut po piętnastej? Otóż nie mieliśmy białoruskich wiz i chcieliśmy je z marszu załatwić w Białymstoku.

W stolicy Podlasia byliśmy tuż przed godziną dziewiątą. Zostawiliśmy bagaż w przechowalni, wzięliśmy taksówkę i pojechaliśmy do konsulatu Białorusi. Przed budynkiem była spora kolejka, ale szybko przesuwała się do przodu. Wypełniliśmy wnioski wizowe, w pobliskim banku opłaciliśmy koszty wiz i wróciliśmy na dworzec PKP. Ja na chwilę zostawiłem mamę samą i poszedłem na dworzec autobusowy kupić bilety do Lidy.

Dworzec kolejowy w Białymstoku został kilka lat temu gruntownie odremontowany i bardzo mi się podobał. W jego wnętrzu znalazły miejsce: salonik prasowy i książkowy, sklep fotograficzny z punktem ksero, schludne toalety i niedrogi bar z różnorodnym asortymentem potraw obiadowych. Skorzystaliśmy z niego, bowiem same kanapki na długą podróż wydały nam się niewystarczające. Następnie wzięliśmy nasz bagaż i udaliśmy się na dworzec PKS.

Po odbiór wiz pojechałem sam. Trochę się przestraszyłem widząc znacznie więcej ludzi przed konsulatem niż rano. Wydawanie wiz odbywało się o godzinie trzynastej, do której brakowało piętnastu minut, a my za dwie i pół godziny mieliśmy odjazd do Lidy. Wszystko przebiegło jednak sprawnie i o planowanym czasie wyruszyliśmy z Białegostoku w kierunku polsko-białoruskiej granicy.

W autobusie razem z dwoma kierowcami było nas zaledwie piętnaście osób. Dobrych kilka lat temu jeździł on prawie całkowicie pełny. A jeszcze wcześniej sześć dni w tygodniu, na trasie Lida-Białystok-Lida, regularnie kursował zawsze pełen jedenastoosobowy rafik⁹³. I jeszcze jeździł normalny autobus, który codziennie pokonywał tę samą marszrutę. Ten, którym jechaliśmy przemierzał swoją drogę tylko trzy razy w tygodniu.

Oprócz nas podróżowało jeszcze dwoje Polaków. Jednym z nich był starszy ksiądz, który udawał się do swojej parafii w miasteczku Pierwszaje w rejonie Iwieniec w obwodzie mińskim. Pracował tam już siedemnasty rok. Drugą osobą była młoda kobieta, która jechała do Mińska. Zauważyłem podczas tej i poprzednich wypraw na Białoruś, że my Polacy nie rozmawiamy ze sobą podczas ich trwania. Wygląda to tak, jakby każdy z nas chciał skrycie przejechać granicę i szybko znaleźć się na stacji końcowej.

Granice przekroczyliśmy szybko i późnym wieczorem byliśmy w Lidzie. Bardzo ciepło przywitaliśmy się z Władzią. Zjedliśmy kolację i po krótkiej rozmowie o najważniejszych rodzinnych sprawach położyliśmy się spać, gdyż nazajutrz czekała nas dalsza droga. Był jeszcze telefon od kuzyna Janka z Sobotnik, który wiedział, że przyjedziemy i zadeklarował odebranie nas z Iwia swoim samochodem.

27 czerwca, środa

Imianiny Jelisieja, Mscisława, Uładzisława, Maryi
Odpust w naszej parafii w Sobotnikach - kościół Świętego
Władysława króla Węgier.

Pierwsza letnia mgła jest dobrą oznaką udanego grzybobrania.

Duszno o poranku - na nie pogodę.

Wilgotne liście kwiatów pokojowych - będzie deszcz.

Rano pojechaliśmy z bagażami do Iwia w celu zarejestrowania naszego pobytu na Białorusi. Byliśmy jednymi z pierwszych petentów, a moje pewne już doświadczenie w wypełnianiu druków pozwoliło na szybkie przebrnięcie przez procedurę meldunkową.

Kiedy otwierałem drzwi budynku wydziału paszportowego milicji, żeby wyjść na zewnątrz, za klamkę po drugiej stronie równocześnie chwycił Janek. Niedaleko na placu w centrum Iwia zaparkował swój samochód. Wsiadliśmy do niego, kuzyn przekreślił kluczyki stacyjki jeden, drugi, trzeci raz, ale bez efektu odpalenia swojej bryki. Zawołał przechodzących obok młodzieńców, którzy wzięli wysłużonego żyhuli⁹⁴ na pych i już jechaliśmy. Po kilkunastu minutach byliśmy w naszym miasteczku. Janek zatrzymał się przed kościołem, ale nie wyłączył silnika z obawy, że go znów nie uruchomi.

Weszliśmy z mamą do naszej świątyni, gdzie zostaliśmy ochrzczeni, i tata, i nasi przodkowie. Gdzie mama z tatą brali ślub i gdzie przez wieki kapłani wiązali stulą dłonie innym Niechwiadowiczom, Kononowiczom oraz wybrańcom ich serc, i gdzie odprawiano msze żałobne w ich intencji przed ostatnim pożegnaniem na cmentarzu parafialnym za rzeką Gawią. Msza akurat się zakończyła. Grupka wiernych stała przed kopią Całunu Turyńskiego, a proboszcz ojciec Franciszek Gałdyś objaśniał im poszczególne elementy obrazu i ich znaczenie. Byliśmy w kościele bardzo krótko, gdyż śpieszyliśmy się na spotkanie z mamą Janka i siostrą mojego taty, ciocią Janiną.

Ciocia parę lat temu zamieszkała u swojej córki Ireny we wsi Sienkiewiczze w rejonie Łuniniec w obwodzie brzeskim na Polesiu. Do rodzinnego miasteczka przyjechała specjalnie, żeby pomodlić się przed kopią świętej relikwii, która przybyła do Sobotnik z pobliskiego Żemłosławia. Uroczyste nabożeństwo rozpoczęło się tam o północy, a skupienie modlitewne wiernych trwało kilka godzin.

Po południu miał przyjechać z Łunińca kuzyn Tadeusz żeby spotkać się z nami i zabrać swoją mamę do Sienkiewicz, Było więc trochę czasu, żeby starsze panie ze sobą porozmawiały. Nie wiadomo, czy się jeszcze kiedyś zobaczą za swojego życia.

Wreszcie przyjechał Tadzik z córką i zięciem, młodymi lekarzami. Bożena akurat zakończyła studia w Grodnie i z dumą pokazywała nam swój dyplom. Jej mąż odbywał praktykę lekarską w szpitalu w Hancewiczach na Polesiu. Jak zwykle przy takim rodzinnym spotkaniu pojawiło się na stole więcej różnego rodzaju smakowitych potraw.

Były kupne i domowe wędliny na czele z ciemnowiśniową polędwicą ozdobioną z jednej strony delikatnym kołnierzykiem białego tłuszczu. Były kotlety mielone, pieczona kura, okraszone ziemniaki puree nazywane tutaj kaszą, grzyby w śmietanie, grzyby w delikatnym occie i pod jeszcze inną postacią. Wśród nich znalazły się ubiegłoroczne rydze, które zasolone dobrze przechowały się przez zimę. Były pomidory, całe i nieduże, zakonserwowane też w delikatnym occie.

Tadeusz przywiózł ryby złowione dzień wcześniej i miód prosto z ula. Dawno nie jadłem świeżego miodu wysysanego prosto z plastra. Był wielokwiatowy i bardzo słodki, z zapachem ziół z poleskich łąk, na które wiosną Tadzik wywiózł swoje dwadzieścia uli.

Do picia mieliśmy sok brzozowy, dobrą czystą białoruską wódkę i trochę samogonu, szampan i koniak oraz ludzkie piwo. No i oczywiście był ciemny dobry chleb, jak tutaj mówią „czorny chleb”, bez którego na Białorusi nie może się odbyć żaden posiłek.

Rozmowom przy stole nie było końca, a czasu na wspólne spotkanie mieliśmy mało. I jak tu mogliśmy przekazać wszystkie swoje myśli, wyrazić uczucia, opowiedzieć, co nowego zaszło w naszym życiu, powspominać? Niestety, poleska część naszej rodziny musiała wcześniej odjechać, gdyż czekało ich ponad dwieście kilometrów drogi.

Ja z mamą poszliśmy przywitać się z mieszkającą po sąsiedzku bratową mojego taty, też ciocią Janiną. Stryj Albin zmarł osiemnaście lat temu. Był bardzo dobrym krawcem.

Ciocia żyła sama w domu, który młodym małżonkom pomagał stawiać dziadek Bronisław Niechwiadowicz. Miała dwie zamężne córki i wnuki. Starsza Irena mieszkała w Niżnym Nowgorodzie w Rosji, a młodsza Alicja w Lidzie. To właśnie z ich synami zrobiłem niewielki spływ Gavią latem 2006 roku. Ciocia Janka była na emeryturze, którą wypracowała na etacie pielęgniarki w sobotnickim szpitalu. Swoje zawodowe zainteresowania nadal kontynuowała. Zajmowała się masażem leczniczym i ziołolecznictwem. Jej przydomowy ogród pełen był melisy, szalwii, tymianku, estragonu, hyzopu lekarskiego, arcydzięgla litworu oraz innych bardziej rzadkich ziół.

Zebraliśmy się i my do pójścia do Zosi na odległą o dwa kilometry kolonię. Nie było jednak mowy o tym, żebyśmy poszli pieszo i do tego jeszcze z bagażami. Kuzyn Janek zawołał swojego kolegę imiennika Janka Makucewicza, który znał się na elektromechanice samochodowej, żeby zobaczył co się z jego pojazdem dzieje. Janek wyjął z samochodu alternator, coś tam w nim sprawdzał, mierzył, założył nowe śruby i zamontował z powrotem. Było gotowe i mogliśmy udać się w krótką podróż.

Piaszczystą wstęgą Łyntupskiej Drogi powoli dojechaliśmy do wyżłobionego przez koła traktorów i kombajnów przejazdu przez pole, które wyznaczone wiele lat temu stało się trwałą polną drogą. Podjechaliśmy na skraj lasu, kiedy nagle samochód zaczął gwałtownie prychać. Spokojny dotąd szum silnika załamał się, a spod maski zaczął wydobywać

się dym. Byliśmy blisko naszego celu, ale dalsza jazda samochodem stała się niemożliwa. Nawet gdyby był sprawny, to przed nami na leśnej drodze leżały drzewa uniemożliwiające przejazd.

U Zosi na kolonii

Ta leśna droga, dorożka jak u nas mówią, nie była szeroka. Z ledwością mógł nią przejechać osobowy samochód ocierając się o gałęzie drzew i krzewów. Wiodła ona prosto do gospodarstwa dziadka Jana, gdzie mieszkała siostra mamy i moja chrzestna Janina Zofia, na którą wszyscy od małego dziecka mówili Zosia. Razem z nią żył jej mąż Władek Tuczkowski, który pochodził z wioski Pietrymanowszczyzna sobotnickiej gminy. Ich jedynak Witek założył rodzinę w Lidzie.

Ciągnęliśmy nasze walizki po nierównej ziemi przykrytej w wielu miejscach starym igliwem i zeszłorocznymi liśćmi, spod których wyrastały zielone kępki różnych traw. Las, który nam towarzyszył był mieszany z przewagą sosen i brzoź tworzących wzdłuż dorożki wysoki i dość szczelny szpaler. Podeszliśmy do kilku powalonych drzew tarasujących dalsze przejście.

Dwa lata temu przeszła tutaj trąba powietrzna. Zakręciła, zawirowała, połamala sporo drzew, siłowała się z dziadkowym domem, ale nie dała mu rady i odleciała dalej. W swym powietrznym dzikim i bezładnym tańcu raz po raz dotykała naszej ziemi zostawiając na niej trwałe ślady swej obecności. Połamala sosny na Łysej Górze, zniszczyła niewielki i bardzo piękny brzozowy las na początku kolonii przy Dowgiałowszczyźnie, powaliła pojedyncze drzewa w Sobotnikach. Pojawiła się przelotnie rok później, a także tej wiosny układając na drodze do domu dziadka Jana kilka drzew, o których zapomniiała wcześniej. Taka jest uroda tej naszej trąby powietrznej, którą starsi mieszkańcy sobotnickiej gminy pamiętają jeszcze sprzed wojny.

Staliśmy z mamą i zastanawialiśmy się, co robić? Jak dalej iść? Na wprost była barykada nie do przejścia dla mamy, a po bokach, na jasnych polanach powstałych po wyrębie połamanych drzew posadzono nowy las. Kilkunastocentymetrowe zielone iglaste sadzonki śmiało przebijały się ku słońcu w gęstwinie dojrzewających malin i raczkujących brzoź.

Nagle z daleka dostrzegłem wujka Władka. Zawołałem do niego i pomachałem ręką. Wujek podniósł dłoń do oczu zasłaniając je przed blaskiem zachodzącego słońca. Z początku nas nie poznał, ale ruszył w naszą stronę to przechodząc przez powalone drzewa, to nachylając się pod nimi. Zawołałem jeszcze raz i wujek już wiedział kim jesteśmy. Podeszedł do nas rozradowany. Zamieniliśmy kilka pierwszych słów, ale to jeszcze nie było powitanie.

Wujek wziął od mamy walizkę i ruszyliśmy za nim na ukos przez redliny z sadzonkami. Przedzieraliśmy się przez malinowe sznury, delikatne gałązki młodych brzoźek, bujne krzewy rozmarynu. Mama zgubiła po drodze parasolkę, którą później znalazłem. Minęliśmy stare gumno stojące w cieniu dwóch wiekowych brzoź i już witaliśmy się z Zosią i dopiero wtedy z Władkiem.

Była radość i uściski, i były łzy. Nawet tak szorstki chłop jak wujek ocierał dłonią wilgotne oczy. I było zaskoczenie. Ciocia wiedziała, że przyjadę na Władysława, na nasze parafialne święto. Ale nie wiedziała, że z mamą, najstarszą z czworga rodzeństwa.

Leśna droga. A przecież przed wojną było tutaj dziadkowe pole.

- Pole, niaūzosh szto było. Wsiudy było pole, aż pad chatu. Tolki kala reczki byli olchi. Oj mój Boże! Oj mój Boże! - wspominała później przy kolacji Zosia. - Hraczychu⁹⁵ siejali. Pomnisz Mania, zaprehli kania z taboj, i eta, jechać pa hraczychu czy kuda to. Ety no, dyk ety koń, nie tak my jaho zaprehli i w wozie astalisia, a koń paszoū.

- Nie pamiętam tego - z uśmiechem powiedziała mama.

- Nu, ty nie pomnisz - niedowierzała ciocia.

- Nie tak duhu⁹⁶ założyli - stwierdził Władek. - Na pierad duhu założyli i huży⁹⁷, wsio.

Ale jak ja nie paznaū? Użo oczy haūno. Dumaju, eta Kaszalotawa Maryna z etym Tuczkouškim iduć. Ależ dumaju, wałaszy ryżyje, a u hetaj czornyje. Niedzie pakrasila na ryże. I jak ty rukoj machnuū ja jeszcze nie paznaū. Dumaju, niechtoż rukoj machaje. No pajdu pahladžu. Hladžu, wyszoū za adnu sasnu, za druhuju. Tysz wo - zaśmiał się Władek.

- Hawary, nie machaj rukami - powiedziała Zosia.

- Jaż srazu nie paznaū ni Kazika ni Mani.

- Dyk jak wy praz hetyje kusty ...

- Ja paszoū bokam, pasadkaj⁹⁸ my iszli.

- Znowu zawałiła etu darożku. Byli aczyściūszy.

Po tych rozmowach i późnej kolacji, i jeszcze pełni emocji ze spotkania położyliśmy się na nocny odpoczynek. Właściwie to jeszcze nie była noc, lecz późny wieczór. Ale taki jest rytuał każdego dnia życia w starości u cioci i wujka. Oboje z mamą też byliśmy zmęczeni.

Pamiętam z dzieciństwa późne letnie wieczory na kolonii. Małe światełka w oddali. Porykiwanie bydła, pokrzykiwanie ludzi przy ostatnich tego dnia obrządkach gospodarskich. Ich głosy niosące się przez zasłone przyjaznej ciemności. Ciocia Jadwiga idąca po naftę do lamp do otwartego jeszcze sklepu w bliskiej Łyntupi. Ostatnie ptasie trele, a po nich tylko kumkanie żab, które jeszcze nie mają zamiaru iść spać.

Ciociu Jadwigo, jak ty trafiałaś po ciemku do Łyntupi? Aha, przecież na pamięć znałaś wszystkie miejscowe ścieżki i dróżki. Wiedziałaś, w którym miejscu jest kładka na Łyntupce i mościk. Mogłaś wszędzie iść z zamkniętymi oczami. Wiodły cię różne głosy, a srebrny miesięczek zawsze dla ciebie świecił. Byłaś dla mnie tutaj babcią, życzliwa krucha drobinko, siostró dziadka Jana. Zastępowałaś mi prawdziwą babcię, tę znaną tylko z opowiadań, ale ogromnie kochaną babcię Wiktorie.

U Zosi jak zwykle nie mogłem długo zasnąć. Przewracałem się z boku na bok i spoglądałem w okno. Schowany za drzewami

olbrzymi księżyc oświecał bliską Dowgiałowszczyznę i niebo nad kolonią. Było jasno i o wiele wcześniej na sen. W miasteczku ludzie chodzili spać dużo później niż tutaj. I zawsze mi się wydawało, że w Sobotnikach ciemna nocka przychodziła prędzej niż na kolonii. A kiedy już przyszła i zaświeciły gwiazdy to były tak nisko, że mogłem je chwycić ręką. I było ich tak dużo, że prawie jedna przy drugiej. Chciałem wówczas wskoczyć na Wielki Wóz, zaprząć do niego skrzydlatego Pegaza i pognać Mleczną Drogą nad naszą piękną ziemią, nad Sobotnikami.

Raz w domu w Poznaniu, we śnie, płynąłem nocą nad moją ajczyną doznając przy tym niesamowicie przyjemnego uczucia lekkości. Moje nieważkie ciało bardzo wolno poruszało się w nadziemnej przestrzeni. Obracałem się w lewą i prawą stronę, koziołkowałem do przodu i do tyłu, wykonywałem długie księżycowe susy. Leciałem nad Sobotnikami, przypatrywałem się mijanym wioskom, szukałem wzrokiem znajomych miejsc i srebrnej od odbicia księżycowego światła wstęgi Gawii. W pewnej chwili moje stopy zatrzymały się w miejscu, podczas gdy reszta ciała wychylała się poziomo nad kolonią jak kłos żyta przeginanego silniejszym wiatrem. Po otwarciu oczu przez chwilę nie wiedziałem czy jestem jeszcze we śnie czy już na jawie, tak silne było to moje senne marzenie. Nawet kilka dni później mogłem je dokładnie odтворzyć w pamięci.

Tak, bardzo często nam się śni ziemia nasza rodzinna. Śni się wszystkim tym, którzy musieli ją opuścić. Śni się mi, który jako dziesięciomiesięczne niemowlę nie mogłem jej świadomie zapamiętać. Śni się Kazikowi Tuczowskiemu z Sobotnik i Czesiowi Wasilewskiemu z Dobrowalan, którzy wyjechali jako trzynastoletni chłopcy. Śniła się Władkowi Karpuciowi z wioski Kisłe, który zostawił ją mając czterdzieści lat i z rodziną osiedlił się w Chojnowie. W ostatnim okresie życia choroba przywiązała go do łóżka. Kiedy tylko Władek poczuł się lepiej na siłach to wstawał i mówił, że idzie do Kisłych, do swojej rodzinnej wioski.

Letni poranek w naszych stronach jest podobnie jak wieczór cichy i jasny. W dzień pojawia się wiatr, na niebie przemieszczają się kuczawyja⁹⁹ obłoki i może przejść krótki nawalniczy deszcz. Prędkość wiatrów w ciągu dnia jest mniejsza niż zimą, ale zdarzają się huragany i trąby powietrzne jak nasza sobotnicka. Tak można by bardzo ogólnie opisać tutejsze lato.

A jak słowem do wyobraźni nanieść na białe kartki papieru obrazy naszej ziemi? Zapowiadające piękny letni dzień ciepło wschodzącego słońca, różową mgłę nad Matruną, krople rosy kołyszące się na żdźbłach trawy, delikatny powiew znajomego wiatru, pofalowaną wstęgę Gawii, zapach siana w stodole, pierwsze barwy jesiennych liści, skrzypienie śniegu pod butami, wczesnowiosenną nagość drzew?

Czy umiałbym opisać widok kilku tysięcy bocianów, które na początku września zebrały się na polu za chatą Janka na swój ostatni i wielki sejm przed odlotem do ciepłych krajów?

28 czerwca, czwartek

Imianiny Ryhora

*Obficie kwitnie jarzębina - będzie urodzaj na len.
Jeżeli noc jest bez rosy, to w dzień będzie padać deszcz.*

Mama nareszcie mogła odpocząć po trudach podróży. Chociaż urodziła się w Sobotnikach, to właśnie na kolonii przeżyła dziewczęce, a później panieńskie lata. Lata różne, w których decydującym wydarzeniem była śmierć matki Wiktorii zastrzelonej przez sowieckiego milicjanta - bandytę w 1946 roku. A wszystko w rodzinie Kononowiczów było już gotowe do wyjazdu do Polski.

Na pierwsze na kolonii śniadanie jedliśmy jajka usmażone na sześciocentymetrowej słoninie i domowej kiełbasie. Kiełbasa ta jest podobna do naszej polskiej surowej, ale jaśniejsza, gdyż nie wędzona.

- Biary blin da sibile, Kazik. Co ty łamajesz? I jana też do sibile blin biary. Co ty łamajesz pa kusoczku? - powiedziała do nas Zosia. - Kazik, bierz czaj. Mania, może da czaju hetaho, wo, tut daŭszy Janka.

- I ty Zosia jedz - zachęcała mama młodszą siostrę.

- Ja nie chaczu. Ja trochi źjeła kuraciny z blinom i tyje wo syrniki. Papiała czaju, źjeła i nie chaczu.

Wróciliśmy do przerwanej wczoraj rozmowy.

- Hraczycha małaja, kaleni baliali, a hetyj łubin adzirać¹⁰⁰ treba było. Oj! - wspominała Zosia młode lata.

- Ja pamiętam - z uśmiechem odezwała się mama - poszłam raz na zabawę. Tata powiedział, że jak rano wstanę to mam ścinać jęczmień, który rósł niedaleko domu. Wróciłam późno i wcześniej wstałam. Wyszłam na pole i założyłam sierpem, a oczy mnie się tak zamykali, że dosłownie spałam.

- A jak żesz ja nie wiedaju. Ci my z taboju ci z Władziej? Tady wieczarynkaż była. Pryszli na ranicy i treba było iści tudy, za kudru¹⁰¹ żać¹⁰². My paszli - zaśmiała się Zosia - snopów nażali i lahli. Do storty tata prychodzić, my śpim. Boże, mój Boże!

- Bić nas nie bił - komentowała mama. - Tylko na nas pokrzyczał. Mamusia była bardzo szybka do roboty. Jak rozpoczęła żać, to pędziła a pędziła, tak ścinała. Pamiętam, założyłam sierpem i już mnie śpina¹⁰³ bolała. Zaczęłam płakać, a ciocia Jadwiga powiedziała: „Chodź Maryśka do mnie, chodź” i ja już z ciocią żałam. Mama do przodu, a my och, daleko od niej byli.

- Mama była na pieradzie. Mama była na pieradzie - powtórzyła kilka razy Zosia podkreślając kluczową pozycję babci Wiktorii w rodzinie Kononowiczów.

- Mania, niekali ludzi pracawali. Oh! - skomentował wspomnienia sióstr Władek.

- Był już brat Janek, a mama bardzo chciała jeszcze drugiego chłopczyka urodzić - zaznaczyła moja mama.

- Nu, tut treba było chłopca, kab rabotnik byŭ. Tut treba było dwóch muszczyn na etu ziamlu. Dobrych dwóch

muszczyn. I ziamla drenna. Jakaja tut ziamla? Wo ja skolka raz siejaũ jaczmiẽn, na piadź uwyrascie. Jakajaż ziamla? Wo skolka raz za baniej tut wo siejaũ i tut siejaũ. Hnoju dasi, wsio rabiũ, kali on nie raście. Pole drenne. Jakojeż tut pole?

I wspominając teścia wujek Władek mówił dalej.

- Dyk baćka nieboszczyk mnie kazaũ, pad Łyntupskaj Darohaj sześćdziesiąt złotych stoła ziamla, tut trydcać. U Subotnikach sto złotych ziamla stoła. Nu dyk wot. A bal-szawiki jak zajszi, haktar. Nu durni zajszi, zduszyli ludzi. Mało szto haktar, a kaczestwo¹⁰⁴ ziamli? Nu dyk pry Polszczyż było skolka stoł. Dyk za subotnicku ziamlu, za haktar, tut try dawali. Mnież baćka razkazywaũ. Nu dyk szto ty woźmiesz na tych troch haktarach, kali ana chuja nie warta - skończył w swoisty dla siebie sposób Władek.

Babcia Wiktoria była nie tylko energiczna w pracy i w prowadzeniu gospodarstwa domowego, ale także była bardzo odważna. 21 czerwca 1941 roku Niemcy zaatakowały Związek Sowiecki, swoich niedawnych partnerów w rozgrabianiu Europy. Niektórzy sowieccy żołnierze przebywający na terenie naszej gminy nie zdążyli w porę wycofać się ze swoim oddziałem.

Pewnego dnia babcia Wiktoria, która wyszła niedaleko chaty nazrywać trawy i pokrzyw dla świń, natknęła się na jednego z nich ukrytego w rowie. Wróciła z powrotem i przyniosła mu cywilne ubranie dziadka, a następnie przeprowadziła obok niemieckiego posterunku w bezpieczne miejsce. Żołnierz ten chował się później przed Niemcami jako jeden z mieszkańców miasteczka. Chodził razem z wszystkimi do kościoła, szybko nauczył się polskich modlitw i pieśni i przeżył wojnę. On też po wojnie pomścił śmierć babci Wiktorii.

Zostawiliśmy dalsze wspomnienia na jutro i wyszliśmy z mamą przejść się po dawnym gospodarstwie Kononowiczów i jego sąsiedztwie. W przydomowym sadzie rosły jabłonie posadzone ręką dziadka Jana. Jeszcze tliły się w nich iskierki życia, jeszcze ostatnim tchem wydawały owoce. Dom stał

nad rzeczką Łyntupką, która płynąc dalej przecinała drogę Sobotniki - Lipniszki kilometr przed Borowikami i wpadała do Gawii w miejscu nazywanym Linkiszki. Przed wojną w pobliżu tego miejsca znajdował się niewielki majątek Ganów z modrzewiowym dworkiem, który od tej rzeczki wziął swoją nazwę - Łyntupka.

Kiedy całą rodziną przyjeżdżaliśmy do dziadków Konnowiczów, a my z siostrą byliśmy jeszcze dziećmi, wybiegałem z nią rano z chaty, żeby umyć się w Łyntupce stojąc na niewielkiej drewnianej kładce. Rzeczka była bardzo wąska i mogłem ją przeskoczyć odbijając się z miejsca dwoma nogami. Kilka lat temu Łyntupka została poprzecinana bobrowymi tamami, rozlała się szeroko i była dla mnie nie do poznania. Kiedyś na kolonii każdy gospodarz kosił trawę aż do brzegu rzeczki. Tak samo było nad większą Matruną w innej części sobotnickiej kolonii. Dzisiaj nie ma komu kosić i przyroda z powrotem przejęła te miejsca w swoje władanie, a Łyntupka ukryła się za licznymi drzewami i krzewami.

Po prawej stronie domu dziadka było gospodarstwo Tomasza i Marii Tuczowskich. Pozostało po nim trochę wolnej przestrzeni między drzewami, gdzie kiedyś stała chata i budynki gospodarskie. W starym sadzie rosły dziczące powoli jabłonie. Wśród nich były papierówki, które jeszcze rodziły okazałe owoce. Bięły naliū, jak je u nas nazywają. Tuczowscy mieli czworo dzieci, a wśród nich syna Walentego, starszego o dwa lata od mojego taty.

Podczas jednego z moich pobytów w Sobotnikach zaszliśmy z Jankiem do jednego człowieka, który robił pomniki nagrobne. Na podwórku na ławce siedział starszy mężczyzna z dużymi wąsami. Kiedy skończyliśmy rozmawiać z kamieniarzem, ja mówiłem po polsku, wąsacz zwrócił się do mnie czystą polszczyzną.

- A jak tam zdrowie twojego ojca? Jak życie, nie bajki?
- Kto pieniądze ma ten żeni się bogato, kto pieniądze nie ma smutno patrzy na to - dodał wierszem.
- A skąd pan mnie zna? - zapytałem go zdziwiony.

- Podobny jesteś do Stasia. Twój ojciec i ja byliśmy kolegami.

- Tata jest już na emeryturze, ale nie lubi siedzieć bezczynnie i zawsze znajduje sobie jakieś zajęcie. Mama jeszcze szyje, zdrowie im dopisuje. Mieszkają w tym samym domu razem z moją siostrą i jej rodziną - powiedziałem opisując pokrótce moich bliskich.

- Pra **siebie** **trochu** **razkażycie** - zwrócił się do niego Janek

- Nu żywu bez nuždy bez gora¹⁰⁵. Po polsku ja mogę też rozmawiać. Wszystko dobrze. Dziękować Bogu żyję o - powiedział i przeciągnął dłonią pod brodą.

- Zdarōuje? - zapytał Janek.

- Zdarōuje? Nie czustwuj¹⁰⁶. Wraczej nie lublu, ruskich i białaruskich, ot. I u Polsczy nie chaczu leczycca, ot. I za hranicu nie chaczu jechać. Mnie tut charaszo. Trinadcać milionaū¹⁰⁷ płaciać dzienieg i żywu bez nuždy i bez gora.

- Trinadcać milionaū to na dolary dwadzieścia pięć - wtrącił kuzyn.

- Tak, kochany ty mój.

- No to do widzenia - powiedzieliśmy do niego z Jankiem na pożegnanie.

- Do widzenia. Dziękuję pokornie - odpowiedział wśczech Walenty Tuczkowski, kolega taty z młodych lat.

Za pustym miejscem po Tuczowskich nadal mieszkali Walenty i Helena Puciulowie. Ich dom, obejście, niewielki sad i łąka utrzymane były we wzorowym porządku. Nie trzymali już krowy, świń, ani nawet kur. Ktoś z Sobotnik przyjeżdżał i kosił ich łąkę na swoje potrzeby. W zamianę przywoził im mleko i jajka, a resztę należności spłacał pieniędzmi. Inne potrzebne produkty i rzeczy Puciulowie kupowali ze swoich emerytur. Walenty bardzo niewyraźnie mówił, gdyż od dziecka miał sztuczną część podniebienia.

Ale w latach pięćdziesiątych, kiedy na koloniach i w wioskach było tyle młodzieży, tyle gwaru i śmiechu, nadziei i planów w młodych głowach, Walenty wraz z innymi brał udział w wieczorynkach i festach¹⁰⁸. Przysłuchiwał się wy-

powiadanym marzeniom i sam z ufnością patrzył w swoją przyszłość.

Lata młode przeleciały nie wiadomo kiedy. Dzieci poszły swoją drogą, wnuki pokończyły szkoły i też zamieszkały gdzie indziej. W wielu wioskach pozostali nieliczni mieszkańcy, w większości starzy i schorowani. Choroby nóg już nie pozwalają im na trzymanie krowy, świń, wyprawę po produkty do miasteczka. Rak przywiązał ciała do łóżek i szybko odlicza dni do odejścia do wieczności. Ludzie mówią, że te choroby zostały spowodowane ciężką fizyczną pracą nie tylko w kołchozie, ale i na swojej małej gospodarce. Wiele zajęć wykonywało się ręcznie, a ludzki grzbiet był codziennym środkiem transportu dzia^{ru}hi¹⁰⁹ siana, worka z kartoflami, czy też pnia ściętego drzewa. A może i Czarnobyl pożył swój śmiertelny cień na tej ziemi?

Rodzina Walentego Tuczkowskiego od dawna nie mieszkała na kolonii i ja jej nie znałem. Najbliższymi dziadka Jana sąsiadami po lewej stronie byli Henryk i Wiktoria Grażyńscy. Podczas naszych wizyt bawiłem się z ich dziećmi, starszą ode mnie o rok Krysią i o kilka lat młodszym jej bratem Jurkiem. Wiktoria, Wikcia, była z domu Stankiewicz z Dowgiałowszczyzny. Heniek przed ożenkiem mieszkał w Sobotnikach, ale na kolonii stała już nowa chata należąca do jego rodziny. Wikcia miała troje rodzeństwa, z którego najstarszą była Felicja. Fela słynęła w całej szerokiej okolicy z niezwyklej urody i nazywano ją Carycą. W 1939 roku miała dwadzieścia lat.

Trzymam przed sobą rodzinne zdjęcie Stankiewiczów zrobione około 1949 roku. Na fotografii są Bronisław i Maria z Bigoniów oraz ich dzieci: Felicja, Genowefa, Wiktoria i Antoni. Fela stoi lekko uśmiechnięta. Zaczesane gładko do tyłu ciemno blond włosy odsłaniają jej szerokie czoło. Twarz ma trochę pociągłą. Pod policzkami widać śliczne i delikatne zagłębienia, końcówki kresek brwi są lekko opuszczone w dół, a wyraźnie zarysowany podbródek świadczy o silnym charakterze dziewczyny.

W czasie wojny, kiedy front akurat przesunął się na zachód i po raz drugi przyszli Sowieci, niedaleko Sobotnik został strącony niemiecki samolot. Rannego pilota znalazły w lesie dzieci z Dowgiałowszczyzny i powiadomiły o tym starsze dziewczyny. Fela, która była odważna i trochę znała język niemiecki, wraz z dwoma koleżankami przyszły zobaczyć rannego. Wieczorem przywiozły go ukrytego na wozie pośród snopów żyta do stodoły Stankiewiczów. Tam obejrzały jego rany i je opatrzyły. I tak było codziennie przez dwa miesiące.

Pilot na tyle wydobrzeał, że zaczął samodzielnie chodzić o pałce¹¹⁰ koło stodoły. Pewnego dnia w jej pobliżu i wewnątrz rozległy się gwałtowne krzyki po rosyjsku. Po chwili sowieccy żołnierze wyprowadzili ze stodoły Niemca. Podjechał samochód, wrzucili go do środka i powieźli do Iwia. Nie wiadomo, co się z nim później stało, ale widziano go jak obmiał podwórko i ulicę przed siedzibą władz rejonu.

Za ukrywanie niemieckiego lotnika Fela i jej matka były sądzone w Iwiu. Los był jednak dla nich łaskawy i w więzieniu siedziały bardzo krótko. Józik Rusakiewicz spotkał później kilka razy Felę w Dowgiałowszczyźnie. Nie mieszkała już w wiosce, ale w Lidzie. Jej piękne włosy zrobiły się zupełnie siwe. Nadal jednak była pełna naturalnego uroku i elegancji.

- A Paszkowa Hańcia, a Janinka Horbaczwaha Józika też bez noh - Zosia wieczorem opisywała znajomych z Dowgiałowszczyzny.

- A Józik żyje? - zapytała mama siostrę.

- Żyje, ale ni sotkaū nie sadiūszy byli ani niczoha. Karowy nie majuć, nie wiedaju świniej. Tolki kania. Józik niczoha wyhladaje i jana choraszo wyhladaje, ale bez noh.

- Muszę coś jeszcze narzucić na siebie, bo mi trochę zimno - powiedziała mama.

- No dyk biary tam na kreśle maja takaja szweda¹¹¹. Wo, wo, hety adzień. Adziewaj, adziewaj hety - pokazała Zosia.

- Wiesz co Zosieczka, że najlepiej to ja mam z was wszystkich.

- Najlepiej, najlepiej. Ja užo i płaczu i wspaminaju. Boże, mój Bożeczka! Oj **ciażka** było kak mamu zabili. Jak tata kazaū: „Jak Boh daū tak i **musisz** harawać”. A **ciapier** szto ty zrobisz? Ja chwora, bez noh. Ni **dojdziesz** nidzie - powiedziała ciocia i lzy zakręciły się w jej oczach.

Anna Suczewska, wieczny pokój, opowiedziała mi kiedyś, jak niedługo po tej tragedii spotkała dziadka Jana koło swojej chaty, gdy z Sobotnik wracał do siebie przez kolonię nad Matruną.

- Usiadł na ganku i płacze. - Czego płaczesz? - zapytała ją go.

- Ja już zapomniałem jak ja nazywam się. Żona haławu skróciła¹¹², latała do Polskaj jechać. I **doczka** skrócić haławu.

- Kažu, **pajeduć** i żyć **buduć**. A jon **dobra** tak **wypiuśzy** byū. Kažu, nie płacz, **usio**. Dyk kažu, **zajdzi** pasiadzi.

- Nie, **pajdu**. **Prapuści**¹¹³ mnie praz **reczku**.

- I ja praz **kładku** **jaho** **prapuściła**.

Władzia, najmłodsza z siostr, zapamiętała zdarzenie, jakie miało miejsce tuż po śmierci matki. Był 1946 rok. Wojna niedawno się skończyła. Panowała wielka bieda. Zraniona ziemia odpoczywała, a ludzie nie przyzwyczaili się jeszcze do nowej rzeczywistości. W związku z wyjazdem do Polski dziadkowie Kononowiczowie, tak jak inne rodziny, nie obsiiali większości swojego pola. Pozbyli się też części inwentarza i sprzętu gospodarczego. W domu miały pozostać Michalina, matka dziadka Jana, i jego siostra Jadwiga. Po tragicznej śmierci babci Wiktorii dziadek załamał się i zrezygnował z wyjazdu. Bardzo przeżywał śmierć żony i często płakał, ale skrywał to przed dziećmi.

W tamtym tuż powojennym czasie w okolicy pojawiała się sporo obcych osób żebrzących i proszących o wsparcie.

Pewnego dnia w progu dziadkowej chaty stanęła stara kobieta z żebraczą torbą na ramieniu. Kiedy ujrzała trzy wychudzone i bose dziewczynki siedzące na piecu w kuchni, bez słowa sięgnęła do swojej torby. Wyjęła z niej kawałek chleba, dała im i odeszła na swoją dalszą wędrówkę.

- Ciociu, a co jedliście, jak zabrakło mamy? - spróbowałem szybko przejść to bolesne wspomnienie.

- Szto tam jeli? Czort jehō znaje szto jeli. Chaładnik, bulbu¹¹⁴, buraki, szto jeli.

- Ja pamiętam - wtrąciła się mama. - Nieraz chłopcy tu wstąpili z Byczkoū ...

- Pajdu ū Nackawiczy - przerwała jej Zosia. - W Nackawiczy jak pajdu, tam baba użo wiereszczaki¹¹⁵ narobić. I pa skolki tam skwarek! Chdziesz ty je zjasi tuju skwarku. Nadto szmat skwarek. I bliny z hreckaj muki. Jeszcze Lonia żywie. Nie wiedaju jak tam.

Na starość, kiedy jest się tylko we dwoje i żyje zgodnie to jedno drugiego podtrzymuje, pomaga w chorobie, w codziennym zmaganiu się z różnymi przeciwnościami. Dzieci żyją gdzieś w miastach. Jedne często odwiedzają rodziców niosąc im pomoc na stare lata w obowiązku i w podziękowaniu za dar istnienia i trud wychowania. Inne rzadziej się pojawiają zajęte swoim często też niełatwym życiem. Są też i tacy, którzy zapominają o swych rodzicielach.

Samotność na starość to trudna próba dla człowieka, to jak ciężka choroba. Czasami dołącza do niej alkoholizm, przeciw któremu trudno jest się w pojedynkę obronić.

Alkoholizm stał się ciężkim znamieniem tej ziemi z chwilą pojawienia się na niej Sowietów, a jak mi powiedziano ludzie piją teraz więcej niż dawniej. Przykładem tej sytuacji była kontynuowana rozmowa siostr, a właściwie opowieść Zosi o jednym ze starszych mieszkańców Dowgiałowszczyzny. Mieszkał on razem ze swoim synem alkoholikiem. Pewnego jesienno go dnia ubiegłego roku poszedł do lasu i ...

- Dwie noczy w lesie naczawaū. Nie pamior. Dwie noczy i zimno było, użo osień i bulbu kapali. Paszoū pa hryby i po tym, tam ci on zabłudziūsia, ci on szto, nie znaju. - Szukali, szukali, szukali - Zosia dodała emocji opowiadaniu.

- Ale dobra szto Halina Dubickawa kapala bulbu i uwi-dzieła, szto paszoū niehto tudy. To wiedzieli dzie szukać. Dwie noczy. Kazaū chacieū pamiraci. No serce mocne. Cia-

pier lażyć, wo, synok dahladaje. Piensiu woźmie, pajedzie u Sybotniki, nakuplaje sabie wina, napijecca i wsio. A niczo ha sabie nie sadziū, ni bulbaczki. Tak rok jaszczе choć nijaki aharod byū pasadziūszy.

Wujek postanowił pochwalić się przed nami nowymi wiadomościami i powiedział:

- Ale użo księdza baradatoho nima.

Wiedziałem, że miał na myśli ojca Krzysztofa Groszyka, kapucyna z Polski, który po siedemnastu latach pracy na Białorusi w Sobotnikach i Lipniskach powrócił do kraju.

- Kazik, a ū Lipniskach żesz, tu byū że ksiądz jaszczе adzin. Hety i astaŭsia musi? - zapytała Zosia.

- Tak ciociu.

- Ale tam baradaty! Hety to charoszy, dobry byū ksiądz - szybko poprawił się wujek.

- W Gieranionach także zmienili księdza - dodałem.

Zasłużonego dla tej parafii ojca Ryszarda Czajkę, chrystusowca z Polski, zastąpił Andrzej Łysy rodem z Iwia. Rok temu ukończył Seminarium Towarzystwa Chrystusowego dla Polonii Zagranicznej w Poznaniu. Jego kolega Oleg Szpieć, też z Iwia, dwa lata temu został pierwszym wyświęconym na księdza chrystusowcem z Białorusi. Po praktyce w Polsce otrzymał parafię w Hancewiczach na Polesiu. Niedługo Sergiusz Angur z Iwia i Andrzej Ryngiel z niedalekiego Barowa nad Niemnem też opuszczają mury seminarium.

- Nasz ksiądz jaszczе na hod wyrabiū, jaszczе hod budzie - powiedziała ciocia mając na myśli ojca Franciszka Gałdysia, proboszcza naszej parafii.

Znaczyło to, że miał on ważny pobyt na Białorusi i zezwolenie na pracę w parafii Sobotniki do końca tego roku. Księża i siostry z zagranicy muszą co pół roku składać wnioski o ich przedłużenie.

30 czerwca, sobota

Imianiny Manuła, Sawelia, Emilii

Pszczóły oblażyły ścianki ula - będzie upał.

Ten dzień był zupełnie inny od dotychczasowych. Po południu, kiedy jechałem rowerem wzdłuż kolonii do miasteczka, minęło mnie parę młodych osób skręcając do Dowgiałowszczyzny. Po ich pośpiechu i przejętych twarzach widać było, że w wiosce musiało się coś stać.

I stało się. Zmarła Alina Grażyńska lat czterdzieści dwa. Jej dziadek Witold Grażyński zginął w bitwie o Monte Cassino¹¹⁶. Był strzelcem w 17. batalionie strzelców w 6 Lwowskiej Brygadzie Piechoty Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie. Dzień po jego śmierci na ruinach klasztoru załopotąła białoczerwona flaga.

Aliny ojciec Waław w latach pięćdziesiątych wyjechał do Donbasu na Ukrainie, gdzie pracował w kopalni węgla. W wypadku górniczym stracił oczy. Wcześniej poznał dziewczynę, Rosjankę Olę. Wacek był wysoki, przystojny i sympatyczny. Dobrze grał na akordeonie i ładnie śpiewał. Młodzi zakochali się w sobie, a Ola nie opuściła Waława po jego tragedii. Pobrali się i przyjechali do jego rodzinnej wioski.

Późnym wieczorem, kiedy niebo nad kolonią rozświeciły już gwiazdy, wyszedłem z domu dziadka Jana i ruszyłem znajomą ścieżką do bliskiej Dowgiałowszczyzny. Ścieżka została wydeptana przez ludzi i krowy. Krów już nie było i ścieżka coraz bardziej zarastała wracając we władanie lasu, którego skrajem biegła. Otaczający mnie pomrok rozjaśniałem żarzącym się ognikiem papierosa.

Kroczyłem powoli zwracając baczną uwagę, by nie zahaczyć nogami o wystające korzenie drzew, nie nadziać się na wyciągnięte do mnie gałęzie krzewów. Po paru minutach byłem na mostku na Łyntupce. Przy drewnianym krzyżu skręciłem w lewą stronę i wszedłem do wioski drogą wybrukowaną z rzadka polnymi kamieniami. W coraz większej

ciemności wypatrywałem światełek rodzinnego domu zmarłej Aliny. Odbywało się tam nocne czuwanie modlitwne przy jej zwłokach.

Wszedłem do chaty i prowadzony słyszonym śpiewem otworzyłem drzwi pokoju. W otwartej trumnie leżała ona, odświętnie ubrana, przykryta delikatną, ażurową białą narzutą. Twarz miała zasłoniętą, więc nie widziałem czy pani Śmierć łaskawie zostawiła na niej uśmiech na pożegnanie tego świata.

Za stołem siedziały cztery kobiety i po polsku śpiewały psalmy. Śpiewały wolno, przeciągając niektóre sylaby.

(...) Wzywam cień, Boże, świadku mojej niewinności,
Któryś mnie zwykł wywodzić zawsze z mych trudności;
Chciej się teraz nade mną strapionym zmiłować
A moje smutne prośby łaskawie przyjmować!

A wy, o nieżyczliwi i zapamiętali
Długo się na mą sławę będziecie targali?
Długo rzeczy znikome naśladować chcecie?
I lada wiatru, głupi, chwycić się będziecie?

Także wiecie, kogo sam Pan godnie miłuje,
Tego w żadnej przygodzie Pan nie odstępuje;
Nie odstąpił mi miły Pan nigdy łaski swojej
Dawał miejsce i dawa, i da prośbie mojej. (...) ¹¹⁷

Wieczny odpoczynek racz jej dać Panie,
A światłość wiekuista niechaj jej świeci wiecznie.

Trzy ze śpiewających kobiet znałem. Były to: moja kuma Maryna Kiewra, jej mama Janina, na którą mówią Janeczka, i Ania Pożniakowa po mężu Nastusiewicz. Na stole leżały owoce, słodczy i napoje. Panie musiały się trochę posilać, bo z przerwami miały śpiewać do północy.

Na krzesłach siedziały matka zmarłej i kilka sąsiadek ze wsi. Był też Józef Nowicki i Marysia, córka Loni Stankiewiczowej, która przyjechała z Lidy pożegnać swoją koleżankę i przyjaciółkę. Stałem przy piecu i tak jak inni modliłem się

w milczeniu. W swoim życiu nigdy przedtem nie przebywałem tak długo i tak blisko obok zmarłej osoby. Jeszcze wczoraj rano Alina żyła, chociaż może w swoim umyśle zdawała sobie sprawę, że coś ważnego się dla niej wydarzy.

„Miahka była”, czyli wiotka i delikatna jak ją wnosili do mieszkania, a to oznaczało, że niedługo będzie w wiosce kolejny pogrzeb. Tak powiedział wujek Władek i to się sprawdziło. Tego samego roku w wieku osiemdziesięciu trzech lat zmarł Wiktor Paszko. Po godzinie czuwania wyszedłem z chaty i zamyślony nad nieznanym mi życiem Aliny i jej śmiercią wróciłem na kolonię.

- Pokul¹¹⁸ jeszcze przyjdę śpiewaki, zbierajutca usie swaje wiaskowyje i różaniec haworyć. Śpiewaki spiewajuć tady. Na druhi dzień chawajuć użo. Pierwsza imsza¹¹⁹ w miesiac bywaje, a tady racznica kali pamiorszy w rok - tak mi objaśniła tradycję pogrzebową w naszych stronach Zosia.

A kto odmówi różaniec za umarłego ostatniego mieszkańca wioski Dowgiałowszczyzna, za umarłego ostatniego mieszkańca kolonii?

1 lipca, niedziela

Imianiny Liawoncja, Mariana, Haliny

Wieczorem koniki polne grają na dobrą pogodę.

Po południu poszedłem na pogrzeb Aliny. W Dowgiałowszczyźnie mieszkało zaledwie kilkanaście osób i do tego kilka na kolonii, więc na mszy pogrzebowej było nas niewiele i ta garstka odprowadziła zmarłą na cmentarz za rzeką Gawią. Alina została pochowana w nowej jego części.

Podczas pochówku nastąpiło niewielkie zamieszanie. Krewni Aliny ze strony jej mamy byli wyznania prawosławnego. Chcieli, żeby przy ostatnim pożegnaniu przy otwartej trumnie zostawić na zmarłej białą ażurową narzutę. Nasza wiekowa tradycja w Sobotnikach jest inna i wszelkie dodat-

kowe okrycia są zdejmowane z nieboszczyka przed zamknięciem wieka trumny. Zostało tak, jak jest u nas.

Po skończonej ceremonii podszedł do mnie mężczyzna trochę młodszy ode mnie i powiedział:

- Cześć Kazik.

Ja go nie poznałem, a on przedstawił się jako Staś Tuczowski. Tyle lat minęło, więc nie pamiętałem, że jako dzieci bawiliśmy się razem w Pietrymanowszczyźnie. Mieszkała tam wówczas ciocia Zosia z mężem i teściową. Kilkaset metrów dalej w wiosce Ślesary mieszkała ciocia Janka, siostra mojego taty, która wyszła za mąż za Antka Kursewicza. Także u nich często bywałem i bawiłem się z miejscowymi dziećmi nad wodną strugą łączącą się z Matruną. Może wśród nich była Maria Juralewicz, obecna pani dyrektor szkoły w Sobotnikach?

Mama Stasia, Helena z domu Grażyńska, była rodzoną siostrą ojca zmarłej Aliny. Na wieść o przyjeździe mojej mamy wskoczyła na rower i przyjechała z Pietrymanowszczyzny na kolonię, żeby się z nią zobaczyć i porozmawiać. Nie widziały się od wielu lat, a w młodości były dobrymi koleżankami i przyjaciółkami.

Zaraz po pogrzebie poszedłem na nasze rodzinne groby. Później dowiedziałem się, że rodzina Aliny chciała zaprosić mnie na poczęstunek.

- Gdzież jest nasz Polak? - pytali się jeden drugiego patrząc dookoła na cmentarzu.

2 lipca, poniedziałek

Imianiny Iwana

Zbiegły się chmurki w jedną dużą - będzie padać deszcz.

Słońca w jaszczkach¹²⁰ potnieje - też będzie padało.

Na Białorusi jest wiele małych wiosek, kolonii i chutorów zamieszkałych przez nielicznych już mieszkańców, przeważ-

nie starych ludzi. W miejscach tych i w ich pobliżu nie ma żadnych sklepów spożywczych, a oprócz starości choroby tego wieku często uniemożliwiają udanie się po niezbędne produkty żywnościowe oraz inne do miasteczka.

Dawniej, i ja to dobrze pamiętam z wcześniejszych podróży, w wielu wioskach były sklepy, czyli jak tam u nas mówią mahaziny. Można było w nich kupić chleb, wędliny, herbatę, mąkę i różne kasze, sól i cukier, konserwy rybne, oranzadę, napoje alkoholowe i papierosy, niektóre artykuły potrzebne w gospodarstwie domowym jak na przykład naftę, kiedy jeszcze nie wszędzie był prąd. Dzisiaj sklepy funkcjonują tylko w niektórych ludniejszych jeszcze wioskach i w miasteczkach. Są w nich także małe prywatne sklepiki, jak na przykład w Żemłosławiu i Sobotnikach.

Do pozostałych wiosek naszej gminy, a szczególnie tych bardziej oddalonych od miasteczka, produkty spożywcze oraz inne są dowożone z Iwia specjalnym samochodem zwanym autalaŭka¹²¹. Trasa takiego przejazdu jest zawsze ustalona, co do dnia i mniej więcej godziny. I jest to raz lub dwa razy w tygodniu. Do Dowgiałowszczyzny autalaŭka przyjeżdżała zawsze w poniedziałki około godziny dwunastej.

Lekko mżyło jak wychodziłem do wioski, żeby pomóc cioci przynieść do domu siatki z zakupami. Rozłożyłem stary damski parasol i mokrą zarastającą ścieżką udałem się na punkt zborny. Znajdował się on przy zagrodzie Loni Stankiewicz, gdzie zwykle zatrzymywała się autalaŭka. Zaledwie kilka kobiet na nią czekało: Janka Stankiewicz, Janeczka Kiewra, Albina Nowicka, moja ciocia Zosia Tuczkowska, Lonia Stankiewicz i Marysia Hryniuk. Siedziały na szerokiej ławce przytulonej do gumna, a od delikatnie kropiącego deszczu osłaniały je wystające stare płyty szyfieru¹²², którym pokryto dach budynku. Usiadłem między nimi i przysłuchiwałem się prowadzonym rozmowom. Chociaż tematyka ich była różna, to dotyczyła bieżącego życia, jak kiedyś w Polsce w kolejkach za żywnością na kartki.

Kobiety dużo rozmawiały o pogodzie. W telewizji mówili, że po Grodnie będzie deszcz, ale u nas bardziej sprawdza się prognoza dla Mińska, więc może nie będzie padać. Wspominały jakąś Mańkę, która była bardzo zapracowana bo i skacinę¹²³ miała, i musiała sianować, i krowę zagonić do stada idącego na pastwisko, a potem spotkać ją, i codziennie do kościoła chodziła, a ten jej to tylko by pił.

Mówiły o tym, jak u nich rośnie bulba i czy jest nawożona. Obornika na wiosce nie było, bo nikt już nie trzymał krowy i mało kto świnie. Na kolonii jedynie Janeczka i Dabryńska miały krowy, ale to było o wiele za mało, żeby naturalnym nawozem zasilić ziemię pod kartoflane sotki. Rozrzuca się go jedynie na działce przy zagrodzie, a na pole potrzebna jest saletra.

Coś dołożyli emerytom do pensji, jakieś cztery tysiące rubli, ale to grosze, a nie żadna dobawka. Więc rząd ma coraz mniejsze uznanie w oczach ubogich emerytów.

Niewiasty częstowały się przyniesionymi jabłkami.

- Ważmi antonoŭku - powiedziała Stankiewiczowa do Kiewry.

- Nie, sałodki - ta odparła sięgając po drugi gatunek. - Adnaho razu moj Kiewra zjeżdżaŭ do Kałabunskaho. Tu niedaleko na kolonii - wyjaśniła mi. - Tam u joch nadto sałodkie i smacznyje jabłyki byli. Nima użo toj chaty, ni tych chlawoŭ i inszych budynkaŭ. - Jany sałodkie, ależ jany twiordyje - stwierdziła kosztując swoje jabłko. - Jany jaszczе asiennije. Jany priama ŭ rocie rastajuć jak dastaniesz¹²⁴.

Tak sobie rozmawiały, kiedy niespodziewanie zza chaty Loni wyłonił się konny wóz z kilkoma starszymi osobami. Minęli nas w milczeniu pozdrawiając skinieniem głów. Koń był zaprzężony do wozu z charakterystyczną duhą. Powoli i spokojnie ciągnął wóz z pasażerami w kierunku Dowgiałowskiej Drogi.

- To adnapolcy - stwierdziła Janka Stankiewiczowa. - Jeduć za nieczym u Sybotniki.

Niewielka wioska Odnopol (Annopol) leżała niedaleko drogi Sobotniki - Lipniszki i znajdowała się w jurysdykcji parafii lipniskiej, chociaż historycznie i jeszcze przed wojną należała do sobotnickiej.

Wstałem, żeby zrobić kobietom pamiątkowe zdjęcie.

- A szto to, **budzie** zdjęcie? My **baby** **szyrokaj** **kaści**, **trudno** **zniać** - powiedziała śmiejąc się Janeczka.

- Dyk a szto, **usich** nas **zojmiesz** ci im bliżej **sieści**? - zapytała mnie ciocia.

- **Choroszo** **siadzicie**, bo pad **kaściołam** **budziecie** **wisiać** - zażartowała znowu Kiewra, mając na myśli moją wystawę fotograficzną.

Panie przysunęły się bliżej siebie i wychyliły zza osłaniających je malw, a ja pstryknąłem kilka fotek.

Wreszcie nadjechał samochód, stary pojazd z napisem „Produkty” przystosowany do przewozu żywności. Jednak tym razem wybór ich był niewielki. Chleb, mąka, cukier, kasze, jakaś kielbasa, mrożone ryby, napoje, trochę domowej chemii i coś tam jeszcze.

Ciocia chciała kupić pomidory i kurę chcąc oszczędzić swoją gromadkę, ale drobiu już nie było. Przywiozą za tydzień. U sprzedających można zmówić jakiś konkretny towar i wtedy jest gwarancja, że się go otrzyma. Nie dotyczy to jednak wszystkich artykułów. Tak to wygląda. No cóż, autołaŭka to nie sklep spożywczy w miasteczku, ale dobrze, że jest.

3 lipca, wtorek

Imianiny Hleba, Iny, Rymy, Anatola

Lipiec, kosi i żnie, długo spać nie daje.

Kto w lipcu na polu pocieje, tego zimą piec ogrzeje.

Ostatnie dwa dni pobytu na ajczyynie. Mama nie ruszała się z kolonii, a ja pomagałem kuzynowi Jankowi w wybetonowaniu nowego chodnika z ulicy Antakol do domu i dalej

do budynków gospodarczych. W drewnianej podłużnej kaskie ręcznie mieszałem zaprawę betonową nazywaną tutaj roztworem. W profilowaniu chodnika pomagał nam Wołodia z wioski Kwiatkowce naszej gminy, który akurat pracował na różnych budowach w Sobotnikach. Ich front był szeroki, gdyż nasze miasteczko miało zostać przekształcone w *ahrohardok*¹²⁵.

Była to nowa tendencja w przemianach gospodarczych na Białorusi, która miała na celu przekształcenie i zreformowanie wiejskich centrów gminnych. Według pomysłodawców dzięki temu białoruska wieś przestanie się wyludniać, młodzi ludzie będą mieli dobrą i realną perspektywę do pozostania w takim miejscu i do założenia rodziny

Ja jednak uważam, że dla młodych ludzi kończących dziewięć lub jedenaście klas i mających trochę więcej ambicji, nie ma obecnie na białoruskiej wiosce żadnej przyszłości. Także dla osób z niewielkim stażem zawodowym, gdyż na wsi brak jest podstawowej rzeczy dla jej mieszkańców - miejsc pracy. Można wyasfaltować całą miejscowość, przeprowadzić kapitalne remonty sklepów i budynków użyteczności publicznej, doprowadzić do wszystkich domostw wodę i gaz. Jednak jeżeli nie stworzy się ludziom odpowiedniej ilości miejsc pracy godziwie wynagradzanej, a także możliwości jej podjęcia w różnych sektorach w tym w prywatnym, to nie zachęci się ich do pozostania na wsi.

Zdjęcie

- Ciciu, to jest zdjęcie suszarni lnu w Dowgiałowszczyźnie, o którym cioci mówiłem. Dostałem je od Jurka Motyla. Może ciocia spróbuje odgadnąć, kto jest na tym zdjęciu?

Zosia wzięła fotografię do ręki, podeszła do okna i uważnie jej się przyglądała. Po chwili powiedziała:

- Od lewej Paszkowa Hańcia, druhoj nie znaju, Gienia Julinowa z Łyntupi ...

- Dyk szto - Władek przerwał wyliczanie cioci. - Gienia Julinowa prychadziła siuda miać¹²⁶?
 - Nu dyk prasili miać.
 - Aaa, dyk **eta** ludzi **sabie** prasili miać. Ja **dumaū** kałchoz.
 - **Hańcia** Kwiatkowska, z tyłu jej matka, później **Józia** Nawickawa. A **eta** dziaūczynka, **heta** **Jadzia** Kałabunskawej **Hańci**. Nie ma, zmarszy, pamiorszy daūno. **Dabrynszczycha** **Albina**, un jakaja maładaja byūszy, **Matylica**, **Kałabunszczycha** **Anna**. Tut za **Dabrynskim** żyli. **Eta** musi **Mania**, szto ū nich była. U nich służyła, u nich astałasia. **Ana** i **cipier** żywie u **Sybotnikach**. **Padobna**, no **eta** **jana** musi być, ot.

Renia

- Dzień dobry pani Reniu. Może pomóc? - zapytałem siostrę wujka Władka, która z koleżanką przyjechała na kolonię konnym wozem po siano.

- A ty znajesz chłopiec, **muchi** wążmi **pahaniaj**. **Jana** choć **pastać** - tak powiedziała o swojej kobyle.

- A pani Reniu, pani jeszcze z kimś przyjechała. Gdzie ta druga kobieta?

- A **palaciela** **niehdzie** da **Loni**. Nie, da **Jani**.

- **Stój! Stój! Prrrr!!!** - powstrzymałem kobyłę.

- **Musi chwacić**¹²⁷ nam, **bratok** ty **moj** - powiedziała Renia do wujka, który ładował siano na wóz.

- **Awsianku tuju** **zabirajcio** - odrzekł jej Władek.

- **Oj Boh** ty **moj**. **Chwacić**. Tut **siena** **heta** wot to **dobre**. I **nadto** **eta** **siena** **pachnące**. Dyk **paczekaj** **bratok**. Ja trochi **prycisnu** **jaho**. **Oj**, do.

- I toje szto **tady** **dobre** było, dyk **ależ** **pad** **daždżom** **pa-**
walałasia i **wsio**. **Dobra** szto ja w **sybotu** **jeho** ułożył u **kopy**
 - odrzekł jej Władek.

- **Dobra** **jesteś**, **dobra** - zwróciłem się do kobyły odganiając od niej komary i muchy. - Nie mam dla ciebie nic do jedzenia, nie mam.

- Jak to ludzie na emeryturze muszą się jeszcze tak trudzić
- powiedziałem do rodzeństwa. - To niepojęte. Wy **dał**żny **addychać**, a nie robić.
- Addychniesz, jak skaże ksiądz „wieczny odpoczynek”
- odparł Władek
 - Oj **Boże**, mój **Boże**! Wstaniesz u czatyry czasa ...
 - Ale pani Reniu, ma pani jakąś pensję?
 - Maju, maju dzwieście **siemdziesiąt** (270 000 białoruskich rubli, wtedy około 130 dolarów).
 - No, to **bolej**, czym Zosia.
 - Nu dyk janaż na **fiermach**¹²⁸ rabiła - powiedział o siostrze wujek.
 - I tak małuju **piensiu** dali - dodała Renia.
 - I mąż ma pensję? - zapytałem.
 - Aha.
 - To może trzeba trochę mniej tak pracować i to ręcznie?
 - Nie chawałby niczoha dyk i nie pracawałby. Karowu **choczecca chawać, kania**.
 - A po co koń jeszcze?
 - Oho! Bez **kania** jak bez ruk.
 - Ale wy użo stariki.
 - Nu, **ale** i bez karowy to **ciażka**.
 - Dwanaccać **karoŭ** u Kwiatkoŭcach. U nas mniej. Tam **nawiazywajuć**¹²⁹ - wtrącił się Władek.
 - Chacia szto Mania **wywaliłasia** do **Polszczy** i pażywie
 - Renia wspomniała moją mamę.
 - Wsio balić, i **śpina**, **wozduchu** nima. Władyk, może dzie **padniać** heta **jeszcze**? - pokazała na leżące siano. - Bo mało ulezie.
 - Dobra jesteś dobra, czuprynko moja siwa - powiedziałem do kobyły odganiając od niej natrętne owady.
 - Da, pajedziem **tudy**¹³⁰. Zaścielem **dziaru**hu - powiedział Władek.
 - Charosze **drobnieńka siena**. Dy na dzień **karowie** dawać nie treba **rezać** jeho - zachwalała siano Renia.

- Treba trocha. Može joj wiaroŭkami¹³¹ prywiażesz? Budzie lepiej jak prywiażesz. Jano budzie nie rastresacca. Dużej¹³² budzie i usio - poradził siostrze brat. - Eta treba siuda pry- nieści - dodał.

- Balnica u Sybotnikach jeszcze miesiac budzie i potym zakryjuć. A może pakinuć? A piarun ich znaje! - Renia zmieniła temat rozmowy.

- Nu, kažuć szto może budzie - zastanowił się brat.

- Gdzie budzie! - wtrąciłem się do rozmowy. - Nie budzie. U etym hodzie zakryjuć i ũ Juraciszkach budzie.

- U dwa miesiacy zakryjuć. Eta po planu - dodał wujek. - Lepiej ludziom zrabili!

- A hetym wot, użo dwa razy żuki¹³³ haniał i skolki hroszy ja addała. Musi tryccać tysiacz (30 000) - Zosia wyszła z chaty i włączyła się do rozmowy. - Dziś pięć kupiła jeszcze tych wo. Na wiadro etaj samaj wady treba dwa flakonczyki etawa. I jość usio raŭno.

- Janyż etyje drobne siadziać pad listami i potym rastuć - dodała.

- Tylko trzeba mieć roztwór i opryskiwacz, i znać kali eta robić - wtrąciłem swoje.

- Tak rok wietkami¹³⁴ zrobił i dobra było - powiedział Władek.

- Wietkami nie zrobisz nic - stwierdziła Zosia. - Eta dażdży usio. Pad dożdż niczoha nie pamoże.

- Łamasz mnie kazaŭ - informował wujek. - Nikamu nie wier. Chiba nawalniczny.

- A wun Juruszczycha idzie - Zosia pokazała laską. - Ma- ładziec.

- O Jadzieńka, ja kažu. Chacia kab pryszła, tak smaliłab pieszkom - powiedziała Renia

- Dobry dzień - przywitała się z nami Jadzia.

- Ja kažu, nie skazała tabie kab paspieszała? - zwróciła się Renia do koleżanki.

- Ja tolki weszła. Pakazali jany mnie remont swój jaki zrabili ū chaci. Pryjechaŭ ety wnuk. Admalawaŭszy tam usio, pawypratywaŭszy¹³⁵. Piecz razruchali, won wykinuli.

- Piecz?

- Nu.

- I na szto kažu eta - powiedziała Zosia. - Kto tut budzie żyć jak pamresz?

- Jadziunia, na woz leż! - podała komendę Renia.

- Zaraz¹³⁶ drabiny. Kazik, spad bani pryniasi drabiny - powiedział Władek.

Szybko pobiegłem po drabinę. Wujek przystawił ją do wozu, a dwie starsze panie wgramoliły się na samą górę siana i odjechały do swojej wioski Pietrymanowszczyzny.

4 lipca, środa

Imianiny Juliana

Po śniadaniu wsiałem na rower i pojechałem przez Dogiałowszczyznę do Borowik. Na skraju wioski skręciłem w polną drogę w miejscu, gdzie w latach pięćdziesiątych była susznia¹³⁷ lnu. Następnie podążyłem leśną drogą koło lasu zwanego Ściana i po pół godzinie jazdy byłem już na miejscu. Chciałem spróbować odnaleźć krewnych Crisa Szluchy, który mieszkał w USA

W 1912 roku z Borowik do Ameryki przybył jego dziadek Michał Szlucha ze swoją siostrą Katarzyną. On miał wówczas osiemnaście lat, a ona dwadzieścia dwa. Na ojcowiznie pozostało ich rodzeństwo: brat Antoni i siostra Józefa. W Ameryce Michał Szlucha ożenił się z Magdaleną Stanulewicz, dziewczyną pochodzącą z bliskiej mi wioski Chilewicze naszej gminy i położonej niedaleko Borowik. Siedemnastoletnia Magdalena i jej dwudziestopięcioletnia siostra Michalina przyплыły do Ameryki 9 kwietnia 1914 roku na statku „Dwinsk”, który rozpoczął swój rejs z portu Libau (Lipawa na Łotwie). Lata 1904-1914 były okresem dużej emigracji

z naszej ziemi. Emigracji za chlebem, za lepszym życiem za oceanem skąd dochodziły zachęcające wieści o potrzebnych rękach do pracy, o dobrych zarobkach i wolnym życiu.

W Borowikach wpierw zajechałem do pani Felicji Grygudź (brs. Hryhudź). Jej stryj Antoni Paszko też znalazł się w Ameryce, ale w inny sposób. Brał udział w wojnie polskiej we wrześniu 1939 roku. Podczas przekraczania granicy rumuńskiej został schwytany przez Sowietów, osadzony i zesłany do łagru na Syberii. Stamtąd trafił do armii Andersa¹³⁸ i był żołnierzem Brygady Karpackiej¹³⁹. Walczył w bitwie o Monte Cassino, gdzie został ciężko ranny. Po wojnie przebywał przez pewien czas w Anglii i Holandii, a następnie wyjechał z żoną do USA.

W Borowikach przed wojną mieszkało dziesięć rodzin Szluchów. Starzy ludzie poumierali, ich dzieci powyjeżdżały do miast i tylko czasami pojawiały się w rodzinnej wsi. Żyli w niej tylko jedni Szluchowie, ale ich akurat nie zastałem.

Pani Fela zaprowadziła mnie do Zofii Pietryman z domu Juchniewicz. Miała ona osiemdziesiąt osiem lat i była najstarszą mieszkanką Borowik. Jej bliski krewny, dwudziestoletni Bolesław Juchniewicz, też wyemigrował do Ameryki. Na statku „Rhein” wypłynął z portu Bremen w Niemczech i 18 marca 1913 roku przybył do ziemi obiecanej.

Pani Zosia choć o kulach, to dość żwawo poruszała się w przydomowym ogrodzie i w swojej chacie. Rozmawialiśmy o tym, co mnie do Borowik sprowadziło. Obie panie mówiły prostą mową, która na wioskach nadal istnieje i ja bardzo ją lubię. Staralem się mówić podobnie jak one. Szluchów w Borowikach było dużo. Jednak czas, który minął pozacierał sporo śladów i poplątał myśli. Dlatego trudno było ustalić genealogię tej jednej konkretnej rodziny. Trochę pomocny był nam spis mieszkańców wioski z lat 1939/1940 i inne dane, jakie znalazłem w parafialnym archiwum. Jednak nic pewnego nie udało nam się stwierdzić.

Pani Fela musiała nas opuścić, gdyż miała do niej przyjechać wnuczka z Lidy, a my z panią Zofią rozmawialiśmy

sobie dalej. Pokazałem jej moją książkę „Białoruskie podróże” i powiedziałem, że wydałem ją w wersji dwujęzycznej. Dla czytelnika polskiego i białoruskiego. Od tej chwili w rozmowie ze mną pani Zosia przeszła na prawie czysty język polski i to bez żadnego akcentu kresowego.

- Proszę pana, wie pan, że ja nienawidzę tych bolszewikaū. I nie chciała uczyć się po białorusku. Jak przyszło gdzie rozpisać się¹⁴⁰ ja po polsku, ja po polsku. I tak nasz ksiądz Franciszek mówi: „Toż ty chyba zakorzeniała Polka?”. A mojaż mama z Polski była, z Radomia. Wot widzicie, ja malutka została osiem lat od mamy. To teraz chciałyby wiedzieć, chto tam w tym Radomiu żyje. No nie mam żadnej wiadomości.

- A czemu mama aż tu z Radomia przyjechała?

- A, a tamta wojna w siedemnastym roku jak była, ojciec był na wojnie. Ot ja wam wszystko opowiem. No a mama pracowała w nu, w restaranie, czy tam u tych, co wajennym gatawali jeść. No i poznali się i tatuś przywiózł jej tutaj. I wie pan, ja jak już urodziła się i podrosła, tak ja po polsku rozmawiała ładnie. Ależ u tej wiosce zabitej, tej zamochrystej¹⁴¹ tej, zaczęli śmiać się ze mnie. A pszceczka¹⁴², pszceczka, pszceczka, i ja rzuciła ten język. Oto, co trochę pamiętam od tych ośmiu lat. Ja i księdzu swojemu Franciszkowi mówiła, a on mówi: „To dawaj pajechali do Polski”. A gdzież ja. Trzebaż, kažu, paspart. Zaczęli śmiać się. No i wot, a teraz jakoś aż boli na sercu, że nic, żadnej po mamie rodziny nie znam.

Na koniec rozmowy pani Zosia pokazała mi palto uszyte kiedyś przez mojego stryja Albina i pożegnaliśmy się.

5 lipca, czwartek

Imianiny Jausieja, Karaliny

Kiedy rok suchy - kupuj pszczoły, kiedy mokry - krowę.

Tego dnia odjechaliśmy z mamą do Lidy. Wpierw pożegnaliśmy się z Zosią na kolonii. Był płacz i prośba Zosi:

- Kazik, jak budzie następny sjezd, kanieszna prywiazai matku z saboju.

Pożegnaliśmy się także z naszym miasteczkiem. Tuż przed odjazdem autobusu Helena, córka Janka, zrobiła nam pamiątkowe zdjęcia. Podjechał do nas na rowerze Janek Koszczyk, mamy kolega z młodych lat. Ona go wcale nie poznała a on ją tak, mimo że widzieli się ostatni raz dawno temu. Chwilę ze sobą rozmawiali i każde z nich w tym krótkim czasie starało się opisać swoją rodzinę, powiedzieć parę słów o sobie. Nadjechał autobus Żemłosław-Lida. Wsiadliśmy z mamą i ruszyliśmy w drogę przejeżdżając obok szpitala, w którym położna Wika, Wiktoria Tomaszewicz z domu Poźniak, 6 lipca 1957 roku odebrała mój poród.

Po przybyciu do Lidy udaliśmy się do Władzi, najmłodszej z rodzeństwa mojej mamy. Tego samego dnia na godzinę siedemnastą poszliśmy do miejskiego Pałacu Kultury, gdzie miało nastąpić uroczyste powitanie uczestników IX Zjazdu Lidzian. Na miejscu było już kilkanaście osób z Polski, które przyjechały własnymi samochodami. Razem z nimi czekaliśmy na zorganizowaną grupę z kraju, która wreszcie nadjechała jednym autokarem.

Ogarnęła mnie smutna refleksja. W roku 1992 na II Zjazd Lidzian przyjechało ponad dwieście osób. Trzy autokary lidzian w honorowej eskorcie milicyjnej wjechały do miasta. Ale lata mijają nieubłagane. Starsi ludzie, dla których Lida i ziemia lidzka były domem rodzinnym odchodzą na kolejny, ale już zupełnie inny etap życia. Ich dzieci przyszły już na świat w nowej Polsce, ich wnuki nie chwyciły tego bakcyła przywiązania do ziemi ojców. A może im tego nie przekazano?

Ja wiem i jestem o tym mocno przekonany, że więź z ajczyzną istnieje ukryta bardziej lub mniej w sercach tych, co przyjeżdżali do nowej Polski w łonach swoich mam jak Teresa Klimczak z Nowik koło Juraciszek, jako kilkumiesięczne niemowlaki jak ja, kilkuletni brzdące jak Olek Jurewicz¹⁴³ z Lidy, nastolatki jak Janek Juchniewicz, Janek Kononowicz i Kazik

Tuczkowski z Sobotnik, Czesiu Wasilewski z Dobrowlan, dojrzała młodzież jak Czesław Niemen ze Starych Wasiliszek. My oraz wielu innych musieliśmy opuścić ziemię rodzinną w ramach pierwszej i drugiej ekspatriacji.

Nastąpiło polskie powitanie uczestników Zjazdu chlebem i solą. Dzieci w polskich strojach ludowych recytowały wiersze. Olek Kołyszko, prezes Towarzystwa Kultury Polskiej Ziemi Lidzkiej, omówił program Zjazdu i rozeszliśmy się na swoje kwatery. My z mamą do cioci Władzi, a Krystyna Żołądkiewicz, wnuczka Bolesława Czejdę założyciela sobotnickiej apteki, zamieszkała u Ireny Udot, sąsiadki cioci przez ścianę tego samego bloku.

6 lipca, piątek

Imianiny Arcioma, Ahrypiny, Daminiki

Moje pięćdziesiąte urodziny. Pięćdziesiąt lat temu urodziłem się w miasteczku Sobotniki nad rzeką Gawią, prawym dopływem Niemna.

W tym dniu na Białorusi odbywają się ludowe prawosławne uroczystości i obrzędy związane z nocą Kupały, czyli tak zwane Kupalle. W Polsce ten stary słowiański obyczaj święta ognia i wody, słońca i księżyca, radości i miłości oraz urodzaju znany jest pod nazwą Nocy Świętojańskiej - Sobótki obchodzonej w nocy z 23. na 24. czerwca. Na Łotwie przesilenie letnie ma rangę święta państwowego i dni te są wolne od pracy. Łotysze spożywają wówczas duże ilości tradycyjnego sera z kminkiem i piwa. Mieszkańcy Litwy w dniu 24 czerwca również nie pracują. W mniejszym stopniu świętują także Finowie i Estończycy.

Pierwszego dnia w programie Zjazdu mieliśmy spotkanie ze Stanisławem Sudnikiem. Staś urodził się niedaleko Nieświeża i był aktywnym narodowym działaczem białoruskim. Pracował w redakcjach dwóch pism: „Lidzkiego Łatopisu”¹⁴⁴ - czasopisma krajoznawczo-historyczno-literackiego

i „Naszego Słowa” - gazety wydawanej przez Towarzystwo Białoruskiej Mowy imienia Franciszka Skaryny¹⁴⁵. Obydwa periodyki wychodziły w języku białoruskim, a szczególnym zadaniem drugiego była jego obrona przed dominacją języka rosyjskiego, konkretnie przed jego radziecką odmianą - trasianką.

„Nie porzucajcie mowy naszej białoruskiej, abyście nie umarli!”. Te słowa Franciszka Bahuszewicza są mottem widniejącym obok tytułu gazety.

Wieczorem mieliśmy spotkanie integracyjne w szkole średniej nr 11 przy ulicy Internacjonalnej. Na ludzkim niebie powoli zaczynały zbierać się ciemne chmury, kiedy udawał się na nie z mamą i panią Krystyną.

Impreza była bardzo przyjemna z dobrym poczęstunkiem i częścią artystyczną. Na początku wystąpił białoruski zespół ludowy „Nadniemeńcy” z Brzozówki nad Niemnem. Śpiewał żywe ludowe pieśni przygrywając sobie na tradycyjnych instrumentach. W drugiej części zaprezentowali się „Kresowiacy” z Lidy. To znany polski zespół wokalny towarzyszący Zjazdowi Lidzian od samego początku. W ich wykonaniu a capella¹⁴⁶ pieśń „Za Niemen hen precz! (...)”¹⁴⁷ zawsze budzi u słuchających duże wzruszenie. Kierownikiem artystycznym „Kresowiaków” był Staś Januszkiewicz rodem z Brzozówki.

Staś wraz z zespołem kilka razy był w Poznaniu na „Kaziuku Wileńskim” organizowanym w naszym mieście od 1993 roku. Na jednym z jarmarków odśpiewali mi „Sto lat!” z okazji moich imienin i w prezencie wręczyli szklanego raka w kolorze ciemnoniebieskim odlanego w hucie „Brzozówka”, mój znak zodiaku. Było to dla mnie bardzo miłe i wzruszające. I zawsze ciebie będę pamiętał Stasiu, który niespodziewanie w grudniu tego roku odszedłeś do drugiego świata.

Uczestnicy naszego spotkania wzięli także udział we wspólnym śpiewaniu. Niektórzy z nas zostali poproszeni o osobiste wystąpienia i wspomnienia z rodzinnych kresowych stron. Na zakończenie spotkania odbyła się zabawa taneczna.

Nasza trójka wyszła trochę wcześniej niż inni, gdyż do cioci mieliśmy spory kawałek drogi. Postanowiliśmy przejść go pieszo, chociaż zaczął padać deszcz. Mieliśmy ze sobą parasole i letni ciepły deszcz nie wydawał nam się groźny. Szliśmy chodnikiem wzdłuż ulicy, która już prawie cała była pokryta spływającą wodą. Opady stawały się coraz bardziej intensywne, a my po kilku minutach mieliśmy problem ze znalezieniem miejsca na chodniku, które jeszcze nie było zalane. Zatopione studzienki kanalizacyjne nie przyjmowały kolejnych partii deszczówki, wyrzucając ją z siebie z głośnym szumem i bulgotem. Nie było mowy o przejściu na drugą stronę ulicy nie brodząc po kostki w wodzie.

Nad miastem przechodziła gwałtowna nawałnica, którą spowodowało oberwanie olbrzymiej skumulowanej chmury deszczowej. Zewsząd dochodził do nas szum milionów padających kropeł połączonych w wodne nitki, sznurki i bicz. Dla nas był to istny kataklizm. Ulice, place, skwery i chodniki Lidy całkowicie przykryła woda. Niewinnie wyglądający trawnik okazał się zdradziecki, kiedy usiłowaliśmy przez niego przejść omijając zalane miejsce.

Nigdy na żywo czegoś takiego nie widziałem i nie doświadczyłem. Porównywałem to, ale tylko w przenośni, z corocznymi wielkimi powodziąmi w Bangladeszu, które pokazywała polska telewizja. Kompletnie przemoczeni szliśmy jednak twardo przez to miasto na wodzie i w końcu dotarliśmy do Władzi. Kiedy już trochę ochłonęliśmy zastanawiałem się, dlaczego na drogę powrotną ze spotkania nie zamówiłem taksówki, na którą miałem kartę stałego klienta? Ale nie potrafiłem sobie na to pytanie odpowiedzieć.

W czasie trwania Zjazdu często przebywałem w jego biurze mieszczącym się w Domu Kultury, blisko kościoła farnego, gdzie sprzedawałem ziemiańkom moje książki. Podczas jednego z dyżurów zauważyłem podjeżdżające na pobliski parking dwa autobusy z polską rejestracją. Zabrałem trochę moich prac, wydawane na miejscu czasopismo „Ziemię Lidzką”¹⁴⁸ i poszedłem w ich kierunku.

Spotkałem uczestników dwóch wycieczek, które wracały do kraju z Litwy przez Białoruś, a Lidę wybrały na miejsce krótkiego odpoczynku i zwiedzania. Jedni swoje rodzinne korzenie wywodzili z Kresów Południowo-Wschodnich. Drudzy związani byli z historyczną Wileńszczyzną i właśnie oni wykazali spore zainteresowanie moimi książkami i „Ziemią Lidzką”. Poinformowałem rodaków o działającym w mieście Towarzystwie Kultury Polskiej Ziemi Lidzkiej i o Domu Polskim, w którym mieścił się oddział Związku Polaków na Białorusi. Niestety postój rodaków był krótki, więc nie mieli oni czasu na zapoznanie się z lidzkimi Polakami i uczestnikami naszego Zjazdu.

Kiedy ja byłem na miejscu w Lidzie, to mama starała się zobaczyć jak najwięcej z tego, co zostało przygotowane w programie Zjazdu. Nie wszystko organizatorom udało się zrealizować ze względu na niepogodę i częste deszcze. Mama jednak była na Szlaku Adama Mickiewicza w Nowogródku i nad Świtezią oraz na akowskich grobach w Wawiórcie, Surkontach i Niecieczy.

Chłopcy z tutejszego AK byli zorganizowani w 77. pułk piechoty Ziemi Nowogródzkiej. Pułk ten jako jedyny w całej Armii Krajowej liczył osiem batalionów żołnierzy, tak jak w strukturze przedwojennej. Jego żołnierze dokonali wielu spektakularnych akcji bojowych przeciwko niemieckim i sowieckim okupantom.

8 lipca, niedziela

Imianiny Piatra

Obfitość jagód latem zapowiada mroźną zimę.

Dzień świąteczny. Na ten dzień uczestnicy Zjazdu mieli zamówioną mszę świętą w kościele Miłosierdzia Bożego na osiedlu Młodzieżowym. Jednak w ostatniej chwili proboszcz ksiądz Józef Pacyna, lidzianin i Polak i budowniczy kościoła odmówił nam tej uroczystości. Ratunkiem okazała się parafia

farna Podwyższenia Krzyża Świętego z proboszczem księdzem Włodzimierzem Hulajem. Msza, na której byliśmy odbyła się jednak w języku białoruskim. U wielu uczestników Zjazdu wywołało to komentarze, ponieważ prawie połowę mieszkańców Lidy tworzyli Polacy i osoby polskiego pochodzenia. I oni też niemal w stu procentach byli i są społecznością katolicką tego miasta.

Podczas mszy miał miejsce chrzest niemowlaka płci męskiej, który otrzymał imię Maksim. Nie jest to imię polskie ani nawet białoruskie, co bardzo zirytowało Antoniego Daszkiewicza uczestnika Zjazdu. A tyle jest pięknych imion nadawanych dzieciom przed wojną i w latach późniejszych, i one nic nie straciły ze swojej aktualności mimo różnych i często śmiesznych mód.

W spisie parafii Sobotniki 1939/40 pełno jest dzieci o imionach: Stanisław, Józef, Wiktor i Witold, Henryk, Franciszek, Tadeusz, Jan, Waław i Władysław, Albin, Antoni, Zbigniew, Bolesław, Marian i Mieczysław, Maria i Marianna, Janina, Władysława, Wanda, Józefina, Felicja, Wiktoria, Helena, Jadwiga, Anna, Irena, Zofia, Leonarda, Genowefa, Bronisława, Teresa, Katarzyna. Zdarzają się także Doroty, Haliny, Krystyny, Stelle, Faustyny, Anastazje i Stefanie.

Przed drugą wojną nie było rzadkością nadawanie dziecku takiego imienia, jakie miał jego ojciec lub matka, czy też wybranie dla córki i syna tego samego imienia. Na przykład ojciec mojej mamy miał na imię Jan i takie samo imię na chrzcie otrzymał jego syn. Moja babcia ze strony mamy miała na imię Wiktoria, a jej brat Wiktor. Ojciec mojego taty miał na imię Bronisław, a jego siostra Bronisława. Te imiona były także popularne wśród Białorusinów. Nadawanie rosyjskich imion dzieciom białoruskim i polskim jest jedną z oznak przemian, które dzięki sowieckiej dominacji w każdej sferze życia i przez wiele powojennych lat, na stałe zakorzeniły się wśród obywateli Białorusi jako coś naturalnego i rodzimego.

10 lipca, wtorek

Imianiny Samsona, Iwanny

Jeżeli na Samsona pada deszcz, to będzie padać przez siedem kolejnych tygodni. U Białorusinów katolików święto „siedmiu braci”, którzy wróżą ile tygodni będzie trwała dobra pogoda.

Dzień przed odjazdem z Lidy mieliśmy najprzyjemniejszy punkt programu Zjazdu - ognisko nad Niemnem. Wszyscy się obawialiśmy czy dojdzie ono do skutku nad rzeką, gdyż po niedawnym oberwaniu chmury pogoda wciąż była w kratkę. Spotkanie na koniec naszej imprezy wraz z jej podsumowaniem i tak się by odbyło, ale woleliśmy żeby się to stało tradycyjnie nad Niemnem, a nie w jakimś zamkniętym wynajętym lokalu.

W tym dniu Opatrzność jakby przychylniej spojrzała na swoje kresowe dzieci. Pogoda z samego ranka rokowała dobre nadzieje i organizatorzy Zjazdu postanowili zaryzykować. Pojechaliśmy nad Niemen! Wsiadliśmy do autokaru i po niedługim czasie byliśmy na prawym brzegu tej magicznej dla nas rzeki niedaleko Bielicy.

Wszystko już było przygotowane na nasz przyjazd. Stos drewna na ognisko, stoły zastawione smacznymi i różnorodnymi potrawami, zimny kwas chlebowy, dobre ludzkie piwo, krzepka białoruska wódka. Na nasze powitanie grał i śpiewał „Hudzuki harmonik”, białoruski zespół ludowy.

Podszedłem nad sam brzeg płynącego Niemna. W tym miejscu był bardzo szeroki. Płynął majestatycznie, cicho i powoli, tak jak na całej swojej długości. Nagle doznałem tak niesamowicie wzniosłego uczucia, że chciałem w mgnieniu oka zrzucić z siebie ubranie, wejść w niemnowe fale i przepłynąć na drugi brzeg rzeki. A płynąc mówić do niej, pieścić się z nią delikatnie rozgarniając rękoma jej wody, przywoływać z pamięci Elizę Orzeszkową i Bohatyrowiczów, chłopców z nowogródzkiego AK, wojów Wielkiego Księstwa Litewskiego.

Bardzo przyjemnie i wesoło bawiliśmy się nad Niemnem. Uczestnicy Zjazdu przechodzili od jednego stołu do drugiego. Wymieniali się wrażeniami z imprezy, opowiadali historie i losy swoich rodzin, spacerowali brzegiem rzeki. Przygrywali nam muzykanci i zachęcali do tańców, do polki białoruskiej. Wysoko płonęło ognisko, w którego żarze piekliśmy kielbaski.

Następnego dnia odjeżdżaliśmy do Polski, a kiedy znów przyjedziemy nad Niemen? Niektórzy z nas za kolejne dwa lata, a inni może już nigdy? A więc napijmy się jeszcze! Wznieśmy toast i zaśpiewajmy!

„Za Niemen hen precz! Hen precz!
Koń gotów i zbroja,
Dziewczyno ty moja,
Uściśnij, daj miecz.
Za Niemen, za Niemen (...)”.

Żniwień 2007

(17.08-29.08.2007)

17 sierpnia, piątek

Imianiny Dzianisa, Eūdakii, Żanny

Co pole urodzi, to sierpień pozwozi.

Każda chata w sierpniu bogata.

Żniwień - sierpień. Białoruska i polska nazwa ósmego miesiąca roku bardzo do siebie pasują i do rolniczego trudu w tym okresie. Tak jak w ubiegłym roku po raz trzeci pojechałem w rodzinne strony na Grodzieńszczyznę. Trasa mojej podróży była taka sama jak zwykle, ale jej przebieg nieco się różnił od poprzednich wojaży.

Z Poznania wyjechałem o godzinie drugiej minut czternaście pociągiem pośpiesznym ze Szczecina do Białegostoku. Pociąg nie miał miejscówek, a ja nierozważnie usiadłem w przedziale dla palących. No i znalazł się tam jeden pasażer, który kopcił papierosa za papierosem.

Wyglądał na około czterdzieści lat, miał niewielką rudawą bródkę, a na sobie czarne łącznie z koszulą wyjściowe ubranie. Jego postać od razu skojarzyła mi się z prawosławnym batiuszką, który na czas podróży zdjął sutannę. Był on jedyną palącą osobą w naszym zapelnionym przedziale.

Nie jestem zdecydowanym przeciwnikiem palenia papierosów i sam czasami „zakurzę”, jak mawiał mój dziadek Jan Kononowicz. Jednak takie stężenie dymu i smrodu nikotynowego było trudne do wytrzymania. Musiałem często wychodzić na korytarz i tak dojechałem na miejsce. W białoruskim konsulacie udało mi się załatwić dwukrotną wizę ważną przez trzy miesiące. Zabezpieczyłem się tym na ewentualny jeszcze jeden przyjazd do Sobotnik na Wszystkich Świętych.

W piątek nie kursował bezpośredni autobus Białystok-Lida, dlatego kupiłem bilet tylko do Grodna. Przejście graniczne Kuźnica Białostocka-Bruzgi przejechalśmy gładko.

Razem ze mną podróżował do Lidy trzydziestokilkuletni Siergiej. Po białorusku jego imię wymawia się Siarhie*j* i tak samo pisze się łacinką. W Grodnie wzięliśmy lewą, czyli nieoznakowaną taksówkę i za trochę większe pieniądze niż cena autobusowego biletu pojechaliśmy do Lidy. Tacy nielegalni przewoźnicy są na dworcach autobusowych w każdym większym mieście na Białorusi. Dyskretnie informują podróżnych, jak na przykład w Grodnie, o kierunku swojej jazdy:

- Na Mińsk, na Lidę.

Siarhie*j* miał po babci polskie korzenie. Od trzech pracował w Polsce w dużej firmie budującej hotele. Awansował na stanowisko brygadzysty i jak na warunki białoruskie dobrze mu się powodziło, gdyż zaczął stawiać własny dom w Lidzie. Z rozmowy z Siarhie*jem* widać było, że dobrze radził sobie w życiu. Wcześniej przez parę lat pracował w Szwecji i Portugalii, i sam postarał się o to zatrudnienie.

Wreszcie dojechaliśmy na miejsce. Ciocia Władzia wiedziała, że przyjadę, ale myślała, że będzie to na początku października, na święto Matki Bożej Różańcowej - największy fest w naszej parafii Sobotniki.

18 sierpnia, sobota

Imianiny Euscihneja, Nony, Branisława, Ilony

W sierpniu są dla rolnika trzy kłopoty - musi kosić, orać i siać.

Rano pojechałem autobusem do Iwia. Formalności rejestracyjne załatwiłem bardzo szybko, gdyż akurat byłem jedynym petentem w urzędzie. Miałem trochę czasu przed powrotem do Lidy, więc postanowiłem odwiedzić Marię Michałowicz z domu Ochońko. Poznałem ją dzięki mieszkającej w Warszawie Marii Urydze - Dudzińskiej. Obie Marysie, urodzone iwianki, razem przed wojną chodziły do szkoły. W ich klasie były dzieci polskie, żydowskie i tatarskie.

Po wojnie Ochońkówna została w miasteczku, a Dudzińska w 1946 roku wróciła z zesłania do Polski. Trafiła tam,

ponieważ jej ojciec Grzegorz był nadgajowym w iwiejskich lasach hrabiego Zamojskiego. Gajowym w tych lasach był Jan Niechwiadowicz z wioski Jakuńka sobotnickiej gminy i obie rodziny się ze sobą przyjaźniły. Jego córka Marysia była dobrą koleżanką Marysi Dudzińskiej.

W niewielkiej Jakuńce mieszkało przed wojną siedemnaście rodzin, z czego dwanaście to byli Niechwiadowiczowie. My jednak nie mieliśmy tam krewnych, chociaż Jakuńka leży zaledwie trzy kilometry od Chilewicz, skąd wywodzi się nasza gałąź Niechwiadowiczów biorąc pod uwagę dziadka Bronisława i jego przodków (w Sobotnikach urodził się mój tata i ja). Ta bliskość obu wiosek może jednak świadczyć o tym, że kiedyś tam przed wiekami mogliśmy mieć wspólne korzenie.

Dla bolszewików bycie polskim pracownikiem leśnym było powodem wywiezienia go wraz z rodziną na Syberię lub do Kazachstanu. 10 lutego 1940 roku spotkało to rodziny Dudzińskich i Niechwiadowiczów. Była to pierwsza masowa deportacja obywateli polskich z Kresów Wschodnich.

Obie rodzinyjechały w tym samym wagonie towarowym. Obie też trafiły do tej samej osady leśnej w głębi tajgi w obwodzie irkuckim. W 1941 roku po tak zwanej amnestii Stalina¹⁴⁹ dla zesłanych Polaków, rodzina Niechwiadowiczów wyjechała i Dudzińscy stracili z nią kontakt.

Dopiero niedawno Maria Dudzińska odnalazła swoją koleżankę z Jakuńki, Marię Hryniuk z domu Niechwiadowicz, która mieszkała w Stargardzie Szczecińskim. Jej brat Albin zmarł na tyfus 30 lipca 1942 roku i został pochowany w Kermine (obecnie Nawoj) w Uzbekistanie. Na początku 1942 roku w okolicy tego miasta formowała się 7. Dywizja Piechoty Wojska Polskiego, do której trafił osiemnastoletni Albin. Wycieńczony na zesłaniu chłopak zabrał ze sobą do uzbeckich piaszków marzenie o powrocie do Polski.

Janka Adamowicz chodziła z Ochońkową i Dudzińską do tej samej klasy. W czasie wojny została wywieziona na

roboty do Niemiec, a po jej zakończeniu swoją przystań życiową znalazła w Holandii.

Prawie wszyscy uczniowie żydowskiego pochodzenia zostali zamordowani podczas likwidacji iwejskiego getta 12 maja 1942 roku. Upamiętnione miejsce kaźni znajduje się blisko Iwia, tuż za wioską Stoniewicze w lesie przy drodze do Mińska. Losy tatarskich uczniów i ich rodzin też układały się różnie. Przed wojną potomkowie nieustraszonych wojowników byli znani jako specjaliści od wyprawiania skór zwierzęcych. Tę profesję władza sowiecka im odebrała. Od wielu lat w swojej Murawszczyźnie, dzielnicy Iwia będącej kiedyś odrębną osadą, z powodzeniem uprawiają ogórki i pomidory.

Pani Maria Michałowicz miała ponad osiemdziesiąt lat. Była wdową, która kilka lat temu tragicznie utraciła syna, swoje najmłodsze dziecko. Miała jeszcze dwie córki. Jedna z nich mieszkała w Lidzie, a druga w Bydgoszczy. Mama pani Marii dożyła stu jeden lat, czego jej samej bardzo serdecznie życzyłem.

Wróciłem do Lidy i resztę dnia spędziłem odpoczywając po trudach podróżowania.

19 sierpnia, niedziela

Imianiny Baliasława

*Kto w sierpniu trwoni czas na zabawy, ten zimą głoduje.
Brusznice dojrzały, a za nimi owies.*

Na niedzielną mszę świętą udałem się do kościoła Świętej Rodziny znajdującego się przy ulicy Tuchaczewskiego. Pozwolenie na jego budowę wydano w 1994 roku, a rozpoczęto ją pięć lat później. 10 lipca 2010 roku nowy dom Boży został poświęcony. Mieszkańcy parafii żyli w blokach osiedlowych, których jeszcze przybywało. Przeważnie nie byli oni ludzianami z urodzenia, lecz pochodzili z wiosek rejonu lidzkiego, a nawet z dalszych.

Ja chciałem osobiście wziąć udział w sprzedaży moich książek, które rok temu zostawiłem w przykościelnym sklepiku. W sumie byłem na trzech kolejnych mszach i do dziś nie wiem, czy to ogłoszenie przez proboszcza księdza Józefa Gańczyca tytułów książek, czy też zaznaczenie, że sam autor będzie je sprzedawać ku mojej uciechu sprawiły to, że rozeszło się więcej egzemplarzy niż przez cały miniony rok.

Wśród kupujących byli też ziemiańcy z sobotnickiej gminy zamieszkali w tej parafii. Były osoby polskiego pochodzenia znające język polski. Byli również tacy, którzy go dobrze rozumieli, ale nim praktycznie nie władali.

Po południu znowu przyjechałem do parafii Świętej Rodziny. Zostałem zaproszony na kawę przez kuzyna Witka, syna cioci Zosi. Witek z żoną Swietłaną i dwójką dzieci, Władkiem i Janą, mieszkali w nowym jedenastopiętrowym bloku. Już mnie tak mocno nie zdziwiły kobiety pracujące przy malowaniu elewacji sąsiedniego nowego budynku.

Mieszkanie kuzyna miało około siedemdziesięciu metrów kwadratowych. Składały się na nie trzy pokoje, kuchnia, łazienka, toaleta i dość obszerny korytarz. Wszystko było ładnie urządzone i prawie całkowicie wykończone. Lokum i jego wyposażenie kosztowało małżonków sporo pieniędzy. Chociaż finansowo pomogli im jedni i drudzy rodzice, to i tak oboje musieli wziąć dwa wysokooprocentowane kredyty trudne do spłacania przy ich zarobkach.

Do cioci Władzi wracałem miejskim prywatnym rafikam. Kursowały one na regularnych liniach i bardzo dobrze uzupełniały komunikację miejską w Lidzie. Chociaż bilety na nie były trochę droższe od autobusowych, to zdecydowanie szybciej dowoziły pasażerów na miejsce.

Te jedenastoosobowe busy jeżdżą we wszystkich większych białoruskich miastach. Obsługują też połączenia na prowincji, na przykład Iwie - Gieraniony, a także między dużymi miastami jak Grodno - Mińsk. Tworzą w ten sposób dobre uzupełnienie międzymiastowej komunikacji autobusowej, dając pasażerom możliwość wyboru podróżowania.

Wieczorem o godzinie dziewiętnastej stałem już z bagażem na rogatekch Lidy i czekałem na autobus do Sobotnik. Bilet kupiłem wcześniej i tym razem mogłem swobodnie usiąść. Trasa była mi tak znajoma, a byłem zmęczony intensywnym mijającym dniem, więc tym razem nie patrzyłem przez okna na zbliżający się i mijany krajobraz. Nie przysłuchiwałem się też rozmowom pasażerów, zawsze ciekawym i chociaż we fragmencie ukazującym prawdziwy obraz życia na Białorusi. Przymknąłem powieki i wpółdrzemiąc odpoczywałem. Wydawało mi się, że te czterdzieści trzy kilometry przejechałem szybciej niż zwykle. I już były Sobotniki, przywitanie z rodziną, późna kolacja, garść nowości z życia miasteczka, nocny odpoczynek.

20 sierpnia, poniedziałek

Imianiny Mitrafana, Pimena

*Dużo komarów w lesie - obfitość jagód,
dużo meszek - urodzaj grzybów.*

Rano kuzyn Janek z żoną Ireną udali się do pracy do szkoły. Chociaż jeszcze trwały wakacje, to nauczyciele oraz pracownicy gospodarczy mieli sporo zajęć. Szkoła i jej otoczenie były poddawane gruntownemu remontowi. Odnowiono zewnętrzną elewację budynku, pomalowano wewnątrz wszystkie klasy, korytarze oraz inne pomieszczenia. Zrobiono toalety z bieżącą wodą, które zastąpiły tradycyjne wiejskie sławojki. Rozpoczęto też budowę nowej sali gimnastycznej w oddzielnym budynku, według czeskiego projektu.

Codziennie przyjeżdżało z Iwia i Lidy kilkudziesięciu robotników, a na miejscu cały czas znajdował się sprzęt budowlany. Wszyscy chcieli zdążyć przed pierwszym szkolnym dzwonkiem i to się im udało. Budowlańców i pracowników szkoły dopingowały też częste kontrole z rejonowego wydziału oświaty z Iwia a nawet z obwodowego Grodna.

Nie tylko w szkole trwały intensywne prace. W centrum Sobotnik firma drogowa kładła nową nawierzchnię asfaltową i budowała chodniki. Wcześniej zostały wyasfaltowane ulice Antakol i Młyńska. Remontowana była poczta. W jej wnętrzu stały nowe plastikowe okna i leżało kilkadziesiąt płyt kartonowo-gipsowych.

Po drodze wstąpiłem do największego sklepu spożywczego w miasteczku. Jego zewnętrzna elewacja miała nowy tynk pomalowany na jasne pastelowe kolory. Zapamiętałem z poprzedniej wizyty, że ten tynk kładły młode i ładne dziewczyny.

W sklepie też trwały jakieś prace. Kupiłem ludzkie piwo Stary Zamek i powoli je sącząc zająrzałem za osłonę z folii, za którą również młoda dziewczyna nakładała zaprawę tynkarską na ścianę i pracownice zacierała ją pacą. Na co dzień mieszkała w Lidzie, gdzie wyuczyła się krawiectwa. Początkowo też pracowała w swoim zawodzie, ale mało zarabiała. Często też jej firma miała przestoje z powodu braku zleceń. Postanowiła więc zmienić branżę i poszła do budownictwa, do czaśnika¹⁵⁰, gdzie miała większe pieniądze i więcej też było pracy.

Z mojego podróżowania na Grodzieńszczyznę wyniosłem przekonanie, że kobiety są tam pracowitsze i bardziej zaradne od mężczyzn. Szczególnie te mieszkające na wsi oraz te, które wychowały się na wioskach, a później ułożyły sobie lepsze i wygodniejsze życie w mieście. Kiedy co jakiś czas wracają do rodzinnych gniazd nie jest dla nich problemem pomoc rodzicom przy kopaniu ziemniaków, w skoszeniu kawałka łąki czy też w odpasieniu swojej kolejki wioskowych krów. I to te kobiety w rzeczywistości kierują swoimi rodzinami, im się należy tytuł głowy rodziny.

Ciągnąłem walizkę na kółkach przez nasze miasteczko. Wyszedłem na Łyntupską Drogę, która prowadziła obok sobotnickiej kolonii koło Dowgiałowszczyzny do wioski Łyntup. Pola oddały swój letni plon i zaorane odpoczywały. Z rzadka widniały na nich olbrzymie stogi słomy. Znana mi

na pamięć droga przez dziadkowe pole. Pokaleczony przez powietrzną trawę las powoli leczył swoje rany. Minąłem puste krzaki malin, a i po jagodach i poziomkach pozostało tylko wspomnienie. Później ich zapach i smak odnalazłem w słoiku z wareniami¹⁵¹ otworzonym dla mnie przez Zosię.

Przywitaliśmy się jakby mnie tu nie było zaledwie kilka dni. Wujek Władek jak zwykle zadał mi pytanie:

- A ty ad kuda wziaūsia, kali pryjechaū?

Zosia też sądziła, że przyjadę później. Dobrze jednak, że zmieniłem plany, bo przywiozłem potrzebne a kończące się tabletki. Podczas kolacji tematem naszej rozmowy było kopanie bulwy. Niektórzy gospodarze już zaczęli wykopki, chociaż ogólnie uważano, że na to jest trochę za wcześnie i że jest za ciepło.

Następnego dnia Władek wziął konia, jakiego miał do spółki z Józikiem Nowickim, i codziennie wykopywał po kilka pięćdziesięciometrowych barazion¹⁵² ziemniaków. Najwięcej bulw leżało na wierzchu, a te przysypane ziemią spod kopalki¹⁵³ należało ręcznie wydobyć. Przy pomocy motyki o trzech szerokich zębach trzeba było umiejętnie rozgarniać podkopaną ziemię, wyciągać ziemniaki i wszystkie je posegregować na dwa rodzaje. Średnie na posadzenie w przyszłym roku, a małe i duże na konsumpcję oraz jako karma dla świń. Ziemniaki wrzucało się do wiklinowych koszyków, a następnie do worków. Sadzeniaki należało zakopcować, a pozostałe bulwy złożyć do osobnej komory w chacie. I to wszystko. Bardzo proste czynności, prawda?

Jednego popołudnia pomogłem wujkowi przy kopaniu bulwy. Przeszedłem zaledwie dwie baraziony i miałem dosyć. Na początku nie szło mi dobrze. Nie tak rozgarniałem ziemię i źle sortowałem bulwy. Do tego smało słońce i bolały mnie plecy od ciągłego schylania się. A później trzeba było załadować worki na wóz, zwieźć je pod chatę i rozładować.

Dobrze, że na wychadnyje¹⁵⁴ przyjechali Witek z synem i ciocią Władzią. W kilka osób dokończyli mozolną pracę wujka Władka.

21 sierpnia, wtorek

Imianiny Leanida, Mirona, Ryhora, Kazimiry

*Na dworze jest cicho, ale suche gałązki spadają
z drzew - będzie deszcz.*

Wróble chowają się pod strzechę - będzie burza.

W poniedziałek zrobiłem pierwszą wyprawę rowerową po okolicy. Wpierw pojechałem do bliskiej Dowgiałowszczyzny i odwiedziłem Olę Grażyńską, której dałem zdjęcia z pogrzebu jej córki. Wysłałem je wcześniej z Poznania ale chciałem, żeby miała podwójne. Będzie mogła niektóre z nich przekazać rodzinie. Na końcu wioski skręciłem w polną drogę prowadzącą do lasu Ściana. Tutaj w pobliżu była susznia lnu opisana w mojej poprzedniej podróży.

W Borowikach nie uzyskałem żadnych nowych informacji o krewnych Crisa Szluchy. Brat jego dziadka, Antoni, zmarł przed wojną. Jego dzieci też nie żyły, a o wnukach trudno było się cokolwiek dowiedzieć. Borowiki tak jak wiele innych wiosek na Grodzieńszczyźnie znacznie się wyludniły. Młodsich mieszkańcy dawno wyjechali do miast, starszych osób zostało niewiele i trudno było się kogoś zapytać o dawne lata, miniony czas. Ale miałem jeszcze jeden ślad rodziny Chrisa, który prowadził do Chilewicz. Sprawdziłem go, gdy parę dni później pojechałem odwiedzić wujka Wacka. Wskoczyłem na siodło i ruszyłem dalej do przodu, do Czechowców.

To niewielka wieś leżąca trzy kilometry za Borowikami. Jedyna ulica w Czechowcach została wybrukowana z rzadka polnymi kamieniami jeszcze za polskich czasów. W latach 1936-1939 mieszkała tu i pracowała Zosia Dubicka. Była nauczycielką prowadzącą czteroklasową placówkę Macierzy Szkolnej¹⁵⁵. Chodziły do niej dzieci z Czechowców, Borowik i Nackowicz. Wszystkie te wioski leżały wzdłuż Gawii przy drodze z Sobotnik do Lipniszek.

Tuż za Czechowcami znajdował się majątek Pogawja, który przed 1939 rokiem należał do Achmatowiczów. Od 1866 roku Pogawja była własnością rodziny Tabeńskich, z której

to Alina Tabeńska wniosła ją w posagu ślubnym wychodząc za mąż za Konstantego Achmatowicza z Teniukowszczyzny koło Juraciszek.

Na kilka lat przed rozpoczęciem drugiej wojny światowej Pogawja została oddana w dzierżawę Wacławowi Stasiwiczowi, wójtowi sobotnickiej gminy. Majątek liczył wówczas około dwustu trzydziestu hektarów z czego ponad sto trzydzieści to były grunty orne. Łąki zajmowały osiemnaście hektarów, wygon dla bydła około trzech hektarów, las sosnowy obejmował pięćdziesiąt hektarów, lasek brzozowy niecałe siedem arów¹⁵⁶, grunt pod dworek miał prawie dwa i pół hektara zaś nieużytki wyliczono na ponad pięć hektarów.

Na końcu Czechowców mieszkał Staś Miksza. Staś oprowadził mnie po miejscu, gdzie była Pogawja. Piszę była, bo tam gdzie stał drewniany dworek rosły duże krzewy bżów, a z budynków gospodarczych pozostała jedynie kamienna i mocno zagłębiona w ziemi lodownia. Staś pamiętał, jak na początku lat pięćdziesiątych w dobrym jeszcze stanie były dworek, gumno, świren¹⁵⁷ i domki parobków. Pamiętał, gdzie w kierunku Gawii leżała tak zwana pańska pasza.

W 1953 roku rozpoczęto organizowanie kołchozu w Czechowcach i prawie wszystkie budynki majątku rozebrano. Jednak nazwa Pogawja pozostała w pamięci starszych osób z okolicznych wiosek, które po wojnie chodziły do szkoły mieszczącej się w starym dworku. Pożegnałem się ze Stasiem i ruszyłem do kolejnej najbliższej wsi, Nackowicz.

To była rodzinna wioska mojej kochanej i nieznanej babci Wiktorii Raksy, żony dziadka Jana. Jej rodzicami byli Emilian i Kazimiera z Bohuszewiczów pochodząca z Sobotnik, której rodzinę nazywano Arojbowyje.

Babcia Wiktoria miała trzech braci: Józefa, Stanisława oraz Wiktora. Staś był sołtysem w Nackowiczach podczas okupacji niemieckiej. Po wojnie został za to skazany przez Sowietów na więzienie, w którym zmarł. Józek został zabrany w łapance do idącej od wschodu 2. Armii Wojska Polskiego. Zdezerterował ze swojej jednostki za co został rozstrzelany.

Wiktor na jednej z wioskowych zabaw uczestniczył w bijatyce i wkrótce zmarł. Był kawalerem, więc został pochowany z białym ślubnym kwiatem przypiętym do marynarki.

Ci chłopcy z Nackowicz bardzo podobali się dziewczynom i mieli u nich duże powodzenie. Kiedy byli jeszcze mali zmarła ich mama Kazimiera. Emilian powtórnie ożenił się, tym razem z Emilią Łatwisówną z Czechowców. Mieli dwoje dzieci, Lonię i Stefana. To tutaj, do dziadka Emiliana i już drugiej babci Emilii, polnymi drogami przychodziły z kolonii mama z Zosią na pyszną wereszczakę i grube gryczane bliny. Chciałem się zobaczyć z Lonią i Stefanem, którzy nadal mieszkali w Nackowiczach, ale ich nie zastałem.

Zawróciłem rower i pojechałem prosto do Sobotnik. Przy kościele skręciłem na plebanię, gdyż chciałem odwiedzić proboszcza ojca Franciszka Gałdysia. Ostatnio nie było go w miasteczku ponad miesiąc. Pojechał do Detroit, do parafii założonej i prowadzonej przez chrystusowców, żeby zastąpić na czas urlopu tamtejszego proboszcza.

Z ojcem Franciszkiem rozmawialiśmy o bieżących sprawach, jakie się wokół kościoła ostatnio działy: o malowaniu dachu świątyni przez litewskich specjalistów, o siostrach zakonnych potrzebnych do nauczania dzieci religii, o drewnianym budynku ambulatorium - przedwojennej aptece Czejdów, na której obmurowanie cegłą złożyli się parafianie. Ambulatorium zostanie przeniesione w inne miejsce. Natomiast nie wiadomo, co się stanie z budynkiem i wkładem finansowym zebrany przez parafian na jego remont. Porozmawialiśmy o zdrowiu, które już nie było takie jak kiedyś i trzeba będzie pomyśleć o zastąpieniu ojca Franciszka przez kogoś młodego. Może przez Sergiusza Angura z Iwia, który niedawno ukończył seminarium chrystusowców w Poznaniu i odbywał praktykę w szczecińskiej parafii? Ale jeszcze nie teraz i nie za rok czy dwa.

Z plebanii udałem się na cmentarz. Zatrzymałem się na moście na Gawii, żeby jak zawsze popatrzeć na rzekę z jednej i z drugiej strony. Przyglądałem się jej pofalowanej wstędze

sięgającej aż po horyzont i jeszcze dalej. Szukałem rzeki wzrokiem, kiedy chowała się za kępy drzew lub osłaniał ją brzeg. Pochyliłem głowę i spojrzałem w dół, a Gawia pod mną płynęła i płynęła.

Krzysztof Groszyk powiedział mi kiedyś, że nasz sobotnicki cmentarz jest trochę podobny do wileńskiej Rossy ze względu na pofałdowany teren. Rosną też na nim okazałe sosny i świerki, a w ich dziuplach mieszkają dzięcioły czarne, czerwone oraz sowy puchacze. Groby są otoczone metalowymi ogrodzeniami, co utrudnia poruszanie się między nimi i utrzymywanie porządku, ale taka kiedyś była tradycja chowania zmarłych w naszych stronach.

Pomodliłem się przy grobach dziadków Wiktorii i Jana Kononowiczów, prababci Michaliny i dziadka siostry Jadwigi. Następnie poszedłem do dziadków Bronisława i Marii Niechwiadowiczów i stryja Albina. Po drodze zaglądałem do różnych zakątków cmentarza. Odczytywałem napisy na nagrobkach zrobione czasami niesprawną ręką i z błędami ortograficznymi, ale mówiące o miłości i pamięci, o życiu i śmierci, o wierze i historii.

Tu spoczywają zwłoki
śp. Jana Żulpy żył lat 60 umarł 1865 r.
syn Dominik żył lat 51 umarł 1964 r. i cała familia
Proszą o trzy anielskie pozdrowienia
Tę pamiątkę postawił Jan Żulpa

Tu spoczywa najukochańszy synku i braciszku
Czesław Mogielnicki
Żył 21 rok. Zmarł śmiercią tragiczną 28.04.1979 r.
Pokój jego duszy

Pamiętka od rodziców i siostrów

Jan Kmita
Zmarł 9.02.1869 r. w wieku 20 lat

Dominik Kmita
Zmarł 15.04.1896 r. w wieku 68 lat
Proszą o trzy Zdrowaś Maryja

Tu spoczywają Piotr Mackiewicz i Stało Emilia
Proszę zmówić trzy Zdrowaś Maryja.
Te pamiątkę stawi syn Józef 1874 r.

Boguszewicz Augustyn
zmarł w 1920 w wieku 60 lat
żona Anna zmarła 1938 w wieku lat 84
Pamiońtka od rodziny
Pokój ich duszy
Curka Józefa zm. 1961 r. w wieku lat 70
syn Michał zm. roku 1941 w wieku lat 45

Kuprel Leonard
ur. 7.04.1908 r., zm. 5.11.1989 r.
Jego żona Kuprel Felicja
ur. 15.01.1906 r., zm. 28.10.1980
Kochanej mamusi i żonie od dzieci i męża. Pokój jej duszy
Kochanemu tatusiowi od córki, męża i wnuków.
Pokój jego duszy

Niechwiadowicz Emilia córka Anufrija,
ur. 13.06.1913 r., zm. 10.01.1983 r.
Ot curki, ziencia i wnuków Gorbikowych
Śp. Anna Hryniukowa z domu Adamukajtis
Przeżywszy lat 53 zmarła dnia 4.06.1936 r.

Sigizmund Sienkiewicz
ur. 29.III.1941
zm. 24.XI.1993
Dlaczego w naszym domu zostawiłeś łyżę
Dlaczego cię zabrała śmierć
Pamiątka od żony dzieci i wnuków

Anna Tuczowska
zm. 9.XI.1991 r.
żyła 83 lata
Mamo byłaś Kochana
będziesz Niezapomniana
Pamiątka od dzieci

Kropa Konstanty
zginął śmiercią tragiczną
21.11.1940 r. Żył 47 lat

Helena Grybowska
zabita 24.11.41, lat 27

Stanisław Adamowicz
zabity 30.03.1942, lat 57

Hulecki Władysław
zabity 30.03.1942, 32 lata

Tu spoczywają zwłoki
św. p. ks. Jozefata Korkucia
proboszcza subotnickiego
zm. 5 lipca 1881 roku w wieku 47 lat
Wieczny pokój duszy jego

Adolfa z Wołków Gan
Zm. 1 kwietnia 1889 roku, żyła 58 lat
Pokój jej duszy

Św. P. dziadkom i pradziadkom
Agacie i Kazimierzowi Samokarom
ze wsi Korkinięta
wnuk Albin, prawnuk Zbigniew

Tu spoczywają zwłoki
św.p. ks. Pawła Bagińskiego
Proboszcza subotnickiego, żył 82 lata
Zm. 24.03.1962 r

Przepracował w subotnickiej parafii 30 lat
Pomódlcie się za mnie

Najokazalszym miejscem pochówku na naszym cmentarzu jest pomnik wojskowy znajdujący się blisko bramy wejściowej. Widniejąca na nim tablica została umieszczona w latach osiemdziesiątych za probostwa księdza Wincen- tego Lisowskiego. Informuje ona o pochowaniu w tym miejscu porucznika Edwarda Oziembły „Ludwika”. Był on żołnierzem III Uderzeniowego Batalionu Kadrowego¹⁵⁸,

który z czasem został włączony w struktury 77. pułku piechoty Nowogródzkiego Okręgu Armii Krajowej. Żołnierze UBK przez pewien czas stacjonowali w naszych okolicach i walczyli z Niemcami. W jednej z akcji na linię kolejową Lida-Mołodeczno na wschód od Trab zginął „Ludwik”.

Ale ten pomnik powstał wcześniej, bo jeszcze przed drugą wojną i był poświęcony pamięci nieznanych żołnierzy polskich poległych w wojnie z bolszewikami. Długo nie wiedziałem, jaki napis znajdował się na pierwotnej tablicy, którą zniszczyli Sowieci po 17 września 1939 roku. Aż zupełnie przypadkowo odnalazłem fotografię tego pomnika w Narodowym Archiwum Cyfrowym w Warszawie. Na oryginalnej tablicy widniał napis:

TU SPOCZYWAJĄ
PROCHY BEZIMIENNYCH BOHATERÓW
POLEGŁYCH W 1919-20 r.
W WALKACH
O NIEPODLEGŁOŚĆ POLSKI

Pomnik powstał przy dużej pomocy miejscowej ludności z sobotnickiej gminy, w tym przy znaczącym udziale Nikodema Wasilewskiego z Dobrowlan. Został uroczystie poświęcony w 1934 roku w licznej obecności księży i wiernych. Maria Puczko z domu Karawacka z Sobotnik miała wówczas jedenaście lat. Postawiono ją na podwyższeniu tak, żeby była widoczna a jej głos docierał do wszystkich obecnych. Marysia mocno i pewnie powiedziała wiersz, który zapamiętała do końca swojego życia:

Na cmentarzu jest cichy grób,
barwią się kwiaty u jego stóp
Na grobie leży z śniętymi rany,
leży nasz żołnierz polski nieznany
Stań tutaj chłopcze i uczyn ślub,
że będziesz kochać zawsze ten grób
I nie zapomnisz wspomnień w modlitwie,
tych co zginęli w najświętszej bitwie

Na cmentarzu spotkałem Tadeusza Aniśkiewicza, którego rodzinę nazywano w miasteczku Hirudzi. Łączyło nas pokrewieństwo ze strony mamy mojego taty, babci Marii z domu Aniśkiewicz. Tadeusz miał siedemdziesiąt cztery lata i mieszkał w Moskwie. Do Sobotnik przyjechał odwiedzić groby rodziców i przy okazji spotkać się z Józefem Rusakiewiczem. Chodzili razem do jednej klasy i byli pierwszym rocznikiem, który w roku 1955 ukończył sobotnicką szkołę średnią. Tadeusz zrobił karierę w stolicy Rosji osiągając wysokie stanowiska w ministerstwie odpowiedzialnym za kolejnictwo. Nadal pracował i był w zarządzie firmy, która sprowadzała do Rosji specjalistyczne wagony do kontroli dróg kolejowych. Józik przyjechał do Sobotnik na zaledwie dwa dni i musiał wracać do tej swojej Mejszagoły. Nie widzieliśmy się, chociaż byliśmy tak blisko siebie.

- Jak hodujesz się? - pytał mnie zawsze na początku naszych rzadkich spotkań.

Budynek szkoły, którą ukończyli Józik i Tadzik to był jeszcze ten przedwojenny, drewniany i nadal istniejący. Nowa murowana szkoła w Sobotnikach, w której kontynuuje się około stu czterdziestoletnią tradycję nauczania w naszym miasteczku, została otwarta w 1959 roku.

Wojna się skończyła, ale panował jeszcze pewien chaos polityczny i był to czas wielkich przemian oraz niepewności, czy tu nadal będzie Polska, czy już nie. Trzeba było także pomyśleć o wznowieniu edukacji szkolnej dzieci i młodzieży, wspominał raz Józik. Nie było wówczas nauczycieli, zeszytów, podręczników, map, obsadek i stałówek, atramentu, kredy i tablic. Dlatego też nikt z władz rejonu nie stawiał rozpoczęcia pierwszego powojennego roku szkolnego na głównym miejscu. Nikt też nie myślał o tym, że wielu chłopców i dziewcząt stało się przerostkami, i że dla nich był już najwyższy czas pójścia do szkoły.

Zresztą tak naprawdę to w Sobotnikach nie wiadano, kiedy dzieci mają pójść do tej szkoły. Jej budynek był zawalony sianem i słomą, a wokoło znajdowały się resztki wału

o drewnianej konstrukcji wypełnionej ziemią. W czasie wojny stacjonował w nim oddział niemieckich żołnierzy.

Wtedy to w naszym miasteczku pojawiła się Irena Łukjanówna Tołkacziowa z córką Zosią i synem Jurkiem. Pani Irena umiała cudownie mówić i pisać po polsku. Znała też doskonale języki białoruski i rosyjski. Ona to pierwsza podjęła się nauczania w Sobotnikach w jakże trudnych warunkach, także materialnych dla niej i jej dzieci. Za swoją pracę nie otrzymywała żadnego wynagrodzenia i nie miała w Sobotnikach krewnych, którzy mogliby ją wspomagać. Dlatego uczniowie przynosili jej to, co kto mógł: jajka, mleko, chleb, mąkę, ziemniaki, ser oraz inne produkty. Podobnie było z ubraniem.

Irena Łukjanówna Tołkacziowa była prawdziwą wolontariuszką tamtych czasów i trochę taką Stasią Bozowską z „Siłaczki” Stefana Żeromskiego¹⁵⁹.

Pierwsi i nieformalni jeszcze uczniowie chodzili na zajęcia w kratkę. Uczyli się czytać z gazet, czasopism i książek kto jakie miał w domu, a język nauczania nie miał istotnego znaczenia. Nie było żadnych klas i zewnętrznej kontroli. Dzieci pisały sokiem z czerwonych buraków, a obsadki robiły z gęsich piór, tak jak dawniej. Tylko Józik, jego trzech kolegów i kilka dziewczynek mieli prawdziwe ołówki podarowane im przez oficera Armii Krajowej. Otrzymali je za pomoc przy odlewaniu orzełków do żołnierskich czapek.

Było to w 1944 roku już po przejściu frontu, który przesunął się gdzieś pod Warszawę. W okolicy Dowgiałowszczyzny leżało sporo różnych pocisków-niewypałów. Starsi koledzy Józika zbierali je, rozkręcali i wrzucali do ogniska powodując wybuchy. Chociaż im akurat nic się nie stało, to w podobnych przypadkach w Sobotnikach śmierć poniosło kilku ich kolegów. Za tytoń do papierosów udało się chłopcom kupić kilka sztuk broni od sowieckich żołnierzy. W kuźni w Dowgiałowszczyźnie robili z nich obrezy¹⁶⁰ i nocami bawili się w prawdziwe wojsko i strzelanie. Później

w tej samej kuźni robiono różne samopały, a zabawa nimi o mało nie skończyła się tragicznie.

Ktoś z dorosłych, spoza terenu naszej gminy, dowiedział się o odważnych, chociaż niebezpiecznych wyczynach dzieci. Odnalazł je i zaproponował im udział w pewnym ważnym i także niebezpiecznym przedsięwzięciu. Pokierował nimi, powiedział co i jak mają robić. A oni może już znudzeni zabawą w wojnę z chęcią zgodzili się na nowe i to prawdziwe działanie.

Dla Armii Krajowej były potrzebne orzełki do czapek, ale z koroną. Co prawda były już orzełki noszone przez polskich żołnierzy 1. i 2. Armii, ale one nie miały korony i wyglądały jak kury. Tak też je kurami nazywano i nie lubiano ich.

Odlewanie orzełków zaproponowano właśnie dzieciom. Na tajną odlewnię wybrano karier¹⁶¹ znajdujący się za niewielkim lasem znajdującym się między Dowgiałowszczyzną a majątkiem Łyntupka. Idealne miejsce, zaciszne i leżące na uboczu. Pod ręką było drzewo i pełno suchych korzeni. W okolicznych lasach leżały wraki niemieckich i sowieckich samolotów. W Wasilewiczach spadł nowy samolot myśliwski typu Jak, więc aluminium było pod dostatkiem.

Na początku młodzi hutnicy odlewali z niego miski, kubki, łyżki, widelce, a później wojskowe orzełki. Mieli trzy różnej wielkości aparaty do odlewania, podobne do szpakówek, wypełnione drobnym piaskiem. Na piasek kładziono oryginalnego orła, z wierzchu całość trambowano¹⁶² i powstawał jego odcisk. Następnie do utworzonej formy wlewano ciekły aluminiowy metal. Po ostygnięciu orzełka oczyszczano go pilnikiem i robiono w nim dwie dziurki do przyszycia. W ten sposób wytwarzano od pięćdziesięciu do stu orzełków dziennie.

Józik, jego trzech kolegów i kilka dziewczynek byli najmłodszymi z całego dziecięcego cechu. Ich nie dopuszczano do odlewania powierzając zadanie oczyszczania orzełków. Józik zapamiętał, że na zakończenie całej akcji pojawił się w odlewni oficer Armii Krajowej i każdemu z najmniejszych

dzieci podarował po ołówku. Nie widzieli jeszcze takich nienaostrzonych ołówków i to otrzymanych od oficera. Była to dla nich największa nagroda w wojennym czasie.

Kilkadziesiąt lat później Józik oglądał te orzełki w szkolnych muzeach na Litwie i w Polsce. Stał przed oszklonymi gablotami i z nostalgią patrzył na znajome eksponaty. W pamięci przypominał sobie wtedy całą odlewnię. Na jej tle stały zakurzone, brudne i bose, ale zadowolone i uśmiechnięte dzieci z nienaostrzonymi ołówkami w dłoniach.

Dopiero w oficjalnym roku szkolnym 1947/1948 zostały utworzone pierwsze klasy w sobotnickiej szkole, a dokonała tego również Irena Łukjanówna. W dniu 1 września 1947 roku Józik nie mógł przyjść do szkoły. Zjawił się nazajutrz, a pani Irena poddała go egzaminowi z czytania, pisania i rachowania. Następnie ogłosiła mu, że od tego dnia jest uczniem trzeciej klasy. Józik wspominał, że już wówczas pracowało w szkole kilku dobrych nauczycieli.

Dyrektorem była Zoja Bronisławowna Charytonowicz, z punktu widzenia uczniów wielka komunistka i bolszewiczka. Bardzo dobrym nauczycielem matematyki był pan Darnicki, który z żoną mieszkał w szkole. Wkrótce przysłano do Sobotnik dwie młode i bardzo sympatyczne nauczycielki. Aleksandra Grigorjewna Jadziewicz wykładała język i literaturę białoruską. Wyszła później za mąż za miejscowego kawalera z Mażul. Lidia Dmitrjewna Gierasimowicz nauczała języka i literatury rosyjskiej oraz zastępowała dyrektora szkoły. Była tak bardzo wymagająca, że uczniowie bali się jej. Ale miała też duże poczucie sprawiedliwości, dlatego ogólnie ją poważano i lubiano. Znalazła sobie za męża solidnego chłopca o nazwisku Cet i osiedliła się z nim na stałe w centrum miasteczka. Wychowanie fizyczne prowadził Borowikow.

Następnie do szkoły przyszedł nowy białorusista Aleksander Drabyszewski. Miał około trzydziestu lat, niewielką łysinę i bardzo lubił żartować. Kiedy Zoja Charytonowicz została dyrektorką szkoły w Żemłostawiu na jej miejsce przyszedł

Aleksander Gonczenko. Był to wysoki czarnowłosy Ukrainiec, emerytowany wojskowy, kierownik oświaty obwodu brzeskiego i później rejonu iwiejskiego, komunista. Był on również głównym ideologiem partyjnym Sobotnik i wszystkich gminnych organizacji. Miał duże wymagania wobec uczniów, ale nigdy nie podnosił na nich głosu, nawet jak mocno narozrabiali. Ogromnie lubił sport i zawsze kibicował szkolnym drużynom na występach sportowych w rejonie.

W pamięci Józika trwale też pozostała jego wychowawczyni pani Halina Nieczaj, która pochodziła gdzieś spod Nowogródka. Bardzo podobała się uczniom, a w swym wyglądzie niewiele różniła się od dziewcząt z najstarszej klasy. Pani Halina dawała wszystkim chłopcom mocno przypalenia, czyli nie stosowała wobec nich żadnej taryfy ulgowej.

Podeszła raz do Zdziśka Biblisa z Dowgiałowszczyzny, który był na bakier z nauką, położyła mu rękę na ramię, spojrzała w oczy i życzliwie powiedziała:

- Wuczysia synoczek, czeławiekam budziesz.

Podskoczył Zdzisiek na równe nogi i do swojej wychowawczyni, która sięgała mu głową zaledwie do brody, jak do rodzonej matki powiedział:

- Moja najdroższa i kochana mamuśka, od dnia dzisiejszego naprawdę będę się uczyć!

Zdziśkowi wcześniej umarła mama, dlatego często przebywał u rodziny Józika i zostawał u niej na noc. Razem z Józikiem uczyli się i bawili, i byli serdecznymi przyjaciółmi. Wspólnie też odebrali lekcję patriotycznego wychowania w pewien marcowy dzień czwartego roku wojny. Józik i Zdzisiek mieli wówczas po siedem lat i jak to często wśród dzieci było bawili się w wojnę. U Józika odgrywali sceny udając w nich żołnierzy polskich, niemieckich i sowieckich. Jego ojciec przy rozpalonym piecyku naprawiał swoje zimowe buty. Chłopcy w rękawy koszul włożyli młotki będące niby pistoletami i zaczęli do siebie krzyczeć.

- Ejsz ty kacap! W błocie ciebie zaduszę! - zawołał Zdzisiek udając polskiego oficera.

- Ech ty suka, palackaja morda, da papadiosz ty w moi ruki! - jeszcze głośniej odpowiedział Józik w roli sowieckiego porucznika.

I tak kilka razy jeden do drugiego, coraz głośniej i z coraz większym zacietrzewieniem. Ojciec Józika zostawił swoje zajęcie, odwrócił się do chłopców i długo na nich spoglądał. O czymś widocznie konkretnym pomyślał, bo w pewnej chwili wstał, poszedł do kuchni i wrócił z szerokim kręconym pasem niemieckim. Chwycił Józika za rękę i tak dał, że chłopiec nie wykrzyknął ani słowa. Następnie Emilian Rusakiewicz wyciągnął zza szafy Zdziśka i też mu tak dał, że jego mama Bronisława przez trzy dni chłodne kompresy chłopcom na pewne miejsce łożyła.

Kiedy o całym zajściu dowiedział się Bronisław Biblis, ojciec Zdziśka, przyszedł do domu Rusakiewiczów i tak powiedział:

- Panie Emilianie, bardzo w czas pan to zrobił. Może drugi raz nie przyjdzie się nam wyjaśniać, co to jest palackaja morda.

Z dawnych powojennych pedagogów mieszkał w Sobotnikach tylko historyk Stefan Igantjewicz Murawjow. Mimo podeszłego wieku miał jeszcze dobrą pamięć i siły do pracy w niewielkim gospodarstwie przydomowym.

22 sierpnia, środa

Imianiny Aliaksieja, Macwieja

Po Macieju chłop nie poci się na polu.

Na polach zakończyły się główne prace letnie. Kolejne dni przynosiły pierwsze oznaki jesiennego ochłodzenia.

W drugą wyprawę rowerową wybrałem się do Chilewicz położonych sześć kilometrów od Sobotnik. Z Chilewicz pochodził mój dziadek Bronisław Niechwiadowicz i jego ojciec Franciszek, i Franciszka ojciec Józef, i Józefa ojciec też Józef i tak dalej. Dziadek Bronisław przyszedł w prymy do Sobotnik i ożenił się z Marysią Aniśkiewicz. W naszej rodowej wiosce mieszkał kuzyn mojego taty Wacek Niechwiadowicz zwany Cyganem. Jego ojciec Augustyn i mój dziadek Bronisław byli rodzonymi braćmi. Był jeszcze jeden brat Józef i trzy siostry: Bronisława, Helena i Jadwiga. Józef też pozostał na ojcowiznie, a dziewczyny wyszły za mężów do innych wiosek naszej gminy. Józefa, córka Bronisławy, podobnie jak my wyjechała w drugiej ekspatriacji do Polski.

Wstałem wcześniej rano, chociaż z kolonii do Chilewicz było tylko tylko osiem kilometrów. Podczas wycieczek rowerowych na ajczyźnie bardzo lubię często się zatrzymywać, przyglądać krajobrazowi i różnym przyrodniczo ciekawym miejscom. Odstawiam wtedy rower i na chwilę wchodzę do lasu, nachylam się nad kwiatami rosnącymi na łące, zanurzam stopy w napotkanym strumieniu.

Poranna trawa skąpana była w rosie. Po kilku krokach wsiadłem na rower i zostawiłem za sobą dom dziadka Jana. Dróżką przez las, który w ciągu kilku dziesiątków lat zakrył domy na kolonii dojechałem do pól. Jeszcze kawałek i już byłem na Łyntupskiej Drodze. Jechałem otwartą przestrzenią, która ukazywała przede mną serdeczne krajobrazy. Po lewej stronie za horyzontem była Litwa. Blisko w zasięgu wzroku miałem dolinę Matruny przykrytą delikatną mleczną mgłą.

Wzdłuż tej krynicznej rzeczki ciągnęła się sobotnicka kolonia od zachodniej strony miasteczka. Stała tam pusta chata dziad-

ków Niechwiadowiczów. W latach 1938-1939, w ramach rządowej reformy rolnej scalania gruntów, została przeniesiona wraz z budynkami gospodarczymi z ulicy Wileńskiej w Sobotnikach. Mieszkali w niej dziadkowie ze swoimi dziećmi: Stasiem, Janką, Czesiem i Albinem. W tej chacie po ślubie zamieszkali moi rodzice, a ja przeżyłem w niej moje pierwsze dziesięć miesięcy życia do czasu wyjazdu do Polski. Kiedy w 1966 roku zmarł dziadek Bronisław babcia Marysia przez krótki czas mieszkała sama. Następnie przeprowadziła się do córki Janiny do Ślesar, a rodzinna chata została sprzedana starszemu małżeństwu Rakowiczów z Kudejsz. Oni już też zmarli i dom pozostał pusty.

Zajeżdżam tam czasami rowerem. Chata wygląda na mniejszą niż ją pamiętam z dziecięcych lat. Jakby się obniżyła chcąc mocniej objąć swoją ziemię. Zaglądam do jej wnętrza przez zabrudzone szyby okien, wpatruję się w puste dno wąskiej studni, dotykam zdziczałych gruszy. Stary drewniany dom i ziemia na której stoi są złączone na wiečność. Za nic w świecie nie chciałby być on rozebrany, przeniesiony w inne miejsce, może zniszczony. Ten dom zachował w swoim wnętrzu nieuchwytnie ślady naszej w nim bytności, które wraz z otwarciem drzwi przez nieproszonych gości ulecia gdzieś w niebo. I nic już nie pozostanie, ani domu, ani pamięci.

Często obserwowałem letnie zachody słońca na naszej ziemi. Towarzyszyły im ciepłe promienie wysyłane z pomarańczowej kuli stopniowo chowającej się za horyzontem i dodającej ludzkim postaciom długie cienie ich sobowtórów. Kiedy słońce układało się do snu myślałem o tym, że jednocześnie gdzieś tam na innych łąkach i w innych krajach wstawał radosny i świetlisty poranek.

Jadąc do Sobotnik wypatrywałem tych pierwszych życiodajnych promieni. Ich pojawienie się nadało delikatnej różowej barwy mgłę w dolinie Matruny. Był to dla mnie tak niezwykle i baśniowy widok, że zatrzymałem się i zsiadłem z roweru. Chciałem zanurzyć się w tę różowość i przeniknąć do innego świata. Może byłby to zaczarowany świat duchów

tej ziemi? Może ujrzałbym walecznych rycerzy Wielkiego Księstwa jak poją konie w czystej Gawii? A może dziadka Bronisława okadzającego ule, babcię Marysię siedzącą na ławce z bojką¹⁶³ w rękach i siebie w krótkich spodenkach na szelkach zapiętych z tyłu na krzyż? Ja wpatruję się w wodne oko studni i kręcę kołowrotem. Puszczam go a rozpedzone wiadro nurkuje z pluskiem w ciemną czeluść i tam zostaje. Oj, dostanie mi się od dziadka!

Westchnąłem na to wspomnienie i z powrotem wsiadłem na rower. Szybko przejechałem przez jeszcze ciche, ale już budzące się do nowego dnia miasteczko.

Za mostem na Gawii skręciłem w prawo na Iwie. Jechałem dobrą asfaltową drogą pośród wysokiego sosnowego lasu rzadko przeplatane go olbrzymimi świerkami. Minąłem ukryte za drzewami niewielkie wioski Mażule i Mażule Szlachackie. Następnie były Wasilewicz, tuż za nimi most na bystrej, czystej i wciąż rybnej Jakuńce wpadającej do Gawii i po chwili pojawiła się nazwa Chilewicz.

Przed wioską, tak jak przed wieloma innymi na Grodzieńszczyźnie, wznosił swoje ramiona drewniany krzyż. Za nim stał nieczynny od wielu lat niewielki murowany budynek miejscowego mahazinu. Wjechałem na ulicę wybrukowaną polnymi kamieniami podobnie jak w Czechowcach. Drewniane domy w Chilewiczach stały do ulicy krótszym bokiem, a na wielu z nich przybite były krzyże. Wujek mieszkał prawie na końcu wioski w domu, w którym przed wojną wynajmowała pokój Janina Kirol. Pani Janka była jedyną nauczycielką w chilewickiej czteroklasowej szkole publicznej, do której także chodziły dzieci z Wasilewicz, Wodoli i Jakuńki.

Wujek Wacek zawodowo pracował na stanowisku kowala i ślusarza w sobotnickim kołchozie. Chociaż od dobrych paru lat był na emeryturze, to czasami w swojej przydomowej kuźni i warsztacie wykonywał drobne zlecenia. Jego żona Taisa przez wiele lat nauczała w szkole początkowej w sąsiednich Wodolach. Mieli troje dorosłych już dzieci i wnuki. Syn

i córka zapowiedzieli przyjazd w niedzielę i pomóc rodzicom w kopaniu ziemniaków. Rozmawialiśmy z wujkiem o naszej rodzinie Niechwiadowiczów, o życiu w Chilewiczach, w których mieszkali sami starzy i nieliczni ludzie, a na całą wioskę przypadały tylko cztery krowy i jeden koń.

To był wynik przemian, jakie w sposób naturalny rozpoczęły się dość dawno temu na grodzieńskiej wsi. Uważam, że w pozostałej części Białorusi jest podobnie, a w niektórych regionach nawet gorzej. Poruszyłem z wujkiem sprawę poszukiwań krewnych Crisa Szluchy. W Borowikach się nie udało, to może tutaj?

Z Chilewicz pochodziła Magdalena Stanulewicz, matka ojca Crisa. Znowu przydały się spisy mieszkańców wioski, tym razem Chilewicz z roku 1904, z lat 1939-1940 i dobra pamięć wujka. Magdalena miała rodzeństwo, w tym siostrę Walerię. Waleria wyszła za mąż za Józefa Jurusza z Chilewicz. Mieli oni dwoje dzieci, z których córka Jadwiga mieszkała w miasteczku Łazduny iwiejskiego rejonu, dwadzieścia kilometrów od Sobotnik. I taką wiadomość o żyjącej na Białorusi bliskiej cioci przekazałem po powrocie do domu amerykańskiej gałęzi Szluchów.

Sąsiadem wujka był chłop, który umiał zamawiać różę. Róża to bakteryjna choroba skóry. Objawia się tym, że u chorego powstają obrzękowe zmiany skórne. W tych miejscach jest ona wygładzona, napięta, lśniąca, nadmiernie ocieplona i zaczerwieniona. Są to objawy bolesne i powstające nagle. Towarzyszyć im może bardzo złe samopoczucie i wysoka temperatura u chorego.

Starsi mieszkańcy wiosek Grodzieńszczyzny uważają, że na tę chorobę nie ma żadnego, szybkiego i skutecznego lekarstwa, i że lekarze są wobec róży bezradni. Pomocne jest tylko zamawianie choroby przez odpowiednią osobę. Można nauczyć się zamawiać różę i jeżeli w rodzinie jest kilkoro dzieci, to tylko pierwsze i ostatnie jest w stanie posiadać tę umiejętność.

Podobno od ukąszenia hadziny¹⁶⁴ też można zahawarywać¹⁶⁵ i potrafią to robić niektóre kobiety w naszych stronach, jak na przykład stara Juchniewiczowa żyjąca kiedyś w wiosce Narbuty sobotnickiej gminy.

Odnosnie ludowego leczenia róży znowu sięgnąłem do osobistych wspomnień Józika Rusakiewicza. W latach szkolnych ani on ani jego koledzy nie wierzyli w żadne ludowe leczenie. W żadne jakieś tam zamawianie, dziwne szepkanie nad chorą nogą lub ręką, nad chorym człowiekiem. Wierzyli tylko w sowieckich lekarzy.

Józik dotąd nigdy nie chorował i ani razu nie był w szpitalu. Pewnego zimowego dnia jeździł z chłopakami na łyżwach po zamrożonym stawie. Nagle lód pod nim się załamał i Józik wpadł po pas do wody i bardzo się przestraszył. Na szczęście miał blisko do brzegu, a koledzy pomogli mu wydostać się ze stawu i szybko dotrzeć do domu. Nazajutrz prawą nogę miał mocno opuchniętą. Zrobiła się ona czerwona i mocno bolała. Nad kostką powyżej stopy wyskoczył przezroczysty pęcherzyk wielkości wiśni. Mama Józika poprosiła do chaty miejscową zamawiaczkę chorób. Ta spojrzawszy na spuchniętą nogę od razu powiedziała:

- On różę zruszył. Trzeba zamawiać.
- Nie! - zaprotestował Józik.
- No to zawieźcie go do lekarza - powiedziała zamawiaczka, machnęła ręką i wyszła.

Nazajutrz wcześniej rano Józik wyszedł z chaty i poszedł po konne sanie, którymi chciał pojechać do szpitala w Sobotnikach. Jak go we wsi zobaczyli, to się wszyscy zdziwili:

- Ooo?! Chory, a sam poszedł?!
- U nas liczy się człowiek chorym, kiedy go do sań lub wozu wynoszono w kilka osób i bez pamięci jest. To już to chory, a kiedy poszedł sam, to zdrowy - wyjaśnił reakcję sąsiadów Józik.

W szpitalu popatrzereli na nogę, pomazali maścią ichtiolową, watą i merłą¹⁶⁶ opatrzyli i kazali wracać do domu. W polowie drogi Józik zatrzymał konia, zdjął bint¹⁶⁷ i zobaczył, że pęcherza już nie było. Nie było też w tym miejscu skóry tylko rana wyglądająca jak oparzona wrzątkiem, a na niej maść ichtiolowa przykleiwszy się jak smoła. Do mieszkania Józik doskakał na jednej nodze. W nocy prawie nie spał, bo chora noga musiała być podjęta do góry, wtedy nie tak smaliło.

- Wieczorem pójdziemy do Lutusichi. Ona też zamawia, ale lepiej czym Banetczycha pomaga - powiedział rano mamie szeptem na ucho.

Wspominał dalej Józik.

Lutusicha żyła z kilometr od nas na kolonii sobotnickiej. Rozmawiała po polsku. Mówili, że jest z Warszawy, ale nie to mnie ważne było tylko co będzie robić? Patrzyłem bardzo uważnie. Już przy lampie czymś chorą nogę pomazała, jakby oliwą z drobnymi listkami, i coś szeptała niewyraźnie. Może i jakąś modlitewkę. Powiedziała przyjechać poza jutro. Nie pojechali do niej, a ja poszedłem do szkoły. Poza jutro już biegłem pięć kilometrów na nartach w zawodach. Po nich znowu róża. I znowu pojechaliśmy do Lutusichi. Pomogło.

Od tego zdarzenia minęło dwadzieścia pięć lat. Pracowałem jako nauczyciel w mejszagolskiej szkole średniej koło Wilna. Raptem zrobiło mi się z nogą to samo co było przedtem. Pomyślałem sobie, że to już amen. Pani Lutusiowa dawno zmarła, a ja nikogo podobnego nie znałem. Ktoś mi wtedy podpowiedział, że pani Zubrycka z Wilna umie zamawiać różę. Kupiłem toje-sioje, zamrużyłem¹⁶⁸ się i poszedłem. Pomyślałem sobie tylko, że jak się dowiedzą o tym w szkole, to zakluwają¹⁶⁹. Zaszedłem do pani Zubryckiej, a ona uśmiechnęła się jak dobra znajoma i powiedziała:

- To co? I pan Józef nie wieczny?

- Wychodzi że tak, pani szanowna.

Ona dodała, że „nie gwarantuje, komu pomaga, a komu nie”. Mnie i na ten raz pomogło. Niestety, już pani Zubryc-

ka dawno nie żyje. Wieczny jej pokój za dobre uczynki dla ludzi.

Lutusicha była żoną Leona Anuszką zwanego Lutusiem. Mieszkali oni w niewielkiej chacie przy Łyntupskiej Drodze, a ich pole granoczyło z polem dziadka Jana. Mieli kamienną głęboką na dwadzieścia kręgów studnię.

Tej pamiętnej mroźnej nocy 12 marca 1946 roku Lutuś i babcia Wiktoria wracali z miasteczka do swoich domów. Wracali w bardzo dobrych nastrojach. Mieli przy sobie wszystkie potrzebne dokumenty związane z wyjazdem na stałe do Polski. Byli już blisko chaty Lutusia, kiedy dosięgły ich bandyckie sowieckie kule. Babcia Wiktoria była w zaawansowanym stanie błogosławionym.

Zapytałem wujka o majątek Jakuń Dmochowskich. Trochę go pamiętał z dziecięcych lat. W majątku był drewniany dworek, zabudowania gospodarcze z mieszkaniami dla parobków, młyn, cztery stawy. Nic z tego nie pozostało.

Z powrotem do Sobotnik chciałem jechać przez Wasilewicz. Wujek odprowadził mnie na skraj Chylewicz i pokazał krótszą pełną drogę do bliskiej i widocznej wioski.

- A tam dalej jest Zalesie, a w prawo Narbuty - powiedział pokazując na horyzont i błyszczące w słońcu kreski dachów.
- Tu, widzisz, zaraz przed nami są Kisłe, a tam dalej za lasem był majątek Jakuń.

Odjeżdżałem ale wiedziałem, że się jeszcze zobaczymy w niedzielę. Przypadkowo spotkałem też wujka w innym dniu, kiedy z kolegą przyjechał do Sobotniki dwukołową konną bryczką.

W Wasilewiczach chciałem odwiedzić Stasia Kuleszę rocznik 1925. Kilka lat temu byłem u niego i jego żony Gieni z domu Chatkiewicz rodem z Szarkuć. Staś za młodu grywał na skrzypcach na weselach, wieczorynkach i różnych uroczystościach, i był dobrym kolegą mojego taty. Zawsze będę pamiętał, jak mi kiedyś z błyszczącymi oczami zagrał „Jeszcze Polska nie zginęła (...)”. Niedawno zmarła mu żona,

a i stan jego zdrowia ostatnio się pogorszył. Dobrze, że w Wasilewiczach mieszkała siostra żony i często z pomocą ojcu przyjeżdżał syn Janek z Mińska.

Pan Stanisław przechadzał się po przydomowym dużym ogrodzie, w którym szwagierka wykopywała ziemniaki. Z pewną trudnością mnie rozpoznał i przypomniał sobie swojego tatę. Kiedy już wiedział kim jestem, to od razu w rozmowie ze mną przeszedł na czysty język polski bez żadnego kresowego akcentu. Przed wojną ukończył sześć klas szkoły powszechnej w Sobotnikach.

Zosia Pietryman ukończyła tylko trzy klasy. Podobną edukację otrzymały wieczny pokój: Stasia Tuczkowska „Sobolanka”, Władzia Kwiatkowska „Palestynka”, Stasia Iwanowska, Anna Boguszewicz, Anna Suczewska oraz inni z roczników 1920-1930, z którymi bardzo przyjemnie rozmawiałem w języku polskim.

Gdybym mógł przenieść do Poznania na przykład Annę Suczewską i postawić ją pośród ludzi czekających w kolejce przed sklepem, to nikt by nie spostrzegł że mówi ona innym językiem, że zaciąga po kresowemu, że jest nietutejsza. A przecież na co dzień w Sobotnikach i w gminie używało się prostej mowy. Bardzo ją lubię, a do jej zrozumienia i nauki nie jest potrzebny żaden słownik czy też nauczyciel.

Janek akurat odwiedził ojca z żoną i synem. Z Mińska te około sto pięćdziesiąt kilometrów drogi szybko przejechali samochodem. Trochę porozmawialiśmy o bieżących sprawach, o bliskiej rodzinie Janka w Polsce, o Mosarze koło Postaw w obwodzie witebskim, gdzie ksiądz Józef Bulko wybudował nowy i piękny kościół Świętej Anny. Janek znał księdza i pokazał mi gazetę z artykułem o świątyni z jej zdjęciem. Powiedziałem mu o projektowanym na piątek niewielkim spływie Gawią do wysokości Wasilewicz i Czechowców.

- W piątek wieczorem znowu przyjadę do ojca z Mińska. Jak będziecie jeszcze na wodzie to zadzwonię, odwiozę was do Sobotnik - zaproponował.

Wymieniliśmy adresy i telefony i pożegnaliśmy się do następnego, może również nieoczekiwanego spotkania. Janek serdecznie zapraszał mnie do siebie, jeżeli kiedyś będę w Mińsku.

Przed wjazdem do miasteczka jak zwykle zatrzymałem się na moście na Gawii, żeby chociaż przez chwilę na nią popatrzeć. Usłyszałem delikatny odgłos końskich kopyt na asfalcie. Odwróciłem się i zobaczyłem konia biegnącego truchtem, który ciągnął wóz na gumowych kołach. Biegł lekko i swobodnie. Widać było, że sprawia mu to przyjemność. Na wozie siedziały dwie babcie i z ożywieniem o czymś rozmawiały. Wóz wjechał na most i wtedy podkowy zaczęły wystukiwać dźwięczniejszy rytm jakby na przywitanie rzeki. Wsiadłem na rower i ruszyłem w kierunku kościoła.

Z ulicy Kościelnej na Wileńską skręcił konny wóz bez bocznych ścian. Ze spuszczonymi nogami siedziała na nim bardzo młoda dziewczyna. W rękę trzymała lejce dając nimi koniowi delikatne znaki, którym był on posłuszny. Duży koń zaprzężony do wozu i powożąca nim młoda dziewczyna. A jeszcze młodsza, może sześć czy też siedmioletnia pognała konno na oklep ulicą Wileńską. Trzymała się tylko końskiej grzywy i pewnie kierowała zwierzęciem.

Jak dobrze, że na Białorusi zostało jeszcze tyle koni i furmanek. Tak jak od wieków nadal z pożytkiem służą ludziom. Można nimi zwieźć zebrane z pola ziemniaki, przywieźć kopiasty wóz siana, podjechać w kilka osób do miasteczka na zakupy, czy też do kościoła na niedzielną mszę. A zimą zamiast do wozu zaprzęga się konia do sań i jazda nimi to jest dopiero frajda!

Mocniej nacisnąłem pedały roweru. Było już późne popołudnie i nadeszła pora wracać do bazy na kolonię.

23 sierpnia, czwartek

Imianiny Laūrena, Pilipa

*Na Laurena w południe przypatrywano się wodzie. Jeżeli jej ton
była spokojna, to jesień miała być cicha a zima bez zawieruchy.*

Otrzymałem wiadomość, że zachorował ojciec Franciszek. Pojechałem do niego zobaczyć co się stało. Rzeczywiście był chory i leżał w łóżku. Krowa od sąsiadów weszła na teren plebanii i zaczęła zjadać smaczne buraki z ogrodu proboszcza. Nie było to pierwszy raz, więc kapłan zdenerwował się i zerwał biegiem żeby przegonić zwierzę. I wtedy poczuł olbrzymi ból w obu podudziach. Upadł na ziemię, na czworakach doczołgał się do plebanii i stamtąd zadzwonił po lekarza. Przyszedł doktor Matwiejczyk z sobotnickiego szpitala i zaaplikował mu jakieś zastrzyki. W tym dniu miała też przyjść pielęgniarka z nową porcją zastrzyków. I jeszcze za parę dni miał przyjechać neurolog z Iwia, żeby zrobić dokładniejsze rozeznanie stanu zdrowia chorego. Ojciec Franciszek chciał być szybko postawiony na nogi i pojechać na leczenie do Polski. Oczywiście nie mógł podróżować sam. Przy mnie odebrał telefon od swojego brata z Kędzierzyna Koźle, który miał przyjechać po niego do Sobotnik.

Codzienna białoruska gazeta „Gwiazda” z dnia 25 sierpnia podała, że średnia płaca brutto w kraju w miesiącu lipcu wyniosła 747 355 rubli, wówczas było to około 350 dolarów, i była wyższa od czerwcowej w wysokości 728 015 rubli. Kuzyn Janek zastanawiał się, kto w Sobotnikach mógł mieć taką wysoką pensję pracując na jeden etat. Może dyrektor szkoły z wszelkimi premiami i nagrodami? Zarobki wiejskiego nauczyciela są niewystarczające na utrzymanie rodziny oraz poniesienia wszelkich kosztów mieszkania we własnym domu. Dlatego musi on prowadzić małe gospodarstwo rolne. Trzyma w nim krowę, świnię, kury, uprawia przydomowy ogród, sadi ziemniaki dla siebie i zwierząt, kosi trawę na siano. Ma dużo dodatkowej i koniecznej pracy.

W mieście pensje i emerytury są wyższe. Kuzyn Witek wyjątkowo zarobił w jednym miesiącu równowartość czterystu dolarów. Jego syn Władek, który od niedawna pracował w firmie transportowej przewożącej towary tirami, przyniósł raz do domu sześćset tysięcy rubli. Było to bardzo dużo jak na dwudziestoletniego chłopaka, ale w tej wypłacie znalazły się też zaległości z poprzednich miesięcy.

Mimo to w Sobotnikach, Żemłosławiu, a jeszcze bardziej w Iwiu i Lidzie widziałem dobrze sytuowanych ludzi. Powszechna była opinia wśród mieszkańców Białorusi udokumentowana zagranicznymi wyjazdami, że w ich kraju żyło się lepiej niż w Rosji i na Ukrainie, a nawet nie gorzej niż na Litwie. Lepsze na Białorusi były drogi, bardziej pracowici i przedsiębiorczy ludzie, stabilniejsza gospodarka.

Trudno było mi o tym dyskutować, przecież nie mieszkam tutaj na stałe. Sądzę jednak, że gdyby prezydent i rząd pozwolili na o wiele większą swobodę gospodarczą a także inną, to Białoruś zbliżyłaby się znacznie do Polski i krajów Unii Europejskiej. Jednak taka swoboda na wielu płaszczyznach życia niesie za sobą prędzej czy później obowiązek podzielenia się władzą, a może nawet jej oddania. A któż sam z własnej dobrej woli pozbywa się słoika miodu dla szczypty soli?

Akurat byłem poza miasteczkiem, kiedy wjechało do niego kilkanaście dużych samochodów wypełnionych ludźmi i psami z jednostek specjalnych. Jak mi później powiedziano zdążali oni w kierunku bliskiej granicy z Litwą. Gdzieś niedaleko, w Dziewieniszkach czy też w Solecznikach Małych, miał się odbyć duży koncert rockowy z udziałem również białoruskich zespołów. Władze obawiały się, że młodzież będzie nielegalnie przekraczać granicę z obydwu stron i może jej przyjść do głowy zrobienie czegoś niezwykłego. Ale na przykład, czego?

- Będzie wojna! - powiedziała mi z przekonaniem napotkana w miasteczku starsza kobieta.

24 sierpnia, piątek

Imianiny Maksima, Fiodara

Kiedy deszcz zacznie padać w południe, to długo nie przestanie.

Tego dnia z Saszą, synem kuzyna Janka, zrobiliśmy spływ Gawią. Aleksander, zdrobniale Sasza, a w oficjalnej wersji i zgodnie ze swymi białoruskimi przekonaniem Aleś, studiował filologię czeską na Uniwersytecie Wrocławskim. Do domu przyjechał na wakacje i dał się namówić swojemu polskiemu wujkowi na wodną wyprawę Gawią.

Plastikowy kajak kupiony w poznańskim Praktikerze napompowaliśmy poprzedniego dnia wieczorem. Do podręcznej torby włożyliśmy kilka kanapek i wodę mineralną Darida o naturalnym lekko słonym smaku. Chwyciliśmy kajak, wiosła i Antakolem, ulicą Młyńską poszliśmy nad Gawię.

Spływ rozpoczęliśmy z niewielkiej trawiastej plaży pustej o poranku. Dopompowaliśmy kajak i kiedy już mieliśmy podejść z nim do brzegu rzeki, zbliżyła się do nas konno dziewczyna, oczywiście siedziała na nim bez siodła. Koń chciał się napić wody, a ja miałem nadzieję na zrobienie ciekawego zdjęcia. Jednak zwierzę trochę się spłoszyło naszą obecnością, bo zrezygnowało z ugaszenia pragnienia i ze smukłą amazonką odjechało stępa.

W końcu popłynęliśmy. Początkowo nie mogliśmy skoordynować naszych ruchów wiosłami. Zahaczaliśmy jedno o drugie, opryskiwaliśmy się wodą, ale później było już lepiej. Utrudniał też nam płynięcie nasz kajak, bardzo lekki i miękki w porównaniu do drewnianych czy też wykonanych z tworzywa sztucznego. Musieliśmy mocno wiosłować, żeby płynąć prosto i utrzymywać się w głównym nurcie rzeki. Kiedy przestawaliśmy to robić, traciliśmy na szybkości i Gawia kierowała kajakiem według swojego uznania. Na naszej wodnej drodze spotykaliśmy przeszkody w postaci powalonych drzew i wtedy musieliśmy bardzo uważać, żeby się nie zaplątać w gałęziach, nie nadziać się na obłamany ostry konar i nie przedziurawić łódki.

Trasa do Borowik była mi już znana. Wysoki lewy brzeg Gawii niedaleko cmentarza, na którym dwie sosny trzymały się ziemi tylko połową korzeni, podczas gdy druga ich część unosiła się w powietrzu i tworzyła artystyczny ażurowy splot. Szerokie zakole rzeki przy szpitalu i prawie wszędzie widoczne dno. Co jakiś czas badaliśmy wiosłem głębokość wody i wszędzie mieliśmy grunt. Nie oznaczało to, że na Gawii nie było miejsc głębszych i wielkich jam. Woda w nich miała barwę ciemnogrnatową, miejscami prawie czarną. W głównym nurcie rzeki dominowały różne odcienie zieleni, a na płycznach widać było złoto piasku. Tę niesamowitą urodę Gawii malowało słońce, które w swej dziennej wędrówce po niebie oświeślało ją pod różnymi kątami.

Nagle przed nami poderwała się z wody kaczka rodzina. To już nie były ledwo opierzone maluchy jak poprzednio, ale podrostki fruwające za swoją mamą. Na kolejnym zakolu omal nie wpłynęliśmy w stado borowickich krów. Stały w wodzie i zdziwione naszym widokiem przekrzywiały na bok głowy. Były rasy czerwonej w białe łaty, a duże rogi miały wygięte jak tatarskie łuki. Nie widziałem takich w Sobotnikach.

Położenie Borowik blisko rzeki zachęciło mieszkańców wioski do hodowania gęsi. Spotkaliśmy dwa takie stadka w tym jedno liczące ze dwadzieścia sztuk. To właśnie gdzieś tutaj poprzednim razem widziałem dużą ilość czapli białych i siwych. Bliskość bieżącej wody dawała się wykorzystać do różnych celów w gospodarstwie domowym. Jakaś kobieta płukała w Gawii świeżo wyprane rzeczy. Co chwilę pochylała się nad wodą zanurzając w niej i wyjmując kolorową sukienkę. Prostując sylwetkę spoglądała w naszą stronę, a z rozpostartego w jej rękach materiału wracały do Gawii wodne strugi jak kaczątka do swojej matki.

Kawałek za Borowikami rzeka ukazała nam swój nowy obraz. Brzegi miała porośnięte wysokimi i gęstymi szuwarami co sprawiało, że na tym odcinku była węższa, a my nie bardzo wiedzieliśmy gdzie się znajdujemy. Wydawało się

nam, że płynęliśmy do przodu i tak rzeczywiście było jeżeli chodzi o kierunek nurtu. Jednak po kilkunastu minutach wyglądało na to jakbyśmy się cofali lub płynęli w inną stronę. Zapomnieliśmy, że Gawia w swej podróży wiła się wieloma ciasnymi meandrami.

Szuwary ustąpiły i do brzegu zbliżył się sosnowy las. Nie daleko przechadzał się bocian pokazując nam swój czerwony dziób i górną część tułowia. W pobliżu ktoś pał stado krów, bo widzieliśmy zwierzęta i czuliśmy zapach dymu z ogniska. Nagle poderwał się ze szczekaniem duży kudłaty pies i podniosły się w naszym kierunku dwie zdziwione męskie głowy. Pomachaliśmy do nich rękami i popłynęliśmy dalej. Nadal nie wiedzieliśmy gdzie się dokładnie znajdujemy. Spoglądanie na starą przedwojenną mapę nic nam nie dało. Niewiele też było widać z wody gdyż brzegi rzeki chociaż były płaskie na tym odcinku, to wystawały około metr nad jej powierzchnię. Trudno było przy nich zacumować i wyjść na ląd.

Janek Kulesz przestrzegał nas przed drzewem, które na wysokości Wasilewicz powaliło się i jak kładka połączyło dwie strony Gawii. To miał być nasz punkt orientacyjny.

Po lewej stronie minęliśmy ujście jakiejś rzeczki, prawdopodobnie Jakuńki. Wy płynęliśmy z kolejnego zakola Gawii na prosty odcinek i niedaleko przed nami ujrzelśmy powaloną nad wodą sosnę. Wiosłowaliśmy teraz wolniej i uważnie patrzeliśmy którądy byłoby łatwiej przecisnąć się pod leżącym drzewem. Z lewej strony było trochę więcej miejsca, ale i tak musieliśmy pochylić się mocno w kajaku, żeby przepłynąć pod tym naturalnym mostem. Udało nam się to bez problemów.

Godzina była już popołudniowa, więc zdecydowaliśmy się przybić do brzegu w najbliższym dogodnym miejscu. Po paru minutach zacumowaliśmy przy niewielkiej łasze piasku. Wyciągnęliśmy kajak, a Sasza poszedł na rekonesans sprawdzić nasze położenie. Wrócił po kilkunastu minutach z informacją, że dobrze trafiliśmy. Niedaleko była droga

Iwie-Sobotniki. Widział też jakiś most. To z pewnością był to most na Jakuńce między Chilewiczami i Wasilewiczami. Mieliśmy jeszcze sporo czasu do przyjazdu autobusu, więc odpoczywaliśmy, a ja zażywałem kąpieli w Gawii.

Woda była z początku zimna i jak zwykle miałem opory przed szybkim zanurzeniem się w niej. Kiedy moje ciało oswoiło się z płynącym chłodem było już tylko przyjemnie. Rzucałem się w nurt Gawii i płynąłem szybko z jej prądem. Nadaremnie próbowałem płynąć w przeciwnym kierunku. Rzeka była o wiele silniejsza, ale przyjaźnie traktowała moje wysiłki. Miałem grunt pod nogami, a czysta toń i piaszczyste dno zachęcały do nurkowania z otwartymi oczami. Zanurzyłem się głębiej i wyłowilem z piasku jakiegoś małża, jak się później okazało skójkę perlorodną. Obecność skójek w Gawii świadczyła o wciąż wysokiej czystości jej wód.

Świetnie się nad Gawią przebywało, niestety musieliśmy już wracać. Zwinęliśmy kajak, złożyliśmy wiosła i włożyliśmy razem do jednego worka. Wyszliśmy na leśną drogę udekorowaną po bokach krzaczkami bruszniczy i wiodącą przez sosnowy bór. Intensywna zieleń drobnych liści nakrapiana była ciemną czerwienią dojrzałych owoców. Odwróciłem się jeszcze i popatrzyłem za siebie.

Czy kiedyś zrealizuję moje marzenie spłynięcia Gawią z Sobotnik do Niemna, dalej Niemnem do Grodna a kawałek za królewskim miastem Czarną Hańczą i Kanałem Augustowskim do Polski?

Autobus, którym wracaliśmy do Sobotnik był pełen. Tradycyjnie w piątek odbywał się w Iwiu bazar, na którym można było kupić wszystko. Dlatego z wielu wiosek i miasteczek rejonu iwiejskiego ludzie ciągnęli do centrum, kontynuując w ten sposób wielowiekową tradycję targowego handlu z czasów Wielkiego Księstwa Litewskiego.

25 sierpnia, sobota

Imianiny Aliaksandra, Kapitona, Liudwiha, Łuizy

Pojechałem rowerem do kościoła na sobotnią ranną mszę świętą. Wiedziałem już, że nie odprawi jej chory ojciec Franciszek. Było dla mnie miłym zaskoczeniem ujrzenie księdza Andrzeja Łysego, który po dzwonku na rozpoczęcie liturgii wyszedł z zakrystii. Po mszy Andrzej zapraszał mnie do Gieranion, więc kiedy następny raz przyjadę do Sobotnik to z pewnością do niego zajrzę. Bardzo bym chciał zwiedzić tę parafię, miejsce o dużym znaczeniu historycznym dla Rzeczypospolitej Obojga Narodów i naszej małej ojczyzny na obszarze dzisiejszej ziemi iwiejskiej. Chciałbym porozmawiać z ciekawymi ludźmi, którzy tam żyją. Na przykład z panem Kułdoszą, który z własnego wyboru mieszkał sam w domu na skraju lasu koło Pasieki Antonowskiej i obywat się bez elektryczności i wszelkich udogodnień, jakie ona niesie.

Trzy kilometry na północny wschód od Gieranion znajdował się folwark Rockiszki należący do Jamonttów. Bywała w nim Jadwiga Smosarska¹⁷⁰ a atmosfera ruin gieraniońskiego zamku, w którym mieszkała Barbara Radziwiłł, pomogła aktorce przygotować się do jej roli w filmie „Barbara Radziwiłł”. Z parafią Gieraniony sąsiaduje parafia Konwaliszki, a z wioski Białożyszki tej parafii pochodził ksiądz Antoni Sawicki rocznik 1911, który w Suchowoli dnia 16 września 1947 roku ochrzcił małego Jerzego Popiełuszkę¹⁷¹.

Po południu znowu pojechałem rowerem do Wasilewicz. O godzinie szesnastej w tamtejszym klubie została odprawiona pierwsza z niedzieli msza święta. Z kilku najbliższych wiosek przyszedli na nią głównie starsi ludzie. Wśród nich były dwie panie, które pamiętały swoją przedwojenną nauczycielkę Janinę Kirol. Pora wykopków i tutaj ograniczyła ilość osób podczas liturgii. Za ojca Franciszka odprawił ją ksiądz, którego nie znałem.

26 sierpnia, niedziela

Imianiny Ipalita, Cihana

Na świąteczną mszę wybrałem się wcześniej. Chciałem przy wejściu na teren kościoła powiesić wystawę fotograficzną przedstawiającą historię naszego miasteczka. Jest to dwadzieścia kartonowych plansz formatu siedemdziesiąt na sto centymetrów, na których znajdują się fotografie z różnych lat, kopie rozmaitych dokumentów, mapy i plany. Kiedy odwiedzam Sobotniki zawsze eksponuję moją wystawę chyba, że przeszkadza temu deszcz. Za każdym razem pojawiają się osoby, dla których jest to nowość. Niektóre z nich odnajdują na zdjęciach swoich krewnych i czasami samych siebie. Dowiadują się jak wyglądał stary drewniany kościół, któremu patronował Święty Jerzy, jak liczna była przedwojenna Ochotnicza Straż Pożarna. Na współczesnych fotkach oglądają najważniejsze wydarzenia z życia naszej parafii.

Mszę świętą sprawował ojciec Jerzy Kotowicz, kapucyn a zarazem proboszcz z Lipniszek. W kościele nie było zbyt dużo ludzi. Czytania z „Pisma Świętego” odbyły się w języku polskim i białoruskim, a ewangelia została przeczytana po białorusku. W tym też języku ojciec Jerzy wygłosił kazanie. W śpiewach i modlitwach wiernych, w czytaniach kapłana z mszału słyszałem wyłącznie język polski.

Mam duże wątpliwości co do zasadności powszechnego wprowadzania języka białoruskiego do liturgii mszy świętej w kościele rzymskokatolickim na Białorusi. Szczególnie dotyczy to tych parafii, gdzie większość mieszkańców jest polskiego pochodzenia i gdzie dotychczas modlono się tylko w języku polskim.

To prawda, można się spotkać z czymś stwierdzeniem, że nie umiem czytać po polsku. Do rzadkości natomiast należą wypowiedzi ludzi, iż nie rozumieją oni mszy świętej odprawianej w tym języku. Gdyby było inaczej, to w dużych miejskich parafiach jak na przykład w Lidzie, gdzie od pewnego czasu jedna niedzielna eucharystia jest sprawowana w języku

białoruskim i powstała możliwość wyboru, kościoły pękałyby w przysłowiowych szwach. A jest zupełnie odwrotnie.

Mam takie wrażenie, że komuś, ale komu i dlaczego, bardzo zależy na wyrzuceniu języka polskiego z kościoła na Białorusi niż na wprowadzeniu do niego języka białoruskiego. To nie była oddolna inicjatywa wiernych wynikająca z ich koniecznej potrzeby. Ciekawe, że takich zakusów nie widać w stosunku do cerkwi prawosławnej na Białorusi, gdzie język rosyjski jest wszechobecny i wydaje się być nienaruszalny.

Niestety, ale do przemian w języku odprawianej liturgii przyczynili się też niektórzy księża z Polski pracujący na Białorusi. Przyjeżdżając tutaj kilkanaście lat temu nie znali dobrze kresowej polskości. Nie bardzo rozumieli, dlaczego ludzie na co dzień nie rozmawiają po polsku, dlaczego utracili swój język ojczysty. Doszli do mylnego wniosku, że to nie są prawdziwi Polacy i dla rzekomo ich dobra duchowego zaczęli wbrew woli wiernych wprowadzać język białurski do liturgii mszy świętej. Księża ci nie zdawali sobie sprawy z tego, że język polski w modlitwie został ostatnim ogniwem łączącym naszych rodaków z polskością i że jest to język ich uczuć i serca.

Podzielam ten pogląd reprezentowany przez księdza prof. dr. hab. Romana Dzwonkowskiego, kierownika Katedry Socjologii Grup Etnicznych Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego. Tym bardziej, że osobiście zetknąłem się z podobnym odczuciem księży na Białorusi wywodzących się z czysto polskich rodzin.

Kiedy po pierestrojce w Związku Sowieckim krzywa nauczania języka polskiego na Białorusi już dawno osiągnęła swoje maksimum i od kilku lat wykazuje tendencję malejącą, kościół katolicki znowu pozostał ważnym ogniwem łączącym naszych rodaków z językiem i kulturą polską, tak jak to było w okresie powojennym. Z chwilą likwidacji ostatniej polskiej szkoły na Białorusi w 1948 roku Polacy początkowo nie chcieli posyłać swoich dzieci do szkół białurskich lub

rosyjskich. W celu nauki języka polskiego wysyłali je na parę godzin dziennie do kościoła.

W 1958 roku Czesław Niemen¹⁷² ekspatriował się z Białorusi nie tylko dlatego, że powstawały kołchozy a jemu groził pobór do sowieckiego wojska. W jego Starych Wasiliszkach zamknięto kościół, który dla miejscowej ludności był jedynym kontaktem z polskością. A jeżeli język polski zniknie z kościoła, to co pozostanie naszym rodakom?

To tylko pozór, że język białoruski podczas nabożeństw jest bardziej zrozumiały dla wiernych. Pozór, ponieważ na co dzień rozmawia się na Białorusi nie po białorusku, ale trasianką. Dlaczego wielu Białorusinów nie zna swojej rodnej mowy, a jeżeli ją znają to dlaczego niechętnie się nią na co dzień nią nie posługują? Jaka jest tego przyczyna? Może jest to wynik głębokiej rusyfikacji prowadzonej na tych terenach intensywnie od 1831 roku¹⁷³, przymuszania katolików i grekokatolików do przejścia na prawosławie, później bolszewizacji tego kraju, a po drugiej wojnie sowietyzacji całej Białorusi?

Przypomniał mi się budynek dworca autobusowego w Lidzie, kiedy podszedłem raz do mężczyzny w średnim wieku i spytałem się go po białorusku:

Skażycie kali łaska, jakaja hadzina? - Proszę mi powiedzieć, która jest godzina?

Na te słowa on bardzo się zdenerwował. Nie odpowiedział mi, chociaż dobrze wiedział, o co chodzi i miał zegarek na ręku. Coś tam niesympatycznego odburknął pod nosem trasianką i odszedł.

Wczoraj, to jest jedenastego września, słuchałem w domu w Poznaniu pierwszego programu białoruskiego radia przez Internet. Akurat był koncert życzeń w języku białoruskim. Zadzwoniła jakaś matka i powiedziała, że jej synek chciałby złożyć życzenia swojej babci. Malec rozpoczął składać życzenia trasianką. Kiedy prowadząca koncert pani zapytała go po białorusku, kogo chciałby pozdrowić, on jej nie zrozumiał! Ona powtórzyła pytanie i znowu nastąpiła chwila ciszy.

Na Białorusi rodzą się białoruskie dzieci, które języka ojczystego uczą się dopiero w szkole i to nie zawsze z dobrym rezultatem, a co za tym idzie nie używają go wchodząc w dorosłe życie. Nie do kościoła katolickiego trzeba język białoruski wprowadzać i to jakby na siłę. To niczego nie poprawi ani nie zmieni, jeżeli chodzi o uczestnictwo we mszach świętych. Nie obroni też języka białoruskiego przed dominacją trasianki. Żeby ten język nie zachował się z czasem jako tylko element białoruskiego folkloru, żeby naprawdę był równoprawny z językiem rosyjskim, to należy rzeczywiście oprzeć na nim wychowanie przedszkolne i edukację na wszelkich poziomach.

Uważam jednak, że na Białorusi o poczuciu narodowości danej osoby bardziej niż język decyduje jej wewnętrzna świadomość. Dotyczy to zarówno rosyjskojęzycznych Polaków jak i rosyjskojęzycznych Białorusinów. Na pytanie zadane naszemu rodakowi przez Białorusina: „Co z ciebie za Polak, skoro nie znasz języka polskiego?”, ten ze spokojem może odpowiedzieć: „Ja nie mówię po polsku, ale u mnie serce jest polskie”. Jeżeli zaś Polak zada mu pytanie: „A co z ciebie za Białorusin, jeżeli nie znasz swojej ojczystej mowy?”, to i on też ma prawo powiedzieć: „Ja nie mówię po białorusku, ale u mnie serce jest białoruskie”.

Jeszcze nie tak dawno funkcjonowały na Białorusi dowody osobiste zwane paszpartami, w których była rubryka narodowość. Pamiętam ziamliaków z Sobotnik i Lidy, którzy nie umieli mówić po polsku, ale w tej rubryce mieli wpisaną narodowość polską i w rozmowach ze mną ujawniali swoją silną wewnętrzną świadomość, że są Polakami. Ich rodzice musieli mieć twarde argumenty dla urzędników, żeby ci zapisali nowonarodzone dzieci jako Polaków a nie Białorusinów, co po wojnie było to trudne do zrealizowania, szczególnie na wsi. Często stosowano wobec naszych rodaków różnego rodzaju groźby i szykany, żeby ich dzieci nie miały w dokumentach wpisanej narodowości polskiej.

Na historycznej Litwie z czasów Rzeczypospolitej Obojga Narodów, na początku XX wieku, powstała piękna i na tamte czasy nowoczesna myśl polityczna propagowana przez krajowców¹⁷⁴ i dlatego nazwano ją ideą krajową. Mówiła ona o tym, że historyczne tereny Wielkiego Księstwa Litewskiego nie mogą być własnością tylko jednego narodu. W mozaice wielu kultur i ludów żyjących w Wielkim Księstwie żadna z nich nie powinna dominować nad pozostałymi. Tożsamość tego kraju powinna polegać na wspólnocie narodów w nim zamieszkałych. I na pierwszym miejscu powinien być postawiony kraj, a dopiero później naród. Na motto wspierające ten priorytet bardzo pasują słowa wieszczki Adama: „Litwo, ojczyzna moja (...)”.

Po mszy wzięłem od kuzyna mocno wysłużony rower z dziurawą oponą przewiązaną sznurkiem od snopowiązałki i pojechałem do Żemłosławia. I chociaż były to tylko cztery kilometry, to zmęczyłem się jadąc pod wiatr, a i droga w tym kierunku prowadziła lekko pod górę. Pocieszałem się myślą, że jazda z powrotem będzie lekka i przyjemna. Blisko pałacu zatrzymałem jadącą z naprzeciwka toyotę Yaris w kolorze zielony metalik z białostocką rejestracją. Młody człowiek, Mariusz Proskień, przyjechał zobaczyć zespół pałacowy, o którym przeczytał w mojej książce „Żemłosław” zamieszczonej w Internecie. Praktycznie nie mieliśmy czasu na rozmowę i wymieniliśmy się tylko wizytówkami. On się bardzo spieszył, bo nie miał przepustki zezwalającej na przebywanie w strefie przygranicznej. Mariusz robił i nadal robi bardzo dobrą rzecz. Objeżdża i fotografuje Grodzieńszczyznę oraz inne miejsca na Białorusi związane z polską historią i zabytkami, z jeszcze zachowanymi polskimi śladami, a swoje zdjęcia umieszcza na ciekawych stronach internetowych.

W miejscowej kaplicy Chrystusa Króla i Matki Bożej Fatimskiej o godzinie trzynastej trzydzieści była kolejna msza święta w naszej parafii. I tu nie wszystkie ławki były zajęte. Spotkałem się z kierowniczką tutejszej biblioteki panią Jadwigą Jackiewicz. Wypytałem ją o los pałacu, któremu

groziła ruina, zamknięcie na kłódkę i postawienie tabliczki z napisem: „Zakaz wchodzenia! Grozi zawaleniem!”

Kiedy w marcu tego roku byłem w Żemłosławiu nie mogłem uwierzyć własnym oczom, że tak szybko nastąpiła dewastacja pałacu i jego dwóch oficyn. Zdjęcia niszczących budynków zrobione przez córkę Janka przesłałem na internetową stronę „Radzimy”.

Po powrocie do Polski napisałem list do Ministerstwa Kultury Białorusi w sprawie podjęcia działań interwencyjnych mających uratować historyczne obiekty. W dość szybkiej odpowiedzi zastępca ministra poinformował mnie, że pałac w Żemłosławiu został zaliczony do trzeciej kategorii zabytków i jako taki nie podlegał ochronie konserwatorskiej ze strony państwa.

Z ministerstwa mój list został przekazany do władz rejonu Iwie i w niedługim czasie otrzymałem pismo od ich przewodniczącego. Przeczytałem w nim, że większość zabytków znajdujących się na terenie iwiejszczyzny jest zachowana w zadowalającym stanie. W przypadku Żemłosławia zwracano się kilkakrotnie do Ministerstwa Kultury, żeby zespół pałacowy został włączony do spisu tych obiektów, nad którymi właściwa opieka należy do państwa.

Przyczyna tego była prosta. W rejonowym budżecie brakowało środków na ten cel. Niestety, uzyskano jedynie to, że pałac został zaliczony do niższej kategorii zabytków, nad którymi pieczę są zobowiązani sprawować ich właściciele. W przypadku Żemłosławia była to uboga spółdzielnia rolno-produkcyjna „Sobotniki”. W drugim piśmie od Ministerstwa Kultury poinformowano mnie, że ze względu na ciężką sytuację finansową spółdzielni nie może ona przeprowadzić prac remontowych pałacu. Dlatego też zgodziła się przekazać go wraz z innymi budynkami dowolnemu podmiotowi gospodarczemu, nawet bezpłatnie.

O sytuacji żemłosławskiego zabytku poinformowałem też nasze Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego, w którym znajduje się Departament do spraw Polskiego

Dziedzictwa Kulturowego za Granicą. Odpowiedziano mi, że jest realna możliwość, żeby uprawniony polski wnioskodawca mógł otrzymać dofinansowane ze środków publicznych na rewaloryzację pałacu w Żemłosławiu. Próbowałem zainteresować tą sprawą między innymi nasz konsulat w Grodnie oraz Instytut Polski w Mińsku, które są organizatorami spotkań przedsiębiorców polskich i białoruskich, ale bez żadnego rezultatu.

Kiedy pisałem ten tekst była połowa maja 2009 roku. Pod koniec kwietnia o pałacu w Żemłosławiu zrobiło się wreszcie głośno na Białorusi, o czym informowały tamtejsze media a w Polsce gazeta „Rzeczpospolita”. Otóż spółdzielnia „Sobotniki” sprzedała zespół pałacowy za symboliczną kwotę dwóch tysięcy siedmiuset euro, czyli około dziesięciu milionów białoruskich rubli. Nabywcą został prywatny przedsiębiorca z Mińska, który zamierzał przeznaczyć go na cele agroturystyki. Tuż po fakcie, nagle i niespodziewanie odezwała się grodzieńska prokuratura dając do zrozumienia, że w tej transakcji musiało być jakieś szalbierstwo. Według bowiem jej wyliczeń cały zespół pałacowo-parkowy powinien kosztować nie mniej niż pięćset milionów rubli, czyli około miliona dwustu siedemdziesięciu tysięcy euro. Była to istotna różnica, ale czy za taką cenę znalazłby się kupiec, który przecież musiałby ponieść jeszcze większe nakłady finansowe na kapitalny remont i rewaloryzację żemłosławskich zabytków? Kilka lat temu chciał je kupić austriacki Raiffeisen Bank. Zrezygnował jednak, gdyż obowiązujące na Białorusi prawo nie gwarantowało inwestorowi z zagranicy prawa własności nabytego obiektu.

Bardzo popieram pomysł utworzenia szerokiej agroturystyki w zespole pałacowym w Żemłosławiu i w samej wiosce. Wokoło są tereny do uprawiania wypraw rowerowych, konnych i wodnych. W lasach jest pełno jagód, grzybów, malin i brusznic. Budynki dawnego majątku nadają się do adaptacji na bazę noclegową, restaurację, jadłodajnię, wypożyczalnię sprzętu sportowego, stajnię dla koni, niewielką salę koncer-

ową. W okolicznych wioskach stoi wiele pustych drewnianych chat. Część z nich jest w dobrym stanie i może służyć jako dodatkowa baza turystyczna, dając ich właścicielom konkretny dochód.

Może też zrodziłyby się jakieś pomysły na powstanie biznesu w dobrze zachowanych budynkach gospodarczych dawnego majątku? Byłaby też jakaś realna perspektywa dla młodych ludzi po szkole na znalezienie zatrudnienia na miejscu, na pozostanie i założenie w przyszłości rodziny.

Jeszcze nie tak dawno w Żemłosławiu istniała średnia jedenastoklasowa szkoła, w której uczyło się około sto pięćdziesiąt dzieci i młodzieży, wtedy więcej niż w gminnych Sobotnikach. Liczba uczniów zmniejszyła się do niespełna stu i placówka utraciła status szkoły średniej stając się dziewięcioklasową szkołą bazową.

W Żemłosławiu mógłby też powstać ośrodek wypoczynkowy i pracy twórczej dla różnych artystów nie tylko z Białorusi, ale i z sąsiedniej Litwy i niedalekiej Polski. Mógłby być to wspólny projekt tych trzech państw. Dom wypoczynkowy dla takich osób z środowiska Uniwersytetu Wileńskiego istniał tutaj przed wojną.

Niezmiernie ciekawym, ważnym i przyszłościowym projektem byłoby powstanie w Żemłosławiu bazy turystycznej dla młodzieży z Białorusi, Litwy i Polski. Tuż przy pałacu jest sztuczne jezioro utworzone na rzece Gawii. Młodzi ludzie mogliby na nim szkolić się w pływaniu żaglówkami. Sama Gawia jest bardzo malownicza i dobrze nadaje się na spływy kajakowe. Na terenie gminy Sobotniki i do sąsiednich miasteczek: Trab, Juraciszek, Iwia, Lipniszek i Gieranion, z których każde ma bogatą historię, można by urządzać wycieczki rowerowe. Byłaby to akcja integrująca młode osoby z trzech różnych, ale historycznie bliskich sobie narodów. Jestem przekonany, że kiedy ta młodzież weszłaby w dorosłe życie, to przyjaźnie nawiązane w Żemłosławiu przyniosłyby wymierne korzyści dla dobrych i różnorodnych stosunków między Polską, Białorusią i Litwą.

Sobotniki, Żemłosław, okoliczne wioski i rzeka Gawia to piękne strony. Jest tam czyste powietrze przesiąknięte olejka-
mi eterycznymi wydzielanymi przez liczne lasy iglaste.

Z tego powodu pod koniec XIX wieku powstał w Sobotnikach pierwszy, wówczas bardzo skromny, ośrodek do leczenia gruźlików. Na jego bazie w latach dwudziestych zbudowano szpital gminny, który po drugiej wojnie światowej został zamieniony na sanatorium. Istniało ono do końca lat osiemdziesiątych. Następnie zostało zamknięte, a jego ogrodzony teren był przez pewien czas pilnowany.

Znajdowały się na nim przedwojenne budynki postawione z dobrego smolnego drewna, którego jak mi później powiedziano benzo piła¹⁷⁵ nie chciała brać. Były tam także murowane obiekty wybudowane w latach pięćdziesiątych. Kiedy zabrakło nadzoru ludzie dzień po dniu wchodzili na teren sanatorium i brali z budynków to, co im się podobało. I nie bali się oni żadnych zarasków, żadnych krętków.

Teraz to miejsce wygląda tak jakby przeszła nad nim trąba powietrzna, która co jakiś czas pojawia się w naszej okolicy. Jest nie do odtworzenia w poprzednim stanie. Jako miłośnik ziemi rodzinnej bardzo bym nie chciał, żeby pałac w Żemłosławiu podzielił los sanatorium.

Chociaż transakcje podobne do żemłosławskiej są wyjątkowe na Białorusi ze względu na obowiązujące prawodawstwo, wszechobecną ingerencję państwa i ludzką psychikę to uważam, że nagłośnienie tej sprawy przyczyni się do ratowania istniejących zabytków.

W Narwiliszkach niedaleko Żemłosławia, ale już po stronie litewskiej, prywatny inwestor przekształcił na cele turystyczne stary klasztor pofranciskański. Na Litwie jednak panuje inny system polityczno-gospodarczy i kraj ten należy do Unii Europejskiej.

27 sierpnia, poniedziałek

Imianiny Arkadzja, Micheja, Józefa

Kiedy na Micheja wieje cichy wiatr, to jesień będzie sucha.

Kiedy wieje wiatr mocny jesień będzie deszczowa.

Poniedziałkowe popołudnie w Sobotnikach. Żółte wstążki z pierwszych opadłych liści poprzerywał chłodniejszy wiatr. Czyżby to już była jesień? To niemożliwe, żeby tak szybko skończyło się lato! A przecież jeszcze będzie wrzesień i może ciepły początek października, i kolorowe liście na drzewach.

Nadszedł czas odjazdu i pożegnania mojego miasteczka. Byłem już trochę zmęczony tym pobytem, a na dodatek coś mi zaszkodziło z jedzenia. Przez trzy dni bolał mnie brzuch i żołądek, i miałem jak tutaj mówią panos¹⁷⁶.

Stałem na przystanku autobusowym naprzeciw kościoła, kiedy podjechał do mnie Jan Koszczyc, który za kawalera smażył cholewy do mojej mamy. Widział się z nią miesiąc temu. Jankowi poważnie zachorowała żona. Zrobiono jej operację w Grodnie i dobrze, że mieszkają tam dwie córki Koszczyców. Obie były lekarkami i zapewniły matce odpowiednią opiekę.

Nadjechał już autobus Żemłosław-Iwie. Ruszyliśmy. Na moście ostatni rzut oka na Gawię. Przejechaliśmy obok Mażul ukrytych w sosnowym borze. Minęliśmy widoczne Wasilewicze i Chilewicze, które rozdziela rzeczka Jakuńka. Za chwilę były Wodole i stary, przydrożny drewniany krzyż stojący w cieniu sosen. Jeszcze tylko Urciszki i już wjeżdżaliśmy do Iwia.

Nie zdziwił mnie pusty o tej porze dworzec autobusowy w Iwiu. Jednak miałem wrażenie jakby to była niedziela, a nie dzień powszedni. Podobnie pusto o tej porze roku i dnia wyglądały dworce autobusowe w innych miastach Białorusi. Rano mieszczuchy wyjechały do rodzinnych wiosek śpiesząc swoim krewnym z pomocą w kopaniu ziemniaków. Autobusy wypełniły się ludźmi nieraz do granic możliwości.

W jednym z nich na dworcu w Lidzie stojący podróżni byli tak ściśnięci, że nie mogli obrócić się ani w prawą ani w lewą stronę. Ci będący blisko kierowcy prawie że kładli się na niego, a ich twarze omal nie rozpląszczały się na przedniej szybie autobusu.

Wyglądało to bardzo komicznie i gdybym zrobił zdjęcie tej sytuacji, to miałabym sporą szansę uzyskania nagrody na World Press Photo¹⁷⁷. Każdy chciał jechać na swoją wioskę i kierowca dał się ubłagać zabierając nadmiar pasażerów. W podobnych przypadkach bilet na konkretny dzień najpewniej jest kupić w przedsprzedaży. Jest on jednak droższy i wielu ludzi ze względów oszczędnościowych nie korzysta z tej możliwości. Często ryzykują oni kupno biletów po normalnej cenie bezpośrednio u kierowcy. Miejsca mogą być stojące, nawet na jednej nodze byle by tylko jechać.

Kupiłem bilet do Lidy, usiadłem na peronowej ławce i już po chwili zacząłem odczuwać pewien smutek pustki, którą może niosło za sobą kończące się lato. A może to już kielkowała mała tęsknota za Sobotnikami zostawionymi osiemnaście kilometrów stąd? Możliwe.

Dopiero teraz zauważyłem zmiany jakie tutaj zaszły. Położono nowy asfalt, który zakrył dziury i nierówności. Krawężniki, kostka brukowa, nowa elewacja i odremontowane wnętrze niewielkiego budynku dworcowego uzupełniły dobre wrażenie z tego miejsca.

Do Lidy wracałem rafikam relacji Grodno-Mińsk. Siedziałem tuż za kierowcą i nie widziałem dobrze drogi przed sobą. Za to przez boczne okno przyglądałem się jasnoniebieskiemu i czystemu niebu, na którym płynęły białe obłoki o różnych kształtach. W środku były zwarte i nieprzezroczyste, a na obrzeżach wiatr powyciągał z nich puszyste rozrzedzające się smugi. Był to widok, na który mógłbym ciągle patrzeć podczas tej niedługiej podróży. Ale trzeba było zejść z nieba na ziemię. A na ziemi, na mijanych kartoflanych polach położonych w pobliżu wiosek stały białe słupki worków. Właściwie to w ich obrazie panował pewien bezład i dowolność.

Jedne jak żołnierze prężyły się na baczność dumnie wypinając swoje brzuchy pełne ziemniaczanych bulw. Drugie lekko się pochyliły zapewnione do połowy. Jeszcze inne, do których przed chwilą wrzucono pierwsze koszyki bulwy, leżały bezładnie na ziemi jakby na zapas zmęczone przyszłym ciężarem.

Nasz rafik bez zatrzymywania się dojechał do Lidy, a ja wysiadłem w stałym miejscu na rogatek miasta, na narożniku ulic Lenińskiej i Kaczana, blisko osiedla, na którym mieszkała ciocia Władzia.

Bardzo lubię i kocham najmłodszą siostrę mojej mamy. Tak naprawdę, to każdy mój przyjazd na Białoruś rozpoczyna się u niej i u niej też się kończy. Lubię z ciocią siedzieć wieczorem w kuchni, kiedy powoli kończy się dzień. Ostatnie dzieci z przedszkola za oknem zostają zabierane do swoich domów. Cichnie gwar ulicy, a odgłos otwieranych i zamykanych drzwi informuje o wracających z pracy mieszkańcach bloku. W kuchni cichutko i śpiewnie szemrze po białorusku radio. Ja siedzę przy stole i przeglądam moje notatki, podczas gdy ciocia przygotowuje dla nas kolację. Na przykład blinczyki, które smaży się jak draniki. Ich skład to tarte ziemniaki i kabaczki, trochę mąki, serwatka, jedno jajko, odrobina sody, sól i pieprz do smaku. I tak jak draniki bardzo smakują z gęstą kwaśną śmietaną albo z masłem.

Podczas kolacji rozmawiamy na różne tematy i czasami się powadзимy, jak na przykład o moje książki. Ciocia uważa, że zamiast je pisać, wydawać i przywozić na Białoruś, z czego nie mam żadnego zysku, powinienem udać się w inną stronę Europy. Powinienem zabrać ze sobą moich dorosłych już synów i w okresie letnich wakacji pojechać tam do pracy. Ja jednak wolę przyjeżdżać tutaj.

Kto jest młody na Białorusi i chce pracować, to też może się dorobić. I ciocia podała mi przykład z bliskiego podmiejskiego osiedla Nowosiółki, gdzie na działce młode małżeństwo trzymało swego czasu po kilkanaście świń rocznie. Oboje pracowali w swoich zawodach, ona sprzedawała

w sklepie. W czasie przerw obiadowych kobieta biegła na dachę nakarmić swoją trzódkę chlewną. Dodatkowy dochód uzyskany ze sprzedaży zwierząt pomógł małżonkom wybudować własny piętrowy domek.

28 sierpnia, wtorek

Imianiny Auhustyna, Aliaksandra

Kruki chodzą po trawie - będzie deszcz.

Pośród ciemnych chmur płyną białe obłoki - będzie grad.

Rozpoczęło się młode babie lato, które według białoruskiej tradycji trwa do jedenastego września. Tego dnia w kościele prawosławnym przypada święto Zaśnięcia Najświętszej Matki Bożej, podobne do naszego Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny w dniu piętnastym sierpnia. Wtorek poświęciłem na odpoczynek, drobne zakupy i pakowanie się. W planie miałem też spotkanie z mamy chrześniakiem.

Przed uniwersamem blisko bloku cioci Władzi zawsze stoi kilka osób sprzedających niewielkie ilości produktów spożywczych. Są to wytwory pochodzące z ich małych gospodarstw przydomowych i ogrodów: warzywa, owoce, jajka, pestki słonecznika, czasami miód. Stoją głównie starsze kobiety, a kilka z nich widzę tutaj za każdym razem kiedy jestem w Lidzie.

Tym razem pojawiła się nowa dla mnie postać. Mężczyzna z siwym gęstym zarostem lat około sześćdziesięciu ubrany w dość zniszczoną marynarkę i spodnie nie od kompletu. Wyjmował z worka jabłka i układał je na dwóch aluminiowych półmiskach. Owoce były zielone z czarnymi cętkami i lekko pomarszczone. Może pochodziły gdzieś z peryferii miasta, a może ten mężczyzna przyjechał z pobliskiej wioski, z której można dojść nawet pieszo?

Kilka pań trzymało pomidory na domowych wagach. Były też ogórki, pęczki marchwi, pierwsze tegoroczne ziemniaki. Czasami przychodzi tu ktoś ze świeżym mlekiem, śmietaną

i jajkami, z tańszymi papierosami ukrytymi w foliowej reklamówce. To nie jest legalny handel, ale ci ludzie się tym nie przejmują. W ten jedynie możliwy dla nich sposób dorabiają kilka rubli do swoich niewielkich emerytur i rent.

Kiedy jestem w Lidzie i włączam telewizor lub radio, to zawsze trafiam na informacje, na programy, które mnie zastanawiają, dziwią i często irytują. Oto prezydent Białorusi przyjął generalnego prokuratora kraju i postawił mu zadanie osiągnięcia jeszcze lepszych wyników w walce z przestępczością. Z kolei minister odpowiedzialny za przemysł otrzymał od prezydenta zadanie przeniesienia niektórych zakładów z Mińska w inne miejsce, żeby uwolnić stolicę od smogu i zanieczyszczeń. Prezydent przyjął, wyznaczył zadania, pojechał i odwiedził, nakazał. A gdzie w tym czasie był premier? Jaka jest w tym państwie jego rola i rządu, którym kieruje?

Na Prypeci odnaleziono monitor rzeczny¹⁷⁸ z sowieckiej Floty Pińskiej, który zatonął w walce z Niemcami podczas drugiej wojny światowej. Poszukiwali go ludzie ze stowarzyszeń miłośników militariów z Białorusi, Rosji i Ukrainy. Do kamery pokazali znaną metalową tabliczkę z nazwą rosyjskiej firmy, która zbudowała monitor czy też go wyposażyła. Jestem ciekaw, czy uczestnicy tego wydarzenia słyszeli o polskiej Flotylli Pińskiej?

Została utworzona 19 kwietnia 1919 roku, czyli krótko po rozpoczęciu wojny z Rosją Sowiecką, z przeznaczeniem do walki z bolszewikami znajdującymi się na rozlewiskach Prypeci i wspomagającą ich Flotyllą Dnieprzańską. Po zaatakowaniu naszego kraju przez Sowieców dnia 17 września 1939 roku, wydano rozkaz zniszczenia i zatopienia jednostek floty na Prypeci, żeby nie wpadły one w ręce wroga. Niektóre okręty zostały uszkodzone w niewielkim stopniu, co umożliwiło agresorom szybkie ich wprowadzenie do służby. Być może więc pokazywany w telewizji wydobyty wrak był początkowo polską jednostką?

W radio przekazano relację z międzynarodowej imprezy, która odbyła się po białoruskiej stronie Kanału Augustowskiego. Wzięli w niej udział turyści oraz zespoły artystyczne z Białorusi, Litwy, Polski i Ukrainy. Konsul Białorusi z Białegostoku mówił o tym, jaka to była dobra impreza integrująca różne narody. Jak to strona białoruska szybko i sprawnie odremontowała swój odcinek Kanału, a Polacy mieli opóźnienia i tak w ogóle, to musieliby się dostosować do międzynarodowych norm żeglugi po rzekach i kanałach.

Taaak. Kanał Augustowski ma osiemnaście śluz, z których zaledwie trzy są po białoruskiej stronie. Większość śluz po naszej stronie jest czynna od dawna i dobrze one służą turystom polskim i zagranicznym. Natomiast Białorusini dopiero teraz przystosowali swój odcinek Kanału do turystyki.

Bardzo jestem ciekaw jak będą wyglądały przepływy na ich stronę. Trzeba mieć wizę, a chcąc przebywać na Białorusi dłużej niż trzy dni robocze należy zarejestrować się w miejscowym wydziale paszportowym na milicji. Okolice Kanału to strefa przygraniczna i na przebywanie w niej jest potrzebne dodatkowe zezwolenie. Kanał Augustowski jest bardzo dużą atrakcją turystyczną nie tylko dla Polaków. Jego otwarcie w obydwie strony spowoduje duży napływ turystów z Polski oraz innych krajów europejskich. Jak wtedy Białorusini rozwiążą owe problemy meldunków i zezwoleń? Czy mają u siebie odpowiednio przygotowaną bazę turystyczną? Czy będzie można popłynąć Czarną Hańczą do Niemna, a Niemnem do Grodna, dużego, ciekawego i ładnego miasta ważnego w historii Rzeczypospolitej Obojga Narodów?

Też w radio, w polskim programie z Grodna, wysłuchałem wywiadu z Józefem Łucznikiem, prezesem starego Związku Polaków na Białorusi. Piszę starego chcąc go odróżnić od umownie to nazwijmy nowego Związku pod kierownictwem Andżeliki Borys. Prezes Łucznik opowiadał o spotkaniu nad Kanałem Augustowskim młodzieży z Polski i polskiego pochodzenia z Białorusi i Litwy. Bez przerwy podkreślał jaką to pomoc otrzymał od władz Grodna i Mińska, żeby młodzi

ludzie z różnych zakątków kraju mogli się znaleźć na tej imprezie. Jak to dzięki przychylności urzędników wszystko zostało dobrze przygotowane. Co rusz były peany¹⁷⁹ i peany. Słuchałem tego z zażenowaniem i żałowałem, że nie byłem akurat przy panu prezesie. Oj dałbym mu przypalenia!

Rozbicie Związku Polaków na Białorusi na dwie organizacje źle służy interesom naszych rodaków. Doszło do tego, że jedną z nich stawia się przeciwko drugiej. Polak stanął przeciwko Polakowi i to w kraju, gdzie nie tak łatwo rodziły się i działają różne polskie stowarzyszenia. Władze białoruskie nie uznają Związku Polaków, któremu przewodzi Andżelika Borys i określają go jako nielegalny. Natomiast legalny Związek Polaków, na czele z nowym prezesem Stanisławem Siemaszko nasz rząd nazywa reżymowym, chociaż według mnie jest to niesprawiedliwe określenie. Słowo „reżym”, którym słusznie nazywano rządy Saddama Husajna w Iraku, nie ma takiego samego odniesienia w stosunku do Białorusi, chociaż nie jest to kraj rządzony demokratycznie.

Popieranie przez stronę polską tylko jednej organizacji i wysyłanie pomocy tylko pod jeden adres pogłębia stworzony podział, co jest na rękę białoruskim czynownikom¹⁸⁰. A już wrzucenie wszystkich działaczy wyższego szczebla z legalnego Związku do jednego worka, wpisanie ich przez polskie władze na czarną listę osób, które przez trzy lata nie mogą wjechać do Polski, do Macierzy, było olbrzymim błędem. Wielu ludziom pracującym od lat na rzecz Polaków na Białorusi wyrządzono krzywdę. Była to dla nich i nadal jest działalność społeczna, a nie polityczna. Powstała w sercu zadra, która będzie trudna do zagojenia.

W końcu udało mi się spotkać z Karolem Dremzą. Okazało się jednak, że mama trzymała do chrztu nie Karola, ale jego starszego brata Janka, który mieszkał w Grodnie. Minęło tyle czasu i mamie pomyliły się imiona, gdyż była matką chrzestną w wieku czternastu lat. Nic się takiego nie stało, a my mogliśmy się bliżej poznać i porozmawiać. Byliśmy ze sobą dość blisko spokrewnieni. Babcia mojej mamy,

Michalina Kononowicz z domu Jurgielewicz, pochodziła z wioski Czerniele. A bardzo ładne dziewczyny były w tych Czernielach! To niedaleko od Sobotnik, ale już w obecnej gminie Juraciszki. Prababcia Michalina miała siostrę, której córka Jadwiga była matką Karola i Janka.

Dremzowie mieszkali blisko Czerniel w dużej i bogatej wsi Korkienięta Wielkie. Rodzina Karola była wielodzietna. Z ośmiorga rodzeństwa dwoje zmarło w wieku dziecięcym. Mieli trzydzieści hektarów ziemi, a ich ojciec był bardzo dobrym gospodarzem. 17 września 1939 roku przyszli ze wschodu „oswobodziciele” i wszystko im zabrali.

W 1949 roku, tuż przed zakładaniem kołchozów, przyjechało do Dremzów NKWD - łapuny¹⁸¹ jak ich nazywano. Matka Karola przeczuwając najgorsze szybko spakowała najpotrzebniejsze rzeczy, podczas gdy przestraszone dzieci leżały schowane pod łózkami. Na powitanie „gości” ojciec Karola, też Karol, nalał oficerowi szklankę samogonu i położył przed nim kawałek chleba ze słoniną. Ten wypił wódkę duszkiem i padł jak ścięty nie zdążywszy zakąsić. Widocznie nie miał w zwyczaju przyjmować takich poczęstunków, chociaż jak na sowiecką kulturę było to dziwne.

Zabrali tylko ojca, który po trzech dniach wrócił i opowiedział im, co i jak było.

Na NKWD zagrozili Dremzie, że jeżeli nie zgodzi się zostać przewodniczącym kołchozu, to go wywieżą na Sybir gdzie jako kułak zgnije. A kołchoz i tak powstanie i znajdą kogoś innego na jego przewodniczącego. Ojciec wiedział, że władzy bardzo zależało na tym, żeby to on stanął na czele nowej organizacji wiejskiej. Był dobrym i poważanym we wsi gospodarzem. Na jego przykładzie łatwiej przyciągnęto by ludzi do kołchozu. Cóż miał robić? Nie zgodziłby się, to by go wywieźli. W domu było kilkoro małych dzieci i żona z kolejnym w ciąży. Kto wówczas zaopiekowałby się rodziną?

Karol Dremza przystał na tę propozycję. Został szefem kołchozu i doprowadził go do stanu tak wzorowego, że przy-

jeźdźał do niego ówczesny pierwszy sekretarz Komunistycznej Partii Białorusi. Bardzo chciał, żeby Dremza pojechał do Mińska i objął tam funkcję kierownika zespołu kontroli nad wszystkimi kołchozami. Ale on się na to nie zgodził. Później awansował w swojej gminie na jej przewodniczącego. Na przełomie lat 1957/1958 tym jej mieszkańcom, którzy chcieli ekspatriować się do Polski pozytywnie załatwiał wnioski i potrzebne dokumenty. Jego syn Karol nie wiedział, dlaczego sami wtedy nie wyjechali.

Wszystkie dzieci Dremzów zdobyły wykształcenie średnie lub wyższe. Mamy chrześniak Janek był profesorem terapeutą na uniwersytecie w Grodnie. Karol miał dwóch synów, z których jeden ukończył medycynę. Wspominał lata pierestrojki, kiedy to musiał odejść ze swojej firmy bo nie było w niej pracy i pieniędzy na wypłaty. Przez sześć trudnych dla kraju i społeczeństwa lat zajmował się prywatnym handlem. Jeździł do Polski, gdzie mieszkali jego bliscy krewni, do Rosji, na Litwę i Ukrainę. I niezależnie od tego czy było to upalne lato, czy bardzo mroźna zima, i że niejednokrotnie musiał chować nadmiar towaru przed celnikami. Dzięki niemu rodzina przetrwała ten trudny czas.

Karol Dremza niedawno przeszedł na emeryturę. Zaradny i pracowity był nie tylko w handlu, ale przede wszystkim w swojej działalności zawodowej. Trzy lata temu kupił sobie prawie nowego renaulta Megane kombi, a starszemu i żona-temu synowi pomógł z żoną kupić mieszkanie.

Miał bogate doświadczenie życiowe podobnie jak wielu ludzi na Grodzieńszczyźnie w jego wieku. Patrzył z dystansem na wszelkie ruchy polityczne i demonstracje wymierzone przeciwko obecnej władzy. Uważał, że niektórzy młodzi ludzie chcieliby od razu mieć wszystko. Według niego Rosja często wykorzystywała gospodarczo Białoruś, szczególnie w okresie pierestrojki. Kraj przez to opóźnił się w rozwoju, ale powoli i stopniowo dojdzie do poziomu państw Unii. Kiedy jego syn był na trzecim roku medycyny, to w tajemnicy przed rodzicami szykował się do wyjazdu do USA. Karol

odkrył ten zamiar i zdecydowanie mu się przeciwstawił w czasie nauki, ale też powiedział:

- Pozwolę ci wyjechać i nawet pomogę, jak skończysz studia.

Nie zgadzałem się z niektórymi punktami widzenia Karola, spierałem się z nim, ale jak pisałem te słowa to doszedłem do przekonania, że więcej racji było po jego stronie.

Kiedy nasze media przedstawiają wydarzenia na Białorusi, dziennikarskie wywiady z jakimiś wiejskimi kobietami, to nie jest to do końca prawdziwy obraz tego kraju. Nie wszyscy emeryci popierają obecnego prezydenta. Nie wszystka młodzież a uważam, że nawet nie jej większość jest przeciwko obecnej władzy. Oglądając w telewizji te niewielkie antyrządowe demonstracje w Mińsku można wysnuwać różne wnioski.

Większość społeczeństwa jest za obecną władzą; ludzie przeciwni władzy boją się jawnie to okazywać; mieszkańcy Białorusi nie interesują się polityką i uważają, że nie są w stanie cokolwiek coś zmienić - dla nich najważniejsze jest zapewnienie odpowiedniego bytu sobie i swojej rodzinie, dorobienie do pensji, emerytury czy renty, a młodzież chciałaby ukończyć studia i znaleźć dobrą pracę, nawet za granicą ku czemu ma możliwości.

Według mnie pogląd nie interesowania się polityką, a tylko swoimi sprawami popiera najwięcej osób. Jeżeli zaś chodzi o zmiany globalne w kraju, to spotkałem się z opiniami ludzi młodych i średniego pokolenia, że nie chcieliby oni przemian rewolucyjnych. Nie chcieliby także, żeby w te przemiany, w ukazywanie ich kierunku czy wręcz mówienie, co obywatele Białorusi mają robić, wtrącały się kraje sąsiednie. Uważają oni też, że pewne zmiany już zaszły, chociaż z zewnątrz są może mało widoczne.

Białoruś jest krajem otwartym jeżeli chodzi o swobodę podróżowania. Młodzi ludzie wyjeżdżają na studia, głównie do Polski. Wiele osób pracuje w różnych państwach europejskich. Przywożą stamtąd inne spojrzenie na świat, na miej-

sce, które w nim zajmuje ich kraj. Nie jest tego już w stanie wypaczyć propaganda władzy. Jest to bardzo cenny kapitał społeczny, który kielkuje od kilkunastu lat, powoli wzrasta i w końcu zaowocuje.

Jak dalej będzie się rozwijać sytuacja u tego bliskiego nam sąsiada? Dotychczasowa kilkuletnia stabilność gospodarcza wydaje się być zachwiana. Rząd z początkiem września ma wprowadzić podwyżki cen chleba, mąki, mleka, rozmów telefonicznych, opłat za prąd i ogrzewanie, za mieszkanie, za przejazdy autobusowe w miastach obwodowych a w stolicy dodatkowo metrem. Chociaż nie będą to wysokie podwyżki, to w sumie okażą się tak istotne dla codziennego życia, że odczuje je każda rodzina. A co dalej będzie się działo, jeżeli wzrost cen powtórzy się w najbliższym czasie? Państwo nie zrekompensuje go odpowiednią regulacją świadczeń dla emerytów i rencistów. O podwyżkach dla osób w wieku produkcyjnym nawet nie ma co marzyć.

Wieczorem zamówiłem taksówkę na aūtawakzał.

29 sierpnia, środa

Imianiny Dziamida, Sabiny

Po Spasie trzymaj rękawice w zapasie.

Trzeci, tak zwany mały Spas - święto chleba. Na zakończenie żniw odbywają się dożynki połączone z różnego rodzaju obrzędami, dawniej magicznymi, tańcami, śpiewem i uctwowaniem. Dojrzewają orzechy, a przyroda coraz bardziej pochyla się ku zimie.

Rano pożegnałem się z ciocią Władzią i o godzinie szóstej trzydzieści pięć rejsowym rafikam relacji Ostrowiec-Grodno ruszyłem w drogę powrotną do domu. Słońce już podniosło swoją pomarańczowożółtą buzię i świeciło mi prosto w twarz, coraz mocniej, coraz intensywniej. Po kilku minutach miejskiej jazdy rafik wyjechał na kierunek grodzieński zostawiając z tyłu Lidę i słoneczną tarczę, która na poże-

gnanie wysyłała za mną ciepłe muśnięcia. Krótki postój w Szczuczynie i już było Grodno.

Podróżnych oczekujących na odprawę celną i pociąg do Kuźnicy Białostockiej było niewielu. Otworzyłem walizkę przed celniczką i zaprzeczyłem jej pytaniu, czy nie wiozę jakiejś politycznej literatury. Jakiś obcokrajowiec mówiący po angielsku musiał wyjaśnić swoje dokumenty. Może nie miał ze sobą drugiej części karty migracyjnej? Wątpliwości się rozwiały i został szybko odprowadzony.

Ku mojemu zaskoczeniu nieczynne były sklepy wolnocłowe. To w nich grodnianie udający się na kilka godzin do Polski kupowali papierosy i alkohol, znacznie tańsze niż u nas, które później sprzedawali w Kuźnicy i Białymstoku. Podobno sklepy wolnocłowe na Białorusi były pralnią brudnych pieniędzy i decyzją prezydenta zostały zamknięte do odwołania.

Wreszcie ruszyliśmy. Stałem przy otwartym oknie żeby nic nie stracić z uroków Niemna podczas jego przekraczania. Kiedy akurat nad nim przejeżdżaliśmy przyszył mi na myśl zapamiętane słowa poety:

„Niemnie, domowa rzeko moja, gdzie są wody,
Do których przez kwieciste skakaliśmy błonie
I któreśmy czerpali w młodociane dłonie
Za napój lub za kąpiel spoconej jagody?(...)”¹⁸²

Wygodnie się jechało pociągiem z niewielką ilością pasażerów. Świeciło słońce, a przez uchylone okna przełatywał rześki nadniemeński jeszcze wiatr. Koła wagonów rytmicznie wystukiwały melodię żelaznej drogi. Chociaż do granicy było niedaleko to spokojnie mogłem wypić piwo, a pewna praktyczna obywatelka Białorusi zdążyła schować kilka kartonów papierosów w wewnętrznej ścianie wagonu. Naprzeciwko mnie siedziała dziewczyna z dużym, czarnym rasowym psem, z którym jechała do kliniki weterynaryjnej w Warszawie. Zwierzę najwyraźniej stresowała jazda pociągiem, bo jego pani co chwilę czochrała go po torsie i łapach, i mówiła do niego uspokajająco.

Po drugiej stronie wagonowego korytarza siedziało małżeństwo w średnim wieku. On pracował w sekcji Radia Swoboda w Mińsku, ona była biochemikiem na Uniwersytecie Grodzieńskim. Jechali do Białegostoku na konferencję naukową w Akademii Medycznej.

Jeszcze nie tak dawno częściej jeździli na zagraniczne zjazdy, na przykład do Chorwacji. Na Białorusi nie było chorwackiej ambasady, dlatego po wizę udawali się do Warszawy, gdzie otrzymywali ją bez przeszkód. Ale Chorwaci zmienili swoje przepisy i powiedzieli, że skoro Białoruś należy do Wspólnoty Niepodległych Państw, to jej obywatele po chorwackie wizy muszą jechać do Moskwy. Gdzie dla grodnian leży Warszawa, a gdzie Moskwa?

W Kuźnicy Białostockiej czekał na nich Toni, profesor biochemii z Oxfordu. Przyjechał do Polski swoim angielskim samochodem z kierownicą oczywiście po prawej stronie. Moi towarzysze podróży byli tak uprzejmi, że zaproponowali mi wspólną podróż do Białegostoku, a Toni nie miał nic przeciwko podwiezieniu mnie pod sam dworzec kolejowy.

Wyciągnąłem się na szerokiej peronowej ławce i podniosłem nogi do góry. Przymknąłem powieki i wtedy obłoki odplynęły z nieba i dotknęło mnie słońce. Poczułem przyjemne ciepło, które koncentrowało się na moim brzuchu. Pod opuszczonymi powiekami widziałem gorącą i jasną czerwień. Z prawej strony przetaczały się jakieś wagony, zderzały się zderzakami, coś przy tym postukiwało, posykiwało, szarpało, gwizdało i jechało. Super. Jak przyjemnie było leżeć na ciepłym drewnie, mieć zamknięte oczy i być ogrzewany późniosierpniowym słońcem. Super. Mógłbym tak leżeć i leżeć, i myśleć o tych paru dniach spędzonych na mojej Białorusi.

I już chciałem tam wracać z powrotem, miałem przecież jeszcze ważną wizę. Pojechałbym do wujka Wacka, do Cygana, żeby mi pokazał jak pracuje rozgrzana do czerwoności kuźnia, zaprowadził na miejsce gdzie był majątek Dmochowskich. Szukałbym bocianów sejmikujących przed odlotem do ciepłych krajów. Udałbym się z kuzynem Jan-

kiem w okolicy wioski Girowicze, żeby zobaczyć czy są już zielonki. Spotkałbym się z farmerem Stanisławem Łużko z Korejwicz i zapytałbym go, jak mu się żyje i pracuje na sześćdziesięciu hektarach w białoruskich warunkach. Odwiedziłbym redakcję rejonowej gazety „Iwiejski Kraj” zachęcając ją do zamieszczania informacji kulturalnych, historycznych i turystycznych, także w języku polskim.

A może nic bym nie robił, tylko położyłbym się na trawiastym brzegu Gawii i przytulił do naszej ziemi. To byłoby najlepsze i najprzyjemniejsze. Blisko mnie świerszcze grałyby na skrzypkach swoje ulubione melodie. Jeszcze przez chwilę słuchałbym okrzyków kąpiących się dzieci i wybijających z pluskiem wodne warkocze z Gawii. To wszystko powoli wyciszało by się i odchodziło gdzieś w dal. Zamknąłbym oczy i przeniósł się do Sobotnik w lata trzydzieste.

Ujrzałbym mojego tatę, małego chłopca, jak idzie ulicą Wileńską do domu i poszedłbym za nim. Sprawdziłbym u Kononowiczów, kto akurat opiekuje się paroletnią moją przyszłą mamą. Może starszy o kilka lat Władek Hryniuk, syn sąsiadów? Bardzo bym chciał zobaczyć znaną mi jedynie z opowiadań i ze zniszczonej fotografii babcię Wiktorię.

Przeglądałbym się naszemu miasteczku, zaglądał w jego zakamarki, porównywał z obecnym stanem. Zaszedłbym na plebanie do księdza Pawła Bagińskiego, który mnie ochrzcił w 1957 roku, do urzędu gminy, do szpitala i apteki, na posterunek policji. Usiadłbym w szkolnej ławce podczas lekcji języka polskiego. Sprawdziłbym, kto długo przesiaduje w karczmie Józefa Poźniaka i zajrzał do żydowskich sklepów. Z przyjemnością wsłuchiwałbym się w prostą mowę mijających ludzi. Przeglądałbym się pracy młyna na Gawii. Później stanąłbym na drewnianym most na rzece pochylił głowę i spojrział w dół, a Gawia pode mną płynęła by i płynęła.

Zakończenie

(25.06-04.07.2009)

W rodzinne strony pojechałem ponownie z mamą. Tym razem podróżowaliśmy z grupą osób, które udawały się na X Zjazd Lidzian. 27 czerwca przypadał nasz odpust parafialny w Sobotnikach, więc tym razem nie planowaliśmy udziału w imprezach zjazdowych. Dla mamy byłoby zbyt uciążliwym prawie codzienne przebywanie drogi między Sobotnikami a Lidą.

Z punktu zbiorczego w Warszawie wioził nas wygodny piętrowy autobus, w którym przy każdej parze foteli znajdował się praktyczny stolik. Z sobotniczan były jeszcze panie Krystyna Żołądkiewicz i Irena Pluta z domu Miksza, której towarzyszył mąż Stanisław. Dziadek pani Krystyny, Bolesław Czejdo, założył aptekę w naszym miasteczku. Rodzina pani Ireny mieszkała przy ulicy Kościelnej, tuż obok dużego murowanego domu Usinowiczów. Jej ojciec Albin za okupacji niemieckiej musiał pełnić funkcję sołtysa w Sobotnikach. Dlatego w ramach pierwszej ekspatriacji w 1946 roku rodzina Mikszów szybko wyjechała do Polski. Gdyby pozostali, to czekałyby ich represje ze strony Sowietów.

Na granicy po białoruskiej stronie staliśmy prawie dwie godziny i nie był to zły czas. Uczestnikom Zjazdu, którzy pierwszy raz jechali na Białoruś, oglądane widoki mogły wydawać się dziwne. Opuściliśmy duże przejście graniczne i podążyliśmy do niedalekiego trzystutysięcznego Grodna, gdzie pierwszy raz w tej podróży przywitaliśmy się z Niemnem. Chociaż był to dzień powszedni i godzina jeszcze młoda, letnia, to na dobrej drodze prowadzącej od granicy do Mińska nie było prawie ruchu. Niewiele też z tej drogi widzieliśmy krajobrazów. Po obu jej stronach widoki zostały zamknięte ścianami lasów i gęstych szpalerów iglastych krzewów. Bardzo rzadko napotykaliliśmy ludzkie osady oraz jakiegokolwiek ślady życia. I tak było do samej Lidy z przerwą na Skidel i Szczuczyn.

Wieczorem przybyliśmy do miasta, gdzie przywitali nas mieszkający w nim Polacy. Przyszła też ciocia Władzia i niespodziewanie pojawił się Józik Rusakiewicz.

Następnego dnia w piątek udaliśmy się z mamą i bagażem do Iwia. Rejestracja przebiegła sprawnie i o dziwo wypełniłem tylko jeden papierek za siebie i jeden za mamę. Przyjechał po nas Janek i tym razem bez niespodzianek dojechaliliśmy do Sobotnik i przenocowaliśmy w jego chacie.

W sobotę miał miejsce fest parafialny ku czci patrona naszego kościoła Świętego Władysława króla Węgier. Dla mamy procesja wokół świątyni była dużym przeżyciem. Sztandary, feretrony¹⁸³, śpiewy, sypanie kwiatków przez małe dziewczynki. Mama przypomniała sobie sypanie kwiatków podczas Bożego Ciała, niedługo po swojej pierwszej komunii świętej. Tylko ona i Sienkiewiczówna miały przypięte do włosów białe weloniki służące do nakrycia głowy.

W feście wzięli udział dwaj nowo wyświęceni kapłani zaproszeni przez ojca Franciszka. Ksiądz Andrzej Liszko pochodził z Mikielwuszczyny (kościół Nawiedzenia Najświętszej Maryi Panny) w rejonie Mosty. Na parafię został skierowany do Odelska (kościół Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny) niedaleko Grodna, tuż przy granicy z Polską. Ksiądz Aleksander Bogdanowicz pochodził z Wołkowyska, a przydział do pracy otrzymał do Oszmiany.

Przed drugą wojną w parafii Mikielwuszczyna proboszczem był ksiądz Bolesław Korn. Około 1905 roku pracował w Sobotnikach, a w latach 1908-1910 przebywał na wygnaniu w Kałudze. Ksiądz Korn miewał zatargi z niektórymi mieszkańcami wioski Daszkowce w swojej ostatniej parafii, którzy bez jego zgody wypasali bydło na plebańskiej łące. Tuż po sowieckiej napaści na Polskę jeden z nich poskarżył się na proboszcza przed nowym okupantem. 23 września 1939 roku ksiądz Korn został rozstrzelany w Mikielwuszczynie przez sowieckich żołnierzy.

Sobotnicki fest był dla mamy szczególną okazją do spotkania się z dawnymi kolegami i koleżankami, którzy zostali

na rodzinnej ziemi i jeszcze nie przeszli na drugą stronę życia. Z Genią Dubicką z Łyntupi i Witoldem Juchniewiczem z Borowik wspominali młode wesołe życie w latach pięćdziesiątych, wieczorynki w Dowgiąłowszczyźnie. Chłopcy w kieszeniach spodni mieli landrynki sprzedawane na wagę bez żadnego opakowania i na wieczorynkach częstowali nimi dziewczyny.

Jak powiedział Witold, Wit, żadna szanująca się panienka sama z chłopcem na ulicę nie wychodziła. Młodzi cenili się wzajemnie, a żenili po kilku latach znajomości, spotkań na zabawach i festach. Każdy też miał swoją godność osobistą i przyzwoite wychowanie w domu, które jeszcze było pokłosiem niedawnych polskich czasów. Gienia poinformowała mamę o śmierci swojej matki Ludwiku Puczko, która zmarła w wieku ponad dziewięćdziesięciu dziewięciu lat.

Trzy lata wcześniej, kiedy wracałem do Zosi z wycieczki rowerowej po okolicy, przejeżdżałem tuż obok zagrody Puczków i postanowiłem na chwilę do nich wstąpić. Ich chata stała po drugiej stronie Łyntupki niedaleko od dziadka Jana, ale to już była granica bardzo rozległej wsi Łyntup, też należącej do naszej parafii. Właściwie to były dwie wioski: Łyntup I i Łyntup II. Zwarta zabudowa w centrum i pojedyncze gospodarstwa szeroko rozrzucone dookoła na podobieństwo chutorów.

- To Mańki Kananowiczowej - przedstawiła mnie matce Genia.

- Haroszy chłopiec - powiedziała pani Ludwika siedząc na ławce przed chatą i spoglądając na mnie przez grube szkła dużych okularów.

- Jaszczce nie żanaty? - zapytała mnie.

- Żonaty! - powiedziałem głośniej. - Ja już dzieci mam dorosłe!

- Praūda? Skolkaż hadoū majesz?

- Czterdzieści pięć.

- A ja szosty rocznik. Użo i zuboū nie maju. Ja użo irunda¹⁸⁴, treba pamirać.

- Pani Ludwiko, tego nikt nie wie kiedy trzeba.
- Rowerem jechał do Kareicz - objaśniła matce Gienia.
- Czaho?
- Chaciełż pahladzieć.
- Da. Kapliczku takuju. Tam stać kapliczka takaja. - potwierdziłem.
- Tut zaś niedaloka - starsza pani pokazała kijem kierunek.
- Niekaliż wsio drużyli. Mańka, Zośka i eta Władzia. Ani przychodzili da nas. Etaż razem chadzili. Boże, Boże mileńki.
- Mama też panią dobrze wspomina.
- Nie ma wódki. Treba było paczastawać.
- Troche jest, troche jest - powiedziała Gienia. - No zajdziem na minutku. Bo zaraz pa karowu iść trzeba.
- Wun Bajkał! - pani Ludwika odgoniła kijem dużego wilczura, który do mnie podszedł.

Weszliśmy do chaty. Gienia Puczek, Hańcia Kwiatkowska i moja mama były bliskimi i prawie nierozłącznymi przyjaciółkami. Tak też wynika z opowiadań mamy i zdjęć, jakie się zachowały z lat pięćdziesiątych. Na wielu z nich są tylko we trójkę, o różnych porach roku, w plenerze kolonii lub na ulicach miasteczka.

Gienia wspominała dawne czasy, swojego męża Leonarda Dubickiego, Lonika, który potrafił piec w chatach łążyć. Zapamiętała mojego dziadka Jana jak trzymał na rękach najmłodszą córkę Władzię i niepokodzony z niedawnym tragicznym odejściem żony Wiktorii wspominał ją:

- Mojaż ty dziewczynka, mojaż ty dziewczynka. Jak my maładzieńkie zeszlisia, tak maładzieńkie razchodzimsia.

Babcia Wiktorja często przychodziła do Puczków małow żornami i mówiła: „Ja Mańku za krauczychu wyuczu”. Nie doczekała tego. Gdy tragicznie zginęła, moja mama miała trzynaście lat.

Syn Gieni mieszkał w Lidzie, a córka w Rydze i oboje dobrze ułożyli sobie życie. Zostałem przez nią poczęstowany pyszną nalewką własnej roboty na czarnej rabinie, czyli na aronii.

- Dwa stakany sacharu, limanna kisłata¹⁸⁵, sto listoū czornaj rabiny, sto piaćdziesiąt samaj rabiny, litr spirtu. I taki ciomny, haroszy. Wun, zapach maje - podała mi receptę gospodyni słusznie zachwalając swój produkt.

Czas było się pożegnać. Wyszliśmy z chaty.

- Hocza razwitacca z taboj - powiedziała Genia do matki.

- Mańce ukłony ad mnie pieradasī. Ot jak oni drużyli. Ot dziakuj szto pryszou, wielki dziakuj. Boże mój, zdajsie..., a joja joj.

- Do widzenia pani Ludwiko! Życzę pani co najmniej stu lat! Do widzenia!

- Szczęśliwieńka! Szczęśliwieńka!

Po zakończeniu uroczystościach odpustowych spotkałem koło kościoła Rosjanina Michaiła. Michaił był przedstawicielem handlowym Wrigley'a, czyli jak tam u nas mówią agentem. Kilka lat temu przyjechał na Białoruś i założył rodzinę w Lidzie. Ożenił się z miejscową Polką, ślub wzięli kościelny i on sam przeszedł na katolicyzm. Nie znał języka polskiego i bardzo słabo białoruski. Jego teściowa była bardzo religijna, a ja dałem mu dla niej moje książki o Sobotnikach i Trokielach.

Wieczorem poszliśmy z mamą do Zosi na kolonię, gdzie mieszkaliśmy przez kilka dni. Jak zwykle spotkało nas bardzo ciepłe powitanie, płacz i radość.

W niedzielę, kiedy szedłem do kościoła ulicą Wileńską, spotkałem siedemdziesięcioletniego Andrzeja Małoczkę. W rozmowie ze mną Andrzej wspomniał sobotnicki młyn na Gawii, który stał gdzieś do połowy lat pięćdziesiątych. W czasie żniw zajeżdżało do niego po czterdzieści-pięćdziesiąt podwód¹⁸⁶ dziennie pełnych worków z ziarnem.

Chłopi przybywali nawet z sąsiedniego rejonu woronowskiego. W kolejce do mlenia często czekali i po dwa dni w specjalnej szopie. Bardzo im to oczekiwanie doskwierało, a że kobiety akurat nad nimi nie stały, więc czuli się swobodniejsi. Dziesięć funtów¹⁸⁷ ziarna kosztowała wtedy butelka

wódki. W Gawii było mnóstwo ryb i królowały duże szczupaki. Drobnicy nikt nie brał.

Podczas mszy byliśmy świadkami dodatkowej uroczystości. Państwo Nastusiewiczowie z Odnopola (Annopol) obchodzili złoty jubileusz małżeństwa.

Z kościoła poszliśmy z mamą na cmentarz. Byliśmy na grobach mamy rodziców, cioci i babci, taty rodziców i brata, dalszych krewnych, koleżanek i kolegów z młodych lat, Hańci Kwiatkowskiej, księdza Pawła Bagińskiego. Przy grobie cioci Jadwigi, babci Jadwigi, co roku uparcie odrasta to samo zielsko. Jest wysokie i ma grube łodygi, ale łatwo mogłem je wyrwać z korzeniami. Mój tato od ponad pięciu lat spoczywa na cmentarzu miłostowskim w Poznaniu. Mamy brat Janek został pochowany w Rosji, w mieście Kirejewsk na południe od Tuły, gdzie założył rodzinę.

Sobotnicki cmentarz leży blisko Gawii, która oddziela go od miasteczka. Podeszliśmy nad sam jej brzeg, przy którym jedenastoletni Kirił Puciul łowił ryby. Kirił urodził się w Sobotnikach, ale mieszkał w Mińsku i na wakacje przyjeżdżał do dziadków.

Kawałek dalej w górę rzeki, gdzie Gawia była troszkę głębsza, umocowano przy jej wyższym brzegu trzy długie sosnowe drągi. Wystawały nad wodą, były sprężyste i można było z nich skakać jak z trampoliny. Pojawili się przy niej dwaj dwunastoletni chłopcy o tym samym imieniu Sierioża. Bez wahania rozebrali się do majtek i kolejno skakali do rzeki. Pierwszy klasycznym stylem z wyciągniętymi rękami skoczył na główkę. Drugi był bardziej zachowawczy i wybiwszy się w powietrze zgiął kolana, objął je rękoma i na tak zwaną bombkę z głośnym pluskiem wpadł do wody.

W poniedziałek późnym popołudniem poszliśmy z mamą na spacer do Kuprelowej Kudry. Za starym dziadkowym gumnem skręciliśmy na Walentową Ścieżkę. Jej miejscowa nazwa pochodziła od żyjącego jeszcze Walentego Puciula, kolegi mamy z młodych lat, a ścieżka łączyła jego gospodarstwo z Łyntupską Drogą.

Wysokie żyto sięgało nam do ramion. Rozsiane po polu chabry bławatki swoją niebieskością łamały ten jeszcze trochę zielony, ale nie całkiem słomiany kolor. Skręciliśmy w Łyntupską Drogę i przez chwilę szliśmy w zbożowym szpalerze utworzonym ze ścian żyta i pszenżyta. Za pszenżytem rozpościerało się pole wysokich traw, w które weszliśmy kierując się w stronę kudry. Idąca na przedzie mama pierwsza zatopiła się w długi i wąski pas margerytek. Kwiaty rosły tak wysoko, że nie musiała się schylać żeby po chwili mieć ich spore naręcze.

Kiedy stanęliśmy nad Kuprelową Kudrą ujrzelśmy owalne wodne oczko o wymiarach trzydzieści na czterdzieści metrów, otoczone liściastymi krzewami, obrośnięte wodnymi trawami, z kumkaniem żab i tajemniczym pluskaniem. Podobno w kudrze były karasie, a może i jakiś wodnik zamieszkał w niej na stare lata?

Na Grodzieńszczyźnie podobnie jak w Polsce prawie przez cały maj i czerwiec padało. Pojawienie się długiego oczekiwanej słonecznej pogody spowodowało duży ruch w Sobotnikach i na wioskach. Każda rodzina, która jeszcze chowała krowę a niektóre trzymały też konia, starała się wysuszyć skoszoną wcześniej trawę. Jedna krowa-karmicielka potrzebowała trzy kopiaste wozy siana na zimę. Żeby je otrzymać trzeba było zrobić dwa sianokosy z pół hektara ziemi i wysuszyć je. Ciężka mozolna praca.

Jankowi trawę skosił Andrzej Byczko posiadający własny traktor. We wtorek po sianokosach usiedliśmy w biesiedce¹⁸⁸ stojącej obok chaty kuzyna i spożywaliśmy obiad. Na lepsze trawienie piliśmy nastojkę¹⁸⁹ zrobioną z liści limonnika kitajskiego¹⁹⁰, który rósł przy ścianie chaty. Andrzej był pracownikiem gospodarczym w szkole. Ze strony ojca i matki miał bliską rodzinę w Polsce. Bardzo lubił mleko i codziennie sporo go wypijał. Co ciekawe, jeżeli pił je z kubka, to za nic nie mógł się tego mleka napić. Natomiast jak wlał dwa foliowe pakiety do kanki i z niej pił, to dopiero wtedy mógł ugasić swoje mleczne pragnienie.

Zauważyłem, że część sobotnickich krów prowadzonych na pastwisko miała rogi przewiązane czerwoną wstążką. Podobno ten kolor zawierał tajemniczą siłę i chronił zwierzęta przed urokami, przed złymi spojrzzeniami ludzi o kosych oczach. Od takiego spojrzenia krowa mogła przestać dawać mleko, poważnie zachorować, a nawet zdechnąć. Nie brzmiało to dla mnie poważnie mimo przykładów, jakie mi podał Janek.

Nie zabrałem z domu sandałów i bardzo tego żałowałem. Dzienny upał był trudny do zniesienia, a stopy obute nawet w letnie półbuty znosiły to najgorzej. Dlatego za miasteczkiem je zdejmowałem i dalej na kolonię, Łyntupską Drogą i Walentową Ścieżką szedłem boso. Było super.

Tych kilka dni na rodzinnej ziemi minęło nam tak szybko jak trąba powietrzna, która raz w roku pojawia się na chwilę w naszych stronach. Musieliśmy już opuścić kolonię i miasteczko, gdyż chcieliśmy jeszcze pobycć ze dwa dni u ciotki Władzi w Lidzie.

Lida, piątek 3 lipca 2009 roku. Piękna słoneczna pogoda i sześćdziesiąta piąta rocznica wyzwolenia Białorusi spod niemieckiej okupacji. Na dużym placu przy ulicy Sowieckiej ustawiono scenę, na której odbył się uroczysty koncert. Tego dnia milicjanci i milicjantki ubrali się odświętnie w białe koszule. Ładna i bardzo bardzo szczupła blondynka sprawdziła moją torbę przy wejściu w pobliże sceny. Niestety nie zgodziła się na zrobienie jej zdjęcia.

Oglądaliśmy porywające występy białoruskich zespołów folklorystycznych z dynamicznymi tańcami i chwytającymi za serce śpiewami. Po nich nastąpił standard sowieckich pieśni wojennych i występy innych artystów. Ale to już dla mnie nie było ciekawe. Po drugiej stronie placu znajdowały się stoiska z napojami, słodyczami i pieczonymi kielbaskami. Świąteczny miejski festyn.

Nie mogłem na nim zaspokoić pragnienia ludzkim piwem. Zawierało tyle samo procent co poznańskie, ale było

jakby bardziej wodniste i miało mniejszą pianę. Wolniej też wpływało na lepsze samopoczucie. O wiele lepszy był kwas chlebowy sprzedawany prosto z beczki, bardzo zimny i też z ludzkiego browaru.

Tego też dnia spotykałem się na mieście z Leonem Lauresem. Leo z zawodu był inżynierem elektroenergetykiem i zarządzał częścią energetyki ludzkiej. Prywatnie zajmował się historią ziemi ludzkiej i traktował to znacznie poważniej niż tylko hobby. Interesowało go wiele tematów. Na przykład dzieje grekokatolików na tym terenie, do której to niewielkiej społeczności wyznaniowej sam należał. Leo również badał historię nauki wileńskiej, ostatnio astronomii na dawnym Uniwersytecie Stefana Batorego. Potrafił przez Internet dojść do wielu źródeł pisanej wiedzy, o której nie wiedzieli zawodowi naukowcy i dostarczać zainteresowanym znalezione materiały. Leo założył bardzo ciekawą stronę internetową ziemi ludzkiej o adresie www.pawet.net, na której umieścił moje książki oraz inne mniejsze publikacje. Pożegnaliśmy się pod miejską łaźnią. Ucisnąłem wyciągniętą dłoń chłopca łaźniennego, którego niewielki pomnik z brązu stał przed budynkiem, a Leo zrobił mi pamiątkowe zdjęcie.

Łaźnia w języku białoruskim nazywa się tak samo jak w polskim i słowo to prawie identycznie się wymawia tylko bardziej twardo w literze „ż”. W języku rosyjskim odpowiednikiem łaźni jest bania.

Nazajutrz wracaliśmy do Polski samochodem. Skorzystaliśmy z uprzejmości Heleny i Dymitra Jabłońskich, a Helena to córka kuzyna Janka. Młodzi wracali do Wrocławia przez Poznań i zaoferowali nam wspólną podróż. Była ona o tyle ciekawsza, że wpierw pojechaliśmy do babci Dimy, do wioski Mociewiczze nad Niemnem. Po południu pożegnaliśmy się z ciocią Władzią i z Lidą, i ruszyliśmy w drogę.

Przed Minojtami, po lewej stronie drogi na podmokłej łące graniczącej z niewielkim lasem, dostrzegłem stojącego nieruchomo czarnego bociana. Następnie był most na Dziwowie i duże skrzyżowanie dróg. Drogowskaz w lewą stronę

pokazywał niedaleką Brzozówkę, za którą był Nowogródek. My skierowaliśmy się prosto na Bielcę, gdzie prawie już zakończono budowę kościoła Świętego Jerzego. Przez chwilę mogliśmy obserwować jego niewielką dwuwieżową sylwetkę.

Za miasteczkiem jechaliśmy już wzdłuż Niemna, który nam parę razy mignął nam między drzewami i nierównościami terenu. Przejechaliśmy przez prawosławne Zblany z ładną cerkwią Opieki Matki Bożej, niewielkie wioski Poniemuńce, Piaskowce i dotarliśmy do Mociewicz.

U Marii Jabłońskiej, babci Dimy, gościli jej trzech synowie, którzy wraz z rodzinami przyjechali z Mińska na zapiątek. Mieliśmy niewiele czasu na dłuższe spotkanie, więc po powitaniu wpierw poszliśmy nad bliski Niemen. Ścieżką prowadzącą od chaty i ukrytą w wysokiej trawie zeszliśmy w dół i od razu ujrzeliśmy „domową rzekę”, a po chwili byliśmy nad jej brzegiem, .

W tym miejscu spotykają się granice trzech rejonów Grodzieńszczyzny: lidzkiego, zdzięciolskiego i szczuczyńskiego. Niemen koło Mociewicz jest bardzo szeroki i majestatyczny. Cicho i powoli płynie w kierunku Orli, Mostów i Grodna, a przed Grodnem omija Bohatyrowicze, grób Jana i Cecylii¹⁹¹, pomnik pamięci powstańców styczniowych¹⁹¹.

Usiedliśmy nad brzegiem rzeki obok przywiązanej łódki Jabłońskich i zanurzyliśmy nogi w wodzie. Nie tylko dla ochłody przed palącym słońcem, ale też dla poczucia więzi z wielowiekową i bliską nam historią. Więzy z rodakami, którzy po drugiej wojnie światowej zostali nad Niemnem, nad Gawią i w wielu innych miejscach Białorusi. Leonid, tata Dimy, raz po raz zarzucał wędkę w miejscu, gdzie wczoraj jego drugi syn Oleg złowił dużego szczupaka. Tego dnia ryby były jednak ostrożniejsze.

Wracając do chaty Jabłońskich trochę nadłożyliśmy drogi, żeby przejść obok kaplicy Matki Bożej Częstochowskiej powstałej z dużego wioskowego klubu. Mieszkańcy Mociewicz długo i stanowczo musieli o nią walczyć. Na drzwiach

wejściowych wisiał plakat informujący o koronacji papie-skimi koronami cudownego obrazu Matki Bożej Trokiel-skiej w Trokielch - diecezjalnym sanktuarium Maryjnym Grodzieńszczyzny. Uroczystości zaplanowano na dzień piątego lipca, a niestety my tego dnia byliśmy już w domu w Poznaniu.

W Mociewiczach 19 listopada 1943 roku Batalion Zanie-meński¹⁹³ Nowogródzkiego Okręgu Armii Krajowej, wspo-magany przez III Uderzeniowy Batalion Kadrowy, stoczył dużą i zwycięską bitwę ze znacznie liczniejszym i lepiej uzbrojonym zgrupowaniem sowieckiej partyzantki. Bol-szewicy wracali z wyprawy na teren Puszczy Grodzieńskiej i w Mociewiczach chcieli się przeprawić promem na lewy brzeg Niemna, żeby dotrzeć do swojej bazy. Po drodze rabowali napotkane polskie wsie, podpalali gospodarstwa, mordowali ludzi sprzyjających Armii Krajowej.

U Jabłońskich już na nas czekali z herbatą, z ciasteczkami i miodem, z zimnymi napojami. Piliśmy herbatę, często-waliśmy się łakociami, a ja z Leonidem raczyliśmy się bar-hatnym¹⁹⁴ ludzkim piwem. Mama Dimy, Olga z domu Kar-czewska, urodziła się w Brzozówce nad Niemnem. Śpiewała w polskim chórze „Polonez” w Mińsku i jak powiedziała ta-kich chórów działa tam kilka, a Polacy stanowią dwadzieścia procent mieszkańców stolicy (ok. 36 000). Pani Olga ze swo-im chórem wielokrotnie była w Polsce na różnych występach i festiwalach. Od niedawna miała Kartę Polaka¹⁹⁵ potwierdza-jącą przynależność danej osoby do narodu polskiego.

Przyjemnie nam się rozmawiało i odpoczywało, ale przed nami była długa podróż, więc musieliśmy już jechać. Dima z Heleną chcieli jeszcze zapalić znicze na grobie jego dziad-ka. Ja z mamą poszliśmy ponownie nad Niemen, lecz trochę w innym miejscu. Staliśmy na wzniesieniu, poniżej którego rozpościerała się szeroka niemeńska dolina. Rzeka była od nas oddalona o jakieś trzysta metrów. Zieleniło się na niej kil-ka niewielkich wysp. Widok z góry jeszcze bardziej ukazał jej piękno i wzbudził w nas ciepłe uczucia. Chciałoby się jeszcze

tak postać i napatrzeć do syta. No, ale cóż, strzeziennego już wypiliśmy, więc trzeba było ruszać dalej.

Pojechaliśmy na Różankę i Mosty. W Różance przez chwilę widzieliśmy kościół Świętego Piotra i Pawła. Został zbudowany z cegły i kamienia polnego w 1674 roku. Przebudowano go w 1827 roku w stylu neogotyckim według projektu Henryka Marconiego¹⁹⁶. Była to pierwsza tego typu budowla na obszarze obecnej Białorusi. W Mostach ostatni raz spotkaliśmy się z Niemnem, który nam szybko migał między łukowatymi barierami mostu. W dalszej drodze odczytałem drogowskaz pokazujący kierunek na Zelwę. W tym miasteczku zmarła i została pochowana Łarysa Geniusz (czyt. Hienijusz) z domu Mikłaszewicz. Białoruska poetka i emigracyjny polityk, osoba o tragicznym życiorysie.

Urodziła się 9 sierpnia 1910 roku w majątku Żłobowce niedaleko Wołkowyska. W 1928 roku ukończyła polskie gimnazjum w Wołkowysku. Siedem lat później wyszła za mąż za Jankę Geniusza i razem z nim wyjechała do Pragi. Przebywali w niej do 1948 roku prowadząc działalność polityczną i charytatywną wśród mieszkających tam Białorusinów. Narodowe zaangażowanie polityczne małżonków było przeciwne sowieckiej Białorusi, za co oni sami i ich rodziny wiele wycierpieli. Kiedy 17 września 1939 roku Armia Czerwona zajęła nasze ziemie wschodnie ojciec Łarysy został aresztowany i niedługo potem rozstrzelany. Jej matkę i dwie siostry zesłano do Kazachstanu, gdzie wkrótce zmarły. Jeden z braci Łarysy służył w armii Andersa i poległ pod Monte Cassino, drugi był w armii Berlinga i zginął w walkach o Berlin.

W marcu 1948 roku Geniuszowie zostali aresztowani i przekazani Związkowi Sowieckiemu. Łarysa przeszła ciężkie więzienia w kilku miastach. W 1949 roku wraz z mężem została oskarżona o działalność wywrotową. Po budzącym wiele zastrzeżeń procesie skazano ich na dwadzieścia pięć lat łagrów. W 1956 roku zostali zwolnieni i zamieszkali w Zelwie będąc jednak pod ciągłą obserwacją służb specjalnych. Łarysie nie pozwolono nawet zobaczyć się ze swoim

synem Jurkiem, który jako sierota wychowywał się w Białymstoku. Mimo ciągłego zagrożenia w ich domu odbywały się spotkania artystów i naukowców, którzy mieli mocną świadomość narodowej białoruskiej odrębności w odróżnieniu od zesowietyzowanej części społeczeństwa.

Łarysa Geniusz swoje pierwsze wiersze zaczęła pisać jeszcze w wołkowywskim gimnazjum. Oficjalnie zadebiutowała w emigracyjnej prasie białoruskiej w 1939 roku. Trzy lata później ukazał się jej pierwszy tom poezji „Z ojczystych pól”. Pisała także podczas odbywania kary, a jej utwory krążyły wśród więźniów. Po zwolnieniu z łagru została objęta całkowitym zakazem druku. Przez pewien czas mogła jedynie zajmować się twórczością dziecięcą, ale wszystko co napisała było cenzurowane. W sowieckiej Białorusi dopiero w 1967 roku zezwolono jej na wydanie tomiku wierszy „Niewodem z Niemna”.

Poetce nigdy nie wybaczone, że podczas wojny drukowała swoje utwory w Berlinie i Pradze zajętej przez Niemców. Nie wybaczone politycznego zaangażowania się przeciwko Związkowi Sowieckiemu. Łarysa Geniusz miała czeskie obywatelstwo i nigdy nie zgodziła się na przyjęcie obywatelstwa sowieckiego, mimo wielu próśb i gróźb. Dlatego chociaż umarła na Białorusi, to w rzeczywistości była wygnańcem. Dotąd też nie została oficjalnie zrehabilitowana mimo starań Białoruskiego Komitetu Helsińskiego¹⁹⁷ w 1999 roku. Taka jest komunistyczna, sowiecka i współczesna sprawiedliwość rządzących na Białorusi. Kto nie jest z nami, ten jest przeciwko nam.

Podam teraz przykład człowieka wielce zasłużonego dla Mińszczyzny, który jednak nie znalazł dotąd uznania we władzach stolicy Białorusi, żeby zostać upamiętniony przez nadanie jego imieniem nazwy jakiejś ulicy czy placu.

Edward Woyniłłowicz herbu Syrokomla urodził się 13 października 1847 roku w majątku Ślepianki koło Mińska, co obecnie jest to w granicach miasta. Pochodził z zamożnej ziemiańskiej rodziny spokrewnionej z rodami Wańkowiczów i

Moniuszków. Był wybitnym działaczem gospodarczym oraz społecznym swoich czasów.

Prezesował Towarzystwu Rolniczemu w Mińsku. Założył wraz z innymi osobami Syndykat Rolniczy, Towarzystwo Wzajemnych Ubezpieczeń Rolnych w Mińsku i Towarzystwo Wzajemnego Kredytu w Mińsku. W Klecku utworzył Towarzystwo Oszczędnościowo-Pożyczkowe, a w Słucku był prezesem Towarzystwa Dobroczynności. W Klecku założył też komitet mający na celu obronę praw Żydów i Tatarów. Posłował do rosyjskiej Dumy Państwowej i stał na czele koła Królestwa Polskiego, Litwy i Rusi, a w latach 1907-1909 był członkiem rosyjskiej Rady Państwa.

Na początku XX wieku Edward Woyniłłowicz brał udział w białoruskich dążeniach narodowych i wspierał je finansowo. Był fundatorem pierwszego białoruskiego wydawnictwa „Zahlanie sonca i ū nasza vakonca” („W nasze okna też zajrzy słońce”), czasopism „Łuczynka” („Łuczywko”) i „Sacha” („Socha”) oraz gazety „Nasza Niva” („Nasza Ziemia”). Wspierał powstanie Białoruskiej Republiki Ludowej w 1918 roku i początkowo należał do jej Rady. W jego słuckim domu mieścił się sztab powstańców słuckich¹⁹⁸.

Woyniłłowicz finansował budowy wielu kościołów oraz cerkwi. Kiedy grypa hiszpanka zabrała jego dwoje dzieci, dwunastoletniego Szymona i niespełna dziewiętnastoletnią Helenę, postanowił wraz z żoną Olimpią z Uzłowskich ufundować ku ich pamięci kościół w Mińsku pod wezwaniem Świętych Szymona i Heleny.

I tak w architekturze miasta pojawiła się pierwsza i bardzo piękna budowla w stylu neoromańskim. Jej mury postawiono z czerwonej cegły sprowadzonej spod Częstochowy, a dach został pokryty dachówką wyprodukowaną we Włocławku. Ze względu na kolor cegły mińszczanie nazwali nową świątynię Czerwonym Kościołem. Jej projektodawcą był Tomasz Pajzderski¹⁹⁹, a nadzór nad pracami sprawował Władysław Marconi²⁰⁰. Budynek wzorowano na kościele Świętej Elżbiety

w Jutrosinie w Wielkopolsce i zaprojektowanym też przez Pajzderskiego.

W 1918 roku bolszewicka nawała pozbawiła Edwarda Woyniłłowicza majątku i dwa lata później zmusiła go do ucieczki do Polski. Traktat ryski praktycznie uniemożliwił mu powrót w rodzinne strony. Ten podziwu godny człowiek osiadł w Bydgoszczy, gdzie zmarł 16 czerwca 1928 roku.

Traktat ryski został podpisany w Rydze 18 marca 1921 roku między Polską a Związkiem Sowieckim. Była to umowa pokojowa, która zakończyła wojnę polsko-bolszewicką 1919-1920 i ustaliła przebieg wspólnej granicy państwowej. Mimo zwycięstwa w tej wojnie i zajęcia Mińska strona polska podczas rozmów zrezygnowała z sowieckiej oferty złożonej półtora roku wcześniej. Wówczas to Lenin, Trocki i Czyczewin wystosowali depeszę do Józefa Piłsudskiego z propozycją ustalenia linii demarkacyjnej dla Mińszczyzny wzdłuż umownej granicy: Dryssa, Dżisna, Połock, Parycze, Ptycz i Białokorowicze. Zostawiało to Mińsk i jego okolice po stronie polskiej. Tak się niestety nie stało i granicę między obydwu państwami wytyczono w odległości trzydziestu kilometrów na zachód i północny-zachód od miasta.

Na tym terenie zostało około trzystu tysięcy Polaków, a za całą wschodnią granicą od miliona dwustu tysięcy do półtora miliona. Mieli oni bardzo ograniczone prawo do ekspatriacji do Polski i losy większości z nich zakończyły się tragicznie. Powstałe w ciągu wieków zabytki Rzeczypospolitej Obojga Narodów: dwory, pałace i kościoły ulegały stopniowemu i celowemu niszczeniu. Czego nie zburzyły bolszewickie hordy, stalinowskie okrutne lata trzydzieste, to dokończyła sowiecka partyzantka i Armia Czerwona w czasie drugiej wojny światowej, a przez długie powojenne lata polityka ateizacji i wynaradawiania w Związku Sowieckim. Niewielka część spuścizny kulturowej tych ziem przetrwała do naszych czasów. Jeżeli chodzi o kościoły i cerkwie, to dopiero czas pierestrojki przywróciły im pierwotne funkcje, chociaż nie wszystkim.

Kościół Świętych Szymona i Heleny został zwrócony katolikom Mińska w 1990 roku, a następnie przeszedł gruntowną renowację. Znajduje się w samym centrum białoruskiej stolicy tuż obok budynku rządu i jest jedną z piękniejszych wizytówek architektonicznych miasta. Dzięki wytrwałym staraniom jego proboszcza księdza Władysława Zawalniuka, w czerwcu 2006 roku prochy Edwarda Woyniłłowicza zostały przeniesione z Bydgoszczy do Mińska i złożone w świątyni jego fundacji. Wreszcie powrócił do domu ten, który na pomniku nagrobnym bydgoskiego cmentarza miał wykuty napis: „Traktatem ryskim ze swej ziemi wyrwany, deptać musiałem obce sobie łany”.

We wrześniu 2006 roku decyzją władz Mińska ulicy przy Czerwonym Kościele nadano imię Edwarda Woyniłłowicza. Jednak wobec sprzeciwu białoruskich komunistów została ona anulowana.

To dla tych panów było za mało, że Woyniłłowicz sponzorował miasto i Ziemię Mińską. Wciąż był dumnym panem i obszarnikiem, który uciskał biedne masy chłopskie. A już niedobrze było, że wspierał działania ekumeniczne kościoła, a jeszcze gorzej, że popierał narodowe dążenia Białorusinów i sam początkowo się w nie zaangażował. Powinien przecież stać po stronie białoruskich komunistów, którzy będąc w bolszewickim obozie pewni byli swojego zwycięstwa w rządzeniu krajem, nawet po trupach i po wielkim niszczeniu. To przecież bolszewicy nieśli największe dobro uciskającym ludom. Nieśli - na bagnietach karabinów.

Taka jest komunistyczna, sowiecka i współczesna sprawiedliwość rządzących na Białorusi. Kto nie jest z nami, ten jest przeciwko nam. Edward Woyniłłowicz nie może mieć swojej ulicy przy swoim kościele w Mińsku. Nie może - na razie jeszcze nie.

Szybko zbliżaliśmy się do Wołkowyska. Teren miał lekko wyżynne ukształtowanie dodające mu swoistego uroku.

W Wołkowysku znajduje się druga po Grodnie polska szkoła średnia na Białorusi. Polska szkoła oznacza to, że

językiem wykładowym jest w niej język polski. Na Litwie polskich szkół różnego typu działa ponad sześćdziesiąt. Na Białorusi mieszka więcej Polaków niż na Litwie, a mają oni tylko dwie takie placówki.

Granicę białorusko-polską przekroczyliśmy za Brzostowicą Małą. Ruch samochodowy był tam znacznie większy niż kiedy wjeżdżaliśmy na Białoruś od strony Kuźnicy Białostockiej. Nie musieliśmy jednak czekać w żadnej kolejce, a odprawa graniczna była zupełną formalnością. Po polskiej stronie przejechaliśmy blisko tatarskich Krynek i skręciliśmy na Białystok. Następnie była Warszawa i o godzinie czwartej nad ranem wreszcie Poznań.

W niedzielny poranek 5 lipca zadzwoniła do mnie mama z wiadomością, że o godzinie jedenastej Radio Maryja ma przeprowadzić bezpośrednią relację z koronacji cudownego obrazu Matki Bożej w Trokielach.

Diecezjalne sanktuarium Grodzieńszczyzny znajduje się w małej wiosce Trokiele położonej siedemnaście kilometrów na północny-wschód od Lidy. W niewielkim drewnianym kościele Nawiedzenia Najświętszej Maryi Panny jest łaskami słynący obraz Matki Bożej Trokielskiej. Byłem tam trzy razy na tradycyjnym feście Trokielance i wiem jak ogromne znaczenie ma to miejsce dla naszych rodaków nie tylko z Grodzieńszczyzny. To jest najważniejsze dla nich miejsce kultu Maryjnego, gdzie wiara jest też nierozzerwalnie związana z polskością. Jest to nieoficjalne narodowe sanktuarium Polaków na Białorusi.

Kto wcale nie jeździ na Białoruś, albo odwiedza ten kraj sporadycznie, będąc na lipcowej Trokielance dozna dużego i pozytywnego szoku. Zobaczy kilka tysięcy pielgrzymów w różnym wieku, wielu księży, braci i sióstr zakonnych. Ujrzy rozśpiewaną młodzież, stojące wokoło kościoła konfesjonały, do których wierni ustawiają się w długich kolejkach. Usłyszysz język polski i jest to takie uczucie, jak po zaciągnięciu się gwałtownie górskim powietrzem - zaszumi ci w głowie, a serce zacznie żywiej bić.

5 lipca 2009 roku w Trokielach zgromadziło się dwadzieścia pięć tysięcy pielgrzymów i przybył cały episkopat Białorusi. W uroczystej celebrze papieskie korony niósł kustosz sanktuarium ksiądz Paweł Goliński z Polski, wieloletni kustosz sanktuarium. Korony na głowy Matki Bożej i Dzieciątka Jezus nałożył ksiądz kardynał Kazimierz Świątek, któremu asystowali po bokach dwaj neoprezbiterzy²⁰¹ - kardynał miał przecież prawie dziewięćdziesiąt pięć lat. Jako małe dziecko został z rodziną zesłany przez rząd carski na Syberię. W 1941 roku przez dwa miesiące oczekiwał na wykonanie wyroku w celi śmierci w sowieckim więzieniu, a w 1945 roku został skazany na dziesięć lat łagrów syberyjskich.

Jesienią 2009 roku zmarł Henryk Kawecki z rocznika 1930, młodszy o trzy lata dobry kolega mojego taty. Mieszkał na końcu kolonii sobotnickiej nad Matruną blisko drogi prowadzącej do Gieranion. Widać stamtąd kapliczkę ze Świętym Nepomucenem stojącą tuż przed wioską Kwiatkowce.

Heniusz był trzecim w kolejności z pięciorga synów Feliksa i Teresy z Puciulów. Najstarszy Alfred, żołnierz 1. Armii Wojska Polskiego, zginął podczas forsowania rzeki Odry w 1944 roku. Waclaw i Czesław byli w 2. Armii. Wacek zmarł kilka lat temu w Swarzędzu koło Poznania, Czesiek mieszkał w Bogatyni, a najmłodszy Andrzej w Lidzie.

W styczniu 2010 roku zmarł Stanisław Giędziński, teść mojego kuzyna Janka. Miał osiemdziesiąt dwa lata. Urodził się w wiosce Mielechy niedaleko Gieranion. Jego ojciec pochodził z lubelskiego i osiedlił się w Mielechach po wojnie polsko-bolszewickiej 1919-1920.

Tuż przed Wielkanocą Janek sprzedawał krowę. Za dużo przy niej było pracy, a mleko od dłuższego czasu można bez problemów kupić w miasteczku.

Ten rozdział został napisany naprędce i wygląda jak rozrzucone puzzle z układanki. Można je dopasować do całości, gdyż dla każdego z nich jest miejsce w tej książce. Nazwałem go „Zakończenie”, ale zakończenia nigdy nie będzie.

Lipień 2010

(08.07.2010-16.07.2010)

Tego wyjazdu nie planowałem co do terminu, a że nastąpiło to prawie na początku lipca było może winą upału, który chciałem prz/yjemniej znieść nad chłodnymi wodami Gawii. To także była chęć wyrwania się z Poznania w zupełnie inne, ale bliskie mi środowisko. Zresztą już od wielu lat każdy mój urlop powyżej siedmiu dni był podróżą na wschód.

Kiedy w Białymstoku skręciłem w ulicę Elektryczną, przy której znajdował się konsulat Białorusi nie wierzyłem własnym oczom. Przed budynkiem nie było żadnej kolejki. Przez chwilę sądziłem, że pomyliłem ulicę, ale nie, to była Elektryczna. Jeszcze lepiej mi poszło w samym konsulacie. Złożyłem wniosek wizowy i po dwóch godzinach przyszedłem odebrać swój paszport.

Z Białegostoku do Grodna dostałem się autobusem, a stamtąd pojechałem do Lidy samochodem osobowym będącym własnością nielegalnego prywatnego przewoźnika. Ciocia Władzia powiedziała mi, że u nich też panują upały a samo miasto przygotowuje się do centralnych dożynek, które mają odbyć się we wrześniu - wierasniu, i z góry zapraszała mnie na te wydarzenie. W sobotę w Lidzie miało się odbyć poświęcenie nowego kościoła pod wezwaniem Świętej Rodziny, którego budowniczym i proboszczem był ksiądz Józef Gańczyc. Niestety, ze względu na krótki czas pobytu na Białorusi nie mogłem być na tej uroczystości.

Na rejestrację do Iwia zawiózł mnie samochodem Władek, syn kuzyna Witka. Miał dwadzieścia trzy lata i był w wieku mojego młodszego syna Michała. Dawno go nie widziałem. Nieprawdopodobnie wyrósł, miał prawie dwa metry wzrostu i był bardzo szczupły. Ale te zewnętrzne cechy nie przeszkadzały mu w pracy na stanowisku kierowcy tirów.

Z Iwia odebrał mnie jak zwykle Janek, który przyjechał do rejonu w celu opłacenia ubezpieczenia zdrowotnego potrzebnego przy wjeździe do Polski. Miesiąc temu wraz

z żoną Ireną po raz pierwszy zostali dziadkami. W ubiegłym roku z ich córką Heleną i zięciem Dymitrem Jabłońskimi wracaliśmy z mamą do Polski zatrzymując się na krótko w Mociewiczach nad Niemnem.

Od tamtego czasu Helena i Dima zamieszkali we Wrocławiu, gdzie przysłała na świat ich córka Agatka. Młodzi małżonkowie poznali się nie na Białorusi, ale na Zlocie Młodzieży Polonijnej „Orle Gniazdo” w Poznaniu zorganizowanym przez Wspólnotę Polską. A dlaczego wybrali Wrocław na miejsce swojego nowego osiedlenia? Byli tam wspólnie parę razy, nawiązali liczne znajomości i to miasto bardzo im się spodobało.

Na kolonii u Zosi było bez zmian odnośnie warunków życia i stanu zdrowia. Za to w naszym kościele dobiegał remont starych organów ufundowanych w 1809 roku przez Jakuba Umiastowskiego, dziadka hrabiego Władysława. Kilka razy przyjeżdżał do Sobotnik konserwator z Polski, który także naprawiał organy w innych parafiach Grodzieńszczyzny. Powiedział mi o tym ojciec Franciszek podczas naszego sobotniego spotkania.

W ostatnich miesiącach nasz kościół był celem częstych wycieczek turystów, głównie ze stolicy Białorusi. Przekonałem się o tym sam, kiedy po wyjściu z plebanii zobaczyłem jakiegoś mężczyznę robiącego zdjęcia świątyni. Był to profesor ekonomii Włodzimierz Fatiejew z Mińska, który amatorsko interesował się historią i raz w roku przyjeżdżał w okoliczne strony zwiedzając za każdym razem coś nowego. Przekazałem mu trochę informacji o historii kościoła i miasteczka, a także zaprosiłem do Sobotnik w pierwszą niedzielę października na święto Matki Bożej Różańcowej, największy fest w naszej parafii. Już po powrocie do Polski otrzymałem od profesora kilka zdjęć, jakie zrobił w Sobotnikach i Lipniskach.

Remontowane organy zagrały na niedzielnej mszy świętej. Przed jej rozpoczęciem rozwiesiłem moją wystawę fotogra-

ficzną przedstawiającą historię Sobotnik. Ucieszyłem się, kiedy mogłem ją zaprezentować nowym osobom.

Na mszy był mój rówieśnik Czesław Wasilewski, który przyjechał z synem Eugeniuszem w odwiedziny do swojej mamy, do rodzinnej wioski Huta w naszej gminie. Czesiu mieszkał w Lidzie, a Gieną był na drugim roku historii mińskiego uniwersytetu. Zapytałem go, jakiej historii się uczysz, białoruskiej czy sowieckiej? Odpowiedział za niego ojciec, że dopilnuje, żeby białoruskiej.

Czesiu rozmawiał ze mną po białorusku, ale nie czuł się Białorusinem, lecz Licwinem. Znaczyło to, że uważał się za świadomego spadkobiercę tradycji i historii Wielkiego Księstwa Litewskiego, którego najważniejszą częścią były ziemie obecnego państwa białoruskiego. Wielu obywateli Białorusi czuje się w sercu Licwinami nazywając Litowcami mieszkańców dzisiejszej Litwy, którzy tak naprawdę są Żmudzinami i niesłusznie sobie przywłaszczyli nazwy Litwini i Litwa.

W polskiej historii Rzeczypospolitej Obojga Narodów odpowiednikiem Licwina jest Litwin, czyli mieszkaniec części składowej tego państwa nazywanego skrótowo Litwą. Ten Litwin i jego kraj mają niewiele wspólnego z dzisiejszym państwem litewskim i jego narodem. Współczesne białoruskie określenie Licwina i historyczne polskie Litwina są do siebie bardzo podobne.

Powołując się na niedawno wydaną książkę białoruskiego historyka Wadima Derużyńskiego „Tajemnice białoruskiej historii” Czesiu powiedział mi, że do roku 1840 nie było żadnej Białorusi tylko Wielkie Księstwo Litewskie nazywane w skrócie Litwą. Rosyjskie słowo Białorusin miało wówczas znaczenie czysto religijne. Nazywano nim noworusa, ale to nie oznaczało nowego Rosjanina lecz człowieka, który zdradził swoją wiarę i przyjął wiarę Moskwy. Białorusini - tak mówiono o tych Ukraińcach, Litwinach, Polakach i Żydach, którzy wyrzekli się swojej wiary, przeszli na prawosławie pod zwierzchnictwo cerkwi moskiewskiej i złożyli wiernopoddańczą przysięgę carowi jako pomazańcowi Bożemu.

Czesiu powiedział mi także o tym, że wcześniej nie rozumiał, dlaczego jego dziadek i tata nigdy o sobie nie mówili, że są Białorusinami i sami też do końca nie czuli się Polakami. Dopiero niedawno wszystko stało się dla niego jasne, wszystko ułożyło się na swoim miejscu. Czesiu utwierdził się w przekonaniu, że jego przodkowie byli zupełnie nieświadomi tego, że są prawdziwymi Licwinami instynktownie odczuwając, że nie są Białorusinami.

Coś rzeczywiście musiało w tym być, a na poparcie powyższych wywodów, w tym także Wadima Derużyńskiego, przytaczam fragment z książki Hipolita Korwin-Milewskiego „Siedemdziesiąt lat wspomnień 1855-1925” (Warszawska Oficyna wydawnicza „Gryf”, Warszawa 1993).

Autor, o którym więcej piszę dalej, po zakończeniu wojny polsko-bolszewickiej przeniósł się ze swojego kresowego majątku do Poznania. Jako człowiek światły i pochodzący z elit miał swój pogląd na tak zwaną kwestię białoruską, która się pojawiła przed podpisaniem traktatu ryskiego. Hipolit Korwin-Milewski w ciągu sześćdziesięciu lat swojego życia nie spotkał na kresowych wioskach ani jednego Białorusina, który by się chociaż domyślał, że nim jest. Do roku 1921 był on tam „tutejszym”, wyznawał wiarę „polską” lub „rosyjską” i mówił „po prostemu” lub „po szlachecku”.

W tym samym czasie co Hipolit Korwin-Milewski zamieszkał w Poznaniu były senator rosyjski Korostowiec, który posiadał niewielki majątek pod Mińskiem. Tuż przed podpisaniem traktatu ryskiego pojechał tam, żeby coś z niego uratować będąc niepewny losu swojej własności. Zjawił się u niego miejscowy wpływowy chłop i powiada:

- Panoczku, wy szto usio wiedajecie, każycie szto z nami budzie? Wiedajem, szto za pradziedaū tut była Polska. Prysztoū Maskal, siadzieū sto let. Jaho prahnaū Niemiec, he-tyj Niemiec uciok, prysztoū balszawik, jaho prahnaū Palak. A cipier, każuć ludzie, budzie jakij to Biełarus. Szto heta za czaławiek i adkul on uziaüsia?

Tak. Gdybyśmy nie wyjechali do Polski, to może odczuwałbym to samo co Czesiu i razem moglibyśmy wołać: „Litwo, ojczyzna moja!”.

Uważam, że idee zawarte w książce Derużyńskiego i poglądy Czesia są w jakimś stopniu nawiązaniem do dawnej idei krajowej, której jednym z głównych autorów i gorącym zwolennikiem był Józef Mackiewicz²⁰².

O ziemiach Wielkiego Księstwa w bardzo uczuciowy sposób wypowiadał się urodzony na Mińszczyźnie Michał Kryspin Pawlikowski²⁰³: „ (...) Ziemia ta jest to nasza ziemia. Mamy ją w nozdrzach, oczach i uszach. Czujemy ją w każdym uderzeniu serca, soki jej bowiem tętni w naszych żyłach. Nie potrzebujemy jej obnosić po ziemiach obcych zaszytej w szkaplerz symboliczny, bo ona jest w nas” (...). Ja mam podobne odczucia do mojej małej ojczyzny.

Bardzo trafnie osobę Pawlikowskiego ocenił poeta Czesław Miłosz²⁰⁴: „Nie umiałbym go sobie wyobrazić jako literata Warszawy czy Krakowa. Mieszkał w mieście, czyli w Wilnie, które było dla niego nadal stolicą Wielkiego Księstwa Litewskiego i był tego kraju patriotą”.

Pawlikowski uważał się za jednego z ostatnich Litwinów, mieszkańców Polski, albo inaczej Rzeczypospolitej Obojga Narodów lub historycznej Litwy, która skonfederowana z Koroną²⁰⁵ stanowiły jedno państwo. Takich nazw tych ziem używano wymiennie jeszcze na początku dwudziestego wieku. Pisarz był przeciwny zawężeniu pojęcia „Litwa” do niewielkiego obszaru byłej guberni kowieńskiej, na którym w 1918 roku powstało państwo o takiej nazwie. I był przeciwny nowemu pojęciu „litewski”, które zostało ograniczone do około miliona ludzi posługujących się tylko językiem litewskim. Uważał, że nie można nagle zmieniać terminologii pojęcia „Litwa”, które wytrzymało pięćsetletnią próbę historii, na „Ziemie Wschodnie” lub „Kresy”. Był wierny idei, że między Polską etnograficzną a „Litwą” Tadeusza Ipohorskiego-Irteńskiego, bohatera jego książki „Dzieciństwo i młodość Tadeusza Irteńskiego” (Wydawnictwo LTW, Łomianki 2010),

istniał od Niemna i Bugu aż po Dniepr, istnieje i będzie istniał głęboki związek.

I on istnieje. Przede wszystkim poprzez wielu ludzi żyjących po obu stronach granicy, którzy są połączeni bardzo bliskimi więzami krwi. Ta łączność się rozrywa, a ja jestem ostatnim ogniwem ją scalającym. Później pozostaną tylko badacze.

W spisie powiatu Wołożyn z 1921 roku, do którego wówczas należała nasza gmina, 50 osób na 191 mieszkańców Huty podało się za Białorusinów. Czesiu wypytał o nich starszych mieszkańców rodzinnej wioski, ale nikt nie wiedział, którzy to hutczanie mieli być tymi Białorusinami i skąd się ich tytuł znalazło. Chociaż jednego Andruszkiewicza tak nazywali, a to dlatego, że należał do jakiejś bolszewickiej organizacji i często w euforii krzyczał: „Za mną 170 milionów!”.

Trudno jest dzisiaj zinterpretować ten spis i sprawdzić jego wiarygodność. Nasza gmina była wówczas większa niż obecnie. Należały do niej wioski, które teraz znajdują się w sąsiednich gminach: Annopol, Baradyny, Galimszczyzna, Machały, Nackowicze, Sakowicze. Były w niej także bardzo małe wsie, niewielkie folwarki i majątki, okolice szlacheckie i zaścianki, dla których czas istnienia po drugiej wojnie okazał się niełaskawy: Ilcowszczyzna, Kropowo, Luszniowo, Łyntupka, Nackowszczyzna, Pogawja, Sałasowo, Tarucki Bór, Trypla.

W 1921 roku gmina Sobotniki liczyła 6626 mieszkańców, z których 6165 podało się za Polaków, 406 za Białorusinów i 55 za Żydów. Jeżeli chodzi o wyznanie religijne, to 6518 osób w tym 372 Białorusinów uważało się za katolików, 34 za prawosławnych, 7 za ewangelików, 55 za żydów i 12 za maołometan. W gminie było 10 zamieszkałych miejsc na w sumie 61, w których osoby w spisie z 1921 roku podały narodowość białoruską.

Rozmieszczenie tych osób, które w spisie podały narodowość białoruską wyglądało na zupełnie przypadkowe. W wioskach Annopol, Czechowce oraz Dowgiałowszczyzna

wszyscy się za nich podali. Na 155 mieszkańców Borowik 141 uważało się za Białorusinów, w folwarku Galimszczyzna 10 z 43 osób, w folwarku Pogawja 5 z 8 osób, w Rudzewszczyźnie tylko 1 ze 158 osób, w Trypli też 1 z 45 osób i dodatkowo 12 osób uważało się za mahometan. Sobotniki liczyły wówczas 542 mieszkańców, z których 487 podało narodowość polską, a pozostali żydowską.

Co do ludzi, którzy w naszej gminie podali się za Białorusinów, i co do wątpliwości, że nimi naprawdę byli posłużyć się wywodem z książki Władysława Studnickiego²⁰⁶ „Zarys statystyczno-ekonomiczny ziem północno-wschodnich z tablicami statystycznymi”, wydanej przez Księgarnię Józefa Zawadzkiego w Wilnie w 1922 roku.

W 1897 roku odbył się w państwie rosyjskim spis ludności i był to jedyny taki spis w historii Rosji carskiej. Na terenie ziem Rzeczypospolitej Obojga Narodów zaboru rosyjskiego przeprowadzono go po dziesięcioleciach antypolskiej polityki, szczególnie intensywniej po zakończeniu powstania styczniowego w 1863 roku. Ten spis w swoim założeniu negował istnienie narodowości polskiej w tych stronach.

Podczas jego przeprowadzania nie tylko spisywacze, ale też pytani udzielali fałszywych odpowiedzi. Chłop wiedział, że jeżeli poda się za Polaka, to nie będzie miał prawa do nabycia ziemi. Robotnik, na przykład kolejowy, obawiał się utraty posady z powodu swojej polskiej narodowości. Nawet ci ludzie, którzy do niczego nie pretendowali byli w ciągu trzydziestu kilku lat szkoleni przez administrację rosyjską, która im stale powtarzała: „Polaków tu nie ma, tu Rosja, tu wszyscy Rosjanie”. Rachmistrze spisowi dobrze wiedzieli czego od nich wymagano. Nawet bez odgórnej instrukcji, która była jasna z priorytetowym zadaniem orientowania ludności w kierunku, iż jest rosyjską.

Po południu poszedłem na cmentarz, ale nie robiłem porządków przy rodzinnych grobach zostawiając to na inny dzień. Za to pierwszy raz podczas tego pobytu przywitałem się z Gawią i zażyłem przyjemnej ochłody w jej wodzie. Na

moście na rzece spotkałem Andrzeja Wasilewskiego, który wracał z grzybów, ale ze słabym rezultatem. Andrzej mieszkał w Mińsku i pracował jako tłumacz języka niemieckiego. Jego pradziadek Michał Tuczkowski „Michalek” otrzymał Krzyż Srebrny Orderu Wojennego *Virtuti Militarii*²⁰⁷ V klasy za udział w wojnie polsko-bolszewickiej. Kserokopię zdjęcia pradziadka z tym orderem Andrzej przykleił do jego pomnika nagrobnego na cmentarzu sobotnickim i zabezpieczył specjalną plastikową osłoną. Od pewnego czasu Andrzej interesował się przebiegiem pierwszej wojny światowej w naszych stronach i niedawno znalazł informację, że blisko wioski Girowicze znajduje się zbiorowa mogiła żołnierzy niemieckich z tego okresu.

U cioci Janki Albinowej, żony stryja Albina, przebywało na wakacjach troje wnuków, synów moich kuzynek. Wadim, jednak Alicji, z dobrymi wynikami zdał egzaminy i złożył papiery na informatykę do Mińska. Piętnastoletni Aleksander, syn Ireny, chciałby zostać prawnikiem, a jego ośmioletni brat Grigorij zwany Goszą bardzo pragnął popłynąć łódką po Gawii razem z nami. Było więc nas czworo chętnych i mieliśmy do dyspozycji żółty ponton i czerwony kajak.

W poniedziałek napompowaliśmy obydwie jednostki pływające koło chaty cioci i ruszyliśmy pieszo w kierunku Szarukuć. Spływ rozpoczęliśmy przy końcu wioski od znanej nam już łachy piasku. Wadim i Olek popłynęli kajakiem z przodu, a ja z Goszą pontonem za nimi. Gosza nie umiał pływać i dla swojego bezpieczeństwa miał na sobie dziecięcy kapok. Żeby się nie oddalać jedni od drugich związaliśmy tył kajaka z przodem pontonu kawałkiem sznurka.

Wody w Gawii było pod dostatkiem, tak że nie hamowały naszego spływu żadne płycizny. Po drodze zrobiliśmy kilka przerw, żeby się wykapać. Tak jak w poprzednich wyprawach spotkaliśmy nad brzegiem rzeki stado wioskowych krów, które tym razem pilnowała młoda dziewczyna o rudych włosach. Ubrana była w dwuczęściowy strój plażowy i ćwiczyła jakieś wolne taneczne ruchy. Nasze niespodziewane

pojawienie się wcale jej nie spieszyło, a na powitanie uśmiechnęła się do nas i przyjaźnie pomachała rękami.

My płynęliśmy dalej pędząc przed sobą parę łabędzi, aż znikły nam zupełnie z oczu. Stojąca przy brzegu czapla siwa została zaskoczona nagłym wypłynięciem naszej flotylli z zakola Gawii. Ptak niespiesznie poderwał się w powietrze i dostojnie machając długimi skrzydłami odleciał nisko nad wodą w dół rzeki. Bez problemów przedostaliśmy się przez pozostałości niewielkiego drewnianego mostu na wysokości Rybak i po przepłynięciu kilkudziesięciu metrów w dogodnym miejscu wyszliśmy na brzeg. W niewielkiej odległości przed nami było nasze miasteczko.

W środę Janek z żoną mieli jechać samochodem do polskiego konsulatu w Grodnie, w celu złożenia wniosków wizowych na wyjazd do Polski. To był także dzień mojego odjazdu z miasteczka. Janek zaproponował mi wspólną podróż do Woronowa, rejonowego miasta położonego dwadzieścia osiem kilometrów na zachód od Sobotnik. To dalej niż do Iwia, ale z Woronowa było bliżej do Lidy i autobusy częściej tam kursowały. Zgodziłem się tym bardziej, że nigdy nie jechałem tą trasą.

Wyruszyliśmy rano o wpół do siódmej. Szeroką szutrową drogą jechaliśmy przez zachodnią część naszej gminy. Wpierw wzdłuż kolonii nad Matruną, gdzie jeszcze trzymała się ziemi chata naszych dziadków Niechwiadowiczów. Na końcu tej części kolonii było opuszczone już gospodarstwo Henryka Kaweckiego, a po chwili tuż przed wioską Kwiatkowce pojawiła się kapliczka ze Świętym Nepomucenem. We wsi nic się nie zachowało z przedwojennego majątku Ciemniewskich.

W 1915 roku Kwiatkowce w posagu ślubnym wniosła Emilia Umiastowska, córka Mariana i Marii z Narzymskich, do małżeństwa z Marianem Ciemniewskim. Jej ojciec był prawnukiem Jakuba Umiastowskiego i swego czasu także właścicielem Sobotnik, a także najbliższym kuzynem hrabiego Władysława.

Z Kwiatkowców pochodził Wiktor Białous, obrońca Westerplatte²⁰⁸ w 1939 roku. Na Półwysep Hel przybył 7 sierpnia tegoż roku w grupie siedemnastu strzelców wybranych z pułków stacjonujących na Wileńszczyźnie. Brał udział w obronie placówki „Prom” i wartowni nr 1. Został lekko ranny i wraz z pozostałymi przy życiu żołnierzami trafił do niemieckiej niewoli. W 1946 roku w ramach repatriacji przyjechał do Polski. Zmarł we Fromborku w 2001 roku.

Przed kapliczką skręciliśmy na Jodzienie. Po lewej stronie drogi mieliśmy wioskę Pietrymanowszczyznę, gdzie ciocia Zosia wyszła za mąż. Blisko niej była wioska Ślesary, w której po zamążpójściu zamieszkała siostra mojego taty ciocia Janka, gdzie urodził się Janek i jego rodzeństwo. Następnie przejechaliliśmy obok Kudejsz.

Kilka lat temu zamknięto tutaj dziewięcioletnią szkołę, której początki powstały w przedwojennej Polsce. W pobliskich wioskach nie było wystarczającej ilości dzieci, żeby można było je uczyć na miejscu. Nie było dzieci, ponieważ te wioski w przeciągu paru dziesiątków lat mocno się wyludniły. W Kudejszach w 1940 roku mieszkało około 330 osób, a w 1999 roku już tylko 74. W Ślesarach, z których dzieci chodziły do szkoły w Kudejszach, w 1940 roku było 191 osób, a w 1999 roku już tylko 57, w większości emerytów plus kilku starych kawalerów - chałasiaków. Obecnie po jedenastu latach jest ich zapewne jeszcze mniej. Te nieliczne dzieci, które są w tej części naszej gminy dowozi się busem do szkoły w Sobotnikach.

Opuściliśmy teren naszej gminy Sobotniki. Przed nami były tylko Mielechy i już wjeżdżaliśmy do Gieranion. Trochę powyżej miasteczka znajdowały się Mikszewicze, gdzie urodził się Janka teść Stanisław Giełdziński i później założył rodzinę. Jego ojciec pochodził z lubelskiego i osiedlił się w Mikszewiczach po wojnie polsko-bolszewickiej.

Gieraniony są większe od Sobotnik i prężniej się rozwijają, a tym samym mają więcej do zaoferowania młodym ludziom po szkole. Niedawno podczas remontu kościoła parafialnego

Świętego Mikołaja, barokowego z 1523 roku, odkryto na suficie nieznane freski. Może ten fakt bardziej mnie zmotywuje, żeby przyjechać z wizytą do księdza Andrzeja Łysego.

Z Gieranion wyjechaliśmy na niezłą asfaltową drogę prowadzącą do Trokiel, ale po minięciu Tułanki skręciliśmy na wysokości Tryszok w prawo na Pierogańce. W Pierogańcach przed wojną istniała szkoła powszechna, która powstała w ramach akcji budowy stu nowych szkół na Ziemi Wileńskiej. Oto krótko, jak do tego doszło.

11 maja 1936 roku, w przeddzień pierwszej rocznicy śmierci Józefa Piłsudskiego, Rada Ministrów Rzeczypospolitej Polskiej na swoim posiedzeniu powzięła uchwałę następującej treści:

„Rada Ministrów, mając na uwadze potrzebę rozwoju ziemi, która zawsze była najbliższa Sercu Józefa Piłsudskiego postanawia, udzielając ludności Ziemi Wileńskiej pomocy, zrealizować budowę w ciągu roku 1936/37 stu nowych szkół powszechnych imienia Pierwszego Marszałka Polski. Niezbędne środki w budulcu i w kwotach pieniężnych zostaną postawione do dyspozycji w ciągu najbliższego miesiąca”.

W realizacji tego szczytnego zamiaru uczestniczyła cała Polska, a na jego konto zostało wpisanych wiele chlubnych czynów. Wśród tych placówek edukacyjnych w obecnym rejonie Iwie była murowana szkoła w Lipniszkach i drewniana w Wiguszkach.

Szkoła w Pierogańcach została spalona krótko po wojnie przez jedną z grabieżczych band, które się potworzyły w okresie zbierania podatków od ludności. Za ten czyn bolszewicy obarczyli białych, czyli polską partyzantkę.

- Złożyli biedę na partyzantów - powiedziała mi Zofia Wasilewska z Kaszkiewiczów, która chodziła do tej szkoły w 1946 roku.

Za Pierogańcami jechaliśmy także po dobrym asfalcie pośród wysokiego i gęstego iglastego lasu. Już po kilku minutach widać było kościół w Hermaniszkach nad rzeką Żyżmą, którą kiedyś spławiano drewno do Gawii i dalej do Niemna.

Pierwszy kościół w Hermaniszkach został wybudowany z drewna w 1559 roku i poświęcony pod wezwaniem Świętej Trójcy. W 1909 roku ukończono budowę nowej świątyni wy-murowanej w dużej części z kamienia. W 1965 roku została ona zamknięta przez komunistyczne władze. W 1987 roku zwrócono ją wiernym i wkrótce pojawili się tutaj księża pallotyni²⁰⁹ z Polski. W 2000 roku na nowo poświęcili dom Boży i nadal pracowali w tutejszej parafii. Byli już wśród nich kapłani i zakonnicy pochodzący z Białorusi w tym jeden miejscowy.

Anna Appelbaum²¹⁰ w swojej książce „Między Wschodem a Zachodem. Przez pogranicza Europy” (wyd. Prószyński i S-ka, Warszawa 2001), jeden z rozdziałów zatytułowała „Hermaniszki”. Może autorka poszukiwała tutaj swoich ży-dowskich korzeni?

Z Hermaniszek do Woronowa (Werenów przed wojną) był żabi skok. Janek podwiózł mnie na dworzec autobusowy, gdzie pożegnaliśmy się i oni pojechali dalej. Blisko dworca znajdował się kościół parafialny Świętych Apostołów Judy i Tadeusza oraz miejscowy cmentarz. Kościół został wybu-dowany w 2000 roku na miejscu drewnianej świątyni z 1735 roku, którą zniszczyli komuniści w 1967 roku. Pracowali tu również pallotyni, którzy swoją misję w Woronowie rozpo-częli w 1990 roku. Ich pierwszym praktycznym działaniem było przekształcenie byłego sklepu monopolowego na cza-sową kaplicę. Dekretem prezydenckim z 17 lipca 2006 roku Woronowo otrzymało herb i flagę. Miasto ma bardzo dogod-ne położenie na szlakach komunikacyjnych wiodących do Grodna, Wilna, Lidy i Mińska.

Wszedłem do miejscowego budynku dworcowego i pod-szedłem do kasy biletowej, przy której siedziała około czter-dziestoletnia postawna pani. Specjalnie po polsku zapytałem ją o najbliższy autobus do Lidy. Chciałem sprawdzić, czy rzeczywiście większość tego miasta i całego rejonu zamiesz-kują Polacy. Jakże mi było miło usłyszeć w naszym języku i to nawet bez kresowego akcentu potwierdzenie tego faktu.

Wyszedłem na zewnątrz i usiadłem na ławce. O godzinie ósmej, do której brakowało dwudziestu minut miałem autobus. Rzeczywiście szybciej niż z Iwia.

Tak sobie spokojnie siedziałem, kiedy dojrzałem białe kociątko z paroma szarymi plamkami na futerku. Przykucnęło niedaleko mnie i smętnie oczekiwało na rozwój wydarzeń. Ludzie w różnym wieku przechodzili obok, ale nikt się kociakiem nie zainteresował, nie nachylił się, żeby je pogłaskać, nie wyjął z torby okruszka jedzenia. Zawołałem malca, a on ufnie podbiegł do mnie. Wziąłem go na ręce i przytuliłem do kolan, głaskałem delikatnie i po chwili kotek usnął wtuliwszy pyszczek między moje nogi.

Dobrze nam się razem było, ale podjechał mój autobus i musiałem maluszka opuścić na ziemię. Rozbudził się, ale jeszcze przez chwilę tulił się do moich nóg, a ja niestety nie mogłem go zabrać ze sobą. Wierzyłem jednak i byłem o tym mocno przekonany, że święty Franciszek zaopiekuje się tym stworzeniem i postawi na jego drodze ludzi o dobrym sercu.

Autobus był koloru żółtego i niewielki. Mikro autobus, jak nazywają takie pojazdy na Białorusi. Większość z pasażerów stanowiły starsze panie, które ubrane były jak na wyprawę do lasu i każda z nich miała ze sobą plastikowe wiadro. W czasie podróży okazało się, że jechały za jahadami, a życzliwy kierowca wysadził je po drodze w miejscu przy lesie, które mu wskazały.

Wśród nas panowała dobra atmosfera, którą on w znacznej mierze tworzył. Był bardzo szczupłym i niewysokim mężczyzną o rzadkich ciemnoblond włosach. Odpowiadał na wszelkie pytania zadawane przez podróżujących. Doradził pewnej kobiecie, gdzie najlepiej wysiąść w rozkopanej przez różne budowy Lidzie, żeby znaleźć się blisko konkretnego miejsca. Już w samym mieście kluczył tylko sobie znanymi uliczkami, przeciskał się koło jakichś ogrodów ze starymi drewnianymi domami, chcąc nas szybko dowieźć na dworzec autobusowy.

Ale wpieryw opuściliśmy Woronowo. Jechaliśmy bardzo dobrą asfaltową drogą, która łączy Lidę z Wilnem poprzez przejście graniczne drogowe i kolejowe w Bieniakoniach. Przy tamtejszym kościele Świętego Jana Chrzciciela spoczęła w grobie Maryla Puttkamer z domu Wereszczakówna²¹¹. Z Bieniakoń do Sobotnik są trzydzieści dwa kilometry.

Pierwszą wartą wspomnienia miejscowością w drodze do Lidy były Bastuny ze stacją kolejową też na szlaku Lida-Wilno. To na tę stację w 1894 roku Tatar Aleksander Sulkiewicz²¹², bliski towarzysz Józefa Piłsudskiego, przywoził pierwsze numery „Robotnika” wydrukowane w Lipniskach. Zakazana bibuła była dalej rozprowadzana na terenie Królestwa Polskiego²¹³.

Drugą ciekawą miejscowością były Żyrmuny z drewnianym klasycystycznym kościołem Znalezienia Krzyża Świętego, obok którego przejechaliśmy. Świątynia została ufundowana przez księcia Stanisława Radziwiłła, a jej projektantem był Jan Podczaszyński, nadworny architekt Radziwiłłów.

W Żyrmunach urodził się jego syn Karol, który także został architektem, profesorem tego kierunku na Uniwersytecie Wileńskim. Był pierwszym Polakiem, który studiował architekturę w Akademii Sztuk Pięknych w Petersburgu i jako jeden z niewielu, i to już 1821 w roku docenił znaczenie wzornictwa przemysłowego. Linie zawodową ojca i dziadka kontynuował Bolesław, profesor w Szkole Sztuk Pięknych w Warszawie. I tak szybko i bardzo ciekawie dojechaliśmy do Lidy.

Na krajowe lidzkie dożynki miał przyjechać sam baćka²¹⁴, jak żartobliwie nazywa się na Białorusi prezydenta Aleksandra Grigorijewicza Łukaszenkę. Z tego powodu w centralnej części miasta trwały różnorodne prace budowlane, remontowe oraz inwestycyjne. Setki pracowników układało kostkę brukową na chodnikach, skwerach i placach, stawiało nowe krawężniki, wymieniało nawierzchnię asfaltową na ulicach, odnawiało elewację frontową stojących przy nich budynków mieszkalnych, sklepów i urzędów.

Podobnie było podczas organizacji centralnych dożynek w Polsce, na których głównym gospodarzem był zawsze i aktualnie panujący pierwszy sekretarz Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej, nieformalna głowa państwa. Remontowano fronty budynków, ale już za nimi pozostawał obraz starych podniszczonych domów, dziur i strzępów asfaltu na wewnętrznych uliczkach osiedlowych. Tak samo było w Lidzie.

Niektóre budynki znajdujące się w historycznym centrum Lidy odnawiano na zewnątrz w całości. Kościół farny otaczała pajęczyna drewnianych rusztowań, a na dachu trwały prace przy układaniu nowego i bardzo ładnego poszycia z miedzianej blachy w kolorze złotobrazowym. Tuż obok na zamku pamiętającym czasy, kiedy Lida w 1323 roku była stolicą Wielkiego Księstwa Litewskiego odbudowywano jego zewnętrzne mury. Po deszczu i niewielkiej burzy, które godzinę temu przeszły nad miastem na niebie pojawiła się kolorowa wstążka tęczy - wiasiołki obejmując swoimi ramionami farę i zamek.

Uniwersam znajdujący się obok ciotki Władzi był zamknięty i także remontowany, a właściwie przebudowywany po wykupieniu go przez prywatnego przedsiębiorcę z Brześcia. Ma to być najnowocześniejszy market w mieście z własną mini piekarnią, produkcją garmażerki oraz różnego rodzaju sałatek i surówek. Nowy właściciel posiadał już trzydzieści trzy podobne placówki na terenie Białorusi, co w realiach gospodarczych i politycznych tego kraju nie było czymś zwyczajnym i prostym do osiągnięcia. Ciekawiło mnie, czy przed tym zupełnie odmienionym obiektem też będą stały pojedyncze osoby i sprzedawały skromne ilości warzyw, owoców i nabiału ze swoich przydomowych gospodarstw, tak jak to było przed starym uniwersamem.

Ciocia codzienne zakupy robiła trochę dalej w niewielkim markecie z sieci „Euroopt”. Także w tym miejscu przez wiele lat funkcjonował państwowy sklep spożywczy, czyli produktowy mahazın, który został przejęty przez Litwina. Nie-

duża powierzchnia lokalu była bardzo dobrze zaopatrzona w artykuły rodzime oraz importowane, a codzienne dostawy towaru i sporo osób kupujących świadczyły o tym, że „Euro-opt” cieszył się sporym powodzeniem.

Wspomniałem wcześniej, że na rogatkach Lidy, gdzie zwykle czekam na autobus jadący do Sobotnik, powstaje kryte lodowisko do uprawiania sportów zimowych. Tuż przy nim na miejscu dużego bazaru i parkingu samochodowego trwały zaawansowane prace przy budowie stadionu lekkoatletycznego. Na Białorusi powszechnie było wiadomo, że prezydent Łukaszenka jest zapalonym sportowcem i hokeistą numer jeden w swoim kraju. I z pewnością osobiście przetnie wstęgę otwierającą ten kompleks sportowy.

Idąc od cici ulicą Tawłaja w kierunku centrum, z przedwojennych Roślaków, przeszedłem przez niewielki most na rzeczce Lidziejce. Po jego lewej stronie wąską strugę Lidziejki poszerzono, a kawałek dalej rozkopano do sporej wielkości prostokąta. Nad tym niewielkim akwenem wodnym ma powstać restauracja z częścią konsumpcyjną, także na otwartym powietrzu, i sceną do różnego rodzaju występów artystycznych. To miejsce, niedaleki kurhan „Nieśmiertelnych” - park upamiętniający bohaterów drugiej wojny światowej, który przecinany był nową siecią spacerowych alejek oraz bliskie centrum historyczne miasta z hotelem „Lida” będą ciekawą atrakcją dla krajowych i zagranicznych turystów.

Dwa dni przed moim odjazdem z Lidy do Poznania nad miastem przeszła duża burza z ulewnym deszczem. Niektóre słabo ukorzenione i czasami w nieodpowiednim miejscu posadzone drzewa wierzby iwy z łatwością poddały się tej nawałnicy.

Tuż za blokiem cici Władzi znajdowało się przedszkole. Na wąskim rozgraniczającym je pasie ziemi rósł rząd wysokich jesionów. Kilka z nich nie wytrzymało nawałnicy i powaliło się na budynek. Na szczęście upadek drzew zamortyzowało solidne metalowe ogrodzenie terenu przedszkola. Chociaż drzewa oparły się gałęziami o mury bloku,

to nie uszkodziły żadnych okien. Nazajutrz w tym miejscu pojawili się robotnicy z piłami spalinowymi, obcięli gałęzie a pnie poprzecinali na mniejsze kawałki. Później, mimo że padał deszcz przyjechał niewielki traktor z przyczepą, na którą pracownice gospodarcze przedszkola ładowały pocięte drewno.

Połowa lipca to były dni, kiedy powoli kończył się czas zbierania jagód w lesie. Ciocia Władzia z koleżankami prawie codziennie jeździła na jagody pociągiem Lida-Mołodeczno w okolice Wodoli, południowego krańca sobotnickiej gminy. Każda z pań przywoziła pełne wiadro tych leśnych owoców. Ale by je nazbierać, trzeba było spędzić w lesie cały dzień w upale, w atakujących komarach i pośród kleszczy. Po powrocie kobiety od razu oddawały jagody do punktu skupu, który znajdował się niedaleko dworca kolejowego. Ich kilogram kosztował około sześciu tysięcy białoruskich rubli, w wiadrze było sześć kilogramów co w sumie w bardziej konkretnej walucie wynosiło około sześciu dolarów. Był to istotny dodatek finansowy do niewielkich emerytur cioci i jej koleżanek. W punkcie skupu przyjmowano także kurki w cenie ośmiu tysięcy rubli za kilogram.

W moim ostatnim dniu pobytu na Białorusi spotkałem się z Leonem Laureszem i Olkiem Kołyszką. Leo mimo obowiązków zawodowych zawsze znajdował czas na swoje zainteresowania historyczne, a ich rezultaty były prawie profesjonalne. Ostatnimi miesiącami w kręgu jego poszukiwań i pracy pisarskiej znalazły się postacie Marcina Poczobutta-Odolanickiego²¹⁵, Franciszka Milkont-Narwoysza²¹⁶ i księdza Dionizego Chlewińskiego²¹⁷. Natomiast Olek interesował się osobą Konstantego Antoniego Gorskiego²¹⁸, który urodził się tuż koło Lidy, a zmarł w Poznaniu. Może więc będę mógł Olkowi coś pomóc w jego poszukiwaniach.

Akurat w tych dniach Towarzystwo Kultury Polskiej Ziemi Lidzkiej (TKPZL), któremu prezesował Olek, miało poważny problem. Jak co roku w czasie letnich wakacji chciało wysłać grupę dzieci z Lidy na odpoczynek do Polski, tym razem do

Kudowy-Zdroju. Pierwszy raz zdarzyło się, że polski konsulat w Grodnie omówił wydania bezpłatnych wiz dzieciom. Te, które ich nie posiadały miały zapłacić po trzydzieści pięć euro od osoby. Ich rodzice i tak ponosili pewne koszty wyjazdu swoich pociech, więc dodatkowe obciążenie finansowe mogłoby być dla nich przeszkodą za trudną do pokonania.

Po przyjeździe do Poznania napisałem mejla w tej sprawie do naszego Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Otrzymałem pozytywną odpowiedź, a Olek poinformował mnie, że mogą składać wnioski wizowe w grodzieńskim konsulacie. Kiedy jego koleżanka z Towarzystwa zjawiała się na miejscu okazało się jednak, że dzieci powyżej dwunastego roku życia muszą za wizy zapłacić.

Nie znam polskich przepisów konsularnych ale uważam, że żądanie wiz od dzieci i młodzieży polskiego pochodzenia nie tylko z dawnych Kresów Wschodnich, ale także z innych państw jest nieporozumieniem, nie jest zachętą do odwiedzania Polski, do naoczного i namacalnego przeżycia piękna spotkania z krajem skąd nasz ród.

Olek zapytał mnie czy byłem w Żemłosławiu i czy wiem, co się tam dzieje. Odpowiedziałem, że za mało miałem czasu żeby odwiedzić wszystkie miejsca które chciałem, spotkać się z tymi ludźmi z którymi planowałem. Olek powiedział mi, że ostatni oryginalny piec kaflowy w żemłosławskim pałacu został zniszczony, a jego kolorowe zdobione kafle walały się po podłodze i każdy mógł je sobie zabrać.

No cóż, nie odniosły skutku moje pisma kierowane do Ministerstwa Kultury Białorusi kilka lat temu, a do nowego szefa resortu mój list polecony z lutego tego roku nie dotarł. Wysłałem go jeszcze raz na parę dni przed wyjazdem z Poznania i powtórzyłem to, ale już z poczty w Sobotnikach. Ciekaw byłem, czy tym razem pisma doszły i czy otrzymam na nie jakąś odpowiedź.

Pałac w Żemłosławiu miał być zabezpieczony przed postępującym zniszczeniem i dewastacją, a obowiązek ten spoczywał na SPK Sobotniki. Dla mnie oznaczało to uniemożliwie-

nie wejścia do jego wnętrza i do innych zabytkowych budynków nieupoważnionym osobom oraz umieszczenie na nich odpowiednich tablic ostrzegawczych. Tak nie postąpiono, a sobotnicka spółdzielnia już bardziej profesjonalnie szykowała się do ogłoszenia przetargu na sprzedaż tych historycznych obiektów. Ja nie rozumiałem tej sprzeczności.

W Sobotnikach przy ulicy Gieraniońskiej ustawiono nowy płot z betonowych częściowo ażurowych płyt, oddzielających obejścia chat od chodnika. Płot nawet niebrzydki chociaż pomalowany na taki sam kolor i prowadzący w kierunku głównego dojazdu na teren bazy sprzętowej spółdzielni. Były na to fundusze i kiedy do gminy przyjedzie jakiś czynownik z rejonu, to będzie można się przed nim pochwalić jak to u nas jest ładnie i jaki jest porządek. Nie znaleziono jednak nawet trochę starych desek (nie wykazano zainteresowania i dobrej woli), żeby nimi pozabijać okna i drzwi wejściowe do budynków zespołu pałacowego w Żemłosławiu.

13 kwietnia członkowie Towarzystwa Kultury Polskiej Ziemi Lidzkiej postawili na starym cmentarzu katolickim przy ulicy Engelsa, dawniej Grażyny, pomnik katyński. Był to drewniany krzyż, obok którego położono duży głaz z wykutym napisem „Katyń 1940”. Po kilku dniach kamień znikł nie wiadomo gdzie.

Stare na Białorusi czuwa, jeszcze nie odeszło. Jest w świadomości wielu ludzi i nimi kieruje chociaż upłynęło sporo czasu od upadku Związku Sowieckiego, zniszczenia Muru Berlińskiego, większej swobody podróżowania za granicę, łatwiejszego niż za komuny dostępu do informacji, a w tym konkretnym przypadku pomimo pokazania w białoruskiej telewizji filmu Andrzeja Wajdy²¹⁹ „Katyń”, co miało miejsce niedługo po katastrofie smoleńskiej²²⁰.

W piątek rano pożegnałem się z cicią Władzią i Lidą. Na dworcu kolejowym w Grodnie byłem około godziny ósmej i miałem jeszcze sporo czasu do odjazdu pierwszego pociągu do Polski. Godzinę przed nim podróżni zaczęli się ustawiać w kolejce do odprawy celnej i z każdą minutą było ich coraz

więcej. Trochę się tego obawiałem myśląc o tym, czy zdążą nas wszystkich odprawić. Okazało się jednak, że część z tych osób stanowili rodzice odprowadzający swoje pociechy, które ze Szczuczyna udawały się na zbiorowe wakacje do Polski. Do kraju wracały też dwie grupy rodaków: białostoccy studenci, którzy byli w Mińsku na wymianie z tamtejszymi studentami i starsze osoby uczestniczące w wycieczce Szlakiem Mickiewicza.

Po odprawie celnej i granicznej znaleźliśmy się w poczekalni, gdzie znajdowały się dwa sklepy wolnocłowe. Kilku młodych grodnian wyglądających na niebieskich ptaków, a także parę starszych kobiet energicznie ruszyło z pustymi torbami na te punkty kupując znaczne ilości papierosów. Później w wagonach, jeszcze po białoruskiej stronie, rozkręcali ich wewnętrzne obudowy i chowali za nimi kartony z papierosami. Mimo wysokiej ceny wizy, sześćdziesiąt euro, nadal musiała im się opłacać ta kontrabanda. Stałem przy oknie podczas przejazdu przez Niemen i pomachałem mu ręką na pożegnanie, a za chwilę już była Polska.

Obok mnie po drugiej stronie wagonu bez przedziałów siedziało dwóch starszych mężczyzn i ze sobą rozmawiało. Jeden z nich był Białorusinem z Polski, który bez przerwy mówił o Unii Europejskiej, rozpadzie Związku Sowieckiego, śmierci Stalina, Armii Krajowej, nacjonalistach ukraińskich i prawie wszędzie w różnych poczynaniach widział działanie ręki żydowskiej.

Ten drugi, którego narodowości początkowo nie mogłem odgadnąć odpowiadał mu zdawkowo i raczej ostrożnie, a w jego wypowiedziach było sporo słów polskich. Naabrałem więc przypuszczenia, że musiał być Polakiem. Był bardzo skromnie ubrany, żeby nie powiedzieć biednie. Nie miał prawej dłoni i ukrywał to w rękawie starej marynarki. Co pewien czas dotykał tej kończyny zdrową ręką z grymasem bólu na twarzy. Może utracił tę dłoń niedawno, a może tak reagował jego organizm na niedobrze wyleczoną ranę. Jego całym bagażem była stara torba z zamkami i rączką,

podobna do teczek jakie kiedyś mężczyźni nosili do pracy w fabrykach, tylko trochę pojemniejsza. Nie sadzę, żeby oprócz piżamy, przyborów do golenia, szczoteczki i pasty do zębów, coś dużo więcej mogłoby się w niej zmieścić.

Z rozmów między moimi współpasażerami dowiedziałem się, że mój rodak, rocznik 1939, jechał do swojego brata mieszkającego w Słupsku. Brat by najstarszym z rodzeństwa i urodzonym w 1928 roku, a nie widzieli się ze sobą czternaście lat. Starszy brat wyjechał do Polski w 1946 roku i ta informacja dała mi przekonanie, że musiał być w Armii Krajowej i ratował się ucieczką przed represjami sowieckimi. Nigdy też po wojnie nie odwiedził rodzinnych stron.

Dojechaliśmy do Białegostoku. Wysiedliśmy z pociągu, a ja zaferowałem pomoc rodakowi, który niezdecydowanie stał na peronie jakby nie wiedząc, w którą stronę się udać. Poszliśmy w kierunku budynku dworcowego żeby się dowiedzieć, o której godzinie będziemy mieli połączenia: ja do Poznania, a on do Słupska. Była godzina trzynasta trzydzieści. Z krótkiej rozmowy dowiedziałem się, że mój towarzysz podróży pochodził z Radunia, z rejonu woronowskiego graniczącego z iwiejskim.

Raduń leży dwadzieścia sześć kilometrów na północny-zachód od Lidy. Jest to historyczne miasteczko z kościołem Matki Bożej Różańcowej, starym cmentarzem żydowskim i zachowanym budynkiem synagogi²²¹. W latach międzywojennych w Raduniu mieściła się jesziwa²²² i mieszkał słynny cadyk²²³, do którego po porady przyjeżdżali Żydzi nawet z dalekich stron. Mieszkańcy Radunia to głównie Polacy, którzy utrzymują dobry kontakt z Macierzą, a samo miasteczko ze Świebodzinem. Trzydzieści kilometrów na północ od Radunia, już po stronie litewskiej, leżą nie mniej znane Ejszyszeki, gdzie tak samo Polacy są zdecydowaną większością mieszkańców.

W informacji powiedziano nam, że najdogodniejsze połączenie do Słupska będzie dopiero o godzinie dwudziestej trzeciej. Można było jechać wcześniej, ale dłuższą trasą.

wpierw do Warszawy, a stamtąd o dziewiętnastej do Słupska. Namawiałem rodaka na takie rozwiązanie. Nie będzie musiał tyle godzin czekać w Białymstoku, szybciej dojedzie do brata i razem pojedziemy do samej Warszawy. Na dworcu w stolicy będę miał trochę czasu do mojego pociągu, więc pomogę mu znaleźć peron, z którego on pojedzie dalej.

Była godzina trzynasta pięćdziesiąt, kiedy stanęliśmy przed okienkiem kasowym i wtedy okazało się, że mój bliski towarzysz podróży nie miał naszych złotych. Nie wiedział, jakie pieniądze są aktualnie w Polsce. Posiadał tylko dolary i sądził, że nimi się płaci. Wyszedł z dworca do niedalekiego kantoru, a ja nie mogłem na niego czekać i musiałem jechać o czternastej do Warszawy. Kupiłem bilet i biegiem ruszyłem do pociągu.

W czasie podróży kilkakrotnie myślałem o moim rodaku z Radunia. Czy sobie poradzi w tej nieznanym mu współczesnej Polsce, czy dotrze szczęśliwie do Słupska i spotka się z bratem po wielu latach rozłąki? I byłem przekonany, że tak. Bo przecież pochodził z terenu, na którym podczas niemieckiej i sowieckiej okupacji walczył 2. batalion 77. pułku piechoty Nowogródzkiego Okręgu Armii Krajowej pod dowództwem legendarnego porucznika Jana Borysewicza „Krysi” (pseudonim wzięty od imienia swojej żony). Wielu młodych ludzi z Naczy i Radunia, z okolicznych wiosek, zaścianków i chutorów było członkami tego oddziału. Bili się odważnie o swoją ziemię rodzinną, o ojczyznę Polskę zarówno z Niemcami jak i Sowietami, i nie znali przed nimi żadnej trwogi.

W styczniu 1944 roku oddziały „Krysi” przeprowadziły kilka spektakularnych operacji bojowych przeciwko Niemcom. 9 stycznia pod Wasiliszkami odbito transport aresztowanych Polaków likwidując przy tym konwój żandarmerii. W nocy z 17. na 18. stycznia drużyna dowodzona przez sierżanta Alfreda Fryesa „Bza” bez jednego wystrzału rozbiła więzienie w Lidzie, w której stacjonowało dużo wojska niemieckiego w tym lotnictwa i uwolniła około siedemdziesiąt osób. 30 stycznia 4. kompania po krótkiej walce rozbroiła garnizon SS i policji biało-

ruskiej w Horodnie. 26 kwietnia 5. kompania pod dowództwem porucznika Jana Borewicza „Antoniego” zlikwidowała posterunki żandarmerii niemieckiej w Sobotnikach i Żemłosławiu. W maju inna kompania z sukcesem zaatakowała posterunek ochraniający most na Dzitwie w Mycie oraz garnizon niemiecki w Raduniu. W czerwcu 1944 roku oddziały 2. batalionu zdobyły miasteczko Ejszyszki rozbrajając kilkudziesięciu policjantów i urzędników litewskich. Dzięki tym oraz innym akcjom teren, na którym działał 2. batalion „Krysi”, znalazł się w pierwszej połowie 1944 roku pod całkowitą kontrolą Armii Krajowej, a wieś przestała dostarczać kontyngenty niemieckiemu okupantowi.

Jan Borysewicz urodził się 12 września 1913 roku we wsi Dworczań, w połowie drogi między Starymi Wasiliszkami a Wasiliszkami (kościół Świętego Jana Chrzciciela), które dzielą zaledwie dwa kilometry. 12 lutego 1939 roku w Starych Wasiliszkach (kościół Świętych Apostołów Piotra i Pawła) urodził się Czesław Wydrzycki - Niemen, a Jan Borysewicz był kuzynem jego ojca, z którym razem chodzili do jednej szkoły, a może i do tej samej klasy.

Czesław Niemen urodził się w przedwojennym powiecie szczuczynskim. Nie między Grodnem a Wilnem. Nie koło Nowogródka, do którego ze Starych Wasiliszek jest sześćdziesiąt osiem kilometrów, nie koło Lidy odległej o trzydzieści cztery kilometry, lecz niedaleko Szczuczyna odległego o dwadzieścia kilometrów.

To moje przypomnienie wybitnego polskiego piosenkarza ma za zadanie uświadomić czytelnikom fakt, że Kresy Wschodnie to nie tylko było Wilno, Nowogródek, Lwów i Stanisławów. To także setki innych miast, miasteczek i wiosek, z których każde ma swoją niepowtarzalną historię i kulturę. Nie zubażajmy naszych Kresów do tych kilku najbardziej znanych miejscowości i rzetelnie podawajmy niektóre fakty, jak choćby w biogramach znanych osób z nich pochodzących.

„Krysia” zginął 21 stycznia 1945 roku w sowieckiej zasadzce pod wioską Kowalki na południe od Naczy, blisko Dubicz. Jego ciało wpadło w ręce wroga i obwożono je nagie ku przestrodze polskiej ludności w Ejszyszkach, Raduniu, Naczy oraz innych miejscowościach. Do dzisiaj dokładnie nie wiadomo, gdzie je Sowietzi ukryli.

W Dubiczach, leżących obecnie po litewskiej stronie, znajduje się pomnik upamiętniający śmierć Ludwika Narbutta²²⁴, jednego z najbardziej znanych dowódców w powstaniu styczniowym na terenie dawnej Litwy. 5 maja 1863 roku w bitwie z wojskiem rosyjskim razem z nim zginęło dwunastu powstańców. Pomnik został postawiony na miejscu mogiły powstańczej z 1933 roku dzięki inicjatywie żołnierzy z 76. lidzkiego pułku piechoty imienia Ludwika Narbutta.

Jakże symboliczne i nieprzypadkowe są te oraz inne miejsca walk i pochówków na kresowej ziemi. Jakże świadczą o jej umiłowaniu, o ciągłości na niej naszego bytu i uznaniu walki o niepodległość za wartość najwyższą.

Jedenaście kilometrów na południe od Radunia, też na terenie rejonu woronowskiego, leżą Surkonty. 21 sierpnia 1944 roku niewielki oddział żołnierzy Armii Krajowej pod dowództwem ppłk Macieja Kalenkiewicza²²⁵ „Kotwicz”, ostatniego komendanta Okręgu Nowogródzkiego AK, stoczył koło tej wsi zacięty bój z przeważającymi siłami sowieckimi. Na miejscu zginęli „Kotwicz” i jego trzydziestu pięciu chłopców. Wszyscy zostali pochowani razem obok grobu powstańców z 1863 roku. W tym miejscu 8 września 1991 roku oficjalnie otwarto cmentarz żołnierzy Armii Krajowej.

Na szlaku bojowym Macieja Kalenkiewicza znalazły się także nasze sobotnickie strony. W czerwcu 1944 roku na czele improwizowanego batalionu o kryptonimie „Bagatelka” liczącego około sześciuset partyzantów wyruszył on spod Dokudowa w kierunku Puszczy Nalibockiej. Jego zamiarem było dotarcie w rejon Stołpców z pomocą w wyprowadzeniu z puszczy 1. batalionu 78. pułku piechoty Armii Krajowej porucznika Adolfa Plicha „Góry” i 1. dywizjonu 27. pułku

ułanów Armii Krajowej chorążego Zdzisława Nurkiewicza „Nocy”. „Kotwicz” chciał, żeby te doborowe jednostki wzięły udział w operacji wileńskiej „Ostra Brama” - wyzwolenia Wilna spod okupacji niemieckiej przed nadejściem Armii Czerwonej.

Raid „Bagatelki” przebiegał niedaleko Iwia. 24 czerwca koło Dyndyliszek, cztery kilometry na południe od miasta, nastąpiło nieudane starcie akowców z Niemcami z garnizonu iwiejskiego, podczas którego „Kotwicz” został ciężko ranny w prawe ramię. Batalion zmienił trasę swojego marszu i kierując się w górę Gawii dotarł na teren gminy Sobotniki.

26 czerwca w pobliżu Kwiatkowców urządzono zasadzkę na niemiecką silnie uzbrojoną kolumnę samochodową, która podążała do Żemłosławia w celu ewakuowania dobytku tego majątku. Niestety, ale i w tym przypadku akcja żołnierzy „Bagatelki” skończyła się niepowodzeniem. Przechodząc przez rzeczkę Matrunę major „Kotwicz” zanieczyścił ranne ramię, w które wdała się gangrena. W szpitalu polowym Wileńskiego Okregu AK, w Antoniszkach koło Klewicy - dwadzieścia trzy kilometry na północ od Sobotnik, amputowano mu rękę.

I jeszcze kilka zdań o innym legendarnym dowódcy Armii Krajowej na Nowogródczyźnie, poruczniku Czesławie Zajączkowskim „Ragnerze”, dowódcy 4. batalionu 77. pułku piechoty AK, który działał głównie między Lidą a Niemnem. Jesienią 1944 roku, a więc już po przejściu frontu w kierunku Warszawy, jego żołnierze przeorganizowani w Zgrupowanie Południe byli najpoważniejszym przeciwnikiem sowieckich wojsk na Nowogródczyźnie i największymi obrońcami prześladowanej przez nich ludności polskiej. Sowietci nazwali „Ragnera” czortem w aczkach, gdyż nosił okulary. Stał się on dla nich jednym z najbardziej zaciekle tropionych dowódców polskiej partyzantki.

3 grudnia 1944 roku oddziały Wojsk Wewnętrznych NKWD w sile tysiąca czterystu żołnierzy i wzmocnione trzema czołgami, otoczyły koło Niecieczy na południe od Lidy oddział

„Ragnera” liczący około trzydziestu osób. W tej nierównej walce poległ porucznik Czesław Zajązkowski wraz z sześcioma partyzantami, wśród których był jego młodszy brat Leon „Drzewica”. Pozostałym udało się przebić przez potrójny pierścień okrążenia. Nie wiadomo, co Sowieci zrobili z ciałami poległych.

Nad resztą oddziału przejął dowodzenie sierżant Anatol Urbanowicz „Laluś”, adiutant „Ragnera”, dwiętnastoletni prawosławny Białorusin. 7 maja 1945 roku został osaczony przez żołnierzy NKWD pod Lidą i nie chcąc żywym wpaść w ich ręce zastrzelił się.

Czy to był koniec zbrojnego oporu przeciwko Sowiecom na Nowogródczyźnie? Nie! Najwybitniejszym powojennym organizatorem polskiego podziemia na tych terenach był podporucznik Anatol Radziwonik „Olech”, ochrzczony w wierze prawosławnej swojej matki. On to przejął pod komendę niewielkie i rozproszone oddziały akowskich obwodów Szczuczyn i Lida, do których wstępowali też chłopcy za młodzi na walkę podczas okupacji niemieckiej. „Olech” i jego partyzanci walczyli przeciwko kolektywizacji wsi, bronili przed bolszewickim terrorem i represjami ludność polską i białoruską.

Nieułowimy „Olech”, nieuchwytny „Olech”, tak go nazywali Sowieci. Jego kilkuletnia skuteczna działalność przyprawiała bolszewików o największy ból głowy. Anatol Radziwonik zginął wraz z przyboczną drużyną 12 maja 1949 roku koło kolonii Raczkowszczyzna niedaleko wioski Bakszty, 23 km na północ od Szczuczyna. Stamtąd jest blisko do Dworczan „Krysi” i do Starych Wasiliszek Czesława Niemena. Wraz z śmiercią „Olecha” skończył się zorganizowany ruch oporu na Nowogródczyźnie.

Jeszcze do początku lat pięćdziesiątych walczyły kilkusobowe grupki, a później już tylko pojedyncze osoby. W styczniu 1954 roku został schwytany Jan Gryniewicz i skazany na karę śmierci. W sierpniu 1953 roku na szosie pod Berdówką rozbił urządzoną na niego zasadzkę zabijając czterech funkcjonariuszy Ministerstwa Spraw Wewnętrznych w tym

kapitana bezpieczeństwa państwowego Związku Sowieckiego. Ostatnim, który poległ w walce z Sowietami był Wacław Ozim. Zginął nad Niemnem 26 kwietnia 1954 roku.

Dlaczego w tej książce przypomniałem tych kilka ważnych i tragicznych epizodów z ostatniej wojny, które miały miejsce na obecnej Grodzieńszczyźnie? Może się czytelnikowi wydawać, że nie mają one nic wspólnego z jej tematyką, którą jest moje podróżowanie w rodzinne strony i mój obraz fragmentu Białorusi. A jednak mają.

Bohaterowie przedstawionych wydarzeń i wiele innych osób im podobnych byli solą tej ziemi. Urodzili się na niej, wychowali się w jej tradycji i byli do niej bardzo mocno przywiązani. W najtrudniejszych dla swojej ojczyzny chwilach podejmowali najważniejsze życiowe wybory i nie chcieli jej opuścić, odejść za linię Curzona²²⁶. Pochodzili głównie z ludności wiejskiej i drobnej szlachty zaściankowej, a ich ukształtowany patriotyzm zawierał się w trzech słowach „Bóg, honor i ojczyzna”.

Szlachta zaściankowa²²⁷ zwana też zagrodową lub szarackową. To z niej najwięcej wyszło ochotników, w tym młodzieży, do powstań narodowych przeciwko caratowi - listopadowego i styczniowego. To ona w chwilach największej potrzeby dawała ostatni grosz na wsparcie walczącego kraju. Z nią też rządy carskie najsurowiej postępowały. Zabierano jej mienie, palono domostwa, gnano pieszo na Sybir, nie uznawano jej szlachectwa i brano w rekruty.

Na zesłaniu szlachta zaściankowa odznaczała się pracowitością, uczciwością, miłością i przywiązaniem do wiary i tradycji przodków, głębokim przekonaniem w bliskie zmartwychwstanie ojczyzny. Taka była szlachta zaściankowa również w innych częściach Rzeczypospolitej Obojga Narodów. Taka też była w kolejnych ważnych dla Polski wydarzeniach jakie przyniosła historia.

„Nic dla siebie wszystko dla Ojczyzny” to motto wpajał „Olech” swoim podwładnym. Jak pięknie to współbrzmi

z fragmentem z „Potopu” Henryka Sienkiewicza²²⁸, w którym Janusz Radziwiłł zwraca się do Andrzeja Kmicica:

- „Co też sądzisz, co ja powinienem był uczynić wobec dwóch nieprzyjaciół, stokroć potężniejszych, przeciwko którym tego kraju obronić nie mogłem?

- Zginać! - odpowiedział szorstko Kmicic”.

W innym zaś fragmencie, kiedy hetman wielki litewski nieomal błaga Kmicica, żeby ten przejął od niego buławę i wypędził wszelkiego wroga z kraju, żeby porwał się samotrzeć na tysiące, ale nie ginął, bo mu tego nie wolno, to pan Andrzej tak odpowiedział Radziwiłłowi:

- „Nie jestem hetmanem i wojewodą wileńskim - odparł Kmicic - i co do mnie nie należy, to nie moja głowa... Ale jeśli chodzi o to, by się porwać samotrzeć na tysiące, to się porwę!”.

Pamięć o walce żołnierzy Armii Krajowej i ofierze z życia, którą wielu z nich złożyło dawała wewnętrzną otuchę tym, co pozostali na Kresach. Żyła ona w świadomości naszych rodaków za wschodnią granicą, wzmacniała ich wewnętrznie wobec totalitaryzmu sowieckiego. Przetrwiała i obroniła się mimo fałszowania historii na każdym kroku. Świadczą o tym kwiaty na partyzanckich mogiłach.

Zawsze po powrocie do domu jeszcze przez kilka dni jestem tam, w rodzinnych stronach na Białorusi - w Sobotnikach, Lidzie, Iwii i Grodnie, w miasteczkach i wioskach, przez które tylko przejeżdżałem. I chcę na papierze zatrzymać tych parę chwil i obrazów, które jeszcze świeżo mam w pamięci, bo one już nigdy się nie powtórzą.

Zapach

23 maja 2011, poniedziałek

Imianiny Simana, Taisy, Iwony

Dzisiaj, kiedy byłem w pracy, zza okien doleciał do mnie zapach pieczonego chleba. Taki sam jak z piekarni w Lidzie tuż przy dworcu autobusowym. A może to był właśnie ten zapach, który przybył kilkaset kilometrów, żeby przypomnieć mi o mojej ziemi rodzinnej, małej ojczyźnie, że ona czeka na mnie, że się przypomina?

Październik w bliskich stronach

(21-31 października 2011)

Z różnych przyczyn nie układał mi się w tym roku wyjazd w rodzinne strony. Minęło lato i przepadły kąpiele w Gawii, spływ kajakiem po rzece, rowerowe wojaże po najbliższej okolicy. Już miałem jechać pod koniec września, żeby być na Różańcowej w pierwszą niedzielę października, ale moją podróż musiałem przesunąć o trzy tygodnie.

21 października, piątek

Imianiny Tryfana, Pelagei, Taisy, Ursuły

Duży autobus z zaledwie kilkoma podróżnymi wyjechał z Białegostoku w kierunku polsko-białoruskiej granicy. Siedziałem na samym końcu z Iną, młodą kobietą poznaną krótko wcześniej na peronowej ławce. Ina jechała na kilka dni do Grodna, gdzie mieszkała z mężem i dwójką małych synków. W Białymstoku pracowała w firmie zajmującej się przetwórstwem tworzyw sztucznych prowadzonej przez holenderskiego właściciela.

Ina była wykształcona i zaradna. Miała Kartę Polaka podobnie jak większość członków jej rodziny. Jej mąż prowadził w Grodnie własny serwis samochodowy i oboje realnie myśleli o budowie własnego domu za kilka lat. W ubiegłym roku wylosowali Zieloną Kartę²²⁹, ale po długim i rzeczowym namyśle zrezygnowali z wyjazdu do USA. Może zwyciężył w nich narodowy patriotyzm, a może obawiali się tego nowego za ogromnym oceanem?

Ina uroczo mówiła po polsku. Głoski bezdźwięczne „ć” oraz „ś” wymawiała bardziej twardo niż my w kraju. Jej mowa była bardzo podobna do tej, jaką usłyszałem z zachowanych nagrań z Józefem Piłsudskim. Jednak w czasie naszej podróży Ina rozmawiając z kimś przez mabilnik posługiwała się wyłącznie trasianką.

Moja nowa znajoma albo została wychowana ateistycznie, albo taką postawę wobec wiary z czasem przyjęła. Bardzo rzadko chodziła do kościoła i jak powiedziała „nie rozumiała po co ten Kaczyński tak walczy o krzyże w Polsce”.

Jej szkolna wiedza historyczna była sowieckim stereotypem wciąż funkcjonującym na Białorusi. Na przykład nie mogła sobie skojarzyć daty 17 września 1939 roku, a przecież pochodziła z polskiej rodziny. Mieszkała też w Grodnie, dokąd przekaz radiowy i telewizyjny z Polski docierał bez problemów.

Pracując w Polsce spotkała się z innym typem społeczeństwa i kraju, których nie doświadczała na Białorusi. Jednak broniła Łukaszenki i między innym uważała, że twardo przeciwstawia się on Rosji w jej zakusach na podporządkowanie sobie Białorusi. Nie mogłem tego wszystkiego zrozumieć.

Trochę zamarudziliśmy na granicy czekając, aż polska celniczka wypisze dla Iny dokumenty potrzebne do zwrotu podatku VAT za laptopa, który wiozła na zamówienie swojej koleżanki.

Na dworzec autobusowy w Grodnie wjechaliśmy jak już było prawie ciemno. Do ostatniego tego dnia kursu do Lidy brakowało kilku minut, ale już nie było na niego biletów. Kasjerka poradziła mi zapytać się kierowcy, czy weźmie mnie na stojące miejsce. Powiedziałem to Inie, a ona weszła do autobusu i poprosiła szafiora, żeby zabrał Polaka do Lidy, który przyjechał na Białoruś do rodziny, że się tutaj urodził, i on się zgodził.

Pożegnałem się z bardzo uczynną ziamliaczką i ruszyliśmy w drogę, a ja myśląc jeszcze o tym, jak to dzięki Inie mogłem szybko pojechać dalej nie zauważyłem naszego przejazdu przez Niemen.

Nie stałem jednak długo. Młodzi ludzie, może studenci, dziewczyny i chłopcy, w zupełnej ciemności wysiadali na pierwszych przystankach za miastem. I tylko oni wiedzieli gdzie należało iść, żeby wkrótce ujrzeć światła w oknach rodzinnego domu.

W końcu dojechaliśmy do Lidy. Taksówka okazała się droższa o ponad sto procent niż w ubiegłym roku, cioci Władzi przybyły dwa nowe koty, a ja nareszcie mogłem odpocząć po długiej podróży. Zadzwoiłem jeszcze do Olka Budaja do Mińska i umówiliśmy się na spotkanie w Iwiu.

22 października, sobota

Imianiny Maksima, Jakawa

Wyszliśmy z ciocią na znany już przystanek autobusowy na rogatkach miasta, z którego zwykle bezpośrednio jadę do Sobotnik, a czasami z przesiadką w Iwiu jak tym razem.

W świetle rozpoczętego dnia mogłem zaobserwować pierwsze pożytki dla Lidy z okazji centralnych dożynek z baćką na czele, które odbyły się w ubiegłym roku. Na ulicy Tawłaja, przy której mieszkała ciocia położono nowy asfalt, zmodernizowano chodniki i już nie podskakiwała na nich podróżna walizka na kółkach.

Na skrzyżowaniach ulic i na przejściach dla pieszych była bardzo dobra sygnalizacja świetlna, lepsza niż w Poznaniu. Zapalało się zielone światło, a nad nim wyświetlał się czas, jaki upływał do chwili zmiany sygnalizacji na czerwoną. Ostatnie dziesięć sekund intensywnie pulsowało. Następnie zapalało się światło czerwone także z ukazaniem czasem jego trwania. Ta sygnalizacja była widoczna z odległości kilkudziesięciu kroków i w mieście zainstalowano kilka jej różnych typów.

Nowy i też oddany na dożynki kompleks sportowy przy ulicy Kaczana zapraszał młodzież już od wczesnych godzin rannych. I nasz przystanek był nowy i nareszcie osłonięty niewielką wiatą.

Wypatrywaliśmy uważnie autobusów, gdyż o podobnym czasie wpierw podjeżdżał przegubowiec do pobliskiego Pierwomajskaja, a na Iwie chwilę po nim. Trzeba było być czujnym i odpowiednio wcześniej machnąć ręką, żeby kierowca nas

zauważył zza pierwszego pojazdu. Wsiadłem, kupiłem bilet i ruszyliśmy.

Przez pierwszych kilka minut stałem z przodu ponieważ nie było wolnych miejsc i obserwowałem miejsce pracy kierowcy. Autobus był już starym i podniszczonym typem pojazdów gdzieś sprzed trzydziestu lat. Na desce rozdzielczej wśród kontrolnych lampek i przycisków znajdowały się przełączniki wykonane z kawałków zbrojeniowego drutu. Obok leżał płaski klucz do śrub wyglądający na ręcznie zrobiony wiele lat temu, a sama kierownica i drążek zmiany biegów z pewnością wymagały od kierowcy tajemnej umiejętności posługiwania się nimi.

Jechaliśmy jednak bez przeszkód, chociaż na jednym z przystanków silnik nie chciał od razu odpalić i już myślałem, że będziemy musieli wysiąść i pchnąć autobus z tyłu żeby motor zaskoczył. Zapamiętałem podobne wydarzenie z lat siedemdziesiątych, kiedy podróżowałem z rodzicami i byliśmy już za Kamienczanami, osiem kilometrów od Sobotnik. Był wtedy późny letni wieczór i na dworze zrobiło się ciemno. Pchanie autobusu nic nie pomogło i my wszyscy pasażerowie wyruszyliśmy pieszo do najbliższej wsi Nackowicze. Na szczęście dzielny kierowca coś tam przy silniku pomajstrował, z pewnością skłął go soczyście matem, uruchomił maszynę, dogonił nas i jakoś dojechaliśmy na miejsce.

Bardzo lubię te rzadkie już autobusy na służbie białoruskich dróg. Są stare i często zaniedbane, ale z pewnością mają własną mechaniczną duszę. Podczas jazdy wysłałem esemesa do kuzyna Janka, żeby mnie odebrał z Iwia. Okazało się, że akurat tam był z uczniami na ćwiczeniach strzeleckich z przysposobienia obronnego.

Wysiadłem na dworcu autobusowym w Iwii i w myślach pochwaliłem ciocię Władzię za to, że dała mi swoją kalasku²³⁰ do transportu bagażu, gdyż do budynku milicji był spory kawałek drogi.

- Dawno was u nas nie było - powiedziała do mnie pani Jakimowicz, naczelnik wydziału paszportowego.

Trochę byłem zaskoczony tym, że mnie pamiętała, gdyż widzieliśmy się zaledwie trzeci raz w ostatnich paru latach. Szybko załatwiłem formalności i jedyną dla mnie dużą niespodzianką był kurs białoruskiego rubla w stosunku do dolara. Pamiętałem go z ubiegłorocznej wizyty w stosunku 2500:1. W pierwszym kwartale tego roku był 5000:1, a obecny osiągnął poziom 8300:1.

Odebrałem wiadomość od Ola, że jest już w Iwii. Przyjechał z Mińska z synem Stasiem z zamiarem krótkiego zwiedzenia naszych stron i ewentualnego zabrania mnie na jeden dzień do stolicy. Może to jego zaproszenie zrealizuję latem przyszłego roku. Dzień będzie dłuższy, a wizytę w Mińsku połączę z odwiedzinami rodziny w Łunińcu i Sienkiewiczach.

Poszliśmy razem przywitać się z Jankiem. Uczniowie akurat zakończyli strzelanie i zbierali się koło niewielkiego autobusu, którym przyjechali z Sobotnik. Z kuzynem umówiłem się, że wpierw trochę pozwiedzam z Olem nasze strony, a następnie zajedziemy do niego na posiłek.

Ruszyliśmy z centrum Iwia długą ulicą 1 maja, która na końcu miasta skręcała lekko w lewo i już dalej była drogą na Lipniszki, a prosto wiodła starym traktem do Sobotnik. Ulica była pokryta dobrym asfaltem, chodniki wzorowo ułożono z kostki brukowej, ale wycięto wszystkie drzewa rosnące po obu jej stronach. To one dodawały jej uroku i tworzyły razem z nią i chodnikami równoległe linie zbiegające się na horyzoncie w jeden punkt, za którym było moje miasteczko.

Zwiedziliśmy z Olem i Stasiem nasz kościół, byliśmy w smutnym zespole pałacowym Żemłosławia, rozgrzaliśmy się naprędce przygotowanym obiadem u Janka i pojechaliśmy do Gieranion.

Parafia gieraniońska jest mniejsza od naszej, ale same miasteczko przewyższa Sobotniki terenem i większą ilością mieszkańców liczącą wówczas około tysiąca pięciuset osób.

Na mocno zróżnicowaną pod względem narodowościowym społeczność Gieranion składają się Polacy, Białorusini, Rosjanie i Ormianie. Wśród nich przeważają ludzie bardzo młodzi i w średnim wieku, a emerytów jest niewielu.

Sporo wykształconej młodzieży wyjechało do większych miast. Ci co zostali znaleźli dobre zatrudnienie w miejscowych urzędach, kołchozie, prywatnej fabryce mebli tapicerowanych, dwóch dużych prywatnych szklarniach, fabryczce maszyn rolniczych, radiowej stacji przekaźnikowej oraz placówce pograniczno-celnej obsługującej bliskie przejście drogowe białorusko-litewskie.

Historia Wielkiego Księstwa Litewskiego bardzo mocno zaznaczyła się w Gieranionach. Z postaci z dawnych wieków najbardziej znana jest Barbara Radziwiłłówna, którą po raz pierwszy na gasztołdowym zamku ujrzał król Zygmunt II August. Z czasów nam bliższych Gieraniony kojarzono z rodziną Milewskich.

W 1845 roku Oskar Milewski, średnio zamożny ziemianin oszmiański, poślubił Weronikę z Wołk-Łaniewską, która do małżeństwa wniosła w posagu Ługomowicze, Łazduny i Gieraniony. Wszystkie te miejscowości znajdują się w obecnym rejonie iwiejskim. Głównymi spadkobiercami rodzinnej fortuny już Korwin-Milewskich zostali ich dwaj synowie: starszy Ignacy i młodszy Hipolit.

Hipolit z wykształcenia był prawnikiem, otrzymał Łazduny. Oprócz prowadzenia i rozwijania swojego majątku chętnie angażował się do różnych działań w życiu publicznym i politycznym. Zasiadał w Dumie rosyjskiej i nawet przez krótki czas należał do Rady Państwa. Działał również aktywnie na rzecz kultury polskiej. Był założycielem dziennika polskiego „Kuryer Litewski”, jednym z inicjatorów budowy pomnika Adama Mickiewicza oraz polskiego teatru na Pohulance, wszystko w Wilnie.

Kiedy w 1918 roku Polska odzyskała niepodległość i wywalczyła swoją wschodnią granicę w wojnie z bolszewikami, to Łazduny znalazły się w granicach odrodzonego państwa

polskiego. Jednak lata walk sprawiły, że Hipolit już nie potrafił przywrócić majątkowi dawnej świetności. Wyjechał do Poznania, gdzie mieszkała jego siostrzenica i tam zmarł w 1932 roku.

Ignacy odziedziczył majątek Gieraniony i część Ługomowicz. Był od swojego brata postacią barwniejszą i o bardzo burzliwym charakterze. W 1870 roku rozpoczął studia malarzkie na słynnej Akademii Sztuk Pięknych w Monachium. Nie miał jednak talentu do malowania i naukę przerwał. Jednak znajomości i przyjaźnie wówczas zawarte spowodowały, że Ignacy stał się później największym prywatnym kolekcjonerem polskich obrazów ze szkoły monachijskiej.

Sponsorował wielu polskich malarzy poznanych w czasie studiów. Dzięki jego zamówieniom na obrazy mógł między innymi tworzyć i rozwijać swój talent Aleksander Gierymski. Milewski potrzebował na to niemałych pieniędzy, które miał, gdyż wcześniej dorobił się fortuny na handlu ziemią i spekulacjach zbożem. Podobno korzyści finansowe przyniósł mu także krótkotrwały związek małżeński z Janiną Umiastowską, wdową po hrabim Władysławie. Przedstawiona poniżej intercyza jednak o tym nie świadczy.

„W chwili gdy mam się wlennie zaręczyć z Janina Zofią z hrabiów Ostroróg-Sadowskich, wdową hrabiną Umiastowską, spisuję dla pamięci wszystko to co z wolnej woli postanowiliśmy - co przyrzekam i że obowiązuję się słowem honoru i uczciwości do wszystkiego co następuje:

1) Po zaręczynach nie nalegać na ślub i na żądanie zerwać zaręczyny nie robiąc Jej za to żadnych wymówek ani prześladowań

2) Jak najprędzej zostać poddanym Rosyjskim

3) Nie mieć żadnej najmniejszej pretensji do żoninych pieniędzy ani w ogóle do jej funduszu jaki by nie był jak również do Jej dochodów, a od praw które by mi dało zejście przedwczesne mojej żony zrzec się wlennie w formie jak najwięcej prawnej takimi aktami, które by ona jako moja żona sama zarządzała

4) Zabezpieczyć moją żonę, że nigdy ani w Cesarstwie ani w Królestwie ani za granicą żadnych długów moich czy to starych czy to nowych za mnie płacić nie będzie, chociaż mógłbym nawet przysięgą zapewnić, że długów żadnych nie mam - nigdy nie miałem i posiadając wielkie jak na nasz kraj fundusze w kapitałach i nieruchomościach zdaję się, że moje nigdy nie będą

5) Że nigdy nie będę przeszkadzać mojej żonie w dysponowaniu tak jak sama będzie chciała funduszami i dochodami nawet gdyby chciała je komuś oddać

6) Gdyby moja żona chciała kogoś adoptować jako syna, temu się sprzeciwić nie będę

7) W razie gdyby moja żona chciała mieć rozwód temu się nie będę sprzeciwiał, a raz postanowienie Jej byłoby nieodwołalnym wszystko Jej w tym względzie załatwić

8) Dać mojej żonie raz na zawsze legalne prawo i pozwolenie rozporządzać się jak zechce swoim majątkiem za granicą

9) Dać mojej żonie jeszcze przed ślubem list, o którym była mowa

10) Zaraz po zaręczynach kościelnych zrobić testament przez który bym zostawił co mam na rzecz przyszłego Uniwersytetu Wileńskiego, a gdybym się z moją narzeczoną ożenił, to wszystko bym zostawił mojej żonie w każdym razie upoważniając Ją wyłącznie do spełnienia mojej ostatniej woli co do mojego pogrzebu

Ignacy Karol hrabia Korwin-Milewski
8 september n.sty 1906 roku w Berlinie"

W latach 1880-1895 udało się Milewskiemu stworzyć zbiór ponad dwustu obrazów. Wśród nich znajdowały się płótna ze szkoły monachijskiej: „Chłopiec niosący snop” Aleksandra Gierymskiego, „Babie lato” Józefa Chełmońskiego, „Stańczyk” Jana Matejki, „Odpoczynek żniwiarzy” Wincentego Wodzinowskiego, „Przeszłość grzesznika” Franciszka Żmurki, „Aktorzy przed Hamletem” Władysława Czachórskiego, „Procesja Bożego Ciała” Witolda Pruszkowskiego, „Pogrzeb

wieśniaczy” Stanisława Witkiewicza, „Targ na jarzyny za Żelazną Bramą” Józefa Pankiewicza.

Galeria zawierała również znaczącą liczbę autoportretów malarzy wykonanych na specjalne zamówienie Ignacego Korwin-Milewskiego takich jak: Aleksander Gieryski, Jan Matejko, Antoni Piotrowski, Jacek Malczewski, Ludwik de Lavenaux, Mieczysław Reyzer, Tadeusz Ajdukiewicz, Wincenty Wodzinowski, Kazimierz Pochwalski.

Pasja kolekcjonerska Ignacego zmuszała go do częstych podróży po Europie i zakładania kolejnych siedzib w różnych miejscach. W Wilnie posiadał piękny pałacyk wzorowany na Palazzo Bevilacqua w Weronie. Swoim jachtem parowym „Litwa” pływał po Adriatyku i niedaleko półwyspu Istria kupił niewielką wyspę Santa Catarina. Swoją działalność na polu sztuki Ignacy Korwin-Milewski chciał zakończyć przekazaniem utworzonej galerii rodzimego malarstwa narodowi polskiemu.

W 1897 roku znajdowała się ona w jego dworze w majątku Gieraniony tuż obok miasteczka, a dzięki niej nazwa tej miejscowości była szeroko znana na ziemiach Litwy i Korony w kręgach elit nie tylko kulturalnych.

Podobnie jak w przypadku brata Hipolita wydarzenia pierwszej wojny światowej i wojny polsko-bolszewickiej tak doprowadziły do ruiny majątek Gieraniony i do bankructwa Ignacego, że był on zmuszony sprzedać znaczną część swojego cennego zbioru. Ostatnie lata życia spędził na Santa Catarina, gdzie zmarł w 1926 roku.

Po upływie tylu lat i różnych staraniach większość obrazów z kolekcji Ignacego Korwin-Milewskiego znajduje się w Muzeum Narodowym w Warszawie. Gdyby on żył to byłby zadowolony z tego, że chociaż w części spełniło się jego pragnienie przekazania swojego zbioru narodowi polskiemu dla potomnych.

Niestety, ale Ignacy Korwin-Milewski niezbyt chlubnie zapisał się w historii naszej parafii. W czasie, kiedy był on

w związku małżeńskim z Janiną Umiastowską proboszczem w Sobotnikach został ksiądz Józef Borodzicz.

1 stycznia 1907 roku ksiądz Borodzicz przyjechał do Sobotnik z Mior w powiecie brasławskim na Witebszczyźnie, gdzie w ciągu zaledwie dwóch lat wybudował duży i piękny kościół Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny. W swojej parafii był bardzo dobrym gospodarzem dbającym także o inne ważne sprawy jej mieszkańców. Przy ich pomocy uporządkował główną ulicę w miasteczku, naprawił okoliczne drogi, a opuszczone pola poprzecinał rowami melioracyjnymi. Ta jego aktywność nie spodobała się carskim urzędnikom, do których dochodziły też wiadomości, że kapłan założył kilka nielegalnych szkółek elementarnych dla dzieci, gdzie nauczano katechizmu w języku polskim.

W Sobotnikach ksiądz Borodzicz nie musiał kościoła budować, natomiast plebania była rudera nie nadającą się do zamieszkania. Kapłan czasowo ulokował się w nowej przybudówce przeznaczonej na kuchnię i od razu rozpoczął zapoznawać się z naszą parafią. Stwierdziwszy bardzo duże zacofanie wśród miejscowego społeczeństwa postarał się o nauczycielki i w kilku miejscach założył nielegalne szkoły podobnie jak w Miorach. Miejscowego urzędnika, któremu to nie uszło uwagi przekupił, żeby ten swoją wiedzę zatrzymał tylko dla siebie.

Kilka miesięcy po przyjeździe do naszego miasteczka ksiądz Józef Borodzicz pojechał do Wilna pożegnać biskupa Edwar-
da Roppa²³¹, którego władze carskie zmusiły do opuszczenia diecezji wileńskiej. Kiedy kapłan po kilku dniach powrócił do Sobotnik i wszedł do kościoła stanął jak oniemiały. Ołtarz główny znajdował się w wielkim nieładzie, kamienny pojemnik z relikwiami był stłuczony, a ściany prezbiterium zostały ponaznaczane węglem.

Okazało się, że podczas jego nieobecności Ignacy Korwin-Milewski wraz ze swoimi robotnikami zaczął robić przy-
miarki do tego, żeby w ołtarzu głównym zamiast obrazu z Matką Bożą Łaskawą, jeszcze ze starego kościoła, umieścić

podobiznę Świętego Władysława na cześć pierwszego męża swojej żony. Natomiast na ścianach prezbiterium miały zostać zamontowane marmurowe tablice poświęcone najbliższej rodzinie Władysława Umiastowskiego.

Kiedy dowiedzieli się o tym parafianie, to zawrzesli wielkim oburzeniem, gdyż obraz Matki Bożej Łaskawiej, barokowa kopia obrazu Matki Bożej Białynickiej²³², od drugiej połowy XVII wieku był uważany za cudowny. Wytoczyli sprawę sądową przeciwko butnemu hrabiemu, który z kolei wystąpił z pozwem przeciwko księdzu Borodziczowi uważając go za inicjatora akcji włościan. Milewskiego ogarnęła tak chorobliwa nienawiść do niego, że wraz z żoną udał się do gubernatora wileńskiego Lubimowa w celu zapewnienia sobie jego przychylności w tej sprawie.

Ksiądz Borodzicz został wezwany do Wilna, gdzie Lubimow oświadczył mu, że ma polecenie od ministra Stołypina wysłania go na trzy lata do Jarosławia nad Wołgą. Kapłan znał dobrze mentalność rosyjskich urzędników różnych szczebli i nie bał się ich. Dlatego stanowczo przeciwstawił się gubernatorowi i powiedział, że wraca do Sobotnik. Zaraz po wyjściu od niego napisał protesty do wyższych instancji sądowych i administracyjnych, a o całej sprawie powiadomił redakcje różnych pism. Na wygnanie musiał jednak pojechać, podobnie jak jego poprzednik na parafii w Sobotnikach ksiądz Bolesław Korń.

W Jarosławiu ksiądz Borodzicz także prowadził aktywną działalność duszpasterską, więc go przeniesiono do Rybińska, portu nad Wołgą. Ale i to nie miało ujemnego wpływu na jego dalszą posługę kapłańską.

18 stycznia 1909 roku kapłan przyjechał z Rybińska do Oszmiany na rozprawę sądową przeciw niemu w sprawie nielegalnych szkółek dla dzieci w sobotnickiej parafii. Wyrok był bardzo łagodny, ale czekał na niego jeszcze jeden sąd w Pskowie i dwa ciężkie zarzuty. Pierwszy o nawracanie ludności prawosławnej w Miorach na katolicyzm, a drugi o obrazę majestatu cara na kazaniu podczas poświęcenia ko-

ścioła miorskiego. W Pskowie skazano księdza Borodicz na dalsze odbywanie kary zesłania w twierdzy w Dyneburgu na Łotwie. Podczas transportu na miejsce przeznaczenia udało mu się przekupić strażnika i uciec. Po wielu trudach przedostał się do Krakowa, gdzie znalazł zatrudnienie na Uniwersytecie Jagiellońskim.

Następnie ksiądz Borodicz wyjechał do pracy duszpasterskiej w San Remo we Włoszech, ale i tam dopadły go macki carskiej ochrony. Został uprowadzony na rosyjski statek, który płynął do Odessy. Trwała pierwsza wojna światowa a morza były niebezpieczne. Statek wpadł na minę i zaczął tonąć. Na szczęście pasażów uratowała załoga brytyjskiego okrętu wojennego i przewiozła do Konstantynopola. W Turcji ksiądz Józef Borodicz trafił do polskiej enklawy w Adampolu²³³, gdzie w 1918 roku zastała go wiadomość, że Polska odzyskała niepodległość. Czym prędzej niezmordowany kapłan powrócił do wolnego kraju.

Ignacy Korwin-Milewski wraz z małżonką Janiną Umiaśtowską doprowadzili do końca swoje zamierzenia przebudowy ołtarza głównego i zmian w prezbiterium w naszym kościele do stanu, który możemy obecnie oglądać.

Gieranionski proboszcz ksiądz Andrzej Łysy był nieobecny, gdyż wyjechał na pewien czas do Poznania w związku z pisaniem pracy doktorskiej w wyższym seminarium chrystusowców. Zastępował go Sergiusz Angur ściągnięty w tym celu ze Szczecina. To trzeci chłopak z Iwia, który ukończył tą duchowną uczelnię. Zwiedziliśmy z nim wnętrze miejscowej świątyni Świętego Mikołaja, w której konserwatorzy z Mińska przeprowadzali prace renowacyjne i badawcze. Następnie tuż obok niej weszliśmy na dwa wiekowe pierścienie obwałowań, gdzie się jeszcze zachowały znikome resztki zamku Gasztołdów.

Wróciliśmy do Sobotnik i Olo podwiózł mnie jeszcze kawałek Łyntupską Droga w stronę kolonii. Na pożegnanie podarował mi w prezencie dwa wspaniałe albumy. Powstały one na bazie zbioru znanego białoruskiego kolekcjonera starych

pocztówek Uładzimir Lichadziejewa. Pierwszy z nich miał tytuł „Adam Mickiewicz na pasztoŭkach kanca XIX - paczatku XX stahodzzia” (wyd. „Technalohija”, Mińsk 2008). Na ponad czterystu kartkach pocztowych zostało zilustrowane życie i twórczość naszego wieszca. Było to unikalne wydanie kulturowe w skali europejskiej, któremu patronowały redakcja gazety „Biełaruś Siehodnia” oraz Instytut Polski w Mińsku.

Drugi album był mniejszy i składał się z dwóch części. Pierwsza nosiła tytuł „Juliusz Słowacki na pasztoŭkach kanca XIX - paczatku XX stahodzzia”. Drugą stanowił utwór Juliusza Słowackiego „Mindouh, karol litoŭski” w przekładzie Serża Minskiewicza. Książka została wydana w 2009 roku z okazji dwusetnej rocznicy urodzin wielkiego poety, też przez „Technalohija” i przy pomocy Instytutu Polskiego w Mińsku.

I jak ja miałem się Ołowi za te wspaniałe publikacje zrewanżować?

Na dorożce wiodącej przez dziadkowe pole zajęte przez las rosły rzadkie i wysokie trawy. Gęsto zarośnięte polany powstałe po wyrębie lasu powalonego przez trąbę powietrzną wyglądały gorzej niż w ubiegłym roku. Były to właściwie niskie chaszcze, gdzie wszystko zlewało się w jeden zielony kobierzec i trudno było z tego nieładu wyłowić wzrokiem nowe nasadzenia.

Ciocia Zosia z bardzo słabym zdrowiem trzymała się jeszcze baćkowskiej chaty. Wraz z mężem byli już nielicznymi mieszkańcami tej części sobotnickiej koloni i wioski Dowgiałowszczyzna.

23 października, niedziela

Imianiny Andreja, Sewiaryna

Wyszedłem wcześniej do miasteczka, żeby zdążyć przed mszą rozwiesić moją wystawę fotograficzną. Dołączyłem do

niej dwa nowe arkusze ze zdjęciami z 2009 roku: z festu na Świętego Władysława, z przechadzek z mamą po bliskich nam miejscach oraz z lat pięćdziesiątych z wioski Wysockie, Ławkieniki i Dowgiatowszczyzna.

Obiad u Janka wzmocniliśmy paru kieliszkami wódki Wyborowej, którą przywiozłem z Poznania. Resztę dnia spędziłem u niego i mieszkającej po sąsiedzku cioci Janki, bratowej mojego taty.

Na jeden dzień przyjechała do niej z Lidy młodsza córka Alicja. Moja kuzynka miała podobne poglądy na białoruską rzeczywistość jak Ina poznana podczas podróży do Grodna. Polityką się specjalnie nie interesowała, ale broniła prezydenta Łukaszenki. Od dziesięciu lat pracowała w prywatnej białoruskiej firmie produkującej opakowania do kosmetyków. Zarabiała normalnie, jak powiedziała co znaczyło, że nie miała większych kłopotów finansowych. Jej mąż Walery też był zatrudniony u czaśnika i zajmował się wstawianiem okien i drzwi w różnych budynkach. Ich jedynak Wadim był na drugim roku informatyki w Mińsku i mieszkał na prywatnej kwaterze opłacanej przez rodziców. Ala uważała, że jak ktoś chce naprawdę pracować i jest choć trochę zaradny, to sobie poradzi w tym trudnym dla kraju czasie.

Nieco inne poglądy niż Ala miała Maryna, siostra żony Janka, która na parę dni przyjechała z Woronowa do Sobotnik, żeby już ostatecznie przyozdobić grób ojca na Wszystkich Świętych. Od kilku lat prowadziła w swoim mieście niewielki sklep spożywczy i państwo nigdy nie wspomogło jej biznesu, a wręcz odwrotnie. Ciągłe były jakieś problemy ze zdobywaniem towaru w kraju, czy też z przywożeniem go z Polski i Litwy. Od niedawna jeszcze bardziej skomplikowało się zaopatrzenie jej sklepu. Na przykład, żeby kupić za swoje przecież pieniądze wędliny u producenta w Mińsku, musiała odpowiedniej osobie „wsunąć w rękę” butelkę najlepszej litewskiej wódki, ponieważ większa część tej produkcji szła do Rosji.

Zwróciłem już wcześniej uwagę na to, że wszystkie sklepy w naszym miasteczku były gorzej zaopatrzone niż w ubiegłym roku. Przyczyną tego był właśnie zwiększony eksport do wschodniego sąsiada, gdzie firmy białoruskie za swoje towary otrzymywały twardą walutę, a nie mało wartościowe rodzime ruble lub o wiele lepiej stojące od nich ruble rosyjskie. Być może ta sytuacja została też wymuszona ograniczonym handlem z Unią Europejską ze znanych przyczyn politycznych - głównie brakiem postępu w demokratyzacji życia na Białorusi i spłatą pożyczek zaciągniętych przez państwo w Rosji.

W tym roku zmarło dużo ludzi w naszej parafii. Prawie nie było tygodnia bez jakiegoś pogrzebu. W większości odeszły osoby z roczników przedwojennych pamiętających tamte polskie czasy: Wacek Iwanowski, Janek Koszczyc, Marysia Więkiel z domu Korwiel, Lonia Dobrzyńska z domu Paszkowska, Ada Pietrenko z domu Gojdz - wszyscy byli mieszkańcami Sobotnik; Janek Dubicki, Ola Grażyńska żona Wacka, Józia Grażyńska żona Kazimierza, Anna Dobrzyńska, która z moją mamą w tym samym dniu rodziły w sobotnickim szpitalu, stara Szluchowa - oni byli mieszkańcami Dowgiałowszczyzny i kolonii.

Umierały także osoby młodsze, głównie z powodu alkoholizmu.

24 października, poniedziałek

Imianiny Pilipa, Zinaidy, Marcina

Dzień młynarzy którym patronuje święty Marcin.

Rano Irka z Jankiem udali się do pracy do szkoły, a ja wziąłem grabki, sekator do gałęzi i poszedłem na cmentarz na rodzinne groby. Jak zwykle zatrzymałem się trochę na moście na Gawii, żeby popatrzeć na naszą rzekę.

Drogę na mahiłki²³⁴ równał ciągnik. Przerwany w kilku miejscach stary kamienny mur został naprawiony. Przed

cmentarną bramą stało kilka samochodów, a za nią ludzie pracownicy czyścili groby. Sporo było już ich uprzątniętych i ozdobionych sztucznymi kwiatami. Na prośbę ojca Franciszka przyjdą we wtorek mężczyźni z narzędziami, żeby uporządkować na cmentarzu te miejsca, do których nikt nie zagląda.

Trawa i chwasty na naszych grobach były już z grubsza powyrywane. Ja to jeszcze poprawiłem, dobrze wygrabiłem i zapaliłem przyniesione znicze. 1 listopada nie będzie mnie tutaj, ale na grobie taty w Poznaniu.

Wieczorem u Janka usiedliśmy razem z Irką przed komputerem i rozmawialiśmy z ich dziećmi. I tu nastąpiła dla mnie niespodzianka. Przed kamerą komputera Sasza pokazał nam swoją dwutygodniową córeczkę Jarmilę Anastazję. Kuzyn i jego żona po raz drugi zostali dziadkami, a ich dzieci i wnuczki mieszkały w Polsce.

25 października, wtorek

Imianiny Androna, Marcina, Darii, Inhi

Święty Marcin - pogromca gęsi. W tym dniu spożywano smażone, utuczone przez lato gęsi, a żywe sprzedawano na targu.

Na parę dni pojechałem do Lidy do cioci Władzi. Zwykle jestem u niej tylko na początku i na końcu mojej białoruskiej podróży, i ciocia zawsze ma do mnie słuszną pretensję o to, że nie jestem trochę dłużej. Dlatego postanowiłem spędzić z nią prawie trzy dni i zobaczyć choć trochę korzyści jakie miasto zyskało z okazji dożynek.

Staliśmy z Jankiem na przystanku czekając na autobus Żemłostaw-Iwie. Melodia kościelnego dzwonu oznajmiła nam godzinę ósmą. Podeszedł do nas Andrzej, były uczeń Janka, który jechał do Moskwy. Pracował tam na prywatnej budowie finansowanej przez jakiegoś Ormianina.

Zarobki w stolicy Rosji znacznie przewyższały białoruskie, co szczególnie było widoczne przy ich porównywaniu do cen

różnych produktów tu na miejscu. Kiedy Andrzej niedawno zjechał na kilka dni do domu zaszokowało go to, co zobaczył w sklepach i na stacjach benzynowych. Tak szybko nastąpiły znaczne podwyżki cen. Natomiast inne realia codziennego życia zdecydowanie przemawiały na korzyść Białorusi.

Na przykład rosyjski chleb rano był jeszcze ciepły, w południe już chłodny, a wieczorem kruszył się przy krojeniu. Włożyłeś palec do kartonu z mlekiem, niby dobrej jakości i o wysokiej zawartości tłuszczu, wyjąłeś palec, a on wyglądał tak jakbyś go włożył do wody. Rosyjska kiełbasa była kiełbasą tylko z nazwy i jeszcze więcej można by wymienić.

To prawda, że na Białorusi pije się dużo alkoholu, powiedział Andrzej, ale w tym temacie Białorusini są przy Rosjanach klubem Anonimowych Alkoholików. Rosyjski alkoholik jak nie ma pieniędzy a koniecznie musi się napić, to za butelkę wina odda ci nawet swój mabilnik. No i Rosjanie nie przywykli i nie chcą pracować u siebie tak ciężko jak Białorusini, na przykład na budowach.

Poszedł do nas jeszcze jeden znajomy Janka, Wiktor Juchniewicz syn Stanisława, który miesiąc temu przeszedł na emeryturę. Pracował w sobotnickim SPK jako traktorzysta. Przy aktualnym kursie rubla do dolara jego emerytura wynosiła siedemdziesiąt baksów²³⁵, czyli około 560 tysięcy rubli. Kilogram dobrej kiełbasy kosztował wtedy około dziewięćdziesięciu tysięcy rubli.

Ojciec Wiktora był dobrym kolegą mojego taty i sąsiadem z kolonii sobotnickiej nad Matruną. W 1944 roku został zmobilizowany do 2. Armii Wojska Polskiego podobnie jak inni młodzi ludzie i mężczyźni z naszych stron. Na jego frontowej drodze znalazł się Poznań, w którym kilka dni stacjonował w koszarach przy ulicy Rolnej. Po zakończeniu działań wojennych Staś mógł zostać w Polsce, ale wrócił nad Matrunę, gdzie zostali samotni rodzice.

Podjechał autobus i przez most na Gawii ruszyliśmy prosto do Iwia. W rejonie miałem trochę czasu, więc poszedłem do biblioteki, dla której przywiozłem kserokopię pracy Se-

weryna Wysłoucha²³⁶ „Ziemia Oszmiańska na rubieży dwóch kultur” (Wilno 1932), oraz współczesną książkę Jarosława Zawadzkiego „Siedziby Kiszaków i Radziwiłłów na Białorusi w XVI-XVIII. Opisy z zasobu Archiwum Głównego akt Dawnych w Warszawie” (Warszawa 2002).

Zaledwie wciągnąłem kalasku do biblioteki to pani, która mnie pierwsza zobaczyła od razu i bez powitania powiedziała, że wie kim jestem na podstawie fotografii jaka u nich się znajdowała. Było mi z tego powodu bardzo przyjemnie, tym bardziej, że kilka lat temu sprezentowałem bibliotece zestaw moich książek. Zawołano panią dyrektor, żeby zrobiła pamiątkowe zdjęcie podczas przekazywania przywiezionego przeze mnie materiału.

Lida po dożynkach wypiękniała. Bardzo mi się podobał trakt spacerowy prowadzący od parku przy kurhanie i dalej wzdłuż Lidziejki do zamku, z uroczymi mostkami przerzucenymi nad poszerzoną i uregulowaną na tym odcinku rzeką. Na zamku trwały prace rekonstrukcyjne, ale mimo to był on celem częstych wycieczek edukacyjnych dzieci i młodzieży. Ulice w centrum miasta otrzymały nowe nawierzchnie asfaltowe, nowe były chodniki i elewacje wielu budynków. Spodobał mi się całkowicie przebudowany budynek dworca autobusowego. Na parterze były kasy i dobra informacja wizualna o rozkładzie jazdy, a na piętrze znajdowały się różne punkty usługowe.

Niektóre sklepy państwowe w mieście zostały przejęte przez prywatnych właścicieli, uważam że z korzyścią dla klientów, jak uniwersam koło ciotki Władzi o nowej nazwie „Santa”. Z zewnątrz i w środku prezentował się o wiele korzystniej niż jego poprzednik. Jednak ceny wielu oferowanych w nim produktów były wyższe niż w Polsce. Wychodząc z „Santy” z sympatią spojrzałem na kilka starszych pań, które tak samo jak przed starym uniwersamem stały z domowymi wagami i sprzedawały skromny towar ze swoich przydomowych gospodarstw i ogrodów.

Tyle nowych rzeczy przybyło w Lidzie, to bardzo dobrze. Pozostało jeszcze niemało starych i to też było dobre. Mam tutaj na myśli drewniane domy zwracające zawsze moją uwagę. Dużo ich jest w dzielnicy Słobódka i wiele stojących po kilka obok siebie w różnych częściach miasta. Niektóre z nich schowały się za obudową z białego kirpicza²³⁷. Inne dopiero otrzymywały tę dodatkową powłokę. Nie zostały rozebrane mimo otrzymania nowego szykownego garnituru, bowiem ich mieszkańcy dobrze zdawali sobie sprawę z tego, że stary drewniany dom daje nie tylko przytulne ciepło. Miał on także własną duszę wytwarzającą przyjazną atmosferę jego wnętrza, która łączy obecnych domowników z ich przodkami. I wraz z usunięciem pierwszej belki z więźby dachowej ta dusza uleci. I nic już nie będzie takie samo jak było, a nawet podobne do tego co było.

Jesienny wietrzyk kręcił piruety z liści na ulicy Tawłaja. Niewielkie brzozowe serduszka opadały w spiralnym locie obok mnie na chodnik, jak klucz dzikich gęsi lecący za swoim przewodnikiem.

W porównaniu z ubiegłym rokiem powiększył się koci zwierzyniec cioci Władzi. Do Ryśki, białej kotki w czarne i rude łaty z niewielką czarną plamką przy samym nosku, dołączyły Murka i Muzik. Obydwa kociaki były do siebie podobne. Miały czarne i szare łaty na białej sierści i niewielkie szare plamki koło białych nosków dodane im przez matkę naturę. Muzik był mniejszy i młodszy od Murki i bardzo nieufny wobec obcych. Gdyby go ciocia nie przygarnęła z ulicy, to z pewnością by nie przeżył. To samo spotkałoby Murkę, która nierówno chodziła gdyż złe dzieci dokuczały jej ciągnąc za łapki. Szefem tej kociej trójki była Ryśka, przeciw której Murka czasami, ale zupełnie bez szans próbowała się przeciwstawić. Za to dla Muzika Ryśka była najwyższym autorytetem.

Kiedy szedłem spać, to zostawiałem uchylone drzwi do mojego pokoju, żeby koty miały do niego swobodny dostęp. Nie przeszkadzały mi ich nocne harce ani to, że Ryśka

i Murka wskakiwały do łóżka i przesypiały część nocy ze mną. Muzik do tego celu wybierał fotel, na którym leżało moje ubranie.

Ciocia Władzia dokarmiała też parę kotów kręcących się przed blokiem, w którym mieszkała. Natomiast jej dobra znajoma Tamara Wiaczesławna, lekarz dermatolog na emeryturze, miała w swoim mieszkaniu dziesięć kotów. Nie wiem jak ona sobie radziła z taką miauczącą gromadą.

26 października, środa

Imianiny Weniamina, Karla, Złaty, Lucyjana

Tak jak w ubiegłym roku umówiłem się na mieście z Leo Laureszem i Olkiem Kołyszka. Letnie ogródki lidzkiego browaru już zwinięto, więc poszliśmy do baru „U Michasia” przy ulicy Lenińskiej, prawie naprzeciwko wielobranżowego Domu Handlu.

Ucieszyło mnie to, że każdy z moich kolegów nadal prowadził działalność zgodnie ze swoimi zainteresowaniami. Leo współdziałał ze Stasiem Sudnikiem i publikował w jego pismach materiały dotyczące historii ziemi lidzkiej. Miał też obiecaną u innych wydawców realizację dwóch swoich prac dotyczących Uniwersytetu Wileńskiego.

Towarzystwu Kultury Polskiej Ziemi Lidzkiej (TKPZL), któremu prezesował Olek, minęła w tym roku dwudziesta rocznica istnienia. Były to bardzo pracowite i często trudne lata różnej działalności na rzecz odrodzenia i kultywowania polskości na ziemi lidzkiej. TKPZL powstało na bazie Klubu Miłośników Kultury Polskiej imienia Adama Mickiewicza założonego w Lidzie w 1987 roku, kiedy to na Białorusi nie było jeszcze Związku Polaków. Olek powiedział, że w przyszłym roku na pewno odbędzie się XI Zjazd Lidzian, a za kilka dni wybierze się z grupą dzieci na wycieczkę autokarową trasą Trokiele-Gieraniony-Sobotniki-Żemłosław-Traby-Lipniszki-Iwie.

Nareszcie władze miasta zgodziły się na ustawienie pamiątkowego kamienia ku pamięci księdza Adama Falkowskiego²³⁸, który przed wojną miał w Lidzie swoją ulicę. Wybrano dla niego miejsce w parku w centrum miasta, gdzie dawniej była kolonia urzędnicza. W tej sprawie było aż szesnaście lat starań ze strony TKPZL. W kwietniu tego roku gotowy i ustawiony kamień jakieś nieznane ręce w nocy usunęły. Na szczęście się odnalazł.

28 października, piątek

Imianiny Łukiana, Jafima, Tadewusza

Rano o godzinie siódmej stałem już na bliskim przystanku i czekałem na bezpośredni autobus do Sobotnik, Lida-Żemłosław przez Lipniszki, który odjeżdżał z dworca o godzinie siódmej dwadzieścia pięć. Wiele, wiele razy i o różnych porach roku z tego miejsca odjeżdżałem. To mój ulubiony sposób podróżowania do naszego miasteczka i ulubione połączenie. W autobusie były wolne miejsca, a ja usiadłem z przodu, żeby mieć lepszy widok na biegnącą przed nami drogę i mijane krajobrazy.

Zaróżowione od mroźnego poranka niebo powoli wypierało ciemną nocą, ukazując na poboczach drogi obszerne wygony pokryte siwym zarostem szadzi. Siwe też były liście pozostałe na krzewach i drzewach. Opary nad rzeczką Berdówką unosiły się nisko nad wodą. Kościół Świętego Kazimierza w Lipniskach skrył się cały w mlecznym тумanie. Na horyzoncie sine niebo nad lasami zaczęło przechodzić w błądy róż, który rozpływał się w pasma seledynu przeplatane jasnożółtymi kreskami i zapowiadającymi szybkie nadejście mocnego blasku.

- Wadziciel. Kali pajedziesz nazad? - zwracały się do kierowcy ciepło ubrane babcie z wiązkami sztucznych kwiatów w dłoniach.

Na ich prośbę autobus zatrzymywał się blisko cmentarzy w Berdówce, Wielkich Kniazikowcach i Lipniskach, chociaż to nie były ustalone przystanki. Ale tak to jest w naszych stronach.

Chmury na niebie się rozrzedziły i pozostały z nich tylko białe przezroczyste kosmyki, podobne do cienkich pasemek waty wyciągniętej z opakowania.

I już na wschodzie ukazała się duża czerwona tarcza przykryta delikatnym szaroniebieskim woalem, który za chwilę opadł odsłaniając ogniste czerwona kulę z pomarańczową plamą w jej górnej części. Jakby tam ktoś rozpałił dodatkowy płomień w olbrzymim piecu.

I nagle ten piec wybuchł ogniem milionów stopni i przemienił się w słoneczne ognisko z jasnożółtą tarczą otoczoną jaskrawo pomarańczową aureolą. Jego blask był tak mocno bijący w oczy, że musiałem przymknąć powieki. Dalekie i jeszcze ledwie wyczuwalne ciepło szybko biegło ku ziemi z przyjaźnie wyciągniętymi ramionami. Strzępiaste resztki białych chmur leniwie płynęły po oceanie nieba.

- To będzie dobry dzień - pomyślałem i ponownie przymknąłem powieki.

W Kamienczanach stado krów wyszło nam naprzeciw. Pastuch nie śpiesząc się przeprowadził je przez ulicę na pobliski wygon. Szutrowa szeroka droga za Centralną spowolniła naszą jazdę. Wysokie iglaste lasy, pola, wygony, przystanek w Nackowiczach. Tym razem nie miałem szczęścia spotkać Loni, cioci mojej mamy. Za wioską jechaliśmy przez wysoki sosnowy las gęsto przetykany olbrzymimi świerkami. Borowiki i trochę widoczna Gawia. Tutaj nią płynąłem i spotkałem czaple białe i siwe. Asfalt w wiosce, a dalej znowu szutówka pośród sosnowego boru. Łyntupka przepływająca pod drogą dwiema dużymi betonowymi rurami. Przed wojną był tutaj drewniany mostek, a obok nad brzegiem rzeczki romantyczna łąka, na której wiosną zakwitały przebiśniegi, kaczeńce, konwalie i zawilce.

Ten mostek jest na fotografii z 1926 roku. Na drewnianych balach siedzi Alina Tabeńska z pobliskiego majątku Pogawja wraz z dwiema przyjaciółkami. Panny ubrane są w białe sukienki z krótkimi rękawami sięgające im za kolana. Dwie z nich mają zawiązaną na głowie białe chustki. Zapewne machają zwieszonymi luźno nogami, ponieważ zdjęcie w dolnej części jest nieostre.

W Sobotnikach słońce już się przebiło przez mroźny poranek, chłodniejszy niż w Lidzie, i przeciągając na różne strony swoje promienie na dobre się rozbudziło. Nałożyłem wełniane rękawiczki i wpierw poszedłem na most na Gawii. Idąc przez słoneczne miasteczko ulicami Kościelną i Gieraniońską (Kwiatkowska za polskich czasów) wyszedłem na Dowgiałowską Drogę. Szedłem dalej przyglądając się zaoranym polom, zielonej oziminie, szaro-białej szadzi w zagłębieniach uśpionej łąki. Spoglądałem w prawo w kierunku kolonii nad Matruną szukając wzrokiem chaty dziadków Niechwiadowiczów. Co pewien czas odwracałem się za siebie i patrzyłem na coraz mniejsze miasteczko, a kiedy pozostał widoczny tylko czubek wieży kościelnej, już się więcej nie oglądałem. Kroczyłem wzdłuż kolonii nad Łyntupką i starałem się odtworzyć stare ludzkie ścieżki, ale nie dawałem rady. Było to już niemożliwe. Za to bobry na Łyntupce miały się znakomicie i stare żeremie niedaleko siedziby dziadka Jana.

U cioci Zosi byłem kilka godzin i pomogłem jej kruszyć²³⁹ kapustę na zakwaszenie. Kiedyś tę czynność wykonywano na maładzik²⁴⁰, ale nie w dniu, w którym przypadają imieniny Michała, gdyż inaczej kapusta była miękka, a nie krucha. Do Sobotnik wróciłem Łyntupską Drogą.

29 października, sobota

Imieniny Lonhina, Wialety

W sobotę znowu poszedłem na mahilki. Przed nimi stały samochody także z rejestracją litewską, gdyż sporo ziam-

liaków mieszkało na bliskiej Litwie. Powyrywałem zielsko i poprzycinałem krzaki rosnące w sąsiedztwie naszych grobów. Z grubsza uporządkowałem stare i ważne dla historii Sobotnik groby Ganów, właścicieli majątku Łyntupka. Witold Gan część swojej ziemi przekazał na budowę szpitala w miasteczku. Jego siostra Aleksandra Radziejewska nie chciała po wojnie wyjechać do nowej Polski. Zmarła w 1946 roku i została pochowana w Sobotnikach w rodzinnej kwaterze.

Byłem też przy grobie Herminii Preuss, Niemki służącej trzydzieści lat u hrabiostwa Umiastowskich w Żemłosławiu, i Jana Sawickiego, dożywotniego kustosa terenu tego majątku. Zajęło mi to około czterech godzin, ale byłem bardzo zadowolony ze swojej pracy.

Z mahilek poszedłem na wysoki brzeg Gawii do miejsca, na którym dwie sosny trzymały się ziemi tylko połową korzeni, podczas gdy druga ich część unosiła się w powietrzu i tworzyła artystyczny ażurowy splot. W prześwitach gałęzi drzew rosnących na brzegu dobrze było widać zakole rzeki i wieżę naszego kościoła.

Wieczorem Janek zabrał się do robienia szaszłyków z kurczaka. Przed chatą koło biesiedki ustawił skonstruowany przez siebie rożen i rozpałił węgiel drzewny z kawałków przepalanej brzozy. Następnie nałóżał na szpikulce mięso przedzielone cebulą, które odpowiednio wcześniej włożył do specjalnej zalewy.

Irka poszła do sąsiadów Dobrzyńskich odmawiać ostatni różaniec za zmarłą dwa tygodnie temu Lonię z domu Paszkowską. Z tych Paszkowskich, którzy mieszkali na kolonii nad Matruną i nazywano ich Wołkami. Nie tak jeszcze dawno, jak ktoś umarł w naszych stronach, to w jego domu odmawiano różaniec przez trzydzieści dni od pierwszego dnia po pogrzebie. Podobno w rejonowym Iwiu ten różaniec trwa już tylko siedem dni.

A kto przesunie paciorki różańca za umarłego ostatniego mieszkańca wioski?

Zrobiło się zupełnie ciemno i na niebie ukazały się gwiazdy. Jak zawsze było ich bardzo dużo i były bardzo nisko, tuż nad naszymi głowami. Za Jankową zagrodą zatrzymał się na niebie Wielki Wóz. Nie zamawialiśmy tej kosmicznej taksówki, ale niech czeka, może będzie nam potrzebna.

Wieczorny wilgotny chłód dawał mi się coraz bardziej odczuć, dlatego zacząłem intensywniej machać kawałkiem sklejki w kierunku gasnącego żaru. Janek poszedł do letniej kuchni i za chwilę mnie do niej paklikaū²⁴¹. Jemu też zrobiło się zimno, więc wypiliśmy po sto gram winogronówki²⁴² zakąszając chlebem ze słoniną. Przyjemne ciepło szybko rozeszło się po ciele. Dokończyliśmy piec szaszłyki i zaraz po tym przyszła Irka. Mięso nie przypaliło się i było bardzo smaczne.

Jedliśmy także czebureki naprędce przygotowane przez Irkę. Są to pierogi z mięsem pochodzące z kuchni Tatarów krymskich. Podstawowa porcja na ciasto składa się z sześciu łyżek mąki zaparzonej kruzką²⁴³ kipiaczoną wadą²⁴⁴ i szczypty soli. Oryginalne czebureki są nadziewane mięsem baraniną, czasami serem, doprawione ostrymi przyprawami i spożywa się je palcami. Szybko się je robi i czebureki można od razu usmażyć na patelni. Można je też wpięrować ugotować i później zamrozić. Tego rodzaju ciepłe pierogi sprzedaje się na ulicach białoruskich miast i są one smacznymi pożywnościami przekąskami szczególnie w mroźne zimowe dni.

Do kolacji mieliśmy też ogórki, lekko kiszone i bardzo jędrne. Janek robi je w ten sposób, że wkłada ogórki do dużego słoika wraz z koprem, czosnkiem i innymi przyprawami, dociska z góry kawałkiem drewnianka, żeby był ciasno upakowany i zalewa osoloną surową wodą.

Ciepły posiłek jest podstawą w miasteczku i na wioskach, i nikt tu się specjalnie nie bawi w robienie buterbrodów²⁴⁵. Nawet rano, kiedy przed wyjściem do pracy trzeba nakarmić żywioł i wyprowadzić dzieci do szkoły jest czas, żeby przygotować i zjeść coś ciepłego.

Ta urozmaicona kolacja była okazją do rozmów na różne tematy. Mnie jak zwykle ciekawiły nowości z życia Sobotnik

i całej gminy. Wiosną zrobiono kilka wycinek drzew koło Mażul. Rosnące tam maliny niespodziewanie otrzymały dużo przestrzeni życiowej i latem wydały taką moc owoców, że przyjeżdżali po nie nawet mieszkańcy Iwia. I nie trzeba było specjalnie chodzić za malinami. Wystarczyło postawić wiadro w jednym miejscu, żeby po dwóch godzinach mieć je napełnione.

Jak zwykle przy takich okazjach Janek opowiedział mi parę humoresek z życia wziętych i kilka dowcipów. Znał ich dziesiątki, miał do nich dobrą pamięć i umiał je przekazać dalej. Kiedyś koledzy proponowali mu w żartach, żeby kandydował na prezydenta kraju. Powiedzieli, że lepiej to może nie będzie, ale na pewno śmieszniej.

Bardzo lubię jak kuzyn opowiada i poniżej przedstawiam humoreskę „Doktor? Czarownik!”.

W pewnej wiosce żyła samotnie para staruszków. Wiedli zgodne życie i mieli niewielką gospodarkę, a w niej krowę, dwie świnki i trochę kur. Czasami było im ciężko, jak to w życiu starszych ludzi bywa, ale jakoś sobie radzili. Do czasu, kiedy nagle zachorował dziadek. I tak go skreśliło, że nie mógł wstać z łóżka. Chcesz nie chcesz babcia musiała wezwać pogotowie ratunkowe.

Przyjechała karetka z lekarką, która zbadawszy dziadka wstępnie zdiagnozowała, że to nerki.

- To nic strasznego - powiedziała. - Ale musimy pojechać do szpitala. Tam jest wybitny specjalista urolog, który w kilka dni postawi pani męża na nogi.

Staruszek nie chciał opuszczać swojej chaty, ale cóż było robić? Żona zaczęła składać do torby jego osobiste rzeczy: bambosze, piżamę, zapasową koszulę, brzytwę do golenia no i coś do jedzenia. W szpitalu oczywiście karmią, ale swoje jest smaczniejsze i zdrowsze.

Do siatki włożyła pęto kiełbasy, kawałek słoniny i słoik twarogu. Szybko pobiegła do kurnika i wybrała dziesięć najświeższych jajek. Trochę były brudne, wiadomo, ale nie było

czasu je umyć. Karetka czekała, a stary czasami lubi surowe wypić. Pożegnała męża i pogotowie odjechało.

W szpitalu szybko położono dziadka na salę i równie szybko zjawił się ów chwalony urolog. Był bardzo poważny i dostojny, ale też wyglądał na surowego.

- Tak jak go opisywano - pomyślał dziadek. - Krzyż Boży nie posłuchać go, albo się mu przeciwstawić.

Lekarz bardzo dokładnie zbadał chorego i na karcie choroby napisał wskazówki dotyczące jego leczenia. Już wstawał z krzesła, kiedy jego wzrok zatrzymał się na jeszcze nie schowanym prowiancie dziadka.

- Umyjcie jajka pacjenta - powiedział surowo do młodej pielęgniarki.

Dziewczyna zrozumiała jego słowa po swojemu i do pomocy zawołała koleżankę. We dwie wzięły staruszkę pod pachy i zaprowadziły do łazienki.

Nazajutrz podczas obchodu i po rozmowie z dziadkiem lekarz znowu zauważył siatkę z jedzeniem leżącym w tym samym miejscu.

- Dlaczego nie umyłyście jajek? - zapytał ostrym tonem stojącą obok niego tę samą pielęgniarkę.

- Ależ umyłyśmy! Naprawdę! - odpowiedziała ona, mocno zaczerwieniona i nieco zdenerwowana.

- Źle żeście umyły - mruknął niezadowolony i lekko poirytowany lekarz. - Chyba je tylko spłukałyście wodą. A trzeba dobrze umyć! I nawet ręką potrzeb!

I znowu dziewczyny zaprowadziły chorego do łazienki i przeprowadziły całą procedurę mycia dokładnie ze wskazówkami szefa, który nie tolerował nieposłuszeństwa o czym one dobrze wiedziały.

Tego samego dnia po obiedzie w odwiedzinach do staruszkę przyjechała żona i od razu zauważyła, że jest on nie w humorze i jakiś taki bardzo markotny. A właściwie to wydawał się jej jakby wpołyzywy, gdyż nic nie mówił i ciągle spoglądał w bok.

- Jak się czujesz?! Co z tobą?! Dlaczego się nie odzywasz?!
- wyrzuciła z siebie jednym tchem.

On długo milczał i widać było, że nie miał ochoty na rozmowę. Ale jak tu się odczepisz od natarczywej baby?

- Chyba chcą mnie wykastrować - odrzekł. - Bo to miejsce
- pokazał ręką poniżej pępka. - To wciąż tylko myją i myją.

Kobieta natychmiast pobiegła do gabinetu urologa. Co ona mu powiedziała tego nikt nie wiedział, ale jego głośny śmiech, a właściwie rechot słychać było w całym szpitalu. Później, kiedy lekarz rozwiązał lęki staruszki o męża, śmiali się oboje.

Nazajutrz dziadek był całkowicie zdrowy. Mówiono, że prawie biegł ze szpitala do domu. Prawdę o urologu powiedziała lekarka z pogotowia: bardzo dobry specjalista, w ciągu paru dni postawi chorego na nogi.

Tematyka dowcipów opowiadanych przez Janka była różnorodna. Dotyczyła prezydentów państw, Czeczeńców, Czapajewa, byłych pierwszych sekretarzy Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego, alkoholików i wielu tematów bieżącego życia na Białorusi. Oto dwa z nich.

Leonid Breżniew²⁴⁶, popularnie zwany Lonią, przechodził przez Plac Czerwony i wesoło sobie podśpiewywał.

- Maja Maskwa, maja strana. No, ale mauzaliej nie moj
- smutniej westchnął przechodząc obok miejsca z napisem Lenin.

Usłyszał to stojący niedaleko alkoholik, podszedł do Loni i powiedział.

- Daj na butelku, a zaūtra mauzaliej budzie twajo - i Lonia mu dał.

Następnego dnia przechodząc obok miejsca wiecznego spoczynku wodza rewolucji Lonia zobaczył napis: Lënin (czyt. Lonin, czyli własność Loni).

Pewien mężczyzna chciał wstąpić do partii komunistycznej i stanął przed komisją kwalifikacyjną, gdzie zadano mu kilka pytań.

- Chcesz być jednym z nas, ale ty wódkę pijesz.

- No to nie będę pił - odparł kandydat.

- Ale ty palisz papierosy.

- Rzucę palenie.

- Ale ty wiesz, że komuniści nie mogą chodzić do cudzych żon, tylko muszą spać ze swoimi.

- Trudno, nie będę więcej zdradzał mojej żony - powiedział po chwili zastanowienia i trochę smutnym tonem aspirant na członka partii.

- I na koniec odpowiedz nam na ostatnie pytanie. Czy jeżeli trzeba będzie oddać życie za partię, to je oddasz?

- Oddam - stanowczo i bez wahania odparł mężczyzna.

Członkowie wysokiej komisji popatrzyli na siebie z uznaniem, a jeden z nich zapytał kandydata.

- A dlaczego?

- A na chuj mi takie życie! - ten wykrzyknął zdenerwowany i wybiegł z pokoju trzaskając drzwiami.

30 października, niedziela

Imianiny Antona, Lazara, Lawoncja

Dziady - stary obrzęd wspomnieniowy, tutaj jesienny, poświęcony zmarłym przodkom; rytualna wieczerza znana w dawnych słowiańskich czasach pod nazwą tryzny. Tego dnia od wczesnego ranka sprzątano chaty i obejścia, gotowano świąteczne potrawy. Wieczorem zbierano się w chatach w rodzinnym i sąsiedzkim gronie. Resztki jedzenia symbolicznie zostawiano dziadom proszonym i duchom zmarłych.

Wyszedłem wcześniej do kościoła, żeby ponownie rozwiesić moją wystawę fotograficzną. Obejrzał ją Władek Storta razem z wioski Nowosiady naszej gminy, obecnie mieszkaniec Żemłosławia. Na zdjęciu członków Ochotniczej Straży Pożar-

nej rozpoznał swojego dziadka Michała Paszkowskiego „Woł-ka”, który we wrześniu 1939 roku dowodził baterią armat. Michał dostał się do niewoli sowieckiej, a następnie uciekł z transportu jenieckiego jadącego pociągiem w niewiadomym kierunku.

Storta do niedawna pracował w sobotnickiej gminie jako robotnik leśny. W ostatnich wyborach prezydenckich zgłosił swoją kandydaturę na członka komisji wyborczej w gminie. Urzędnicy dobrze wiedzieli, że nie jest on przychylnie nastawiony do władzy i nalegali na niego, żeby zrezygnował ze swoich zamiarów. Storta jednak obstawał przy swoim, więc postarano się o zwolnienie go z pracy. Będąc bezrobotnym nie mógł ubiegać się o udział w pracach komisji.

A jak wygląda polityka wyborcza u starszych ludzi mieszkających na wioskach? Jaka jeszcze panuje u nich mentalność, jeżeli chodzi o wybieranie? Pomijam tu dostęp do informacji, ponieważ w tym przykładzie chodzi o wybory lokalne, gdzie wszyscy się przecież znają.

Kilka lat temu w wyborach na przewodniczącego sobotnickiej gminy było dwóch kandydatów, miejscowy lekarz i brygadzi-
sta z kołchozu. Do pewnej starszej kobiety, która nie mogła osobiście przybyć na głosowanie, udali się dwaj przedstawiciele komisji wyborczej. Na miejscu okazało się, że ta pani miała wielki dylemat przed sobą. Nie wiedziała co ma robić, na kogo głosować? To zdarzenie opowiedział mi Janek.

- Adna babka stajała na razdarażży, kali pryjechali da jaje.
- A dzietki, a sztoż mnie rabić? A kaho mnie wykreślić? Jeśli doktora wykreślu, jon nie budzie laczyc. Jeśli ja bryhadzira wykreślu, siena nie daść.
- Babka, kaho chcesz, my nie skazem nikamu.
- Nie dzietki, haj lepiej dwoje buduc.
- Nie można dwai na adno miesca.
- No dyk a sztoż mnie rabić? Ci biez siena zastawacca, ci biez doktora?

- Prosta mnohije starszyje ludzi puhajucca²⁴⁷. Dumajuc, aha, prahałasuju za tahoż samoho starszyniu sielsawieta,

znaczyć on mnie czym to nakormić. Wot takaja palityka u naszych ludzi - powiedział kuzyn.

Na mszy było więcej osób niż zwykle. 1 listopada przypadał we wtorek, a dzień Wszystkich Świętych na Białorusi nie jest wolny od pracy. Po kościele Janek z Irką poszli na cmentarz, a ja zwinąłem plansze ze zdjęciami i wyszedłem im na przeciw. Spotkaliśmy się na moście na Gawii. Oni rozmawiali z młodą kobietą o imieniu Ina, która z córką szła na rodzinne groby Kononowiczów, których nazywano w miasteczku Grzesiuki od imienia jej dziadka Grzegorza. Ina mieszkała i pracowała w Mińsku, i rozmawiała z nami czysto po białorusku. Także jej córka, uczennica ósmej klasy.

Ten język, dla Iny ojczysty, stał się powodem, że straciła ona posadę. Od wszystkich zatrudnionych w jej firmie wymagano w godzinach pracy posługiwania się tylko językiem rosyjskim, a Ina nie chciała tego zrobić.

To jest konkretny przykład na to, że tylko na papierze są dwa równoprawne urzędowe języki na Białorusi. Wciąż zwalcza się i ogranicza język białoruski, przez co przegrywa on z trasianką.

- Na Białorusi jest jeszcze wielu bolszewików - tak by to skomentował Władek Storta.

Zdążyliśmy jeszcze zjeść obiad u Janka, kiedy przyjechał Czesiu Wasilewski z żoną Wierą i synem Gieną, z którymi ostatecznie opuściłem Sobotniki.

Pojechaliśmy na Gieraniony i tuż za nimi, na skrzyżowaniach dróg prowadzących do Woronowa i Trokiel, skręciliśmy w kierunku Lidy. Była słoneczna pogoda i bardzo dobra widoczność.

Jechaliśmy po świetnym asfalcie w szpalerze ciągnących się po horyzont wysokich i smukłych brzoź. Ich korony wyglądały jak odwrócone talie kobiet ubranych w obcisłe sukienki bez rękawów według mody z lat sześćdziesiątych. Tej jesieni to właśnie brzozy najbardziej zwróciły moją uwagę spośród wszystkich innych drzew. Zarówno egzemplarze

rosnące pojedynczo lub pośród innych gatunków, i te celowo posadzone w grupie według określonego wzoru.

Liście brzoź miały barwy od jasnej zieleni do jesiennego złota. W fazie przejściowej między nimi była idealnie widoczna struktura liści z ich żyłkowaniem, gdyż zmiana barwy rozpoczynała się na ich brzegach i stopniowo postępowała do środka.

Jednak brzożom daleko było do jesiennych klonów, które jeszcze nie tak dawno rosły za murem okalającym nasz kościół i tych niedaleko Łyntupi. Ich liście pyszniły się w słońcu barwami jasnego brązu, czerwienia, pomarańczowym złotem i jeszcze trochę zielenią. Koło Łyntupi kontrastowała z nimi poranna biała szadź na zaorany polu.

Kiedy dojeżdżaliśmy do Lidy Czesiu zaproponował mi pokazanie swojego rancza koło wioski Kulbaki. Chwilę po wjeździe do miasta skręciliśmy na drogę wylotową w kierunku Grodna, a następnie po paru kilometrach w prawo na Dzitwę. Wpierw jednak przejechaliśmy przez Dajnowę.

Nazwa wioski świadczyła o tym, że została ona założona przez Jaćwiągów²⁴⁸, którzy zbiegli na tereny litewskie po krzyżackim pogromie. Na terenach etnicznie litewskich takich miejsc było więcej i pierwotnie nosiły one nazwę Dajnowa, co było litewskim określeniem Jaćwiągów. Natomiast w słowiańskim brzmieniu było to Dojnowa lub Dejnowa.

Na terytoriach ruskich zdobytych przez Litwinów i też zasiedlonych Jaćwiągami osady te nosiły nazwę Jatwież. Miejscowości o nazwie Dajnowa znajdują się między innymi na południe od Gieranion i na północ od Trokiel. O bardzo zbliżonej nazwie jest Dajnowo na północ od Hermaniszek i Dajnowka na południe od tego miasteczka.

4 sierpnia 1392 roku niedaleko od Dajnowa, tego przed Dzitwą, została zawarta ugoda ostrowska między królem Polski, Wielkim Księciem Litewskim, Ruskim i Żmudzkiem Władysławem II Jagiełłą i jego żoną Jadwigą, a księciem grodzieńskim Witoldem i jego żoną Anną. Ugoda ta zakończyła wojnę domową między bliskimi kuzynami oraz przyczyniła się

do zwycięstwa nad Krzyżakami w bitwie pod Grunwaldem w 1410 roku. Natomiast samemu Witoldowi dała ona faktyczne przywództwo w Wielkim Księstwie Litewskim, które za jego panowania przeżyło największy rozkwit.

Przejechaliśmy przez wioskę Dzitwę z nowym i ładnym kościołem Świętego Kazimierza. Kawalek dalej skręciliśmy w polną drogę i po chwili zatrzymaliśmy się przed niewielkim ogrodzonym terenem. Stały na nim stara drewniana chata, dwa budynki gospodarcze i studnia żuraw. Największe na mnie wrażenie wywarła chata. Co prawda dach miała przykryty szyfierem, spod którego było widać deszczułki dranki, ale nie była z zewnątrz oszalowana deskami. Ściany wewnętrzne i strop też nie były pokryte żadnymi pilśniowymi płytami, które zakrywałyby oryginalne drewno budowlane. Z zewnątrz i od środka można było wyraźnie zobaczyć jego strukturę. Wyglądało mocno i znakomicie.

Wewnątrz znajdowała się kuchnia z jeszcze czynnym piecem chlebowym i dwie komnaty, w których Czesiu urządził niewielkie muzeum. W pierwszej były przedmioty pozostawione przez poprzednich właścicieli: łóżko z kolorowymi lnianymi nakryciami wykonanymi własnoręcznie na krośnie, kolorowe ręcznie robione lniane ręczniki, święte obrazy. W drugiej komnacie znajdowały się różne przedmioty użytkowe potrzebne kiedyś w domu i na gospodarstwie. Było także trochę militariów, jak przedwojenna maska przeciwgazowa, czy też wykopany na podwórzu koło chaty niemiecki hełm z czasów ostatniej wojny.

Czesiu chciałby jeszcze sprowadzić tutaj duże głazy narzutowe, żeby dopełnić obrazu całości tego miejsca, rancza Wasileŭskich, jakie razem z Wierą sobie wymyślili.

Wróciliśmy do Lidy, a oni pojechali jeszcze na groby rodzinne Wierę do Sielca nad Niemnem.

31 października, poniedziałek

Imianiny Łuki, Juliana

Późny jesienny grom - późny śnieg. Jeżeli wrony siadają na wierzchołkach drzew - będzie ciepło. Jeżeli siadają na gałązkach - będzie zimno, a gdy przy tym krzyczą - spadnie deszcz.

Poranek w Lidzie był ciepły i mglisty. Zapowiadał nadchodzącą zmianę pogody. Pożegnałem się z kochaną cicią Władzią i obiecałem zadzwonić do niej z domu i powiedzieć, czy dobrze dojechałem. Wydawało mi się, że byłem tu tak długo, a w rzeczywistości było to tak krótko, o wiele za krótko.

Na podróż do Grodna zamówiłem rafik, do którego wsia-
dłem przy „Sancie” i dojechałem nim pod sam dworzec
kolejowy. Stały punkt odprawy granicznej był w remoncie
i szybko załatwiono nas w pomieszczeniu zastępczym. Gdy
wchodziliśmy do pociągu do Polski zaczął kropić deszcz.
W czasie podróży okazało się, że przepłaciłem sporo za bilet
kupując go w Grodnie do Białegostoku. Trzeba mi było kupić
go tylko do Kuźnicy, a stamtąd w pociągu u konduktora do
stacji końcowej.

Ja nie zrobiłem i z pewnością nie zrobię w swoim życiu
żadnego dobrego interesu, mam już pięćdziesiąt cztery lata,
ale bardzo bym chciał przyjechać tutaj jeszcze raz w tym ro-
ku, na kalady²⁴⁹.

Powtórnie na Wszystkich Świętych

(28.10.2013-09.11.2013)

28 października, poniedziałek
Imianiny Łukiana, Jafima, Tadewusza

Nareszcie pojechałem na ajczynę, w podobnym czasie jak dwa lata temu, ale z przerwą o jeden rok za długą. Tak nie było od wielu wielu lat.

Uczynny białostocki taksówkarz podwoził mnie kolejno do białoruskiego konsulatu, do banku i znowu do konsulatu wyłączając taksometr w czasie załatwiania moich spraw. Jego syn od kilku lat mieszkał na stałe w Ameryce. Trochę rozmawialiśmy o bieżącej sytuacji w Polsce. Pokazał mi nasz popularny tygodnik, na którego okładce był Putin i Tusk z podniesionym do góry kciukiem prawej dłoni. Czytelne odniesienie do katastrofy pod Smoleńskiem.

W konsulacie szybko załatwiłem wizę, a na pytanie czy jestem z drugiej repatriacji potwierdziłem, że tak nie wnioskując w prawdziwą istotę tego słowa

Do Grodna udałem się białoruskim rafikam. Kursowały one według określonego i dlatego nie miały przestojów na granicy. Na dworcu autobusowym od razu zauważyłem mikrobus z napisem Grodno - Wiercieliszki. Co za urocza nazwa Wiercieliszki! Z królewskiego miasta do Lidy podróżowałem też mikrobusem, którego kierowcą był Andrzej Piotrowski, miejscowy Polak. Poznałem go parę lat temu, też na trasie, i podarowałem moją broszurę „Trokiele 2003”.

Wreszcie otworzyłem drzwi do mieszkania kochanej cioci Władzi. Niedawno miała lekki wylew, a wcześniej problemy z sercem i co kilka miesięcy chodziła na parę dni do szpitala na kropiółki. Przywitałem się również z trzema kotami, które cały czas były u cioci. Te bezdomne, przychodziły pod jej mieszkanie od strony balkonu, a wśród nich biały młodziak. Czarny kot o stałej porze dnia łaścił się koło wejścia do klatki bloku, w którym mieszkała ciocia i też na nią czekał.

29 października, wtorek

Imianiny Lanhina, Wialety

Następnego dnia udałem się do Iwia, ale już z moim bagażem, na nadal obowiązkową rejestrację obcokrajowców przybywających na Białoruś. Po drodze szukałem wzrokiem mijanych rzek: Berdówki za Berdówką, Żyżmy za Wielkimi Kniazikowcami, Gawii za Lipniskami.

W Lipniskach mieliśmy pięciominutowy postój. Ruszyliśmy dalej ze skraju dużego placu, na którym w XIX wieku stały sukiennice zbudowane w stylu neogotyckim. Zbliżyliśmy się do prostopadłej do naszej jazdy ulicy i stojącego przy niej drogowskazu wskazującego w prawo kierunek na Iwie, a w lewo na Trokiele i Woronowo oraz osobno na Gieraniony. Trochę dalej, za dużą murowaną kapliczką z Jezusem trzymającym krzyż na plecach, stał kolejny drogowskaz. Jedno jego ramię było skierowane prosto na Trokiele i Woronowo, drugie w prawo na Gieraniony i Sobotniki. My skręciliśmy na Iwie, a ja tęsknym okiem i myślami podążyłem utartym szlakiem do mojego miasteczka, a za niedługo byłem tam nareszcie fizycznie.

Rejestracja przebiegła sprawnie tym bardziej, że urzędniczki pomogły mi w wypełnieniu wymaganego druku. Odwiedziłem rejonową bibliotekę, a następnie udałem się do budynku rajspalkomu, czyli siedziby władz rejonu Iwie.

W gmachu skupiającym różne wydziały odnalazłem ten, który odpowiadał za stan zabytków znajdujących się na terenie administracji rejonu. Z jego panią kierownik rozmawiałem o bieżącej sytuacji zespołu pałacowego w Żemłosławiu. Nic nowego się nie dowiedziałem. Nadal aktualny był temat zrobienia pełnej dokumentacji istniejących budynków. W sprawie pomocy w realizacji zamierzeń, co do ich restauracji napisano do Fundacji margrabiny Umiastowskiej do Rzymu, ale nie uzyskano od niej żadnej odpowiedzi. Nareszcie żemłosławskie zabytki zostały objęte całodobową ochroną przez zatrudnionych stróżów.

Bardzo lubię dworzec autobusowy w rejonowym mieście Iwii. Jest odnowiony i chociaż niewielki, to można z niego dojechać do wielu historycznych miejsc Wielkiego Księstwa Litewskiego i Rzeczypospolitej Obojga Narodów, tych znaczniejszych i tych mniejszych. Dworzec ma pięć peronów z naniesionymi na nich kierunkami jazdy:

- 1) Grodno - Lida - Woronowo przez Trokiele - Nowogródek - Baranowicze - Słonim
- 2) Mińsk - Mołodeczno - Smorgonie - Oszmiany - Ostrowiec
- 3) Łukaszyno - Sontaki - Gieraniony - Kudejsze - Subotniki - Żemłosław
- 4) Czapuń - Leluki - Barowo - Holeniowo - Morino - Wielkie Sontaki
- 5) Bakszty - Honczary - Juraciszki - Pieckuny - Ejgierdy - Łazduny

Czekając na autobus do Sobotnik poznałem Jana Buiko, zastępcę głównego leśniczego w rejonie. Janek, mój rówieśnik, to pozytywnie nakręcony fanatyk historii ziemi iwiejskiej. W swoim domu zgromadził kilka tysięcy eksponatów, wśród których były też polskie przedwojenne książki i podręczniki, gazety i czasopisma, różne dokumenty, mapy i plany, znaczki i pocztówki a także monety. Kolekcja była już na tyle znana, że przyjeżdżali zapoznać się z nią młodzi pracownicy nauki oraz studenci z Polski, Litwy i Białorusi.

Janek poważnie też myślał o nabyciu jakiegoś obiektu o powierzchni minimum pięciuset metrów kwadratowych, w którym utworzyłby swoje prywatne muzeum. Niestety nie mogłem zapoznać się z jego zbiorami, gdyż zostało mi niewiele czasu do odjazdu autobusu do Sobotnik.

Rodzice Janka w swoich metrykach urodzenia mieli wpisane, że są Polakami. Jednak dziadek ze strony mamy mówił małemu wnukowi, że jest Litwinem, gdyż matka dziadka rozmawiała w domu po litewsku.

Nie było to nic dziwnego, gdyż historyczna wschodnia granica między Litwą a Rosją w XIII-XIV wiekach i zawar-

tego osadnictwa litewskiego na tym odcinku przebiegała w swoim fragmencie przez tereny obecnej ziemi iwiejskiej. Tak tego pośród innych naukowców dowodził polski historyk, wybitny znawca wczesnośredniowiecznej Litwy i Rusi profesor Henryk Łowmiański. Tę granicę określił jako biegnącą łukiem od miejscowości Merecz w kierunku Trab i dalej w kierunku jeziora Świr i okolic Brasławia.

Poniżej tej linii miał się znajdować pas pustki pogranicznej między elementem litewskim a ruskim, w którym znajdował się ziemia gieraniońska i sobotnicka. Ów pas stopniowo się zawężał dzięki rozwojowi osadnictwa z obu stron, które z czasem się przenikało i wzajemnie mieszało zostawiając jednak pewne wyraźne enklawy swej odrębności.

I tak biorąc pod uwagę na przykład gminę Sobotniki mamy na jej terenie nazwy miejscowości o wyraźnym litewskim rodowodzie. Wioska Mażule pochodzi od słowa Mażulis, Dowgiałowszczyzna i Żemłosław od nazwisk Dowgiałło i Żemłła (w języku staropolskim bułka pszenna), Żemajtuki od żemajtuka (żmudzki niewielki koń, kuc). Nazwy Girowicze i Kudejsze też wywodzą się z języka litewskiego. Więcej takich nazw, szczególnie z końcówką na -iszki, jest w innych gminach rejonu Iwie i w rejonie Woronowo, a bardzo dużo w rejonie Oszmiana.

Ciekawym też rodowodem jest pochodzenie nazw dwóch wiosek naszej gminy. Otóż Romany mają się wywodzić od osadników przywiezionych z Krymu przez wielkiego księcia Witolda i skierowanych na osiedlenie w to miejsce. Natomiast Czechowce w swej nazwie zawierają historię grupy Czechów, którzy opuścili swój kraj w czasie trwania religijnych wojen husyckich w pierwszej połowie XV wieku.

Popularne w naszych stronach nazwisko Jurgielewicz pochodzi od Jurgielisa. Z kolei inne nazwiska z końcówką na -uć, jak Korkuć i Pozauć, też mają litewskie korzenie.

Z Iwia do Sobotnik pojechałem krótszą drogą prowadzącą prosto, czyli na priamuju. Wiedzie ona obok Urciszek, Wodoli, Wasilewicz, Chilewicz i Mażul. W miasteczku wyszedłem

z autobusu na przystanku znajdującym się w pobliżu kościoła. Chciałem wprawdzie odwiedzić proboszcza ojca Franciszka Gałdysia, gdyż mój kuzyn Janek był w Grodnie na jakiś kursach nauczycielskich. Musiał je odbywać co parę lat, chociaż one nie dawały mu podwyższenia kwalifikacji ani pensji.

Proboszcza nie zastałem, natomiast poznałem tymczasowego wikarego, księdza Pawła Oleszkiewicza rodem z Grodna i absolwenta tamtejszego seminarium duchownego. Było to dla mnie duże i pozytywne zaskoczenie, gdyż ostatnim wikarym w naszej parafii był ksiądz Apolinary Aleksandrowicz, który widnieje na zdjęciach z pierwszej komunii świętej z 1936 roku.

Ksiądz Paweł akurat zbierał się jechać samochodem na wioski do chorych i zaproponował podrzucenie mnie do Dowgiałowszczyzny. Chętnie z tego skorzystałem, gdyż miałem dwie torby bagażu i trzy nowe plansze do mojej wystawy fotograficznej. Ze względu na bardzo podmokły teren nie mogliśmy podjechać pod samą chatę dziadka Jana, więc tradycyjnie ostatnie sto metrów pokonałem pieszo zarośniętą i dawno niekoszoną ścieżką.

Czas płynie nieubłaganie dodając nam lat, zmarszczek na twarzy i pochylając nasze sylwetki ku matce ziemi. Zastałem ciocię Zosię w o wiele słabszej kondycji fizycznej niż dwa lata temu i z trudnością poruszającą się po dziadkowym gospodarstwie przy pomocy pałki. Zapoczątkowane u niej w przeszłości różne choroby i zaniedbane w leczeniu, nałożyły się na siebie powodując udrękę i cierpienia. Wujek Władek mimo genetycznie wrodzonej tężyzny fizycznej mocno pachudziel.

Na gospodarce nie było już świń tylko kilka kur i kogut, a ziemniaki dla siebie posadzono koło chaty. Pozostał jeszcze koń trzymany do spółki z Józikiem Nowickim.

W obejściu znalazło się miejsce dla nowego zwierzęcego rezydenta. Nowego, ale już w latach podeszłego. Był to niewielki piesek Józki Stankiewicz z Dowgiałowszczyzny. Józka

wyjechała na pewien czas do córki do Mińska i swojego pupila oddała pod opiekę cioci i wujka.

Przez te parę dni, jakie zostały do 1 listopada codziennie chodziłem na cmentarz. Cmentarz parafialny za rzeką Gawią był już bardzo dobrze uprzątnięty i przygotowany na dzień Wszystkich Świętych. Moje groby rodzinne również. Ja jedynie zrobiłem przy nich kosmetyczne zabiegi. Natomiast dobrze wygrabiłem z liści i powyrywałem chwasty z grobu Herminii Preuss, a w samo święto ktoś położył na jej mogile nowe sztuczne kwiaty. Z kwatery rodzinnej Ganów, właścicieli majątku Łyntupka, powyrywałem uschłe badyle jakiś traw i polnych kwiatów. Byłem na grobach wielu znanych mi za ich życia mieszkańców Sobotnik i gminy.

Sobotnicki cmentarz za rzeką Gawią. Chodząc po nim, znając trochę historię naszej ziemi i życiorysy ludzi, którzy na niej żyli, myślałem sobie jak to oni wszyscy z różnych wieków i lat znaleźli tu ostatni przystanek dla swoich ciał. Jak się do niej przytulili powiązani ze sobą niewidzialnymi nitkami pokrewieństwa, małżeństwa i rodzicielstwa, przyjaźni, miłości i nienawiści. Ale te wszystkie więzy i uczucia zatraciły znaczenie w tym miejscu.

Sądzę, że wszystkie duchy ziemiańców zjawiają się tutaj często, szczególnie w te pierwsze listopadowe dni. Przechadzają się cmentarnymi ścieżkami, rozmawiają ze sobą wspominając minione życie i czas. Z ciekawością przypatrują się swoim krewnym porządkującym mahiły, często im nieznanym, gdyż urodzonym po ich odejściu kilkadziesiąt lat a nawet ponad wiek.

W naszym kościele od pewnego czasu do świątecznych mszy świętych przygrywa pani organistka. Na ławkach są rozłożone śpiewniki, w których słowa są zapisane alfabetem białoruskim, ale podczas śpiewu wiernych słychać polskie słowa. Uważam to za dobry pomysł, gdyż tradycja śpiewu i modlitwy po polsku trwa, a języka polskiego po wojnie nikt tu nie nauczał.

W kościele znalazłem nową dla mnie informację. Przyglądając się uważniej metalowym drzwiom oddzielającym prezbiterium od zakrystii zauważyłem w ich dolnej części nazwę firmy, która je wykonała - M. Zieliński, Warszawa. Natomiast już wcześniej zapoznałem się z dokumentem wiążącym nad zgromadzonymi wotami w lewej nawie kościoła o następującej treści:

„Hrabina Janina Zofia de Żemłostaw Umiastowska Milewska padając do stóp Waszej Świątobliwości pokornie prosi o najłaskawsze udzielenie dla parafian kościoła Sobotnickiego (w Dyeceji Wileńskiej) odpustu pięćsetdniowego i zupełnego raz w miesiącu, (które odpusty mogą być zastosowane także dla dusz świętych w czyśćcu przebywających) za odmówienie każdorazowe „Ojcze nasz” - „Zdrowaś Maryja” i „Chwała Ojcu” przed podobizną posagową św. Władysława, Patrona Kościoła Parafialnego, zbudowanego i ozdobionego kosztem ś.p. Hrabiego Władysława Umiastowskiego, pierwszego męża podającej niniejszą prośbę, a także jej samej. O udzielenie tej łaski prosi”.

Z Watykanu przyszła następująca odpowiedź

„Dnia 21 kwietnia 1910

Najświętobliwszy Pan nasz Pius, z bożej łaski Papież X. Wskutek polecenia wysłanego Jego Ekscelencji ambasadorowi Rzymskiej Kongregacji Świętego Oficjum, niniejszym dyplomem wszystkim wierzącym, którzy ze skruszonym sercem pobożnie przed wyżej wzmiankowaną podobizną świętego Władysława, w wyżej wzmiankowanym kościele Sobotnickim postawionej, zmówią „Ojcze Nasz” - „Zdrowaś Maryja” - „Chwała Ojcu”, najłaskawiej udzielił odpustu pięćsetdniowego mogącego być zastosowanym i za umarłych. A tym, którzy cały miesiąc będą się tak modlić, najłaskawiej został nadany odpust zupełny mogący być zastosowany jak wyżej powiedziano za umarłych, jednak pod warunkiem, aby w tymże samym kościele się wyspowiadali - przyjęli komunię świętą i pomodlili się za Głowę Kościoła Rzymskiego.

Odpusty powyższe przez łaskę osobną są najmiłościwiej nadane na wieki bez posłania osobnego dyplomu przy nie egzystowaniu żadnych przeszkód”.

W Internecie możemy znaleźć różne historyczne informacje związane z naszą sobotnicką ziemią. Oto niektóre z nich przysłane mi przez Andrzeja Wasilewskiego.

Relacjonując kampanię wojsk Napoleona na Moskwę w 1812 roku gazeta „Monitor Warszawski” donosiła, że „Dnia 3 lipca został przywrócony związek między Grodnem a Wilnem przez Lidę. Hetman Płatonow musiał się z Grodna w 6000 kozaków cofnąć. Chciał iść przez Lidę, ale zastawszy tam strażę francuskie pociągnął dnia 5 lipca na południe do Iwia. Jenerał hrabia Grouchy trzyma osadzony Wiszniew, Traby i Sobotniki”.

W 1878 roku inna warszawska gazeta na swoich stronach zamieściła : „W guberni Wileńskiej, powiecie Oszmiańskim, w dobrach Żemłosławiu Władysława Umiastowskiego dnia 15 stycznia 1878 roku odbędzie się licytacja in plus na wydzierżawienie za lat 12, od dnia 28 kwietnia 1878 roku, następujących folwarków: Dobromyśl - ziemi ornej dziesięcin 39, łąk dziesięcin 7; Doubuciszki - ziemi ornej dziesięcin 122, łąk dziesięcin 51; Giełże - ziemi ornej dziesięcin 130, łąk dziesięcin 52; Jawiele - ziemi ornej dziesięcin 86, łąk dziesięcin 21; Kazimierzów - ziemi ornej dziesięcin 194, łąk dziesięcin 36; Korolejgi - ziemi ornej dziesięcin 152, łąk dziesięcin 37; Ludwinów - ziemi ornej dziesięcin 193, łąk dziesięcin 49; Luszczyn - ziemi ornej dziesięcin 49, łąk dziesięcin 9; Nackowszczyzna - ziemi ornej dziesięcin 62, łąk dziesięcin 14; Rechopol - ziemi ornej dziesięcin 53, łąk dziesięcin 9; Rockiszki - ziemi ornej dziesięcin 60, łąk dziesięcin 33 (...)”.

Jedna dziesięcina to dawna rosyjska jednostka powierzchni gruntu wynosząca około 1,09 hektara. W licytacji „in plus” wygrywa ta osoba, która zaproponuje najwyższą cenę.

W tygodniku „Łowiczanin” z dnia 21 lipca 1911 roku możemy przeczytać następującą reklamę: „Zakład malarski

i artystyczno-dekoracyjny K. Czarnieckiego w Łowiczu, ulica Podrzeczna. Nagrodzony dwoma medalami od Ministerstwa Finansów i Wileńskiego Towarzystwa Urządzenia Mieszkań w 1909 roku. Poprzednio zakład prowadzony był we Lwowie. Praktyka majstrowska odbywana była w Rzymie, Mediolanie i Wiedniu. W kraju tutejszym znaczniejsze roboty zakład wykonał w Trabach i Sobotnikach Wileńskiej guberni (...)."

W przeddzień Wszystkich Świętych rozwiesiłem w babińcu moją wystawę fotograficzną uzupełnioną o nowy materiał przywieziony z Poznania. Chociaż wystawa lepiej się prezentuje na zewnątrz kościoła i jest bardziej dostępna do oglądania, to na te świąteczne trzy dni zdecydowałem się na taką okresowo stałą formę jej ekspozycji.

1-3 listopada

W listopadzie kładź kapustę do kadzi. Jak listopad śniegu nawieje, to chleba przybędzie. Jak wodą się rozleje, to siana się nazbiera.

Dzień Wszystkich Świętych przypadł w piątek. Wśród katolików Białorusi jest to czas pamięci o zmarłych, a imienniny obchodzą Iwan i Kleopatra. Przysłowie ludowe na ten dzień mówi, że po Wszystkich Świętych przychodzi chłód dla wszystkich.

W naszej parafii była tylko jedna msza w kościele w Sobotnikach o godzinie jedenastej. Zgromadziło się na niej bardzo dużo ludzi i sporo z nich przystąpiło do komunii, tak że księża musieli dobierać komunikanty.

Po mszy w tradycyjnej procesji udaliśmy się na cmentarz. Starsze osoby, dla których było to za daleko zostały i modliły się na niewielkim cmentarzu przykościelnym. Przed miejscem wiecznego spoczynku procesja rozdzieliła się. Grupa ludzi z księżmi udała się do jego nowej części, gdzie przy dużym krzyżu odmówiono litanię do Wszystkich Świętych. Pozostali weszli na mahiłki starą bramą i rozeszli się do rodzinnych grobów. Przy nich modlili się wraz z bliskimi

krewnymi, którzy mieszkają gdzie indziej i przyjechali, żeby uczcić pamięć rodziców i dziadków oraz innych osób.

W Dzień Zaduszny imianiny obchodzą Arciom i Bahda- na a ludowe przysłowie głosi, że w listopadzie jest goło w sadzie. W Sobotnikach po porannej mszy odbyła się msza pogrzebowa za siedemdziesięcioletnią kobietę pochodzącą z Szarkuć. Jej śmierć była dla wszystkich zaskoczeniem, gdyż nic nie wskazywało na to, że na coś choruje. Wręcz przeciwnie, była osobą zdrowo wyglądającą, energiczną, o dużym poczuciu humoru, zaangażowaną w życie religijne.

Jeszcze raz okazało się, że my sami nie wybieramy czasu naszego odejścia. Tego dnia odbyły się również msze na wioskach: w Kudejszach, Żemłosławiu i Wasilewiczach. Po południu otworzono podziemie w kościele i modlono się za pochowanego w nim fundatora świątyni hrabiego Władysława Umiastowskiego oraz członków jego rodziny.

3 listopada przypadają imianiny Ilariona i Siłwii. Akurat była to niedziela, więc msze w naszej parafii zostały odprawione o stałych godzinach w Sobotnikach, Kudejszach, Żemłosławiu i Wasilewiczach.

Tym trzem świątecznym dniom towarzyszyła piękna słoneczna pogoda, było ciepło i bezwietrznie. Kiedy o tej porze odwiedziłem ajczynę w 1999 roku, niespodziewanie spadł niewielki drobny śnieg. Urokliwie wyglądał nasz cmentarz pomalowany białym przezroczystym puchem, który nie pogasił palących się zniczy i świeczek, a przyniesionym kwiatom pozostawił ich barwy. Staliśmy z Jankiem przy grobach dziadków Niechwiadowiczów i stryja Albina, i myśleliśmy o życiu i przemijaniu, i o historii.

Może niektórzy z Was wiedzą, że parę lat temu kołchoz „Sobotniki” połączył się z sowchozem „Żemłosław” i powstała wiejska spółdzielnia rolno-produkcyjna „Sobotniki”. Niedawno dołączono do niej kołchoz z Kamienczan i całość została nazwana imieniem Władysława Umiastowskiego.

O ironio losu! Jak bolszewicy przyszli na nasze ziemie 17 września 1939 roku, to w pierwszej kolejności niszczyli tak

zwanych panów, czyli właścicieli ziemskich i przedstawicieli szlachty. Nieraz mordowali ich na miejscu, a w większości wywozili do łagrów. Rabowali opuszczone majątki, także dla osobistych korzyści, podpalali je obracając w zgliszcza. Wprowadzali swoją gospodarkę, która z czasem zniszczyła to, co stworzyli i rozwijali przez pokolenia prawowici ich właściciele. Przykładem tego jest Żemłosław.

W naszym miasteczku, w północno-zachodniej jego części gdzieś w okolicy dawnej Zielonej Drogi, stawiana jest nowoczesna ferma krowia na około osiemset sztuk zwierząt. Krowy powoli znikają z indywidualnych gospodarstw. Kiedy mój kuzyn Janek Kursewicz w 1985 roku przeprowadził się ze Ślesar do Sobotnik i zamieszkał na Antakołu, to u gospodarzy na tej ulicy było czterdzieści sześć krow, a w całym miasteczku około trzysta siedemdziesiąt. Obecnie na Antakołu są tylko cztery krowy zaś w Sobotnikach czterdzieści trzy sztuki.

Zauważyłem, że coraz częściej jest spożywany biały pszenno-żytni chleb, bardzo smaczny. W opinii moich ziemiańców, zasłyszanej także podczas podróży z Kuźnicy do Grodna, pogorszyło się tradycyjne ciemne pieczywo.

Na Białorusi wypieka się sporo różnego rodzaju ciemnych chlebów, ale w pamięci starszego i średniego pokolenia Grodzieńszczyzny pozostał bochenek zwany z rosyjskiego kirpicz, ze względu na podobieństwo swojego kształtu do cegły kirpicza. Był to chleb sowiecki wypiekany na naturalnym zakwasie, bez konserwantów i jakichkolwiek dodatków w postaci ziaren. Produkuje się go i dzisiaj, ale to nie jest już ten sam chleb jak kiedyś.

U naszych wschodnich sąsiadów bochenek chleba nazywa się bochan chleba. W Sobotnikach kupujący zwraca się do sprzedawczyni słowami „Daj mnie bachanku chleba”. Jeżeli chodzi o mięso i wędliny to na Grodzieńszczyźnie w ostatnim czasie uznaniem cieszyły się wyroby z Oszmiany, Brześcia i Wołkowyska.

Podczas mojego pobytu 1 dolar kosztował około 9300 białoruskich rubli (BLR) przy zakupie na Białorusi. Pod koniec czerwca 2014 roku nasza i zachodnia waluta w stosunku do białoruskiego rubla kształtowała się następująco: 1 zł - 3300 BLR (kupno) - 3400 BLR (sprzedaż), średni kurs dolara - 10200 BLR, euro -14000 BLR.

Ceny wybranych produktów spożywczych w sklepach Mińska, nie w hipermarketach i nie na targach:

- bochenek białego chleba 12000 za 1 kg, baton - kawiorek 8000 za 0,5 kg, bochenek kirpicza 10000 za 1 kg, dobry luksusowy chleb „czarny” około 17000 i więcej za 1 kg

- 1 kg kielbasy: 50000 - 75000 (tak zwana warionnaja, podobna do naszej mortadeli), 60000 - 120000 (typu krakowskiej), 135000 - 175000 (sucha, wędzona)

- 1 kg mięsa wieprzowego z kością od 35000, bez kości powyżej 60000, polędwica około 100000 i więcej

- 1kg sera twarogowego około 50000, 1 kg sera żółtego ok. 100000 - najtańszy

- pół litra wódki od 56000 do 65000, luksusowej powyżej 73000; pół litra piwa ok. 12000

- paczka papierosów produkowanych na licencji 13000 - 15000; krajowe gatunki z filtrem około 8000 i więcej

Zapewne w hipermarketach i na rynkach można kupić wybrane produkty taniej. Porównując te ceny z naszymi widzimy, że niektóre towary oni mają tańsze, niektóre my. Do tego dochodzi jakość, która obok ceny ma wpływ na konkretny zakup. I tak na przykład obywatele Białorusi przywożą z Polski głównie sery żółte i typu Brie, Turek lub inne, mięso bez kości, kielbasy, gatunkowe salcesony, herbatę i piwo. Kupują też towary przemysłowe, na przykład odzież znanych firm europejskich. Tylko w zimowe obuwanie zaopatrują się na Litwie, gdyż polskie nie jest zbyt ciepłe dla białoruskich zim. Zdecydowanie też wolą robić zakupy w Polsce niż na Litwie ze względu na niższy kurs złotych w stosunku do lita. Jednak ilość osób przyjeżdżających do nas z Białorusi jest znacznie mniejsza niż przed laty. Powodem tego są głównie

trudności z uzyskaniem wizy wjazdowej na terytorium Unii Europejskiej.

Zmalała liczba uczniów chodzących do dziewięcioletniej szkoły w Żemłosławiu. W samym dawnym majątku jest coraz mniej młodych ludzi chcących założyć tu rodzinę i pozostać dłużej, może nawet na stałe. Grozi to zamknięciem obecnej placówki nauczania.

I tak w gminie Sobotniki może pozostać tylko jedenastoletnia szkoła w samym miasteczku. Przed wojną była sześćioletnia placówka w Sobotnikach i czteroletnie oddziały w Czechowcach, Wasilewiczach, Szarkuciach, Łyntupi oraz Kudejszach. Ale i w całej gminie mieszkało 7715 osób, dużo więcej niż obecnie. Gdyby zespół pałacowy w Żemłosławiu był zadbany i przeznaczony na przykład na cele wypoczynkowe, to ci młodzi ludzie oraz inne osoby mogłyby znaleźć zatrudnienie w obsłudze ruchu turystycznego w naszej gminie.

Kiedy Janek w 1980 roku rozpoczął pracę w Sobotnikach, to w rejonie było 46 szkół w tym 16 dziesięcioleci i 30 ośmiolatek. Obecnie naukę prowadzi się w 11 jedenastolatkach i 2 dziewięciolatkach.

Wieś na Grodzieńszczyźnie wymiera, odchodzi do miasta i jest to trwały i smutny proces.

Spotkałem Janka Nowickiego, który przyjechał z Mińska na grób swojego ojca Jana, byłego organisty w naszym kościele. Janek zamierzał opuścić stolicę i powrócić w ojczyste strony do Szarkuć, ale nie jako emeryt. Z zawodu był inżynierem metalurgiem i nosił się z planem uruchomienia w Lipniskach zakładu odlewającego części do wagonów kolejowych. W rodzinnym gospodarstwie, w którym mieszkała jego matka już założył hydrofor, gdyż tylko połowa Szarkuć miała bieżącą wodę z wieży ciśnień.

Janku, twój powrót na ajczynu to dobry znak!

Z przyjemnością obserwowałem jak zawsze piękne dla mnie widoki pól rozciągających się aż po horyzont. Jedne z nich zostały zaorane i przygotowywały się do zimowego

snu. Odpoczywały, żeby na wiosnę dobrze wywiązać się ze swojej powinności. Na innych wzeszła ozimina. Soczyste, ciemnozielone równoległe linie zbiegały się w jeden punkt, hen pod dalekimi kreskami lasów.

Gdzieniegdzie na zaorany polu zacumował olbrzymi stóg słomy, a na oziminy widniała kępa drzew, jak samotna wysepka na zielonym oceanie. Może ukrywała ona wodne oczko kudry? A może zebrane z pola kamienie i pozostałość po ludzkiej siedzibie, która została rozebrana i gdzieś wywieziona? I nic już w tym miejscu nie pozostało, ani domu, ani pamięci.

4 listopada, poniedziałek

Imianiny Aliaksandra, Kanstancina, Alhierda

Święto Matki Bożej Kazańskiej. W tym dniu nie wybierano się w daleką podróż. Na Kazańską nie zima, po Kazańskiej nie jesień.

Kiedy na Kazańską pada deszcz, to szybko przyjdzie zima.

Przenocowałem u Janka, a rano pożegnałem się z Sobotnikami i odjechałem autobusem do Iwia na priamuju. Z Iwia do Lidy droga prowadziła obok Dyndyliszek, gdzie miał miejsce nieudany bój „Kotwicza” z Niemcami. Za chwilę było duże skrzyżowanie dróg z kierunkiem w lewo na Wołożyn i Mińsk, na wprost do Nowogródka (32 km) i Wsielubia, w prawo do Lidy (34 km) i Grodna. Skręciliśmy na Lidę. Jeszcze raz spotkałem się z Gawią przejeżdżając nad nią mostem koło Zalejek, gdzie znajdowało się popularne gospodarstwo agroturystyczne o miłej dla ucha nazwie „Nad Gawią”. Następnie przemknęliśmy obok wioski Biskupce poetki Danuty Biczal i po krótkim czasie wjechaliśmy do Lidy od strony południowej, od Szejbaków leżących tuż przy jej granicy.

Przez kilka dni przebywałem u cici Władzi. Olka Kołyszki nie było w mieście, Leo Lauresz miał ciężko chorą matkę, więc też nie mogliśmy się spotkać. Miałem w planach odwiedzenie cici Janki w Sienkiewiczach, ale jakoś nie mogłem się

zebrać w dość odległą podróż nocnym pociągami. Porozmawiałem z nią przy pomocy mablinika, co odczułem na własnej kieszeni po powrocie do kraju. Jedna minuta roomingu na Białorusi kosztował mnie około jedenastu złotych brutto. Za wszystkie przeprowadzone rozmowy zapłaciłem ponad czterysta złotych, ale nie żałowałem tych pieniędzy.

Trochę bezcelowo chodziłem po Lidzie z jednym konkretnym wyjściem na stary polski cmentarz, jak nadal się go tu określa, przy dawnej ulicy Grażyny, a obecnie Engelsa. Był to dla mnie smutny i przygnębiający widok mimo, że stała na nim współczesna dobrze utrzymana kaplica Świętej Barbary i zadbana przedwojenna kwatera polskich lotników.

Poprzerywany w wielu miejscach kamienny mur ogradzający cmentarz, poniszczone i poprzewracane pomniki nagrobne, widoczne otwory w miejscach pochówków jakby czegoś tam szukano. Dziwne dla mnie było to, że to ważne miejsce położone w mieście, a nie gdzieś na jego obrzeżach zostało pozostawione bez żadnej opieki. Będę musiał o to zapłacić Olka i Leo.

7 listopada, czwartek

Imianiny Anastasia, Markijana

Myszy robią gniazda w lnie - zimą będzie wielki śnieg.

Saugucie po białorusku czytaj Sauhuci, a przedwojenna polska nazwa tej wioski brzmiała Sangucie. To duża wieś, bardzo długa typowa ulicówka położona tuż przy Iwii. W spisie z 12 października 1940 roku, czyli za pierwszej okupacji sowieckiej, w Sauguciach było 49 chat i 245 mieszkańców. W 1906 roku we wsi było 61 chat i 321 mieszkańców, a do gospodarzy należało łącznie około 610 hektarów ziemi. W 1999 roku było 66 chat i 178 mieszkańców, Obecnie te dwie liczby są niższe, szczególnie dotyczy to ludzi.

Do Sauguc podwiózł mnie samochodem z Iwia Kazimierz Kołpak, przyjaciel Swietłany Worobiej. Swietłana pochodzi-

ła z gminy Sobotniki. Jej mama mieszkała w Kwiatkowcach, a siostra matki w Łyntupi - w wioskach naszej gminy.

Mój wypad do Sauguc był spowodowany polskimi wpisami na stronie www.radzima.net. Dotyczyły one odnalezienia bardzo bliskich krewnych, którzy mieszkali w Suguciach oraz Iwiu. O tyle łatwiej mi było pojechać do Sauguc, bo mieszkał tam mój kuzyn Kazik Kursewicz, starszy brat Janka, z którym nie widziałem się kilka lat.

Przed wioską witał podróżnych nieduży stary drewniany krzyż ozdobiony sztucznymi kwiatami. U wlotu do ulicy stała ładna współczesna kapliczka oszalowana plastikową boazerią w kolorze kości słoniowej. W jej wnętrzu dostrzegłem fragment dużego krzyża, niewielką figurę Matki Bożej Fatimskiej i kilka świętych obrazów z Panią Ostrobramską na czele.

Już pierwsza chata po prawej stronie zwróciła moją uwagę. Duża, zadbana, ze sporym krzyżem umocowanym do krótszego boku budynku, którym stała do ulicy podobnie jak większość domów. Oszalowane łączenia belek narożnikowych ozdobiono elementami snycerki pomalowanej w biało-niebieskie kolory. Bardzo ciekawą i widać było, że starą snycerkę dostrzegłem też na innych chatach. Przed wieloma z nich rosły krzewy kaliny koralowej z niewielkimi kulkami czerwonych owoców uczepionych bezlistnych gałązek.

Szedłem długą ulicą szukając chaty Kazika i z ciekawością spoglądałem na prawo i lewo. Na jednym z podwórzki leżał zabity niedawno kaban z już opaloną poczerniałą skórą. W pobliżu dymiła samorobna polowa kuchnia, w której podgrzewano wodę potrzebną do dalszej świńskiej operacji. Kiedy opuszczałem Saugucie i przechodziłem obok tego miejsca, zwierzę było już ćwiartowane, a woda się gotowała.

Przy innej chacie młodzi ludzie zakładali antenę satelitar-ną. Widząc, że fotografuję wioskę jeden z nich zapytał mnie, po co to robię i kim jestem. Na moją odpowiedź, że przyjechałem z Polski i teraz idę odwiedzić kuzyna odpowiedział:

„A paliak” i machnął ręką nie wykazując więcej zainteresowania moją osobą. W każdym mijanym obejściu stały chlewy, obory, gumna, świreny, letnie kuchnie, w niektórych garaże. Zauważyłem także niewielkie drewniane i z pewnością stare budynki gospodarcze o nieznanym mi przeznaczeniu, stojące na podwyższeniach z polnych kamieni.

Kazik jest o cztery lata starszy ode mnie i był już na rencie z trzecią grupą inwalidzką, z tytułu której pobierał dwa i pół miliona rubli. Chorował na cukrzycę i jaskrę oczu. Przewodniczył związkowi rencistów w Iwiu, a z zawodu był weterynarzem. Kazik zawsze odznaczał się energicznością i zaradnością, więc jakoś sobie z żoną radzili opiekując się jej dziewięćdziesięcioletnią chorą matką. Na swojej gospodarce jeszcze trzymali konia i krowę.

Na nasze kuzynowskie spotkanie poczęstował mnie po męsku. Sto pięćdziesiąt gram siedemdziesięcioprocentowego etylowego spirytusu, sok z kiszzonej kapusty do zapicia a na zakąskę bardzo dobra słonina przeplatana cienkimi płatami mięsa, kupna kielbasa i bardzo dobry biały chleb, który autalaŭka przywoziła z bliskiego Iwia. Zważyłem już wcześniej, że ten chleb zdobywa sobie coraz większe uznanie u moich ziarniaków.

Alkohol wchodził gładko i wcale nie drapał gardła. Spróbowałem także kaliny, która przysypana na przemian z cukrem macerowała się w dużym słoiku stojącym na okiennym parapecie. Jej owoce miały lekko kwaskowy smak.

Wyszliśmy z chaty i udaliśmy się na poszukiwania. Kuzyn bardzo dobrze znał wszystkich w wiosce, więc szybko odnaleźliśmy właściwe rodziny.

Pierwszą osobą był Jan Worobiej syn Władysława. Brat jego ojca, Nikodem, w 1959 roku wyjechał do Polski. Jeden z jego synów, Stanisław, mieszkał w USA i w 1990 roku odwiedził rodzinną wieś swojego baćki. Stanisław w Stanach znalazł oparcie, gdyż do Ameryki przed pierwszą wojną światową wyemigrowali z Sauguć trzej starsi bracia Nikodema.

Drugą odnalezioną rodziną byli Naumcowie. Właściwie to w Sauguciach mieszkały dwie rodziny o takim nazwisku, ale nie łączyły ich więzy pokrewieństwa. Po krótkiej rozmowie zidentyfikowałem tę właściwą, jednak i starsza pani z drugiej rodziny miała rodzonego brata w Krakowie.

Stanisław Naumiec, syn Jana, miał siedemdziesiąt pięć lat. Brat jego ojca, Stanisław, w 1946 roku z żoną i dziećmi wyjechał do Polski.

Odnalazłem więc ludzi w Sauguciach, których poszukiwali bardzo bliscy krewni mieszkający w Polsce. Po powrocie do kraju przekazałem im zebrane informacje oraz adresy pocztowe i numery telefonów. Otrzymałem odwrotne odpowiedzi, które mnie bardzo rozczarowały.

Wydawało mi się, że jeżeli ktoś znalazł kontakt do swojego stryja, kuzynów, to będzie chciał z niego skorzystać i odnowić zerwane więzi rodzinne. Tak się jednak prawdopodobnie nie stało, gdyż ludzie poszukujący swoich bliskich w Sauguciach byli głównie zainteresowani tworzeniem drzew genealogicznych, co ostatnio jest zauważalne jeżeli chodzi o Kresy. Tak też wynikało z ich mejlowych korespondencji do mnie. Na szczęście są wśród nich wyjątki.

Tak. Po cóż odnawiać kontakty z rodziną na Białorusi rządzona przez okrutnego Łukaszenkę, przy którym Mubarak w Egipcie czy kolejny Kim w Korei Północnej to pikusie. O, gdyby ci krewni mieszkali na zachodzie Europy, albo jeszcze lepiej w Stanach Zjednoczonych, to byśmy nie zwlekali z telefonem do nich, z napisaniem listu.

Co do Marii Borkowskiej, która przez Internet poszukiwała sióstr swojej matki w gminie Sobotniki a także swojej kuzynki Swietłany Worobiej, to nie uzyskałem żadnych zwrotnych odpowiedzi mimo kilkakrotnych moich wpisów pod adresem pani Marii na stronie www.radzima.net.

Dlaczego nie odwiedzamy swoich bliskich krewnych pozostałych na Kresach, na ojcowiznie? Dlaczego nie wiążemy pozrywanych kiedyś nitek pokrewieństwa? Bliska granica nie jest ku temu żadną przeszkodą. Może nią być wiek, cho-

roba. Ale przecież żyją w Polsce potomkowie tych, którzy wyjechali. Do nich należy ważna rola powiązania pozrywanych sieci rodzinnych łączących ich z ajczyną rodziców i dziadków. Mimo pewnego niepowodzenia mojej misji w Sauguciach, to obserwując w Internecie podobne zdarzenia, relacje z wyjazdów na Białoruś, z wypraw rowerowych młodych ludzi do tego kraju wydaje mi się, że wiązanie nitek powoli zaczyna się dziać. Chwała Bogu!

Najświeższym i to mi bardzo mi bliskim przykładem była wycieczka na Białoruś Marcina Pozauca z żoną w czerwcu 2014 roku. Jego jedna gałąź rodzinna wywodzi się z Dobropola, druga z Podwarańców i trzecia z Szarkuć, wiosek gminy Sobotniki. Przedstawiciele dwóch pierwszych wyjechali po wojnie do Polski, a trzeciej zostali na ajczynie.

Marcin postanowił poszukać swoich przodków w kościelnym archiwum i pośród jeszcze żyjących. Wraz z żoną wsiedli do samochodu i po raz pierwszy pojechali na Białoruś. Byli w archiwum historycznym w Grodnie i zamówili kopie poszukiwanych dokumentów, zrobili sobie wycieczkę na trasie Lida-Nowogródek-Mir-Nieswież. W końcu pojechali do Iwia i w nasze strony.

Po powrocie do domu Marcin Pozauć napisał mi w mejlu: „Z pewnością nie jest to ostatnia nasza wyprawa na Białoruś, ale przetarcie szlaków było niesamowite. To tyle, ile można opowiedzieć o dosyć krótkiej, bo kilkudniowej wycieczce i jest nieporównywalne z żadnym innym wyjazdem. A mówimy tu o kraju sąsiednim! Wszyscy, których spotykaliśmy byli mili, pomocni począwszy od milicji poprzez sprzedawców w sklepach czy ludzi na ulicy”.

Z Sauguć na dworzec autobusowy w Iwiu wracałem pieczo, gdyż były to zaledwie dwa kilometry. Zaledwie skręciłem na drogę prowadzącą prosto do miasta, kiedy zatrzymał się przy mnie samochód osobowy z kobietą i mężczyzną w średnim wieku. Zapytali mnie o zakład produkujący konserwy znajdujący się poblizu Sauguć. Odpowiedziałem im

po polsku dodając kilka białoruskich słów. Oni, zaskoczeni, uśmiechnęli się przyjaźnie i odjechali w kierunku wioski.

9 listopada, sobota

Imianiny Marka, Niesciera, Kapitaliny, Fiodara

Pierwszy trwały śnieg spada w nocy.

Na dworcu autobusowym w Lidzie kupiłem bilet do Białegostoku z przesiadką w Grodnie. Wcześniej przekazałem kierownicze zmiany kas mój wiersz „Dworzec autobusowy w Lidzie” w wersji polskiej i białoruskiej przetłumaczonej przez Irenę Hryniewicz. Były to dwie odrębne kartki formatu A3. Zasugerowałem wywieszenie ich w takim miejscu, żeby podróżni mogli je przeczytać. Czy to się stanie?

Od Kuźnicy do Zadworza, to jakieś osiem kilometrów, ciągnęła się kolejka tirów. W pociągach do Warszawy i Poznania pospiesznie zapisywałem zapamiętane obrazy oraz myśli, bo nic, żadne z nich nie powtórzy się w przyszłości tak samo.

Ludzie i wydarzenia

25 września 1905 roku w Żemłosławiu urodził się Tadeusz Sokołowski, major dyplomowany kawalerii, polski jeździec sportowy, cichociemny. W 1936 roku na koniu Zbieg II zdobył złoty medal mistrzostw Polski w skokach przez przeszkody. W tym samym roku reprezentował Polskę na olimpiadzie w Berlinie.

Po wybuchu wojny Sokołowski znalazł się w sztabie Armii „Lublin” i Warszawskiej Brygadzie Pancerno-Motorowej. Następnie przez Węgry przedostał się do Wojska Polskiego formowanego we Francji. W Wielkiej Brytanii otrzymał przydział do 14. pułku ułanów w 10. Brygadzie Kawalerii Pancernej,. Zgłosił się na ochotnika do walki w dywersji w kraju. Został przeszkolony, a dnia 29 listopada 1941 roku zaprzysiężony.

Do Polski skoczył w nocy z 30. na 31. marca 1941 roku w ramach VII operacji „Belt” - przerzutu skoczków spadochronowych zwanych cichociemnymi do kraju. Otrzymał przydział na zastępcę dowódcy IV odcinka „Wachlarza”, a od 21 sierpnia objął komendę odcinka.

„Wachlarz” był organizacją dywersyjną powołaną przez Związek Walki Zbrojnej i Armię Krajową latem 1941 roku po wybuchu wojny niemiecko-sowieckiej. Głównym jego zadaniem było prowadzenie akcji dywersyjnych na szlakach zaopatrzeniowych niemieckiego frontu wschodniego.

Swym terenem działań „Wachlarz” obejmował olbrzymie tereny Związku Sowieckiego na wschód od przedwojennej granicy Polski sprzed 17 września 1939 roku. Odcinek IV „Wachlarza” miał następujące kierunki działań: teren między Lidą, Baranowiczami, Śluckiem i Stołpcami aż po Bobrujsk, miasta Mińsk, Borysów i Orszę.

Na początku grudnia 1942 roku gestapo aresztowało Tadeusza Sokołowskiego pod pseudonimem Tadeusz Serafin. 6 lutego 1943 roku, po ciężkim śledztwie, został on zakatowany na schodach budynku gestapo w Mińsku Litewskim.

W lewej nawie kościoła Świętego Jacka w Warszawie przy ulicy Freta odsłonięto w 1980 roku tablicę z napisem: „Pamięci żołnierzy Armii Krajowej, cichociemnych - spadochroniarzy z Anglii i Włoch poległych za niepodległość Polski”. Wśród wymienionych 110 poległych cichociemnych jest Tadeusz Sokołowski.

W drugiej połowie 1939 roku w Żemłosławiu w przebywał Henryk Elzenberg (18.09.1887-06.04.1967), polski filozof zajmujący się głównie etyką, estetyką, aksjologią, historią filozofii i kultury oraz krytyką literacką. Znał siedem języków obcych w tym perfekcyjnie łacinę, grekę, niemiecki i francuski, a bardzo dobrze angielski, włoski i sanskryt - stary język indoaaryjski, w którym zapisano większość religijnej i filozoficznej literatury indyjskiej.

W 1936 roku zamieszkał w Wilnie, gdzie na Uniwersytecie Stefana Batorego wykładał etykę, estetykę, teorię wartości i historię filozofii. Tak było do 15 grudnia 1939 roku, kiedy to Litwini zamknęli uczelnię. Od chwili wybuchu wojny Elzenberg często przebywał w Żemłosławiu. Tam powstała nieopublikowana za jego życia praca „Pojęcie wartości i powinności. Redakcja żemłosławska”, stanowiąca punkt kulminacyjny w zamiarach systemowych filozofa.

Ważniejsze prace Henryka Elzenberga to: „Kłopot z istnieniem. Aforyzmy w porządku czasu”, „Wartość i człowiek. Rozprawy z humanistyki i filozofii”, „Próby kontaktu. Eseje i studia krytyczne”, „Le sentiment religieux chez Leconte des Lisle”, „Podstawy metafizyki Leibniza”, „Marek Aureliusz. Z historii i psychologii etyki”.

W piątek 18 maja 2012 roku w Żemłosławiu około godziny dwunastej wybuchł pożar w pałacu Umiastowskich. Jego przyczyną prawdopodobnie było zaproszenie ognia podczas demontażu instalacji ciepłowniczej. Ogień gasiło sześć jednostek straży pożarnej. Spłonęło dwadzieścia metrów kwadratowych dachu. Zespół pałacowy ma zostać przejęty przez władze rejonu Iwie. Planuje się utworzenie w nim bazy turystycznej. Ale czy problem ze znalezieniem na ten cel od-

powiednich funduszy i wszechwładna biurokracja pozwolią na szybkie i sensowne zrealizowanie tego zamierzenia?

26 października 2012 roku w wieku 94 lat, w Winnipeg w Kanadzie, zmarł Stanisław Iwanowski. Urodził się 15 września 1918 roku i był synem Adama i Michaliny z Bohuszewiczów. Jako młodzieniec Staś postanowił sobie, że zostanie stolarzem. Majster, u którego terminował, okazał się złym nauczycielem, więc Staś postanowił pójść w ślady ojca i zostać krawcem.

Naukę zawodu przerwała mu wojna. Podczas pierwszej okupacji sowieckiej naszych ziem nieprawnie pozbawiono obywatelstwa polskiego wszystkich zamieszkałych tutaj osób. Narzucono im obywatelstwo sowieckie i na tej podstawie powoływano do sowieckiego wojska Polaków. Jednak nie wcielano ich do jednostek bojowych, gdzie każdy żołnierz otrzymywał broń, ale do batalionów inżynierskich, budowlanych. W oddziałach tych żołnierze wykonywali różne prace, a ich status niewiele się różnił od statusu ludzi zesłanych wcześniej do łagrów.

Do takiego batalionu z lokalizacją na Syberii został wysłany Stanisław. Panowały tam bardzo ciężkie warunki i wiele osób umierało. Dla tych co żyli szansą było dostanie się do tworzonego wojska polskiego w Rosji Sowieckiej. Udało się to Stanisławowi.

Po podpisaniu odpowiednich umów między rządem sowieckim a rządem polskim przebywającym na emigracji w Londynie, nastąpiło wyjście wojska polskiego pod dowództwem generała Władysława Andersa do Persji oraz Iraku. Razem z wojskiem opuściła Rosję Sowiecką część polskiej ludności cywilnej zesłanej do łagrów, wśród której była bardzo duża liczba dzieci sierot.

W Iraku został utworzony 2. Korpus Polski, duży wojskowy związek taktyczny, w którym znalazł się Stanisław Iwanowski. Żołnierze Korpusu dozbrajali się i szkolili w Palestynie i Egipcie. W 1943 roku zostali przewiezieni drogą morską do Tarentu na południu Włoch. Wzięli udział

w zwycięskiej bitwie o Monte Cassino, w przełamaniu Linii Hitlera pod Piedimonte, wyzwolili Ankone i walczyli przyczynili się do oswobodzenia Bolonii. W tych walkach uczestniczył Stanisław Iwanowski będąc kierowcą czołgu w 4. pułku pancernym „Skorpion”.

Po zakończeniu działań wojennych Stanisław znalazł się w Anglii, w szeregach Polskiego Korpusu Przysposobienia i Rozmieszczenia. Celem tej organizacji było niesienie pomocy żołnierzom Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie, którzy nie chcieli lub z wiadomych przyczyn nie mogli wracać do kraju swojego urodzenia, w przystosowaniu się do życia w warunkach pokojowych i zdobyciu nowych kwalifikacji zawodowych, a nawet w wyjeździe na inne kontynenty.

Stanisław, po krótkim pobycie w Anglii, zdecydował się na emigrację do Kanady. Przybył tam w czerwcu 1947 roku i osiedlił się w Winnipeg w prowincji Manitoba. Tam też na zabawie tanecznej zorganizowanej przez miejscowego „Sokoła”²⁵⁰ poznał swoją przyszłą żonę Eugenię Cichowicz.

Eugenia pochodziła z Zabłocia, z Nowogródzczyzny jak Stanisław i to z tego samego powiatu lidzkiego. W czasie wojny została wywieziona na przymusowe roboty do Niemiec, gdzie pracowała w kopalni węgla. Po wojnie już nie wróciła w rodzinne strony, które znalazły się w granicach obcego państwa. Wyjechała do Kanady i z czasem też zamieszkała w Winnipeg.

Stanisław i Eugenia pobrali się 21 czerwca 1949 roku, a pięć lat później przyszedł na świat ich syn Tadeusz. Eugenia zmarła 10 września 2008 roku.

W lutym 2013 roku media w Polsce podały informację o prawdopodobnym zrekonstruowaniu fragmentu listy katyńskiej, która obejmuje 3870 nazwisk obywateli polskich zamordowanych na terenie Białorusi po 17 września 1939 roku. Na tej liście znajduje się Jan Poźniak, przewieziony z Czerwienia do więzienia w Mińsku 22 kwietnia 1940 roku przez 226. pułk 15. Brygady Wojsk NKWD.

Jan Pożniak urodził się 19 lutego 1895 roku w Sobotnikach. Z wykształcenia był organistą i w tym zawodzie pracował w kościele Świętego Jana Chrzciciela w Ławaryszkach koło Wilna i w samym Wilnie w kościołach Świętego Jana Chrzciciela i Świętego Jana Apostoła i Ewangelisty. Od 1909 roku był aktywnym działaczem białoruskiego odrodzenia narodowego. Należał do władz partii Białoruska Chrześcijańska Demokracja przekształconej z czasem w Białoruskie Zjednoczenie Ludowe, którego był prezesem. Należał również do władz Białoruskiego Komitetu Narodowego. Parał się dziennikarstwem i brał udział w wydawaniu gazet ukazujących się w Wilnie: „Biełarus”, „Biełaruskaja Krynica”, „Chrysycijańska Dumka”.

23 lutego 2013 roku Aleksander Kołyszko, prezes Towarzystwa Kultury Polskiej Ziemi Lidzkiej, został sądownie ukarany grzywną w wysokości 2,5 mln rubli białoruskich (ok. 1000 zł), za zorganizowanie w Lidzie nielegalnego według władz zgromadzenia przy symbolicznym grobie księdza Adama Falkowskiego. 22 stycznia zebrała się w tym miejscu grupka osób, żeby jedynie pomodlić się, zapalić znicze i położyć kwiaty czcząc w ten sposób pamięć o kapłanie oraz innych uczestnikach powstania styczniowego.

W sierpniu 2013 roku Leo Lauresz zrealizował swój kolejny i największy jak dotąd projekt wydawniczy. Ukazała się drukiem jego książka zawierająca zbiór szkiców z historii astronomii na Białorusi zatytułowany „I zornaje nieba nad haławoj. Narysy historii astronomii Biełarusi”.

4 marca 2013 roku w wieku 83 lat, zmarł w Sobotnikach Antoni Tuczkowski, syn Józefa i Teofili Trubickiej z wioski Rybaki. Mieszkał na Antakolu z żoną Marią z domu Puczkiewa, córką Macieja i Stefanii Sułtan z Sobotnik. Mieli troje dorosłych dzieci i byli dziadkami. Antoniego poważano i znano jako bardzo pracowitego i prawego człowieka, katolika. Pewnego razu wybrał się on nad jezioro Bajkał odwiedzić mieszkającego tam starszego brata. Gdzie leży Bajkał,

a gdzie są Sobotniki! I trzeba było jechać przez Moskwę! Antoniego wcale to nie zrażało, był spokojnym i opanowanym człowiekiem. Dojechawszy do konkretnej miejscowości nad Bajkałem zaszedł na posterunek milicji, gdyż nie miał dokładnego adresu brata.

- Ty skąd przyjechał? - zapytał go milicjant. - Z Sobotnik na Białorusi - odpowiedział Antoni. - A ja jestem z Gieranion - ten na to.

I tak, kilka tysięcy kilometrów od ajczyzny spotkał ziemia-ka, który pomógł mu odszukać brata. W drodze powrotnej Antoni kupił w Moskwie telewizor, żeby nie wracać z pustymi rękami do chaty.

W tym samym roku na jesieni los jeszcze raz ciężko doświadczył Marię Tuczowską. W wypadku pod Kijowem tragicznie zginął jej syn Janek, którego poznałem w Sobotnikach w 2004 roku na obchodach stulecia naszego kościoła. Janek mieszkał na Ukrainie i był prężnym przedsiębiorcą.

16 marca 2013 roku w wieku dziewięćdziesięciu pięciu lat, zmarła w Bristolu w Anglii Wanda Tomala z domu Czejdo. Urodziła się w Wilnie i była najstarszym dzieckiem Bolesława i Aleksandry z domu Morozowskiej. Niedługo potem jej rodzice kupili dom w Sobotnikach, gdzie Bolesław założył aptekę. W Sobotnikach Wanda spędziła dzieciństwo i skończyła szkołę podstawową. Następnie ukończyła gimnazjum oraz liceum Hetmana Karola Chodkiewicza w Lidzie. Należała również do harcerstwa i Sodalicji Mariańskiej. W czasie wojny została wywieziona przez Sowieców do obozu w Uzbekistanie. Z Sowieckiej Rosji wydostała się z armią Andersa. Dalej jej szlak ku wolności wiodł przez Persję, Irak, Palestynę, Liban, Egipt, Włochy do Anglii.

Dnia 25 marca 2013 roku w Poznaniu zmarła Zofia Jamontt. Urodziła się w 29 stycznia 1928 roku w Wilnie i była córką Macieja, znanego wileńskiego adwokata, i Zofii z domu Missarzowskiej. Dzieciństwo spędziła w należącym do rodziców folwarku Rockiszki koło Gieranion, a młodość lata

w Wilnie, gdzie uczęszczała do szkoły Sióstr Nazaretanek. Jej ojciec był pełnomocnikiem margrabiny Janiny Umiastowskiej z Żemłosławia, stąd też pani Zofia dobrze знаła Sobotniki i okolice, znała wielu mieszkających tam ludzi, a jej rodzice przyjaźnili się z doktorostwem Jarmolińskim.

13 października 1939 roku w Wilnie bolszewicy aresztowali Macieja Jamontta i zamordowali go w nieznanych okolicznościach w Mińsku. Jego żona z córką schroniły się wówczas w Jerozolimce koło Wilna, a po wejściu Niemców powróciły do Rockiszek. W czasie niemieckiej okupacji Rockiszki stały się schronieniem dla wielu osób zagrożonych represjami.

W 1942 roku Zofia Jamontt została zaprzysiężona do Armii Krajowej pod pseudonimem „Kalina”. Była łączniczką w 1. kompanii porucznika Zdzisława Bułak Bałachowicza „Zdroja”, stryjecznego brata Reginy Jarmolińskiej córki doktorostwa, w 6. batalionie kapitana Stanisława Dedelisa „Pala” w 77. pułku piechoty Nowogródzkiego Okręgu AK. Jednym z jej zadań było przenoszenie leków ze szpitala w Sobotnikach, którym kierował doktor Kazimierz Jarmoliński, do leśnych oddziałów. Zaopatrywała także partyzancki punkt szpitalny w Zakrzewszczyźnie koło Gieranion, który znajdował się w domu jej kuzynki Aliny Jamontt.

Wielką pasją i miłością pani Zofii były Kresy. Po przejściu na emeryturę w sumie dziesięć lat spędziła na Białorusi. Bywała w Gieranionach, Sobotnikach i Lidzie. Prawie rok spędziła pośród kapucynów w rejonie dokszyckim na Witebszczyźnie pomagając im w tworzeniu archiwum. Wielokrotnie odwiedzała Wilno.

26 kwietnia 2013 roku w Walimiu, po długiej i ciężkiej chorobie, zmarł Janek Kononowicz. Urodził się w czerwcu 1940 roku w Sobotnikach i był synem Jana i Michaliny z domu Koczan. W wieku szesnastu lat zgłosił się ochotniczo do pracy w Pietrozawodsku nad jeziorem Onega, na północ od ówczesnego Leningradu. Wówczas wielu młodych ludzi tam ścigało w ramach wielkiej akcji tworzenia ciężkiego przemy-

ślu w Związku Sowieckim. Janek nauczył się tam zawodu murarza i być może zostałby na stałe, gdyby nie decyzja całej licznej rodziny o wyjeździe na stałe do Polski, co nastąpiło w 1957 roku. Wpierw osiedli w Bielawie, a następnie Janek z rodzicami i starszą siostrą Alfredą przeprowadzili się do Walimia. To gminne miasteczko i bliska wioska Rzeczka stały się przystanią życiową w Polsce dla kilkunastu rodzin pochodzących z Sobotnik i sobotnickiej gminy.

20 kwietnia 2013 roku w wieku 82 lat, po ciężkiej chorobie, zmarł w Borowikach Witold Juchniewicz, Wit. Ostatni raz spotkałem go w niedzielę 30 października 2011 roku. Trochę dłużej zostałem po mszy świętej przy kościele, gdyż zwijałem moją wystawę fotograficzną. Idąc ulicą Wileńską do Janka na Antakol zobaczyłem krocącego w moim kierunku Wita. Po przywitaniu zapytał mnie: „Kazik. Wypijesz sto hram?”. Przytaknąłem głową i powiedziałem: „Wypiję”.

Staliśmy pod drzewem, ale Wit dla ostrożności wpierw był rozejrzawszy się dookoła, a następnie wyciągnął spod marynarki butelkę samogonu i podał mi. Pociągnąłem łyk. Następnie Wit wyjął z kieszeni marynarki paczkę z herbatnikami i powiedział: „Zakusi chacia tym”. Herbatniki zwane u nas piaczennie. Zwykle kruche ciasteczka bez żadnych dodatków, których smak przypominał mi się z dzieciństwa. Pociągnęliśmy jeszcze po jednym łyku.

Wit wypracował swoją emeryturę jako kowal w sobotnickim kołchozie. Za młodu był wielokrotnie namawiany do wstąpienia do komunistycznej partii. Zawsze się umiejętnie od tego wykręcał przekonując towarzyszy, że jego sprawa to praca w kuźni i roboty ślusarskie, a nie polityka. Dobrze zapamiętał słowa swojej matki: „Żebyś mi synku do żadnego Komsomołu i partii nigdy nie wstąpił”.

W lipcu 2013 roku w Raczkowszczyźnie, w rejonie szczuczynskim, nieznani sprawcy spłowali i wywieźli krzyż pamięci ostatniego dowódcy połączonych sił Armii Krajowej obwodu Lida-Szczuczyn Anatola Radziwonika „Olecha”.

8 sierpnia 2013 roku w wieku 70 lat zmarł w Gdyni Czesław Wasilewski. Urodził się w wiosce Dobrowalny sobotnickiej gminy w rodzinie Nikodema (u nas mówią Mikodem) i Janiny z Jusielów. Matka mu wcześniej zmarła i ojciec ożenił się powtórnie z Zofią z Kaszkiewiczów z zaścianka Czechy koło Stanulanców w parafii i gminie Gieraniony.

Po zakończeniu wojny Czesiu ukończył cztery oddziały w szkole w Dobrowlanach, a następnie poszedł do szkoły w Sobotnikach. Klasy miały tam wtedy po pięćdziesięciu uczniów, a dodatkowo piąta, szósta i siódma miały po trzy grupy. Wśród uczniów była spora różnica wieku i zapóźnienie spowodowane wojną, tak że Czesiu chodził do jednej klasy z własną ciocią.

Najtrudniejszy czas do życia nastąpił na początku lat pięćdziesiątych, kiedy w prawie każdej wsi zakładano kołchoz. Gdy pierwszy raz sadzili bulbu w dobrowlańskim kołchozie „Brzask”, to więcej jej rozkradli niż posadzili, tak że zabrakło sadzeniaków. Na polu pracowało około dwudziestu kobiet. Każda brała koszyk sadzeniaków i buch od razu cały rzuciła w redlinę, żeby wieczorem łatwo było znaleźć. Nie zawsze się to udawało i pozostawione ziemniaki zakwitały na wiosnę dużymi kuczami.

A co miały robić? Za ciężką pracę przy kołchozowym lnie: pielenie, zbieranie, obijanie, ścielenie, miedlenie, trzepanie, nawet go moczyli żeby zarobić, płacono jeden rubel i trzy dekagramy pszenicy za tak zwany jeden trudadzień, czyli dzień roboczy. Za trzy miesiące ciężkiej pracy Zofia otrzymała 90 rubli i 3 kg pszenicy.

Ojciec Czesia miał „złotą rączkę” do różnych prac nie tylko typowo wiejskich. Potrafił też grać na skrzypcach i razem z bliskimi kolegami: Stasiem Narbutem z Narbut, zwanym Szabastukiem, i Władkiem Byczko z Zalesia stworzyli zespół, który często przygrywał na wioskowych weselach w naszej gminie.

Gdy byłem u Czesia w 2004 roku i przy zastawionym stole częstowałem się też słoniną kupioną u miejscowego rzeźnika,

to nie znalazłem w niej smaku tej z naszych stron. Nasza jest smaczna surowa i osolona, a kapczona, czyli wędzona jest jeszcze lepsza.

- Kapczone jałowcem sała jest najsmaczniejsze - wspominała przy stole Zofia.

Kiedy Szabastuk przychodził do chaty Nikodema w odwiedziny i częstowano go kieliszkiem samogonu i kawałkiem chleba ze słoniną na zakąskę, to odnośnie sały mówił do gospodarza:

- Ty znajesz brat, dyk daj heła najczarniejsze - czyli najmocniej kapczone. Podobnie było z chlebem, im ciemniejszy tym był smaczniejszy.

Coraz trudniej żyło się na ajczyńie. Trzej bracia Zofii wyjechali z rodzinami do Polski i zamieszkali w Trzemesznie, Mogilnie oraz Baranowie koło Gniezna. Zofia namówiła Nikodema i jak wiele innych rodzin rozpoczęli starania o wyjazd.

Na jesieni 1957 roku razem z Janczarską z Żemajtuk co trzeci dzień jeździły do Juraciszek wyrabiać odpowiednie dokumenty. Potrzebne do tego były ich metryki urodzenia, które Sowietci zabrali z Sobotnik do Iwia. Ludzie jeździli po nie i stali w długich kolejkach, często bezskutecznie. Odsyłano ich z błahych powodów i kazano przyjechać jeszcze raz. Dochodziło do drastycznych scen wyłamywania drzwi w urzędzie. W końcu kobietom udało się załatwić potrzebne papiery, ale za łapówkę po dwadzieścia pięć rubli od każdej, co na tamte czasy było niemałą kwotą.

Do Polski wyjechali w pierwszej połowie kwietnia 1958 roku i wpieryw zamieszkali w Trzemesznie. Czesiu poszedł do szkoły wieczorowej. Na wstępnym dyktandzie z języka polskiego zrobił mniej błędów niż jego kolega z tej samej ławki, mimo że nigdy nie chodził do polskiej szkoły.

Rodzinne strony rodzina Wasilewskich odwiedziła pierwszy raz w 1973 roku. Czesiu spotkał się wtedy z kuzynem Jankiem Wasilewskim, którego ojciec był bratem Nikodema, a losy wojenne zawiodły go na stałe do Argentyny. Janek

bardzo dużo pił, być może z tęsknoty za niewidzianym nigdy ojcem. Mieszkał w wiosce Stoniewicze tuż za Iwiem. Nie pozwolił w dowodzie osobistym zruszczyć swojego imienia na Iwan.

Podczas tej wizyty Czesiu jechał rowerem na Żemajtuki i na mijanym polu spotkał kolegę Wicię Kunatowicza, którego brat był księdzem w Nowym Jorku. Na polu akurat coś zasiewano, a Czesiu trafił na moment, jak ziarno zamiast do siewnika ładowano w workach na konny wóz. Pracujący na polu nie znali Czesia i spoglądali na niego podejrzliwie. Ale Wicia przedstawił go jako ziarniaka z Dobrowlan, więc dali mu pięć rubli żeby skoczył na wioskę po samogon. Wiedzieli, że jako gościeowi sprzedadzą mu pierwszak, czyli pierwszy produkt destylacji, mocny jak cholera.

Czesiu wrócił. Wypili, zakusili i lody pękły. Wskazując na jeżdżący po polu pusty siewnik Czesiu zwrócił się do brygadzysty:

- Szto z hetaha wyraście?
- Skolka majesz hadoŭ? - ten go zapytał. - Dwadcać sześć - odparł Czesiu. - Dwadcać sześć i taki durny? Ja dostał ziarno i pasiejał. No nie wyrasło, bo było chujowe.

Nikodem Wasilewski zmarł w Gdyni 25 grudnia 2009 roku w wieku 99 lat.

W środę 13 sierpnia 2013 roku zmarł w Chilewiczach mój wujek Waclaw Niechwiadowicz, rocznik 1932, zwany Cyganem. Jego baćka i baćka mojego taty byli rodzonymi braćmi.

To właśnie Wacek opowiedział mi o bliskim i historycznym majątku Jakub Dmochowskich, który pamiętał sprzed wojny. Przy najbliższej mojej wizycie chciałem, żeby mnie zaprowadził w to miejsce a także pokazał, jak pracuje rozgrzana do czerwoności kuźnia. Wujek z zawodu był ślusarzem i kowalem, i podręczny warsztat miał w swoim gospodarstwie. Niestety to się już nie wydarzy. Nic więcej się też nie dowiem o historii mojego rodu w Chilewiczach, nie dowiem się dokąd wyjechali z ajczyny moi krewni, a Chilewicze nieubłagane wymierają.

Dnia 31 maja 2014 roku zakończył posługę duszpasterską w parafii Sobotniki ojciec Franciszek Gałdyś, chrystusowiec z Towarzystwa Chrystusowego dla Polonii Zagranicznej. Ojciec Franciszek przepracował w sobotnickiej parafii 18 lat (dokładnie byłoby to 9 września). Nowym proboszczem został ksiądz diecezjalny Aleksander Lebieźiewicz lat 31. Ksiądz Aleksander był w kapłaństwie siedem lat, ostatnie cztery jako wikary w Iwii, siedzibie dekanatu, do którego należą Sobotniki. Urodził się w niedalekich Bieniakoniach, gdzie przy tamtejszym kościele spoczęła Maryla z Wereszczaków Puttkamerowa, wielka miłość Adama Mickiewicza uwieczniona w jego poezji.

Na Różańcową

(02.10-11.10.2014)

Ten tekst rozpoczynam pisać 9 października 2014 roku. Jestem u cioci Władzi w Lidzie. Siedzę przy kuchennym stole i notuję zapamiętane obrazy, myśli i zdarzenia. Na moich kolanach leży Ryśka. Murka siedzi na stole i z wielkim zainteresowaniem śledzi ruchy długopisu na papierze. Muzik wskoczył na otwarty lufcik kuchennego okna i obserwuje dzieci z bliskiego przedszkola przebywające na świeżym powietrzu. Ale jest jeszcze Małaja-Malutka, którą nazwałem z angielskiego Szi. To młodziutka, drobna czarna kotka z długimi białymi wąsami, z białym krawacikiem pod szyją i białymi końcówkami łapek. Ciocia przygarnęła ją z ulicy, kiedy zdechła jej matka. Ryśka zasnęła na moich kolanach i przyjemnie je grzeje. Sama też potrzebuje ciepła, gdyż w Lidzie jeszcze nie uruchomiono centralnego ogrzewania i w mieszkaniach jest zimno.

Jadę w rodzinne strony na kilka dni i będzie to zaledwie namiastka planowanego pobytu letniego, który nie został zrealizowany gdyż złamałem rękę. 5 lipca zmarła ciocia Janka, siostra mojego taty. Została pochowana nazajutrz, w dniu moich pięćdziesiątych siódmych urodzin, na sobotnickim cmentarzu obok swojego męża Antosia Kursewicza.

Tym razem wyjeżdżam z Poznania z gotową już wizą białoruską otrzymaną poprzez biuro podróży Alces. W pociągu Białystok-Grodno jedzie niewiele osób. Część z nich nadal zajmuje się papierosową kontrabandą. Podobno na granicy zamknięto przejście dla pieszych, z którego głównie korzystały „mrówki”.

W Kuźnicy Białostockiej polska wopistka, drobna ładna szatynka, długo porównuje moje zdjęcie z paszportu z rzeczywistym wyglądem.

- Jest pan zupełnie niepodobny do fotografii - mówi do mnie z uśmiechem.

- To prawda - odpowiadam jej. - Mój paszport ma już osiem lat, a ja w chorobie zapuściłem długie włosy.

Białoruska dziewczyna ze służby pogranicza w Grodnie nie ma takich obiekcji jak jej polska koleżanka. Celnik na mytni, mężczyzna w średnim wieku, dobrze mówi po polsku z kresowym akcentem. Pobieźnie sprawdza mój bagaż pytając się, czy wiozę kiełbasę lub mięso. Tuż za mną kontrolę przechodzi małżeństwo ze Słubic. Są znacznie młodszy ode mnie, a ojciec rodaka wyjechał z Grodna w 1958 roku, tak jak ja z rodzicami z Sobotnik, jak Czesław Niemen ze Starych Wasiliszek.

Przekraczając granicę nieopatrznie zjadam sporą gruszkę i kilka śliwek. Wkrótce dopada mnie bolesna przypadłość, która będzie mi towarzyszyć jeszcze po powrocie do kraju. Jak tylko szybko mogę atakuję toaletę grodzieńskiego dworca. Z żede kieruję się skrótem na aŭtawakzał.

Idąc długą ulicą Czapajewa zagaduję młodą kobietę prowadzącą wózek z dzieckiem, czy podążam we właściwym kierunku. Używam mowy mieszanej, a ona słysząc polskie słowa z uśmiechem i czysto po polsku odpowiada, że tak.

W Lidzie jestem o godzinie osiemnastej i znowu szybko podążam do dworcowej toalety. Ciocia Władzia jest na kropłówkach w szpitalu i wyjdzie dopiero jutro. Biorę taksówkę, kurs za 50000 rubli, i jadę nocować do kuzyna Witka.

Poranek w mieście jest zimny, minus pięć stopni Celsjusza, ale bardzo przyjemny. Mroźna nocka nałożyła białe pokrowce na dachy samochodów. Słońce już wstało, ciemnoczerwone i jeszcze niewielkie. Jego tarcza powoli unosi się i rozszerza przybierając coraz jaśniejszą a zarazem jaskrawszą barwę. Nisko nad trawami unoszą się długie i cienkie, szarobiałe pasemka przezroczystej mgły - tuman.

Stoję na przystanku autobusowym przy ulicy Gastello, gdzie mieszka Witek i czekam na mikrobus linii numer piętnaście, który zawiezie mnie na aŭtawakzał. Bezdomny kot z puszystym ogonem nie ma ochoty na plasterek kiełbasy

posmarowany masłem wyjęty z podróżnej kanapki. Może zje później?

Ludzie spieszą do pracy, do szkół, po poranne zakupy. Szybko zwracam uwagę na wysokie szczupłe dziewczyny z długimi rozpuszczonymi włosami, z nogami do samej ziemi, w czarnych rajstopach i mini czarnych spódniczkach lub w krótkich czarnych spodenkach. Super elegantki! Bardzo ładne!

Tuż obok jest duży supermarket Ałmi zaopatrzony nie gorzej niż podobne w Poznaniu. Na stoisku z rybami jest duże akwarium, w którym pływają karpie. Oferowane śledzie iwaszy biją na głowę w smaku i mięsistości popularne u nas matiasy.

W dużym dziale gotowych produktów do szybkiego przyrządzenia lub natychmiastowej konsumpcji jest mnóstwo różnych kotletów, mięsnych rolad i kielbas, pierogów i sałatek. To produkty miejscowe, ale na Białorusi są też zachodnie koncerny spożywcze oraz inne, chociaż ich dominacja nie jest tak silna jak u nas.

Kupuję bilet do Iwia - muszę się przecież zarejestrować, i idę na peron piąty, a na sąsiedni szósty akurat podjeżdża duży rejsowy autobus. Po chwili z megafonu rozlega się silny i wyraźny kobiecy głos:

- Poważanyje pasażyry. Prybyŭ aŭtobus Vilnius-Hrodna. Czas adpraŭlenija ŭ rejs **dziesiać** hadzin pietnadcać chwilin. Prosim zaniać swaje **miesty** ŭ sałonie aŭtobusa.

Na ławce tego peronu siedzą dwaj mężczyźni w średnim wieku. Jeden z nich ubrany jest w wiatrówkę z wypłowiałym napisem CANADA na plecach. Chłód poranka zwalczają ćwiartką wódki wypitą duszkiem z butelki na dwóch i zapaleniem papierosów.

Jest godzina dziesiąta minut piętnaście - po białorusku piętnaście minut jedenastej. Kierowca uruchamia silnik, włącza radio i ruszamy do Iwia. Na znanej już wam rogate Lidy nikt nie wsiada. Zapewne pierwsze osoby pojechały wcześniej na **priamuju**, a o siódmej trzydzieści pięć przemknął

tędy autobus Lida-Żemłosław przez Lipniszki i Sobotniki, mój autobus.

Tuż za Lidą pierwszą mijaną wioską jest Dubrownia. To stara osada, ale z drogi widać jedynie osiedle nowych i wciąż stawianych piętrowych domów. Mijamy pojedynczych rowerzystów i osoby idące lewą stroną drogi. Jesień już wzięła pędzel do ręki i delikatnie rozpoczęła malować liście dodając im nowych pięknych kolorów.

Wioska Kosowszczyzna. Katolicki krzyż z małą kapliczką obok przystanku i nieliczne krowy pasące się na wygonie. Wioska Tatarcy, a w radiu śpiewa Tom Jones. Piętnaście kilometrów w prawo jest Dokudowo nad Niemnem.

4 lipca 1944 roku w Dokudowie miała miejsce bitwa pomiędzy żołnierzami Wehrmachtu a partyzantami z 8. batalionu „Bohdanka” 77. pułku piechoty AK broniącymi przeprawy przez Niemen. Mimo znacznej przewagi niemieckiej starcie zakończyło się zwycięsko dla naszych żołnierzy.

Berdówka, a za nią Kirianowce ze stojącymi obok siebie krzyżami katolickim i prawosławnym. Opuszczamy rejon lidzki i wjeżdżamy w iwiejski z pierwszym przystankiem Andruszki jeden kilometr w prawo. Z autobusu wysiada starsze małżeństwo i szeroką polną drogą idzie w słońcu do swojej wioski.

Niestrzeżony przejazd kolejowy na jednej wstędze żelaznej drogi Lida-Mołodeczno. Chwilę stoimy, gdyż przed nami jest kilka samochodów. Z lewej strony bezkresny widok aż po horyzont i jeszcze dalej, gdyż linia horyzontu jest tylko umowną granicą. Po prawej stronie cmentarz prawosławny i wkrótce niewielka murowana cerkiew w Kniazikowcach Wielkich. Trafiliśmy na pogrzeb jakiegoś żołnierza i to chyba oficera, bowiem przed cmentarną bramą ostatnie przygotowania robiła niewielka reprezentacja orkiestry wojskowej.

Drogowskaz pokazuje w lewo jeden kilometr do Nowej Żyżmy. Duża wioska Sciganie i już widać Lipniszki z pasącymi się krowami na pierwszym planie i kościołem Świętego Kazimierza w tle. Dziesięć minut przerwy w centrum

miasteczka i ruszamy do bliskiego już Iwia. Po lewej stronie lipniskiej ulicy postępuje budowa nowego drewnianego domu z ociosanych belek w kolorze miodowym, w starym przedwojennym stylu.

Zjeżdżamy z głównej drogi w prawo do wioski Gawia, gdzie wysiada starsza kobieta i robimy nawrót z powrotem na Iwie. Stacja kolejowa Gawia, most na Gawii, Sudorgi, Krasowszczyzna, Drobyszy, jeden kilometr w prawo Sauhucie kuzyna Kazika, Iwie.

Pierwszy raz mam problem z rejestracją w rejonie. Przyjmuje mnie jakaś nowa urzędniczka bardzo przestrzegająca przepisów. Żąda, żeby przyjechał Janek i potwierdził swoim podpisem fakt zamieszkania u niego podczas pobytu na Białorusi. Kuzyn zjawia się po pół godzinie. Pokazuje mi nowy pomnik stojący w centrum Iwia i poświęcony czterem religiom, które w różnym stopniu były historycznie i są nadal obecne w mieście: katolickiej, żydowskiej, prawosławnej oraz islamowi.

Jestem tutaj mile zaskoczony stosunkiem kierowców do pieszych. Kiedy stoję przed przejściem przez ulicę lub jestem parę metrów od niego, to nadjeżdżający kierowcy dają mi pierwszeństwo uprzejmie pokazując ręką. To samo zauważyłem później w Lidzie. Janek uświadomił mnie, że nie wynika to głównie z ich kultury jazdy, ale z faktu, że za nieprzestrzeganie przepisów drogowych, w tym przypadku relacji z pieszymi, grożą na Białorusi bardzo surowe kary.

Po drodze do Sobotnik zauważam nowe wycinki lasów. Kilka kilometrów przed miasteczkiem jedziemy po nowym dobrym asfalcie. Skręcamy w lewo w kierunku mostu na Gawii i w pierw przejeżdżamy przez strumień Kaczerha wpadający do rzeki. Płyne on pod drogą przez dwie duże betonowe rury. Ten nietypowy mostek jest dla mnie nowością jak i prace drogowe prowadzone w kierunku widocznego już miasteczka. Mijamy nasz kościół i po dwóch minutach parkujemy w obejściu chaty Janka na Antakolu.

W gospodarstwie kuzyna przybył hydrofor i elektryczny przepływowy podgrzewacz wody w kuchni. W odnowionej w tym roku bani ma być zrobiony prysznic - dusz.

Po posiłku i krótkim odpoczynku idę znajomymi i bliskimi uczuciom drogami i ścieżkami do Zosi na kolonię, gdzie jak zwykle jest moja baza pobytowa w Sobotnikach.

Następnego dnia, w sobotę, przebywam przez kilka godzin na cmentarzu czyszcząc kwaterę Kononowiczów. Niedaleko cmentarnej bramy, ale na zewnątrz, jest betonowy boks na śmieci, którego w ubiegłym roku jeszcze nie było. Mam szczęście, bo akurat podjeżdża śmieciarka i jej dwuosobowa załoga opróżnia dwa pełne metalowe pojemniki.

W miasteczku spotykam Edka Puczkiele, który był dobrym kolegą mojego stryja Albina. Mimo swoich osiemdziesięciu trzech lat Edzia dobrze się trzyma i nawet jeździ rowerem, który ma ze sobą.

- Mój ty Boże! - mówi Edzia zaskoczony naszym spotkaniem. - Trzeba jakoś spotkać się Kaziunia i wypić po sto hram.

- Panie Edku nie tym razem - odpowiadam. - Przyjechałem na krótko i mam mało czasu. Jak zobaczymy się następnym razem, to wypijemy po sto hram, zakusim padzarynymi jajkami z sałami, porozmawiamy i budzie dobra.

Na obiad zachodzę do cioci Janki Albinowej. I w tej mojej bliskiej rodzinie zaszły zmiany. Wadim, jednak kuzynki Alicji, ożenił się w sierpniu. Młodzi kończą studia w Mińsku, a Wadim jednocześnie pracuje.

Miesiąc temu zmarła Janka teściowa. Dzisiaj odbędzie się okolicznościowa msza w trzydzieści dni od jej śmierci, a następnie poczęstunek w stałowej. Z Gieranion przyjedzie Irki brat z żoną, z Woronowa Irki siostra z mężem, z Lidy siostra zmarłej, z Mińska teściowie Heleny - córki Janka i Irki.

Niespodziewanie pojawia się w miasteczku Janek Buiko z Iwia. Nie może być na niedzielnym feście i zobaczyć zdjęcia, które rozwieszę. Sam obecnie zbiera materiały dotyczące przebiegu pierwszej wojny światowej na terenie obecnego

rejonu Iwie. Daję mu do jego zbiorów przedwojenny numer „Płomieni”, w którym jest opisana ówczesna struktura administracyjna i urzędnicza województwa Nowogrodzkiego z powiatem lidzkim, do którego należała dzisiejsza iwiejszczyzna.

Wracam do Zosi na kolonię. Głęboką nocką muszę iść do sławojki stojącej z dala od chaty. Niebo jest zachmurzone i tylko nieliczne widoczne gwiazdy mrugają do mnie przyjaźnie. Reks i Mały zupełnie nie zwracają uwagi na moje zdrowotne problemy.

Pierwsza niedziela października i trzeci a zarazem ostatni i najważniejszy fest w parafii Sobotniki z okazji święta Matki Bożej Różańcowej. Tradycja kółek różańcowych i wymieniania się tajemniczkami sięga tu czasów przedwojennych. Istniało wówczas bractwo różańca świętego, do którego w 1930 roku należeli: Mieczysław Bohuszewicz, Bolesław Czejdo, Wanda Czejdo, Adela Cicha, Władysława Bahdziul, Halina Dobuszyńska, Józef Panasewicz, Stanisław Tuczkowski, Antoni Bil, Teofil Tuczkowski, Anna Niechwiadowicz.

Wychodzę z kolonii wcześniej, żeby ze spokojem rozwiesić plansze ze zdjęciami. Pogoda jest dobra, podobna do tej z ostatnich dni. Jest ciepło, świeci słońce i tylko czasami lekki wiatr przegina gałązki drzew. Leśna darożka przez dawne dziadkowe pole jest mocno zarośnięta, ale jeszcze może nią przejechać skoraj pomoszcz (hutkaja dapamoha - brs.) wzywana do Zosi już parę razy w tym roku.

Kiedy po wyjściu z lasu idę polną drogą w kierunku Łyntupskiej Drogi, to się zatrzymuję kilka razy i rozglądam dookoła. Chcę się napatrzeć otaczających mnie krajobrazów bliskich pól i odległych lasów, pofalowanych wstążek dróg, na których białoszary obłok unoszącego się pyłu jest oznaką przejeżdżającego właśnie samochodu. Chcę nasycić oczy soczystą zielenią wczeszłej oziminy, posłuchać otaczającej mnie ciszy, której nie zakłócają słyszane śpiewy i trele ptaków.

Październikowy fest na Różańcową rozpoczyna się od wystawienia Najświętszego Sakramentu. Uroczystości przewodniczy

zaproszony przez proboszcza Aleksandra Lebedziewicza jego kolega z seminarium grodzieńskiego pracujący w parafii Grodno Południowe. Następnie z kościoła wychodzi procesja ze sztandarami i feretronami. Kolejno zatrzymuje się przy pięciu odświętnie przystrojonych kapliczkach różańcowych wkomponowanych w wewnętrzną stronę muru otaczającego teren przykościelny. Przy każdej z nich jest odmawiana dziesiątka różańca świętego. Z kolei odbywa się msza odpustowa w języku polsko-białoruskim.

Fest się kończy i ludzie powoli wychodzą z kościoła. Zatrzymują się przed moją wystawą a ja ciszę się, że wśród nich są osoby, dla których jest ona nowością. Powoli cichnie świąteczny przykościelny gwar rozmów między krewnymi i znajomymi. Robimy zakupy na straganach, w miasteczkowych sklepach i odchodzimy do swoich domów, odjeżdżamy do swoich wiosek.

Idę do Janka na obiad, gdzie są jeszcze teściowie jego córki, Olga i Leonid Jabłoński. Pani Olga z dumą opowiada o tym, jak to Polacy z Mińska dbają o pamięć historyczną Rzeczypospolitej na terenie mińszczyzny. Niedawno przy ich pomocy odnowiono zapomniany cmentarz żołnierzy polskich poległych w wojnie z Rosją Sowiecką 1919-1920.

Na kolonię wracam Dowgiałowską Drogą i spotykam Janeczkę Kiewra. Kuśtyka koło swojej chaty wspierając się na dwóch kastylach. Dwa miesiące temu złamała nogę, które się jeszcze nie wyleczyła. Nie jest to jednak dla niej przeszkodą, żeby być obecną na świątecznych mszach w naszym kościele. Podwozi ją samochodem mąż, który akurat wrócił z wioski, gdzie był wymienić się tajemniczkami różańcowymi.

W poniedziałek ponownie idę na mahiłki. Modłę się przy grobach dziadków Niechwiadowiczów i stryja Albina. Przechadzam się cmentarnymi ścieżkami, przeciskam między aharodkami, czytam napisy wykute na pomnikach. Trafiam na piękny nagrobek Stasia Kuleszy z Wasilewicz, dobrego kolegi mojego taty i mi znajomego.

Na części pionowej nagrobku jest jego podobizna z błyskiem w oku i skrzypcami ułożonymi do gry. Na części poziomej znajduje się napis: „Upływa szybko życie, jak potok płynie czas. Za rok, za dzień, za chwilę razem nie będzie nas. I nasze młode lata upłyną szybko w dal, a w sercu pozostanie tęsknota, smutek, żal”.

Mieszkająca w Ameryce ziarniaczka Adela z Grażyńskich Tuczkowska napisała mi w liście, że Staś teraz gra na cmentarzu koleżankom i kolegom ze swoich młodych lat.

Piękny jest nasz stary cmentarz położony nad Gawią. Wiekowe sosny i świerki chylą się w zadumie nad mogiłami. Chociaż do Wszystkich Świętych jest jeszcze prawie miesiąc, to większość grobów jest już uporządkowana i przybrana sztucznymi kwiatami, a niektóre aharodki są świeżo pomalowane.

Mija mnie wysoki, barczysty i postawny mężczyzna podśpiewując pod nosem polską piosenkę. Zapoznajemy się później przed cmentarzem. To Staś Naron mieszkający na Łotwie. W tym roku w Sobotnikach zmarł jego starszy brat Jurek. Przed wojną ich ojciec Michał należał do ochotniczej straży pożarnej w miasteczku.

Ten dzień jest zdecydowanie chłodniejszy od poprzednich i czasami kropi drobny gęsty deszcz. Mimo to z cmentarza idę nad Gawię i przechadzam się jej brzegiem. Poszycie pośród drzew miękko ugina się pod moimi stopami. Jest jak lekko sprężysta zielona gąbka. Mocniej dmucha wiatr i unosi w powietrze liście ledwo trzymające się gałęzi. Przybierają one postać delikatnej i mrugającej wieloma oczami chmurki, która łagodnie układa się na Gawii i płynie z nią do Niemna.

Wieczorem na kolonii Zosia przekonuje mnie, że bym już we wtorek pojechał do Lidy i pobyl u Władzi kilka dni. Zgadzam się z nią, gdyż do Polski chcę wrócić najpóźniej w sobotę.

We wtorek żegnam się z cicią i wujkiem i idę w kierunku starego gumna, za którym rozpoczyna się leśna darożka wiodąca przez dawne pole dziadka Jana. Oglądam się za siebie

i macham ręką w kierunku widocznego jeszcze okna kuchennego, za którym zapewne stoi Zosia. Tak jak dawniej, kiedy dziadka już nie było, ale żyła jeszcze jego siostra Jadwiga nazywana babcią Jadwigą. Zawsze po pożegnaniu, któremu towarzyszyły obustronne łzy stała w kuchennym oknie i patrzyła jak powoli się oddalamy: mama, tata, ja i siostra. A my kilka razy się odwracaliśmy i machaliśmy rękami do tej drobinki, aż zasłoniły ją dwie olbrzymie brzozy stojące obok gumna.

Ryśka jak zwykle jest bardzo nachalna i jednocześnie bardzo słodka i kochana. Od razu wskakuje mi na kolana i przybiera pozycję „chcę się teraz trochę zdrzemnąć”. Ciocia krząta się po kuchni przygotowując dla nas posiłek. Małaja - Szi wskakuje jej na biodro, wdrapuje na ramię i z góry patrzy na to co się akurat dzieje - taka jest ciekawska. Murka siedzi na okiennym parapecie, a Muzik w ulubionym otwartym lufciku.

Lida jest miastem bardzo przyjemnym i czystym. W wielu jej miejscach zauważam nowe budownictwo prywatne i to dość zamożne. Kiedy się o nie pytam moich ludzkich znajomych to słyszę, że często na ten cel idą kredyty bankowe i pieniądze uzyskane ze sprzedaży rodzinnych chat pozostałych na wioskach. Ja uważam, że jest to tylko część prawdy, do której należy dołączyć zawodową i prywatną przedsiębiorczość obywateli Białorusi nie tak łatwą do osiągnięcia w realiach ich kraju.

Jadę piętnastką do Witka, a moim celem jest odnalezienie Wiktora Białohrywego, który z rodziną mieszka niedaleko mojego kuzyna. Wiosną tego roku zwróciła się do mnie kancelaria adwokacka z Warszawy specjalizująca się w sprawach spadkowych w tym zagranicznych. Poszukiwała Wiktora Białohrywego urodzonego w 1926 roku w wiosce Lajki parafii Lipniskiej. Wielokrotnie byłem w Lipniskach i raz przejechałem rowerem przez Lajki, co udokumentowałem zdjęciami na stronie www.radzima.org. I może dlatego warszawska kancelaria skontaktowała się ze mną.

Podczas mojego pobytu na Białorusi przebywała na kolonii Lonia Stankiewicz urodzona w Lajkach. Rodzinny dom odwiedziła jej córka Irena mieszkająca na stałe w Wilnie. Irka, moja rówieśniczka, od kilku lat prowadzi swój własny biznes. Zajmuje się sprzedażą odzieży, po którą regularnie jeździ do Budapesztu. Chociaż mieszka na Litwie, to produkty żywnościowe stara się kupować w Polsce, gdyż są u nas znacznie tańsze. O samych Litwinach ma negatywną opinię, która wyraża się w zdaniu, że „obcemu człowiekowi w potrzebie szklanki wody nie podadzą”. Ta nieprzychylna opinia o Litwinach jest dość powszechna na Białorusi i ja ją też potwierdzam. Wiele lat temu będąc w sklepie w Wilnie zostałem negatywnie przyjęty jako Polak przez młodą sprzedawczynię. Lonia przypomniła sobie ziamliaka z Lajek i odnalazła go w Lidzie przy pomocy mieszkającej tam córki Maryny.

Dzwonię na domofon czteropiętrowego bloku przy ulicy Rybinowskiego. Drzwi otwiera mi Kasia, wnuczka pana Wiktora. On sam ma osiemdziesiąt osiem lat i od pewnego czasu leży w łóżku. Akurat ogląda telewizję, a ja ze względu na jego wiek i stan zdrowia nie chcę go niepokoić rozmową. Pan Wiktor mieszka z synem Stanisławem, który akurat jest w delegacji, a synowa nie wróciła jeszcze z pracy. Kasia informuje mnie, że już trzy lata temu dziadek był poszukiwany przez parafie katolickie z iwiejszczyzny i lidczyzny, a następnie przez biuro adwokackie z Mińska. Chodzi o jakiś spadek z Ameryki i ta sprawa dotyczy także innych członków rodu Białohrywych, do którego należała większość mieszkańców wioski Lajki.

Po powrocie do Polski skontaktowałem się z warszawską kancelarią, która odpowiedziała mi, że całą sprawę prowadzą już tylko adwokaci z Mińska.

Wracam do kuzyna i czekam przed blokiem na jego powrót z pracy. W pobliżu jest kilka bezdomnych skulonych kotów czekających pod balkonami na odruch ludzkiej życzliwości i pomocy. Wchodzę do supermarketu Ałmi i kupuję paczkę su-

chej karmy KitKat o wadze ponad dwóch kilogramów. Kar-
mię nią zauważone dookoła koty i później te spotkane blisko
bloku cioci Władzi. Myślę, że w sumie dałem pożywienie
około dwudziestu kotom i byłem z tego bardzo zadowolony,
gdyż bardzo lubię te zwierzęta od kiedy w moim życiu po-
jawiła się Melania mieszcząca się zaledwie na ludzkiej dłoni.
Melania, Mela, Melcia - moja kocia córeczka.

Od Witka jadę miejskim autobusem linii numer dziewięć.
Przy ulicy 8 Marca stoi duży drewniany krzyż z paciorkami
różańca rozwieszonymi na jego ramionach. Na ławce przed
krzyżem siedzi pięć ciepło ubranych pań i odmawia różaniec
- wiadomo, jest przecież październik.

- Ekanomcie swaje hroszy - reklamuje w autobusie nagra-
ny głos i zachęca do kupowania biletów okresowych. Zwraca
się też z prośbą do pasażerów, żeby utrzymywali czystość
w pojazdach.

Ten tekst jest mówiony po białorusku, a następujące po nim
reklamy są przedstawione tylko trasianką. Na aŭtawakzale
kupuję bilet do Warszawy Zachodniej. Kasjerka, ciemna blon-
dynka gdzieś w moim wieku, okazuje się być ziamliaczką
z Lipnisek.

W czwartek późnym wieczorem przyjeżdżają pomnie Witek
z Władkiem i ostatnie godziny w Lidzie spędzam u nich. Głę-
boką nocą jedziemy razem na aŭtawakzał skąd o godzinie
wpół do czwartej odjeżdżam do Grodna. Jestem jedynym
pasażerem rafika marki mercedes.

W Grodnie przesiadam się do rejsowego polskiego au-
tobusu, którego końcowym przystankiem jest port lotniczy
imienia Fryderyka Chopina w Warszawie. Autobus prowadzi
dwóch kierowców. Wpierw Polak, który wysiada w Białym-
stoku, a następnie Białorusin kierujący do końca podróży.
Razem z nim jest nas dwadzieścia osób. Większość stanowią
młodzi ludzie świetnie mówiący o polsku i wysiadający
w Warszawie na przystanku Politechnika.

Ja wysiadam na dworcu PKSu i kieruję się w stronę dworca kolejowego Warszawy Zachodniej. Zagadują mnie dwaj mężczyźni z ofertą zawiezienia na Ukrainę.

- Do Ługańska czy Doniecka? - odpowiadam im w myślach.

Idę remontowanym przejściem podziemnym łączącym te obydwa miejsca. Po drodze mijam bary prowadzone przez skośnookich śniadych mężczyzn. Dobrze, że oprócz swoich specjałów mają w ofercie miejscowe piwo Królewskie. Dobrze, chociaż w cenie sześć złotych za puszkę. Idę dalej i spotykam szpakowatego mężczyznę z pełnym wąsem i zegarkiem ze złotą bransoletą rozpiętym na dłoni.

- Tanio oddam - mówi mi dyskretnie.

Nadjeżdża mój pociąg do Poznania. Wsiadam, zajmuję miejsce i ruszamy. W przedziale jest czworo biegaczy udających się na dwunasty poznański maraton. Podczas podróży cała ich rozmowa dotyczy tylko tego wydarzenia i podobnych rozegranych wcześniej. Próbuje zainteresować ich gazetą „Słowo Życia” wydawaną przez diecezję Grodzieńską osobno w języku polskim i białoruskim, ale bez rezultatu. Natomiast moja sąsiadka, starsza pani ale nie staruszka, z chęcią przegląda egzemplarze i zgadza się zabrać je ze sobą do domu.

Jesteśmy już blisko Poznania. Szyld na stacyjce kolejowej Antoninek - to są już granice miasta. Za chwilę jest już cmentarz miejski na Miłostowie, gdzie blisko żelaznej drogi spoczywa mój tata, Franciszek - starszy brat dziadka Janka i jego żona Maria - babcia starsza.

I już jest osiedle Warszawskie i ulica Łęczycka z mamą. Wysiadam na Dworcu Głównym o godzinie osiemnastej. To jest koniec tej podróży, ale zakończenia całości nigdy nie będzie.

Krótki zimowy wypad

(28.02-07.03)

W niedzielę 28 lutego, o godzinie dziewiątej trzydzieści, wysiadam z rejsowego autobusu Praga - Mińsk firmy ECOLINES na aūtawakzale w Lidzie. Pogoda jest dobra, słoneczna i trochę mroźna. Do cioci Władzi postanowiam udać się pieszo ciągnąc mój bagaż na kółkach. Przechodząc obok kościoła farnego Podwyższenia Krzyża Świętego fundacji króla Władysława II Jagiełły, spostrzegam zawieszony nad wejściem do świątyni transparent z tytułem Bramy Miłosierdzia na ten rok kościelny. Właśnie zakończyła się msza z godziny dziewiątej i ludzie wychodzą ze świątyni wpierw pojedynczo, następnie po kilka osób i w końcu coraz więcej i więcej.

Po rejestracji w Iwiu mam trochę czasu do autobusu do Sobotnik, więc postanowiam pospacerować po mieście. Wpierw udaję się do kościoła Świętych Piotra i Pawła. Przed zespołem zabudowań świątyni i dawnego klasztoru bernardynów postawiono głaz z marmurową tablicą informującą o tym, że Iwie w drugiej połowie XVI wieku było jednym z ważniejszych centrum arian w Wielkim Księstwie Litewskim i znaczącym naukowo-kulturalnym ośrodkiem. W miejscu istniejących zabudowań Jan Kiszka, właściciel Iwia, ufundował akademię ariańską, której rektorem w latach 1583-1593 był wybitny myśliciel, pedagog i poeta, pochodzący ze Śląska absolwent Akademii Krakowskiej Jan Licyniusz Namysłowski.

Z kościoła jest blisko do „Iwiejskiej krynicy”, naturalnego źródła dobrej krynicznej wody płynące nieprzerwanie spod ziemi.

Następnie wybieram kierunek na niedalekie jezioro. Idąc ścieżką oddzielającą bliskie chaty od taflı wody dostrzegam na ogrodzie jednej z nich, jak trzech mężczyzn rozbierają zabity niedawno świnię. W siermiężnych warunkach siekiera raz po raz wykonywała swoje okrutne ruchy.

Na zamrożonym jeziorze troje zapaleńców łowi spod lodu ryby.

W czasie mojego pobytu w Sobotnikach na krótko powraca zima przysypując naszą małą ojczyznę, baćkouszczynę, białym puchem. Urokliwie w tej nscenerii wygląda chata dziadków Kononowiczów w leśnym otoczeniu, rzeczka Łyntupka z boborowym żerem, leśna dorożka pośród świerków prowadząca skrótem z Dowgiałowszczyzny przez Łyntupkę do Dowgiałowskiej Drogi, groby na cmentarzu na których sztuczne kwiaty dominują swymi kolorami nad przekrywającą je delikatną bielą.

W naszym kościele trafiam na rekolekcje wielkopostne prowadzone przez księdza zaproszonego z seminarium duchownego w Grodnie. Po porannej mszy z rekolekcjami odbywa się Droga Krzyżowa prowadzona przez wiernych. Na rzeczce Matrunie płynącej za kościołem zadomowiły się bobry budując dwie tamy i powalając kilka drzew.

4 marca przypadają moje imieniny i tego dnia jadę z Sobotnik do Lidy z przesiadką w Lipniskach, gdzie jest kościół Świętego Kazimierza, mojego patrona. U Władzi jestem dwa dni i wracam do Poznania, do domu.

Bez tytułu

(22.06-01.07.2016)

22.06.2016, Poznań

Rano w domu jestem jak zwykle trochę zdenerwowany przed podróżą, czyli mówiąc w gwarze poznańskiej mam raj-zefiber. Zapominam zabrać z domu kilka rzeczy. Bilet PKP do Warszawy sprzedają mi bez miejscówek - to dziwne, bo w wagonach są wolne miejsca. Zajmuje jedno z nich razem z podróżnym ze Zbąszynia, który wysiada w Warszawie Zachodniej.

24.06.2016, Lida

Grodzieńszczyzna wita mnie dużymi upałami, takimi samymi jak w Polsce. Na przydomowych ogrodach, na daczach i na polach panuje prawdziwa zasucha, która poważnie i rzeczywiście zagraża tegorocznym zbiorom.

W Lidzie idę wymienić pieniądze, dolary na białoruskie ruble. Bank przy ulicy Tawłaja rozpoczyna pracę dopiero o godzinie dziewiątej, więc mam trochę czasu, żeby wejść do bliskiego kościoła Podwyższenia Krzyża Świętego, zwanego farnym, fundacji króla Władysława II Jagiełły.

Trafiam na mszę w intencji parafialnej pielgrzymki do Budśławia, narodowego sanktuarium katolików Białorusi. Przed kościołem formuje się niewielka grupa pielgrzymów, która przy dźwiękach gitar i śpiewie wyrusza na szlak.

W głęboki ranek dobiega mnie w pokoju bliski koci wrzask. To Miłka - Mielania zwała się przez uchylone okno z oszklonego balkonu, z pierwszego piętra, na zewnątrz budynku. Na szczęście, jak to jest u kotów, spada na cztery łapy, i co ważne nigdzie nie ucieka. Zestresowana Miłka siedzi na dole, a przejęta wydarzeniem ciocia szybko ją odnajduje i zabiera do mieszkania.

25.06.2016, Iwie

W Iwii bez problemów rejestruję się w wydziale paszportowym milicji. Gdybym miał przyjechać tylko na tydzień, to nie musiałbym tego robić.

Spotykam ponownie pielgrzymkę idącą z Lidy do Budśławia. Od jednego z młodych księży, dobrze mówiącego po polsku, otrzymuję obrazek z obliczem Pani Budśławskiej i napisem w języku białoruskim Lida-Budśław, oraz z tekstem:

„Niech błogosławi tobie Pan i chroni ciebie! Niech spojrzy na ciebie światłym obliczem swoim i zlituje się nad tobą! Niech Pan zwróci do ciebie oblicze swoje i niech przyniesie tobie uspokojenie!”.

Pielgrzymi idą długą ulicą 1 Maja, która z Iwia prowadzi na drogę do Mińska. A tuż za Iwiiem, w lesie za wioską Stoniewiczze, po lewej stronie, asfaltowa dróżka prowadzi do miejsca eksterminacji Żydów z getta iwiejskiego, w tym z Sobotnik.

Nareszcie znajduję więcej czasu dla Janka Buiko, który zaprasza mnie do obejrzenia zbiorów muzealnych zgromadzonych w swoim domu. To bardzo duża i różnorodna kolekcja związana z ziemią iwiejską, a także z Polską czasów międzywojennych. Janka działalność to jest już nie tylko hobby, ale coś znacznie więcej wykraczającego poza ramy zwykłego zbieractwa.

Niedawno podczas rozbierania w Iwii jednej ze starych chat, Janek znalazł bardzo ciekawy przedwojenny dokument dotyczący Sobotniki. Zawiera on spis ponad pięćdziesięciu gospodarzy, którzy otrzymali nadziały ziemi w miasteczku. Jest podane ile ziemi posiadali koło swoich chat, jakie duże mieli pola i sianokosy, czyli łąki. Jeżeli mieli jakieś kawałki ziemi w pobliżu dróg, szkoły lub innych budynków, to też zostało podane. Bardzo ważny dokument dotyczący historii naszej ziemi. Jak przyjadę do Iwia, to z pewnością się z nim zapoznam. Janek jest też aktywny w Internecie.

Czekam na dworcu autobusowym w Iwiiu na mój pojazd do Sobotnik. Okazuje się, że będzie to dla mnie trochę nowy kurs, Iwie - Kwiatkowce (przedwojenny majątek w gminie Sobotniki) przez Sobotniki.

Podjeżdża mikrobus Iwie - Łazduny, z którego wysiada tylko jeden pasażer, starsza kobieta. Wita ją młoda dziewczyna z niemowlakiem w wózku - wnuczka z prawnukiem?

Rafik Gieraniony - Iwie kołuje wolno pusty, natomiast w dużym rejsowym autobusie Postawy - Smorgonie - Lida - Grodno jest tylko kilka wolnych miejsc.

25-29.06.2016, Sobotniki

Fest na Świętego Władysława. W tym roku przypada na poniedziałek 27 czerwca, ale proboszcz Aleksander postanawia przenieść go na niedzielę. Postępuje dobrze, gdyż w wolny od pracy dzień może uczestniczyć w nim więcej osób. Tuż przed festem nieoczekiwanie i niespodziewanie spotykam Marię Gindę, która przyjechała z Polski do rodzinnej wioski Rybaki. Maria I Komunię Świętą przyjęła w Sobotnikach, a do nowego kraju wyjechała tak jak ja, w 1958 roku.

Mszy odpustowej przewodniczy młody ksiądz chrystusowiec z Mińska, rodem z sąsiedniego miasteczka Gieraniony. Ofiary pieniężne zbierane na tacę zostaną przeznaczone na budowę kościoła Świętego Jana Ewangelisty w stolicy Białorusi, w nowoutworzonej parafii objętej przez chrystusowców. Na zakończenie festu, na specjalnym stoisku przed kościołem, młodzi ludzie sprzedają dewocjalia, z których dochód też będzie przeznaczony na budowę nowej świątyni.

Spotykam Czesia Wasilewskiego z żoną i synem. Później Czesiu przyśle mi mejla z informacją o niespotykanym za jego pamięci grzybobraniu w naszych stronach. Zebrali prawie sto prawdziwków i kilka koszy innych grzybów

W feście bierze też udział Janek Byczko z Zalesia, z którym i z Jankiem Kulesz w zeszłym roku o podobnej porze piekliśmy szaszłyki nad Gawią. Janek był niedawno w Wasi-

lewiczach i Sobotnikach, więc zbierzemy się razem może w następnym roku.

U kuzyna Janka rozmawiamy na Skype z jego siostrą Irką ze Sienkiewicz w rejonie Łuniniec, w obwodzie brzeskim. Powróciła do zawodu agronoma i opowiada nam o anomaliach białoruskiego rolnictwa. Kilka lat temu przystąpiono w kraju do budowy dużych ferm krowich. Ta gigantomania nie jest chyba dobra w przypadku Białorusi, gdzie jest wiele wygonów zdatnych do naturalnego karmienia bydła. Na dodatek w tych fermach karmiono krowy także w nocy, żeby niby dzięki temu miały dawać więcej mleka. Na szczęście już odstępuje się od tej procedury.

Janek ma od kilku miesięcy poważne problemy ze zdrowiem, z płucami. Leżał w szpitalach w Iwii i Grodnie. Był na konsultacjach w Mińsku i Warszawie. W swojej chacie przez większość dnia oddycha przez specjalne urządzenie, które mu sprowadził z Polski zięć Dima.

Na Białorusi od wielu lat o bieżącej sytuacji kraju istnieje prawda mediów i prawda ulicy. I są one zupełnie rozbieżne, a prawda ulicy jest rzeczywistością.

27.06.2016, Sobotniki

W poniedziałek rano idę na cmentarz. Porządkuję groby Kononowiczów i Niechwiadowiczów, a na tych pierwszych maluję na biało wierzchy ich kamiennych obmurówek.

Na drodze prowadzącej obok cmentarza przez sosnowy bór do Dobrowlan, co pewien czas przejeżdżają samochody z przyczepami załadowane drewnem pozyskanym z miejscowych lasów. Idę w tym kierunku i po chwili widzę kilka stosów przygotowanego do załadunku drewna. Przy jednym z nich stoi samochód z przyczepą, a jego kierowca ładuje na nie drewno przy pomocy hadeesu, czyli samochodowej windy. Na moje zapytanie mówi, że pojedzie ono do Polski, a on sam był swego czasu kilka razy w Poznaniu.

Wracam z powrotem kierując się ku Gawii i zażywam kąpieli w jej chłodnych i ożywczych wodach. Spotykam Janka Makucewicza, który swoim sposobem łowi szczupaki kryjące się pośród zanurzonych w wodzie korzeniach drzew.

30.06-03.07.2016, Lida

Zostawiam już Sobotniki i kilka dni spędzam w Lidzie. W sklepie optycznym, w pobliżu skrzyżowania ulic Sowieckiej (przedwojennej Suwalskiej), jednej z głównych arterii miasta, i Adama Mickiewicza daje do naprawy okulary, w których wyleciała śrubka mocująca jedną z rączek.

Niespodziewanie spotykam Stasia Usinowicza, który niesie bieliznę i ręczniki do pobliskiej pralni. Stasiu jest z koleżanką, też Polką, która rozmawiając ze mną mówi, że jak to jest przyjemnie w Lidzie słyszeć język polski. Stasiu chwali kościół katolicki w Polsce za zdecydowaną postawę w sprawie aborcji oraz in vitro. W tych tematach kościół katolicki na Białorusi nie jest tak zdecydowany, a w wielu gazetach są zamieszczane ogłoszenia o możliwości dokonywania legalnej aborcji.

Stasiu urodził się w 1931 roku w dużej wiosce Tokarzyskiej, w gminie Juraciszki parafii Łazduny, w powiecie wówczas Wołożyn województwa nowogródzkiego Polski. Od 1988 roku aktywnie działa w obecnym Towarzystwie Kultury Polskiej Ziemi Lidzkiej będąc we władzach tej organizacji. Jest wybitnym krajoznawcą Ziemi Lidzkiej, autorem wielu artykułów do historyczno-krajoznawczego społecznego pisma polskiego „Ziemia Lidzka”. Stasiu jest prawdziwym polskim patriotą na dawnych Kresach, dla którego hasło „Bóg, honor i ojczyzna” ma realne znaczenie, a nie jest wytartym sloganem. Stasiu nigdy nie należał do partii i w kilku ostatnich wyborach prezydenckich i parlamentarnych na Białorusi nie brał udziału, chociaż jak sprawdził, ktoś za niego się podpisywał.

Od pierwszego lipca następuje denominacja białoruskiej waluty. Zostają obcięte cztery zera i stopniowo będą wprowadzane do obiegu nowe banknoty i dawno nie widziane monety. Niektóre sklepy zostają otwarte później niż zwykle, a w cenach towarów są uwidocznione dwie wartości: stara i nowa.

Jak zwykle umawiam się z Leo Laureszem w dużym pawilonie ludzkiego browaru umiejscowionym tuż przy Domu Handlu na ulicy Lenińskiej. Blisko wejścia do tego domu towarowego jest niewielkie stoisko z prażoną gorącą kukurydzą, bardzo smaczną.

Czekając na Leo i szącąc bardzo dobre barhatne piwo rozlewane z beczki przyglądam się otoczeniu. Para młodych wron przeskakuje z pustego stolika na stół w oczekiwaniu, że jakiś człowiek siedzący obok podrzuci im coś do zjedzenia. Młody domokrażca zaczyna napotkaną parę i co pół minuty wyciąga z dużej torby nowy przedmiot, zachęcając nieprzerwanym gadaniem do jej zakupu. Niestety bez dobrego rezultatu dla niego.

W pobliżu mojego stolika podchodzi mężczyzna w średnim wieku. Trzyma w dłoniach sto gram wódki i dwieście gram kwasu chlebowego. Na stojąco szybko przepija łyk po łyku jedno drugim i odchodzi wrzucając puste plastikowe kubeczki do pojemnika na śmieci.

Po spotkaniu z Leo zostaję na miejscu trochę dłużej, żeby poznać smak miejscowego szaszłyka. I po kilku minutach kupuję dwieście jego gram do tego sto gram wódki, na dobre trawienie. Upieczone na węglu drzewnym mięso jest pyszne, a i alkohol ma swój niepowtarzalny białoruski smak.

W aptece przy ulicy Lenińskiej nabywam listek tabletek nasennych. Wraz z nimi otrzymuję kserokopię ulotki dotyczącej używania leku, znajdującą się w całym opakowaniu. Bardzo mi się to podoba. Niezależnie ile kupujesz tabletek, otrzymujesz informację o ich stosowaniu, a nie tylko przy zakupie całego opakowania, jak u nas w Polsce.

Przejście graniczne w Brzostowicy Wielkiej. Pobieranie przez wopistów odcisków palców od obywateli Białorusi w tym pochodzenia polskiego. Celnicy prześwietlają wszystkie nasze bagaże. Przy tym patrzą na obywateli Białorusi i zachowują się tak, jakby sami byli z wyższej kasty. Znajdują moje kanapki na podróż. Mam albo je zjeść na miejscu, albo wyrzucić do kosza na śmieci. Bardzo mi się to nie podoba i o mało co nie puszczami w ich kierunku odpowiedniej wiązanki.

Mój autobus z Moskwy do Warszawy Zachodniej znowu przyjeżdża z opóźnieniem. Tym razem półtoragodzinnym. W podziemnym przejściu z dworca autobusowego Warszawy Zachodniej na dworzec kolejowy, jak zwykle zatrzymuje się przy kebabie 24h prowadzonym przez ciemnoskórych chłopaków z Indii i Tajlandii. Traktują mnie już jako stałego klienta i średni kebab z kurczakiem sprzedają mi w cenie małego. Znowu wybieram ostry smak, którego nie gaszą nawet dwie puszki dobrego piwa warszawskiego marki Królewskie. W Poznaniu jestem około wpół do piątej rano.

Kuzyn Janek

27 listopada 2016 roku, niedziela, Poznań

Imianiny Pilipa, Ryhora i Uscina

Szron na Pilipa obiecuje urodzaj na owies. Późny jesienny grom - późny śnieg. Dopóki liście z wiśni nie opadły i ile by śniegu nie spadło, drzewo z pewnością zakwitnie na wiosnę. Pierwszy trwały śnieg spada w nocy. Myszki w lnach robią gniazda - tej zimy będzie wielki śnieg.

Tego dnia otrzymałem wiadomość, że w wieku 60 lat zmarł w miasteczku Sobotniki mój bliski kuzyn Janek Kursewicz, syn Antoniego i Janiny z Niechwiadowiczów. Jego mama była młodszą siostrą mojego taty, najstarszego z czworga rodzeństwa.

Janek był mi bardzo bliską osobą, tym bardziej, że był starszy ode mnie tylko o rok. Był dla mnie największym źródłem informacją o życiu naszego miasteczka, o jego ludziach i o naszej rodzinie. Chodziliśmy razem na grzyby, kąpaliśmy się w Gawii, uczestniczyliśmy razem w odpustach parafialnych, byliśmy motocyklem na jarmarku w Trabach i niejedną czararkę wypiliśmy razem w biesiedce koło jego chaty.

Bardzo jest mi go brak w Sobotnikach.

Mama

27 grudnia 2017 roku, środa, Poznań

Imianiny Kalinika, Filimona, Iwana

Tego dnia w wieku 84 lat zmarła w Poznaniu moja mama, Maria Niechwiadowicz z Kononowiczów, córka Jana z Sobotnik i Wiktorii z Raksów z Nackowicz, z sąsiedniej parafii Lipniskiej. Wnuczka Dominika z Sobotnik i Michaliny z Jurgielewiczów z Czarniel, też z sąsiedniej parafii, ale Juraciszki.

Mama urodziła się 10 lutego 1933 roku w uroczym miasteczku Sobotniki nad piękną rzeką Gawią, prawym dopływem Niemna, w powiecie lidzkim województwa Nowogródzkiego Polski.

W 1946 roku rodzina mamy miała się ekspatriować do nowej Polski i wszystkie dokumenty na ten cel były uzyskane. 12 marca tego roku brzemenna babcia Wiktoria wracała z nimi do chaty na kolonii. Niestety nie dotarła. Została zamordowana przez sowieckiego milicjanta nastawionego wrogo przeciw Polakom i ich wyjazdowi do nowego kraju. Babcia Wiktoria zginęła w wieku 39 lat

Ekspatriacja rodziny Kononowiczów została zawieszona w czasie i zrealizowała się częściowo dopiero po ślubie moich rodziców. 1 maja 1958 roku moja mama, tata i ja, dziesięciomiesięczny niemowlak, wyjechaliśmy do nowej Polski. Na ajczyinie, na baćkaŭszczyinie, pozostała nasza najbliższa rodzina i nasza ziemia, i nasz piękny kościół, i groby krewnych na cmentarzu za Gawią.

W Polsce wpierw zamieszkaliśmy w pegeerze koło Osiecznej w Leszczyńskim, a następnie w Żarach koło Żagania, dokąd sprowadzili nas krajanie z Sobotnik. W 1963 roku przeprowadziliśmy się na stałe do Poznania.

Moja mama była bardzo dobrą krawcową, a tego zawodu nauczyła się jeszcze w Sobotnikach i miała do niego duży talent. Zajmowała się, domowym szyciem. Czy to ku-

chennych fartuchów i prostych sukienek sprzedawanych na Rynku Bernardyńskim przez zaprzyjaźnione państwo Młodaków. Czy też przez szycie eleganckich sukien, spódnic i garsoniek dla znajomych pań z osiedla i z ich polecenia. Męskim sąsiadom z ulicy Łęczyckiej skracala spodnie, wszywała nowe zamki do odzieży. Często szyła w nocy, a porządkami kuchennymi zajmował się wtedy tata.

Mama była osobą bardzo towarzyską i życzliwą innym ludziom. Była głęboko wierząca i zaangażowana w życie religijne parafii Chrystusa Odkupiciela na osiedlu Warszawskim w Poznaniu.

Spoczęła na cmentarzu komunalnym Miłostowo obok swojego męża Stanisława.

Tęsknota

Tęsknię za moim miasteczkiem Sobotnikami
tęsknię za rzeką Gawią córką Niemna
za otwartą przestrzenią poprzecinaną kreskami lasów
zaoranymi wiosennymi polami i nagimi gałęziami brzoź

Tęsknię za widokiem kłosów dojrzałego zboża
i zapachem białych kwiatów gryki
za polnymi drogami i leśnymi ścieżkami
tamtejszym wiatrem moim przyjacielem
za sejmikującymi w sierpniu bocianami

Tęsknię za wczesnojesiennymi liśćmi
jeszcze zielonymi ale już i żółtymi
i pomarańczowymi i czerwonymi
i jasnobrązowymi

Tęsknię za śniegiem bielszym niż biel
ostрым smakiem mocnego samogonu
gryczanymi blinami i złocistymi dranikami
za czarnym chlebem i grubą słoniną

Tęsknię za lnianymi włosami pięknych kobiet
za tamtejszymi ludźmi moimi ziemiakami
tęsknię za moją Białorusią

Przypisy

¹ Irena Hryncewicz - ur. w Sobotnikach, mieszka w Jeleniej Górze; autorka wierszy i przekładów; zbiorki poezji: *Dokąd idziesz?*, *Strofy dla ciebie*, *Zeszyty wierszem*, *Płonące serca*, *Ślady niezapomnienia*, *Łzy ptaków*

² ziamliak - człowiek pochodzący z tej samej miejscowości lub okolicy, krajan

³ chutor - jednozagrodowa osada wiejska na słabo zaludnionym obszarze Rosji w XV-XVII w.

⁴ rejon - powiat

⁵ obwód - województwo

⁶ Rzeczpospolita Obojga Narodów - państwo powstałe w wyniku połączenia Korony Królestwa Polskiego i Wielkiego Księstwa Litewskiego (Unia Lubelska 1569); istniało w 1569-1795, w 1791 kres federacji przyniosła Konstytucja 3 Maja ustanawiając państwo unitarne - Rzeczpospolitą Polską; mimo to aż do wybuchu i czasu trwania I wojny światowej powszechnie używano nazw Polska albo Rzeczpospolita Obojga Narodów, Korona i Litwa, Polacy i Litwini

⁷ Tymczasowy Zarząd Terenów Przyfrontowych i Etapowych - struktura administracji cywilnej na terenach wschodnich byłego zaboru rosyjskiego powołana 09.09.1920 rozkazem Wodza Naczelnego Wojska Polskiego marszałka Józefa Piłsudskiego

⁸ Zygmunt II August - ur. 01.08.1520 w Krakowie, zm. 07.07.1572 w Knyszynie; syn Zygmunta I Starego i księżniczki mediolańskiej Bony Sforza, ostatni król Polski z rodu Jagiellonów, panował od 1548; w 1569 doprowadził do zawarcia unii polsko-litewskiej w Lublinie i został pierwszym władcą Rzeczypospolitej Obojga Narodów; walczył z Moskwą o Inflanty, utworzył Komisję Morską i zapoczątkował budowę i organizację floty polskiej; zwolennik tolerancji religijnej, mecenas sztuki, posiadacz liczącej 3,5 tys. tomów biblioteki i bogatej kolekcji arrasów

⁹ Barbara Radziwiłł - ur. 06.12.1520 lub 1523 w Wilnie, zm. 08.05.1551 w Krakowie; druga żona Zygmunta II Augusta, królowa Polski od 07.12.1550; wcześniej w Gieranionach 18.05.1537 poślubiła Stanisława Gasztołda (wojewodę nowogródzkiego i trockiego), cztery lata później owdowiała; w 1543 poznała tam Zygmunta II Augusta, z którym w 1547 potajemnie wzięła ślub

¹⁰ Gasztołdowie - magnacki ród szlachecki pieczętujący się herbem Abdank i wywodzący się z litewskiego bojarstwa; Marcin (ojciec Stanisława) toczył krwawe spory z Radziwiłłami i w swoim czasie był najbogatszym magnatem na Litwie

¹¹ Kiszkwowie - stary ród litewski herbu Dąbrowa pochodzenia mazowieckiego; wydał dwóch hetmanów, kilku biskupów i wojewodów

¹² Radziwiłłowie - najpotężniejszy litewski ród magnacki herbu Trąby, jego potęgę zbudowali stryjeczni bracia Mikołaj Radziwiłł Czarny i Mikołaj Radziwiłł Rudy, ten drugi doprowadził do małżeństwa swojej siostry Barbary z królem Zygmuntem II Augustem, w 1547 uzyskali tytuły książęce od cesarza Karola V; ród wydał wielu wybitnych wodzów i osób o dużej religijności i dobroczynności a także ministrów, wojewodów, 3 biskupów i 1 kardynała

¹³ Tatarzy polscy - właściwie litewscy, gdyż większość z nich mieszkała na dawnych ziemiach Wielkiego Księstwa Litewskiego i do końca I wojny światowej nazywano ich Tatarami litewskimi

¹⁴ bracia polscy - nazywani także arianami, radykalna wspólnota religijna w Polsce i na Litwie (bracia litewscy - np. Szymon Budny) wyłoniła z kalwinizmu w latach 1562-1565; podstawą ich doktryny była wyłącznie Biblia, nie uznawali dogmatu o Trójcy Świętej, głosili radykalny program społeczny, tam gdzie działali przyczynili się do rozwoju szkolnictwa, wygnani w 1658

¹⁵ Józef Piłsudski - ur. 05.12.1867 w Żuławie, zm. 12.05.1935 w Warszawie; polski działacz niepodległościowy, żołnierz i dowódca, polityk, współzałożyciel Polskiej Partii Socjalistycznej i szef jej Wydziału Bojowego, współtwórca Legionów Polskich i jeden z głównych twórców odrodzonej po zaborach Polski; Naczelnik Państwa polskiego 1918-1922, naczelny wódz Armii Polskiej od 11.11.1918, Pierwszy Marszałek Polski od 19.03.1920, dwukrotny premier Polski 1926-1928 i 1930

¹⁶ Władysław I Świąty (ok. 1048-1095) - od 1077; król węgierski z dynastii Arpadów, był synem Beli I króla Węgier i nieznaney z imienia córki Mieszka II Lamberta króla Polski

¹⁷ UNESCO - Organizacja Narodów Zjednoczonych do spraw Oświaty, Nauki i Kultury; jej podstawowym celem jest wspieranie współpracy międzynarodowej w dziedzinie kultury, sztuki i nauki oraz wzbudzanie szacunku do praw człowieka bez względu na kolor skóry, status społeczny i religię

¹⁸ Towarzystwo Chrystusowe dla Polonii Zagranicznej - zakon powstały w Polsce w 1932 z inicjatywy prymasa kardynała Augusta Hłonda, zorganizowany przez ks. Ignacego Posadzego; chrystusowcy niosą posługę duszpasterską, kulturową i społeczną na rzecz rodaków mieszkających poza granicami Polski

¹⁹ witka - w gwarze poznańskiej pojedyncza, sprężysta cienka gałązka

²⁰ mabilnik - potoczna nazwa telefonu komórkowego na Białorusi

²¹ nadworie - pogoda

²² żywioła - zwierzęta gospodarstwa domowego

²³ nawalniczny - gwałtowny ulewny deszcz

²⁴ małanka, bliskawica - błyskawica

²⁵ Całun Turyński - w tradycji chrześcijańskiej jest to płótno, w które po śmierci został owinięty Jezus Chrystus; charakter i umiejscowienie zaznaczonych na nim ran odpowiada opisowi z Ewangelii

²⁶ ajczyzna - ojczyzna, słowo o znaczeniu patriotycznym nawiązujące do historii ziemi i tradycji przodków

²⁷ bačkaŭszczyzna - ojczyzna, słowo powstałe na pocz. XX w., w znaczeniu ojcowizny

²⁸ na Białorusi małe dzieci w dniu ich urodzin delikatnie ciągnie się za uszy tyle razy ile mają lat, żeby szybciej rosły

²⁹ czyhunka - kolej

³⁰ płackart - bilet na kuszetkę

³¹ Władysław II Jagiełło ur. ok. 1351 lub 1361 w Wilnie, zm. 1.06.1434 w Gródku Jagiellońskim (ob. Horodok na Ukrainie), pochowany w Krakowie na Wawelu, syn Olgierda wielkiego księcia litewskiego i Julianny księżniczki twerskiej, założyciel dynastii Jagiellonów; od 1377 wielki książę litewski, 1385 podpisał w Krewie (obecnie Białoruś) akt unii polsko-litewskiej, 1386 ożenił się z królową Polski Jadwigą Andegaweńską i został koronowany na króla Polski, 1387 przeprowadził chrystianizację Litwy i ufundował biskupstwo wileńskie, 1401 przekazał tytuł wielkiego księcia dożywotnio Witoldowi, 15.07.1410 zwyciężył wojska krzyżackie w bitwie pod Grunwaldem, 1421 nie przyjął korony czeskiej ofiarowanej mu przez husytów

³² mytnia - urząd celny, tamoźnia (ros.)

³³ lihotny - ulgowy

³⁴ Sejmik Lidzki - przedwojenny organ samorządu terytorialnego na szczeblu powiatu lidzkiego

³⁵ Danuta Biczal - ur. 01.01.1938; poetka, nauczycielka, działaczka społeczna zaangażowana w przemiany demokratyczne na Białorusi; tomiki poezji: *Dziewczęce serce*, *Niemen płynie*, *Bratki*, *Gdzie chodzą boso*, *Dawne słońce*, *A na Polesiu*, *Boże mój Boże*, *Snopek*; współczesna proza wspomnieniowa *Przyjdź na mój głos*

³⁶ Trokielanka - potoczna nazwa odpustu w diecezjalnym sanktuarium Maryjnym Grodzieńszczyzny we wsi Trokiele 17 km na pn.-wsch. od Lidy

³⁷ Melchior Wańkowicz - ur. 10.01.1892 w Kalużyczach w pow. Ihu-meń (obecnie Czerwień) na Mińszczyźnie, zm. 10.09.1974 w Warszawie; pochodził ze znanej rodziny ziemiańskiej herbu Lis zasłużonej dla obrony polskości na Kresach; polski pisarz, dziennikarz, reportażysta i publicysta uważany za jednego z najwybitniejszych reportażystów w historii literatury polskiej: *Szpital w Cichnicach*, *W kościołach Meksyku*, *Szczenięce Lata*, *Na tropach Smętka*, *Bitwa o Monte Cassino*, *Ziele na kraterze*, *Westerplatte*, *Hubalczycy*, *Atlantyk-Pacyfik*, *Zupa na gwoździu*, *W pępku Ameryki*, *Od Stołpców po Kair*, *Przez cztery klimaty*, *Karaśka La Fontaine'a*, *Anoda i katoda*

³⁸ Bagno Jelna na Brzławszczyźnie w obwodzie Witebskim

³⁹ sprawka - zezwolenie (ros.); dawiedka (brs.)

⁴⁰ zapiątek - stara polska nazwa końca tygodnia

⁴¹ wiaczera - kolacja, jeść kolację - wiaczerać

⁴² sto gram - tutaj sto ml wódki; na Białorusi nie używa się nazwy dekagram

⁴³ prawo magdeburskie - prawo miejskie wzorowane na prawie miasta Magdeburga, które stało się synonimem prawa miejskiego w Europie. Miasta lokowane na tym prawie zachowywały łączność z Magdeburgiem poprzez zasięganie pouczeń tamtejszego sądu miejskiego w szczególnie skomplikowanych kwestiach prawnych. Zwykle przy ich lokacji wytyczano rynek i w miarę regularną sieć ulic przecinających się pod kątem prostym. Całą powierzchnię miasta dzielono na działki budowlane w kształcie prostokątów, które do rynku przylegały krótszymi bokami. Większe miasta obwiedziono murami, które wzmocniano za pomocą baszt. Zabudowa była ciasna, uliczki wąskie i błotniste. Na środku rynku stał ratusz i sukiennice mieszczące kramy. Domy murowane w rynku należały do patrycjatu, pod murami fortyfikacji gnieździła się biedota. Boczne uliczki zajmowali rzemieślnicy na ogół tej samej specjalności, zorganizowani w cechy, czyli zrzeszenia rzemieślników tego samego zawodu. Pozostałością po nich są do dziś nazwy ulic

w miastach lokowanych w średniowieczu np.: Szewska, Piekarska, Garncarska. Większe miasta posiadały już wodociągi zastępujące prymitywne studnie. Miasta lokowane na prawie magdeburskim posiadały własne władze: dziedzicznego wójta i ławę miejską - zespół kilkuosobowy pełniący funkcję sądu miejskiego. Z czasem obok nich pojawiło się przedstawicielstwo patrycjatu miejskiego - Rada Miejska z burmistrzem na czele. Prawo magdeburskie funkcjonowało w Polsce do uchwalenia Konstytucji 3 maja

⁴⁴ empire - inaczej styl cesarstwa, późna odmiana klasycyzmu powstała we Francji w 1800-1815 wzorująca się na formach architektonicznych starożytnego Rzymu i Grecji; monumentalne surowe budowle, symetria kompozycji, liczne elementy dekoracyjne

⁴⁵ BSSR - Białoruska Socjalistyczna Sowiecka Republika (pl.)

⁴⁶ prymak - mąż żony przyjęty do wspólnego zamieszkania z jej rodziną

⁴⁷ kapucyni - trzecia gałąź Zakonu Braci Mniejszych (franciszkanie) zał. w 1209 przez św. Franciszka z Asyżu

⁴⁸ gumno - stodoła, w której składowano zboże przed wymłóceniem, humno (brs.)

⁴⁹ w mahiloŭszczynu - w żargonie na cmentarz

⁵⁰ Ostaszów - miasto w obwodzie twerskim w europejskiej części Rosji; w latach 1939-1940 mieścił się tam obóz polskich jeńców wojennych; od 04.04 do 19.05.1940 ok. 6300 jeńców zostało zamordowanych w siedzibie NKWD w Kalininie (Twer) i pogrzebanych w masowych dołach w lesie niedaleko Miednoje; 02.09.2000 w Miednoje został uroczysto otwarty i poświęcony Polski Cmentarz Wojenny

⁵¹ kindziuk - tradycyjna, dojrzewająca i ekskluzywna wędlina litewska

⁵² kłoda - ul wykonany z kawałka pnia drzewa

⁵³ kumpiak - surowa, dojrzewająca szynka wieprzowa

⁵⁴ Białoruski Narodowy Front (BNF) - zorganizowany masowy ruch demokratyczny powstały w 1988 i rok później przekształcony w partię; jego głównym celem było osiągnięcie przez Białoruś suwerenności politycznej i ekonomicznej ; BNF odegrał znaczącą rolę w uzyskaniu przez kraj niezależności w grudniu 1991 i przyczynił się do jego odrodzenia narodowo-kulturalnego w latach 1990-1994; od 1994 jest w radykalnej opozycji do rządów Łukaszenki; w 1999 nastąpił rozłam w partii i powstanie Chrześcijańsko-Konserwatywnej Partii BNF na czele z Zenonem Poźniakiem

⁵⁵ Zenon Poźniak (Zianon Paźniak) - ur. 24.04.1944 w Sobotnikach; polityk, historyk sztuki, poeta, jeden z założycieli i lider BNF, odkrywca masowych grobów w Kuropatach pod Mińskiem - ofiar stalinowskich represji z lat 1937-1941; od 1996 na emigracji; *Глэрыя Папрыя, Ojczyzna wieczna*

⁵⁶ kantora - biuro

⁵⁷ CCCP - Sojusz Socjalistycznych Sowietkich Republik (pl.); inaczej ZSRR - Związek Socjalistycznych Republik Radzieckich

⁵⁸ oryginalny opis tej hodowli i gospodarki leśnej w majątku zamieściłem w książce *Żemłostaw*, wyd. GAWIA, Poznań 2005

⁵⁹ papław - popław (pl.), paplaū (brs.), nadrzeczne zalewne łąki

⁶⁰ luna - tak w naszych stronach nazywają przyrzeczne grząskie rozlewisko

⁶¹ tady - wtedy

⁶² kaczerha - rozwidlony pogrzebacz do kuchennego pieca

⁶³ ubirać - robić porządki (ros.), paradak (brs.)

⁶⁴ świakrucha - matka męża, cioszcza - matka żony

⁶⁵ caryca Aleksandra - Aleksandra Fiodorowa Romanowa (Alicja Heska) 1872-1918; żona cara Mikołaja II, ostatnia cesarzowa Imperium Rosyjskiego

⁶⁶ truna - trumna

⁶⁷ stałowaja - jadalnia

⁶⁸ „Kosił Jasiu koniczynę i spoglądał na dziewczynę (...) „ - popularna ludowa piosenka białoruska

⁶⁹ NKWD - Ludowy Komisariat do spraw Wewnętrznych Związku Sowietkiego; skupiał cały aparat represji policyjnych tego państwa

⁷⁰ Günter Grass - ur. 16.10.1927 w Gdańsku, zm. 13.04.2015 w Lubece; niemiecki pisarz, grafik i rzeźbiarz, laureat literackiej nagrody Nobla 1999; *Spotkanie w Telgcie, Wróżby kumaka, Przy obieraniu cebuli*; światową sławę przyniosła mu trylogia gdańska *Bla-szany bębenek, Kot i myśz, Psie lata*

⁷¹ Albrecht Dürer - ur. 21.05.1471 w Norymberdze, zm. 06.04.1528 tamże; niemiecki malarz i grafik, teoretyk sztuki, uważany za najwybitniejszego niemieckiego artystę renesansu; największą jego zasługą dla sztuki był szczególnie wkład w rozwój drzeworytnictwa i miedziorytu; wybrane dzieła: *Madonna z dwoma aniołami, Chrystus na krzyżu, Święto różańcowe, Dziesięć tysięcy męczenników, Pasja, Apocalypsis cum figuris, Rycerz, Śmierć i diabeł, Melancholia*

⁷² tak starsi ludzie w naszych stronach mówią na plebanie, pliabania (brs)

⁷³ Janka Kupała - właśc. Iwan Łucewicz, ur. 07.07.1882 w folwarku Wiazyńka k. Mińska, zm. tragicznie w Moskwie 28.06.1942; klasyk literatury białoruskiej, poeta, dramaturg, publicysta, wybitny przedstawiciel białoruskiego Odrodzenia pocz. XX w. i jeden z twórców białoruskiego języka literackiego; *Tutejsi, Paulinka, Zimą, Nikomu, Odplata kochaniem, Odwieczna pieśń, Guślar, Sen na kurhanie, Drogą życia, Rozrzucone gniazdo*

⁷⁴ Szolem Alejchem - właśc. Szolem Rabinowicz, ur. 02.03.1856 w Perejaślawiu, zm. 13.05.1916 w Nowym Jorku; żydowski pisarz tworzący w języku jidysz, hebrajskim i rosyjskim; proza społeczno-obyczajowa, psychologiczna i czasami tragikomiczna ukazująca codzienne życie Żydów w Europie Wschodniej na przełomie XIX/XX w.; *Miliony, Dzieje Tewji Mleczarza, Motel syn Kantora, Notatki komiwojażera, Zaczarowany krawiec i inne humoreski, Z jarmarku*

⁷⁵ Franciszak Bahuszewicz - ur. 21.03.1840 w folwarku Świrany w pow. wileńskim, zm. 28.04.1900 w Kuszlanach w pow. oszmiańskim; białoruski pisarz, poeta, adwokat, uczestnik powstania styczniowego, pierwszy autor całkowicie białoruskiej książki poezji; zapoczątkował nurt realizmu krytycznego w literaturze białoruskiej, w swojej twórczości inspirował się folklorem; miłośnik poezji A. Mickiewicza aktywnie przyczynił się do powstania jego pomnika w Wilnie; korespondent polskiego czasopisma Kraj, przyjaciel E. Orzeszkowej i J. Karłowicza; *Dudka białoruska, Smyk białoruski, Tralananoczek, Świadek, Polesowczyk, Stryjenka, Zachwył, Śpiew*

⁷⁶ Karuś Kahaniec - właśc. Kazimierz Kastrawicki, ur. 10.02.1868 w Tobolsku, gdzie jego ojciec przebywał na zesłaniu za udział w powstaniu styczniowym, zm. 20.05.1918 w Przymogile koło Kojdanowa (obecnie Dzierżyńsk) - poeta, dramaturg, językoznawca, rzeźbiarz, działacz białoruskiego odrodzenia kulturalnego, jeden z założycieli Białoruskiej Socjalistycznej Hramady; wydał pierwszy podręcznik do j. białoruskiego pisany cyrylicą *Беларускі лемантар, або Першая навука чытання*; Kahaniec był wujkiem francuskiego poety polskiego pochodzenia Apollinaire Guillaume (czyt. Apoliner Giujom), którego matka była jego stryjeczną kuzynką.

Apollinaire Guillaume - właśc. Wilhelm Apolinary Kostrowicki ur. 20.08.1880 w Rzymie, zm. 09.11.1918 w Paryżu; jeden z głównych przedstawicieli francuskiej awangardy poetyckiej; *Wiersze nadreńskie, Jedenaście tysięcy pałek czyli miłości pewnego hospodara, Alkohole,*

Zwierzyniec albo Świta Orfeusza, Poeta zamordowany, Kaligrama, Małowniczy współcześni

⁷⁷ Jakub Kołas - właśc. Kanstancin Mickiewicz, ur. 03.11.1882 w Okińczyczach, zm. 13.08.1956 w Mińsku; klasyk literatury białoruskiej, pisarz i poeta, działacz narodowy, nauczyciel; *Nowa ziemia, Na rozstajach, Symon-muzyka, W poleskiej głuszy, Trzęsawisko, Bajki życia, Pieśń smutku*

⁷⁸ Maksim Bahdanowicz - ur. 09.12.1891 w Mińsku, zm. 25.05.1917 w Jałcie; poeta, prozaik, krytyk literacki, historyk, tłumacz literatury francuskiej i niemieckiej; *Apokryf, Łabędź-straceniec, Nad jeziorem, Rusałka, Wiersze na modłę białoruską, Kraju ojczysty! Wyklęty przez Boga, Madonny, Miłość i mogiła, Tak wiele jest w życiu dróg...*

⁷⁹ Uładzimir Karatkiewicz - ur. 26.11.1930 w Orszy, zm. 25.07.1984 w Mińsku; dramaturg, jeden z najwybitniejszych białoruskich prozaików; *Leonidy nie wrócą na ziemię, Chrystus wylądował w Grodnie, Dzikie polowanie króla Stacha, W śniegach drzemie wiosna, Szara legenda, Broń, Król cygański, Liście kasztanów, Krzyk Anielina*; przekłady poezji polskiej

⁸⁰ Wasil Bykaŭ - ur. 19.06.1924 we wsi Byczki niedaleko Witebska, zm. 22.06.2003 w Mińsku; uważany za jednego z najwybitniejszych pisarzy współczesnej literatury białoruskiej, kandydat do literackiej Nagrody Nobla, przewodniczący białoruskiego PEN Clubu, zaangażowany politycznie i krytycznie wobec panującej władzy czasów A. Łukaszenki; *Krzyk żurawi, Trzecia rakietą, Ballada alpejska, Sotnikow, Obelisk, Pójść i nie wrócić, Ściana*; przekłady poezji A. Mickiewicza i K. Wojtyły

⁸¹ 40 męczenników z Sebasty - 40 rzymskich legionistów, którzy w 320 r., za panowania cesarza Licyniusza, ponieśli śmierć męczeńską za wiarę w Jezusa Chrystusa w Sebaście we wschodniej części Imperium Rzymskiego (obecnie Sivas w środkowej Turcji)

⁸² żede - żelazna daroga (ros.), potoczne skrótowe określenie kolei

⁸³ konfederacja barska (1768-1772) - zbrojny związek szlachty założony w Barze na Podolu 29.02.1768 w obronie wiary katolickiej i niepodległości Rzeczypospolitej skierowany przeciwko królowi Stanisławowi Augustowi Poniatowskiemu, wspierającym go wojskom rosyjskim - zwolennikom nadzoru Rosji nad państwem oraz przeciwko samej Rosji

⁸⁴ Michał Kazimierz Ogiński - (1730-1800); książę, generał lejtnant, hetman wielki litewski, wojewoda wileński, pisarz polny litewski,

czeńśnik wielki litewski, kompozytor i muzyk, pisarz, poeta i dramaturg, tłumacz, jeden z kandydatów Rosji do tronu polskiego; w swoich posiadłościach postawił wiele fabryk i manufaktur, zbudował trakt pińsko-wołyński i Kanał Ogińskiego łączący Niemen z Dnieprem; na swoim dworze w Słonimiu utworzył centrum kultury i sztuki: utrzymywał teatr polski i włoski, słynną orkiestrę, założył drukarnię; przypuszczalnie skomponował poloneza a-moll nr 13 *Pożegnanie Ojczyzny* powszechnie przypisywanego jego stryjowi Michałowi Kleofasowi Ogińskiemu

⁸⁵ Stefan Batory - ur. 27.09.1533 w Szilágyssomlyó (obecnie w Rumunii), zm. 12.12.1586 w Grodnie; węgierski książę siedmiogrodzki a od 1571 król Polski, wielki książę litewski, ruski, pruski, mazowiecki, żmudzki, kijowski, wołyński, podlaski, inflancki, jeden z najwybitniejszych władców w historii Polski; po zwycięskiej wojnie z Moskwą (1579-1582) odzyskał Inflanty i Połock, utworzył Trybunał Koronny i Litewski, dokonał reformy wojska, założył Akademię Wileńską - poprzedniczką Uniwersytetu Wileńskiego; zwolennik tolerancji religijnej

⁸⁶ królewicz Kazimierz - święty, ur. 03.10.1458 na Wawelu w Krakowie, zm. 04.03.1484 w Grodnie; syn króla Kazimierza Jagiellończyka i Elżbiety - córki Albrechta II cesarza Niemiec

⁸⁷ sejmy grodzieńskie - sejmy I Rzeczypospolitej odbywające się w Grodnie (było ich 11); w 1793 sejm grodzieński zatwierdził II rozbiór Polski

⁸⁸ Antoni Tyzenhauz herbu Bawół - ur. 1733 w Nowojelni, zm. 31.03.1785 w Warszawie; podskarbi nadworny litewski i starosta grodzieński, pisarz wielki litewski i koniuszy litewski, zarządca królewskich majątków na Litwie i przyjaciel króla Stanisława Augusta Poniatowskiego; przeprowadził szybkie uprzemysłowienie okolic Grodna, ale część manufaktur zbankrutowała; dzięki rosyjskim intrygom i knowaniom targowiczán został odsunięty od swojej działalności i plan jego wieloletniej pracy został zniszczony

⁸⁹ Eliza Orzeszkowa - ur. 06.06.1841 w Miłkowszczyźnie niedaleko Grodna, zm. 18.05.1910 w Grodnie; wybitna polska pisarka epoki pozytywizmu zgłoszona do Literackiej Nagrody Nobla w 1904 i 1909, brała udział w pomocy powstańcom styczniowym, działaczka społeczna, autorka powieści, opowiadań, nowel, publicystyki społecznej; *Obrazek z lat głodowych*, *Marta*, *Meir Ezofowicz*, *Dziurdziowie*, *Nad Niemnem*, *W zimowy wieczór*, *Australczyk*, *Gloria victis*, *Kilka słów o kobietach*, *Patriotyzm i kosmopolityzm*

⁹⁰ ekspatriacja - przymusowe lub dobrowolne opuszczenie ojczyzny, zerwanie z krajem; ekspatriować to usuwać kogoś przymusowo poza granice ojczyzny; repatriacja - powrót do kraju jeńców wojennych, osób internowanych, wysiedlonych; repatriować to przesiedlać do kraju kogoś przebywającego dłuższy czas na obczyźnie

⁹¹ inwokacja do Pana Tadeusza; inwokacja to wezwanie poety do muzy z prośbą o natchnienie w tworzeniu dzieła

⁹² Zjazd Lidzian - impreza organizowana przez Towarzystwo Kultury Polskiej Ziemi Lidzkiej z Lidy i Klub Miłośników Lidy z Warszawy, a później z Gdańska

⁹³ rafik - bus regularnie kursujący na danej trasie, nazwa pochodzi od marki popularnego samochodu łotewskiego

⁹⁴ żyhuli - radziecki samochód osobowy serii WAZ (Łada)

⁹⁵ hraczychy - gryka

⁹⁶ duha - drewniany pałąk łączący dwa dyszle (hołoble) od wozu w zaprzęgu jednokonnym

⁹⁷ huży - rzemienie łączące chomąto z hołoblami i duhą

⁹⁸ pasadka - posadzony nowy las

⁹⁹ kuczawyja - kłębiaste

¹⁰⁰ adzirać łubin - wyłuskiwać nasiona łubinu ze strąków

¹⁰¹ kudra - małe oczko wodne

¹⁰² żać - ścinać, tutaj zboże

¹⁰³ śpina - plecy

¹⁰⁴ kaczestwo - jakość

¹⁰⁵ Nu żywu bez nuždy bez gora - żyję bez kłopotów, bez problemów

¹⁰⁶ Nie czustwuju - nie czuję się najlepiej (nie mam zdrowia)

¹⁰⁷ były to lata dużej inflacji na Białorusi

¹⁰⁸ fest - odpust parafialny

¹⁰⁹ dziaruha - tkany na domowym krośnie gruby lniany materiał wiejski

¹¹⁰ pałka - gruby kij służący do podpierania się przy chodzeniu

¹¹¹ szweda - sweter

¹¹² haławu skróciła - zamieszała w głowie

¹¹³ prapuścić - w znaczeniu odprowadzić

¹¹⁴ bulba - ziemniaki

¹¹⁵ wiereszczaka - gęsty sos na mące i zakwasie chlebowym z kawałkami podsmażonej słoniny

¹¹⁶ Monte Cassino - wzgórze we Włoszech między Rzymem a Neapolem ze słynnym klasztorem z VI w.; w 1944 ciężkie walki z Niemcami, którzy wzgórze zamienili w kluczową pozycję obronną w Linii Gustawa będącej zaporą w drodze do Rzymu; po bezskutecznych atakach wojsk alianckich zostało zdobyte w 11-18 maja przez 2. Korpus Polski gen. W. Andersa, w którego szeregach walczyli żołnierze pochodzący z Kresów Wschodnich w tym z obecnej Grodzieńszczyzny; na polskim cmentarzu wojskowym u podnóża wzgórza spoczywa 1070 żołnierzy, którzy zginęli w tej bitwie

¹¹⁷ *Psalterz dawidowy 1579, psalm 4.* - tłumaczenie Księgi Psalmów autorstwa Jana Kochanowskiego dostosowane do polskiej obyczajowości i warunków;

Jan Kochanowski - ur.1830 w Sycynie k. Zwoleń, zm. 22.08.1584 w Lublinie; jeden z najwybitniejszych polskich i europejskich poetów epoki Renesansu, sekretarz króla Zygmunta II Augusta; był przedstawicielem filozofii elektycznej, renesansowego neoplatonizmu i głębokiej wiary w Boga łącząc tradycję antyku i chrześcijaństwa; *Epitaphium Cretcovii, Odprawa posłów greckich, Treny, Fraszki, Pieśni księgi dwoje, Elegie*, tłumaczenia (*Fenomeny* Aratosa, III pieśni *Iliady* Homera, fragmentu tragedii *Alkestis* Eurypidesa)

¹¹⁸ pokul - poki, dopoki

¹¹⁹ imsza - msza

¹²⁰ jaszczyk - drewniana skrzynka

¹²¹ autalaŭka - autosklep

¹²² szyfier - płyty pokryciowe z dodatkiem azbestu

¹²³ skacina - bydło (ros.); bydła (brs.)

¹²⁴ Jany priama ŭ rocie rastajuć jak dastaniesz - Kiedy są dojrzałe to wprost się rozplywają w ustach jak skosztujesz

¹²⁵ ahrohardok - rolnicze miasteczko

¹²⁶ miać len - miedlić, łamać w celu oddzielenia włókna od części zdrewniałej (paździerza)

¹²⁷ chwacić - wystarczy (ros.); chapaje (brs.)

¹²⁸ fierma - ferma kołchozowa np. krów

¹²⁹ nawiazywać karowu - krowa pasie się sama przywiązana długim łańcuchem do metalowego kołka wbitego w ziemię

¹³⁰ tudy - tam (o kierunku), tam - tam (o miejscu)

¹³¹ wiaroŭka - sznurek

¹³² dużej - mocniej

¹³³ żuki - stonka ziemniaczana

¹³⁴ wietka - gałązka

¹³⁵ pawypratywaŭszy - zrobili dokładny porządek

¹³⁶ zaraz - w tej chwili

¹³⁷ susznia - suszarnia

¹³⁸ Władysław Anders - ur. 11.08.1892 w Błoniu koło Kutna zm. 12.05.1970 w Londynie, pochowany pod Monte Cassino; gen. Broni Wojska Polskiego, Naczelný Wódz Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie 1944-1945, następca Prezydenta RP 1950-1954; szef sztabu w Armii Wielkopolskiej podczas powstania wielkopolskiego, w wojnie polsko-bolszewickiej 1920 d-ca 15 Pułku Ułanów Poznańskich ranny nad Berezyną, 1928-1939 d-ca Kresowej a następnie Nowogródzkiej Brygady Kawalerii, d-ca Garnizonu Baranowicze, od 04.08.1942 d-ca Polskich Sił Zbrojnych w ZSRR, w Iranie d-ca Armii Polskiej na Wschodzie i 2. Korpusu Polskiego, którym dowodził w kampanii włoskiej (bitwa o Monte Cassino i o Ankony)

¹³⁹ Brygada Karpacka - Samodzielna Brygada Strzelców Karpackich; wielka jednostka piechoty Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie sformowana w Syrii rozkazem gen. W. Sikorskiego z 12.04.1940; 21.08-10.12.1941 ciężkie i z sukcesem walki o odblokowanie twierdzy Tobruk w Egipcie, przełamanie linii niemieckich pod Gazelą, udział w walkach o zdobycie Bardii

¹⁴⁰ rozisać się - wypełnić dokument, formularz

¹⁴¹ zamochrysteĳ - w przenośni zabitej deskami, porosłej mchem, zacofanej

¹⁴² pszek - pogardliwe określenie Polaków przez Białorusinów związane z występującą w naszej mowie głóską „sz”

¹⁴³ Aleksander Jurewicz - ur. 18.11.1952 w Lidzie; w 1957 z rodzicami przyjechał do Polski, poeta i prozaik; *Po drugiej stronie, Nie strzelajcie do Beatlesów*; powieści: *Lida, Pan Bóg nie słyszy głuchych, Prawdziwa ballada o miłości, Dzień przed końcem świata*

¹⁴⁴ „Lidzki Latopis” - „Kronikarz Lidy”

¹⁴⁵ Franciszak Skaryna - (ur. ok. 1490 - zm. ok. 1540); białoruski uczoney i wydawca, absolwent Akademii Krakowskiej i Uniwersytetu w Padwie, jako pierwszy wydał książkę w języku starobiałoruskim - *Psalterz* a następnie *Biblię*; przyczynił się bardzo do rozwoju białoruskiego języka literackiego

¹⁴⁶ a capella - (wł.) śpiew chóralny bez akompaniamentu instrumentów

¹⁴⁷ autor słów Augustyn Bielawski, powstała ok. 1838 na podstawie dumki ukraińskiej Stefana Pisarenki z 1813

- ¹⁴⁸ „Ziemia Lidzka” - ukazujący się w Lidzie w latach 1936-1939 miesięcznik krajoznawczo-regionalny, wznowiony w 1990 jako historyczno-krajoznawcze niezależne pismo polskie
- ¹⁴⁹ „amnestia” Stalina - zwolnienie z sowieckich łagrów, więzień i miejsc zesłania Polaków znajdujących się tam w wyniku wojny 1939 i zaboru wschodnich terenów Rzeczypospolitej przez Związek Sowiecki, przywrócenie im polskiego obywatelstwa
- ¹⁵⁰ czaśnik - prywatny przedsiębiorca
- ¹⁵¹ warennie - konfitury
- ¹⁵² baraziona - skiba ziemi
- ¹⁵³ kopałka - kopaczka do ziemniaków
- ¹⁵⁴ wychadnyje - zapiątek
- ¹⁵⁵ Macierz Szkolna - nazwa kilku polskich stowarzyszeń oświatowych zasłużonych dla rozwoju oświaty w Polsce w końcu XIX i w I połowie XX w.
- ¹⁵⁶ ar - jednostka powierzchni gruntu równa $100 \text{ m}^2 = 0,01 \text{ ha}$
- ¹⁵⁷ świren - osobny budynek, w którym przechowywano zboże, groch, a czasami wędzoną słoninę i mięso
- ¹⁵⁸ Uderzeniowe Bataliony Kadrowe (UBK) - oddziały partyzackie Konfederacji Narodu - konspiracyjnej organizacji polityczno-wojskowej 1942-1944; od 1943 w strukturze AK; III UBK dowodził Bolesław Piasecki „Sablewski”
- ¹⁵⁹ Stefan Żeromski - ur. 14.10.1864 w Strawczyniu koło Kielc, zm. 20.11.1925 w Warszawie; wybitny polski prozaik, dramaturg, publicysta i działacz społeczny nazywanym „sumieniem literatury polskiej”; założyciel i pierwszy prezes polskiego PEN Clubu, w 1924 kandydat do literackiej Nagrody Nobla; *Doktor Piotr, Dzieje grzechu, Ludzie bezdomni, Na plebanii w Wyszkowie, Popioły, Przedwiośnie, Rozdziobią nas kruki, wrony, Sen o szpadzie, Siłaczka, Syzyfowe prace, Wierna rzeka, Wiatr od morza, Zmierzch*
- ¹⁶⁰ obrez - obrzyn
- ¹⁶¹ karier - zagłębienie
- ¹⁶² trambować - dociskać
- ¹⁶³ bojka - drewniane naczynie do ręcznego wyrobu masła
- ¹⁶⁴ hadzina - żmija; hadzina - godzina
- ¹⁶⁵ zahawarywać - w ludowym lecznictwie zamawiać od choroby, uroku, kłątwy, ukąszenia
- ¹⁶⁶ merla - gaza opatrunkowa
- ¹⁶⁷ bint - bandaż
- ¹⁶⁸ zamrużyć się - przewyciężyć się, spać się w sobie

¹⁶⁹ zakluwać - w przenośni zadziobać

¹⁷⁰ Jadwiga Smosarska - ur. 23.09.1898 w Warszawie, zm. tamże 01.11.1971; polska aktorka teatralna i filmowa uważana za największą gwiazdę polskiego kina przedwojennego; ważniejsze filmy: *Cud nad Wisłą* 1921, *Niewolnica miłości* 1923, *Tęadowata* 1926, *Ziemia obiecana* 1927, *Księżna Łowicka* 1931, *Czy Lucyna to dziewczyna* 1934, *Jadzia* 1936, *Barbara Radziwiłłówna* 1936, *Ułan Księcia Józefa* 1937

¹⁷¹ ksiądz Jerzy Popiełuszko - ur. 14.09.1947 w Okopach koło Suchowoli, zm. 19.10.1984 we Włocławku; kapelan warszawskiej „Solidarności” związany ze środowiskami robotniczymi i duszpasterz służby zdrowia zamordowany przez funkcjonariuszy Służby Bezpieczeństwa, Sługa Boży (błogosławiony) kościoła katolickiego; w stanie wojennym podczas odprawianych mszach św. za Ojczyznę głosił prawo do życia w wolności i sprawiedliwości, protestował przeciw aktom bezprawia i przemocy; jego pogrzeb 03.11.1984 stał się ogólnopolską manifestacją solidarności i walki o wolność

¹⁷² Czesław Niemen - właśc. Czesław Wydrzycki, ur. 16.02.1939 w Starych Wasiliszkach, zm. 17.01.2004 w Warszawie; piosenkarz, kompozytor, multi instrumentalista, autor tekstów piosenek, jeden z najważniejszych i najwybitniejszych twórców i wykonawców muzyki popularnej w Polsce: *Dziwny jest ten świat*, *Czy mnie jeszcze pamiętasz*, *Pod papugami*, *Sen o Warszawie*, *Czas jak rzeka*, *Mimozami*, *Stoję w oknie*

¹⁷³ represje po powstaniu listopadowym - polskie powstanie narodowe przeciwko Rosji, które wybuchło w nocy z 29/30 listopada 1830; swym zasięgiem objęło Królestwo Polskie, Litwę, Żmudź i Wołyń; zakończyło się 21.10. 1831

¹⁷⁴ krajowcy - grupa działaczy Polskiego Stronnictwa Demokratycznego na Litwie na pocz. XIX w.

¹⁷⁵ benzo piła - łańcuchowa piła spalinowa

¹⁷⁶ panos - rozwolnienie

¹⁷⁷ World Press Photo - najważniejszy konkurs dla fotografów z całego świata pracujących dla prasy

¹⁷⁸ monitor rzeczny - duży opancerzony okręt artyleryjski przeznaczony do działań na wodach śródlądowych wyposażony w armaty i karabiny maszynowe

¹⁷⁹ peany - tutaj słowa pochwały

¹⁸⁰ czynownik - urzędnik

¹⁸¹ łapuny - łapacze, od słowa ławić (brs.) - łapać

¹⁸² Adama Mickiewicza sonet *Do Niemna* napisany w Szczorsach nad Niemnem w sierpniu 1821

¹⁸³ feretron - przenośny ołtarzyk lub obraz niesiony podczas procesji

¹⁸⁴ irunda - tutaj w znaczeniu „do niczego się nie nadaje”

¹⁸⁵ limanna kislata - kwas ek cytrynowy

¹⁸⁶ podwoda - tutaj furmanka z zaprzęgiem

¹⁸⁷ funt - tutaj jednostka ciężaru równa ok. 0,41 kg (funt ros.)

¹⁸⁸ biesiedka - altanka

¹⁸⁹ nastojka - nalewka

¹⁹⁰ limonnik kitajski - cytrynowiec chiński; wartościowe pnącze pochodzące z Syberii, Chin i Korei o zastosowaniu leczniczym, konsumpcyjnym i ozdobnym

¹⁹¹ Jan i Cecylia - wg legendy protoplaści rodu Bohatyrowiczów w „*Nad Niemnem*” E. Orzeszkowej

¹⁹² powstanie styczniowe - powstanie narodowe przeciwko caratowi rozpoczęte 22/23 stycznia 1863; objęło tereny Królestwa Polskiego i Wielkiego Księstwa Litewskiego; ostatnie walki jesienią 1864

¹⁹³ Batalion Zaniemeński - utworzony w czerwcu 1943 z większości oddziałów Ośrodków AK Szczuczyn i Lida, pierwszy d-ca rotmistrz Józef Świda „Lech”; w jego składzie były kompanie „Krysi” i „Ragnera”

¹⁹⁴ barhatne - aksamitne

¹⁹⁵ Karta Polaka - dokument, którego posiadaczowi przysługują uprawnienia wynikające z ustawy o Karcie Polaka uchwalonej przez Sejm RP 07.09.2007 w tym bezpłatna wielokrotna i długoterminowa wiza pobytowa w Polsce, możliwość podjęcia legalnej pracy bez konieczności posiadania na nią zezwolenia, możliwość prowadzenia działalności gospodarczej podobnie jak obywatele polscy, bezpłatne korzystanie z systemu oświaty

¹⁹⁶ Henryk Marconi - ur. 7.01.1792 w Rzymie, zm. 21.02.1863 w Warszawie; polski architekt włoskiego pochodzenia od 1822 w Polsce, jeden z najwybitniejszych i najbardziej płodnych polskich architektów pierwszej połowy XIX w.; ważniejsze dzieła: dworzec Kolei Warszawsko-Wiedeńskiej, Hotel Europejski, pałac Branickich, pałac Paca, kościół Wszystkich Świętych - wszystko w Warszawie, nowy ratusz w Radomiu, ratusz i poczta w Augustowie, szpital św. Trójcy w Kaliszu

¹⁹⁷ Białoruski Komitet Helsiński - dobrowolna, niezależna i niepolityczna organizacja społeczna określona konwencjami helsińskimi oraz innymi konwencjami międzynarodowymi zarejestrowana w listopadzie 1995; jej głównym celem jest ochrona praw człowieka na Białorusi

¹⁹⁸ powstanie słuckie - zbrojne wystąpienie oddziałów białoruskich przeciwko Armii Czerwonej w okolicach Słucka w listopadzie i grudniu 1920

¹⁹⁹ Tomasz Pajzderski - (1864-1908), polski architekt; w latach 1906-1908 prowadził Pracownię Sztuki Stosowanej w Warszawskiej Szkole Sztuk Pięknych, autor licznych realizacji w Wielkopolsce, znawca architektury gotyckiej i sakralnej; ważniejsze prace: kościół św. Elżbiety w Jutrosinie, hotel Bazar w Poznaniu, kościół Świętej Trójcy w Grabowie nad Pilicą, kościół Narodzenia Najświętszej Maryi Panny w Dobrej

²⁰⁰ Władysław Marconi - ur. 29.02.1848 w Warszawie, zm. 04.06.1915 tamże; architekt i konserwator, syn Henryka, działacz społeczny i kulturalny; ważniejsze prace w Warszawie: hotel Bristol, dom gminy żydowskiej przy ul. Grzybowskiej, Dom Towarzystwa Ubezpieczeniowego „Rosja”, szkoła dla dzieci tramwajarzy przy ul. Młynarskiej, fabryka cukrów i czekolady Fruzińskich przy ul. Polnej, konserwacja pałacu Potockich i pałacu w Wilanowie

²⁰¹ neoprezbiter - kapłan w czasie pierwszego roku po otrzymaniu święceń

²⁰² Józef Mackiewicz herbu Bożawola - ur. 01.04.1902 w Sankt Petersburgu, zm. 31.01.1985 w Monachium; polski pisarz i publicysta, ochotnik w wojnie polsko-bolszewickiej, świadek Katynia i masowego mordu na Żydach i Polakach w podwileńskich Ponarach, świetny prozaik i nieprzejednany antykomunista, współtwórca idei krajowej na Litwie; *Bunt rojstów, Prawda w oczy nie kole, Droga do nikąd, Katyń. Zbrodnia bez sądu i kary, Kontra, Sprawa pułkownika Miasojedowa, Lewa wolna, Nie trzeba głośno mówić*

²⁰³ Michał Ksawery Pawlikowski - ur. 25.10.1893 w majątku Pućków nad Berezyną niedaleko Bobrujska, zm. 30.05.1972 w Maui na Hawajach; pisarz, publicysta wileńskiego *Słowa*, podczas wojny polsko-bolszewickiej sekretarz zarządu miasta Mińsk, służył w 19 Myśliwskiej Eskadrze Lotniczej, wiceprezes Towarzystwa Łowieckiego Województwa Wileńskiego, 1939-1940 współpracownik *Gazety Codziennej* Józefa Mackiewicza, od 1940 na emigracji, w 1951-63 lektor języka pol. i ros. na Uniwersytecie Kalifornijskim w

Berkeley, ostatni kronikarz Wielkiego Księstwa Litewskiego; *Dzieciństwo i młodość Tadeusza Irteńskiego*, *Wojna i sezon*, *Brudne niebo*

²⁰⁴ Czesław Miłosz - ur. 30.06.1911 w Szetajniach nad rzeką Niewią w pow. kiejdańskim na Litwie, zm. 14.08.2004 w Krakowie; polski prawnik i dyplomata, poeta, prozaik, eseista, historyk literatury i tłumacz, członek grupy poetyckiej *Żagary*, w 1951-1989 na emigracji; poezja o tematyce historiozoficznej i kulturowej (*Trzy zimy*, *Ocalenie*, *Traktat poetycki*), eseje (*Zniewolony umysł*, *Rodzinna Europa*, *Ziemia Ulro*), dziennik *Rok myśliwego*, powieści (*Dolina Issy*, *Zdobycie władzy*), przekłady (*Księga psalmów*, *Ziemia jałowa* Eliota, poezja Yeatsa); laureat literackiej Nagrody Nobla 1980

²⁰⁵ Korona - Korona Królestwa; skrótowa nazwa Królestwa Polskiego, która przyjęła się po zawarciu unii z Wielkim Księstwem Litewskim nazywanym odtąd w skrócie Litwą, dwie części składowe Rzeczypospolitej Obojga Narodów

²⁰⁶ Władysław Studnicki - ur. 15.11.1867 w Dyneburgu (obecnie Daugavpilis na Łotwie), zm. 10.01.1953 w Londynie; polski polityk i publicysta o orientacji proniemieckiej, brat Wacława archiwariusza wileńskiego; zwolennik koncepcji odbudowy Polski w oparciu o sojusz z tzw. państwami centralnymi i rozbicia Rosji, w okresie międzywojennym aktywny publicysta i autor wielu książek poświęconych m.in. współpracy polsko-niemieckiej i krajom bałtyckim, w *Wobec nadchodzącej drugiej wojny światowej* prognozował izolowaną wojnę Polski z Niemcami i niewykonanie zobowiązań sojuszniczych wobec RP przez Francję w W. Brytanii

²⁰⁷ Order Virtuti Militarii - (łac.) męstwu wojskowemu, dzielności żołnierskiej; najwyższe polskie odznaczenie wojskowe nadawane za wybitne zasługi bojowe, najstarszy order wojskowy na świecie nadawany do chwili obecnej; ustanowiony przez króla Stanisława Augusta Poniatowskiego 22.06.1792 dla uczczenia zwycięskiej bitwy pod Zielenicami nad Rosjanami (obwód chmielnicki na Ukrainie), która się rozegrała po rozpoczęciu wojny polsko-rosyjskiej w obronie Konstytucji 3 Maja

²⁰⁸ Westerplatte - półwysep przy ujściu Martwej Wisły do Zatoki Gdańskiej; 01-07.1939 zacięte walki między broniącą go polską załogą liczącą 205 żołnierzy i niemieckimi agresorami, którzy w olbrzymiej przewadze atakowali z lądu, morza i powietrza; obrona Westerplatte stała się jednym z najbardziej znanych symboli polskiego oporu przeciw hitlerowcom we wrześniu 1939

²⁰⁹ pallotyń - właśc. Stowarzyszenie Apostolstwa Katolickiego; katolicka wspólnota księży i braci założona przez św. Wincentego Pallottiego w I poł. XIX w.; charakteryzuje się licznymi działaniami duszpasterskimi i misyjnymi na wszystkich kontynentach oraz promowaniem współpracy z ludźmi świeckimi

²¹⁰ Anna Appelbaum - ur. 25.07.1964 w Waszyngtonie; amerykańska pisarka i dziennikarka, żona Radosława Sikorskiego byłego ministra spraw zagranicznych Polski; *Między Wschodem a Zachodem, Gułag* (nagroda Pulitzera)

²¹¹ Maryla Wereszczakówna - właśc. Marianna Ewa Wereszczakówna herbu Kościesza, ur. 24.12.1799 w Tuhanowiczach, zm. 28.12.1863 w Bolcienikach, cioteczna siostra Ignacego Domeyki, ukochana Adama Mickiewicza; poeta poświęcił jej wiersz *Do M****, upamiętniona też została w *Balladach i romansach*, w IV części *Dziadów*, a jej imieniny w sierpniu 1821 stały się impulsem do powstania *Świtezianki*

²¹² Aleksander Sulkiewicz - właśc. Iskander Mirza Duzman Beg Sulkiewicz lub Hózman Mirza Sulkiewicz, ur. 8.12.1867 w Skir-sobolach Tatarskich na Suwalszczyźnie, zm. 18.09.1916 w bitwie II Brygady Legionów Polskich z wojskami rosyjskimi pod Sitowiczami nad Stochodem; polski działacz socjalistyczny i niepodległościowy, główny organizator przerzutu „bibuły” z Genewy i Londynu do Królestwa, współorganizator ucieczki Józefa Piłsudskiego z petersburskiego szpitala św. Mikołaja Cudotwórcy 14.05.1901

²¹³ Królestwo Polskie - zwane też kongresowym, państwo będące w unii personalnej z imperium rosyjskim powstałe decyzją kongresu wiedeńskiego w 1815; włączone bezpośrednio do cesarstwa rosyjskiego w 1832 po powstaniu listopadowym

²¹⁴ baćka - ojciec, tu w domyśle ojciec narodu

²¹⁵ Marcin Poczobutt-Odolanicki - (1728-1810), polski jezuita, działacz oświatowy okresu oświecenia, astronom, prof. matematyki i astronomii oraz rektor Uniwersytetu Wileńskiego, reformator uczelni; prowadził regularne obserwacje astronomiczne, z których najślawniejsze to 60 wyznaczeń pozycji Merkurego; współredaktor *Gazety Wileńskiej*

²¹⁶ Franciszek Milkont-Narwoysz - ur. 15.01.1742 w majątku Milkonty k. Święcian, zm. 26.06.1819 w Wilnie; jezuita, kanonik kapituły wileńskiej, prof. Uniwersytetu Wileńskiego, wybitny matematyk

(postawy analizy matematycznej, rachunek różniczkowy i całkowity, geometria analityczna, teoria krzywych 3 stopnia)

²¹⁷ Antoni Chlewiński - (1793-1870); jedyny ksiądz pośród filomatów, pracował przy kościołach: uniwersyteckim św. Jana w Wilnie, w Nowojelini, Lidzie, Ossowie i Ejszyszkach gdzie zmarł; bibliotekarz Towarzystwa Filomatów; wraz z I. Domeyką przełożył *Koran* na język polski dla litewskich Tatarów; w nieznanych okolicznościach został odznaczony przez rząd rosyjski wysokimi medalami

²¹⁸ Konstanty Antoni Gorski - ur. 13.06.1856 w majątku Nadrzeczce blisko Lidy, zm. 13.06.1826 w Poznaniu; skrzypek wirtuoz, kompozytor, pedagog, działacz społeczny, polski patriota; uczeń A. Kątskiego, L. Auera., N. Rimskiego-Korsakowa, przyjaciel i wykonawca utworów P. Czajkowskiego, założyciel i dyrygent chóru Polskiego i Kościelnego w Charkowie, koncertmistrz orkiestry Teatru Wielkiego w Poznaniu; opera *Magier*, poematy symfoniczne *Na Olimpie*, *Zaczarowane koło*, pieśni do tekstów M. Konopnickiej, W. Syrokomli, Zd. Dębickiego, kompozycje do tekstów religijnych *Ave Maria*, *Salve Regina*, msze es-dur i a-moll, przepiękna prawosławna pieśń żałobna na chór a cappella *Зряще мя безгласна*

²¹⁹ Andrzej Wajda - ur. 06.03.1926 w Suwałkach, jeden z najwybitniejszych polskich reżyserów filmowych i teatralnych od lat 50tych XX w. o znaczeniu także światowym: *Kanał*, *Popiół i diament*, *Brzezina*, *Wesele*, *Ziemia obiecana*, *Panny z Wilka*, *Człowiek z marmuru*, *Człowiek z żelaza* (nagroda Złota Palma w Cannes 1981), *Katyń*; w 2000 nagroda Oscara za całokształt twórczości filmowej

²²⁰ katastrofa smoleńska - 10.04.2010 miała miejsce największa katastrofa w powojennej historii państwa polskiego, w której zginęli: prezydent RP Lech Kaczyński z żoną Marią, prezydent RP na uchodźstwie Ryszard Kaczorowski, dowódcy wszystkich rodzajów Sił Zbrojnych, wybitni politycy Sejmu i Senatu, duchowni, przedstawiciele ministerstw, organizacji społecznych i kombatanckich, załoga samolotu - w sumie 96 osób; była to polska delegacja lecąca do Smoleńska na obchody 70. rocznicy zbrodni katyńskiej

²²¹ synagoga - żydowski dom modlitwy i zgromadzeń religijnych a także miejsce zebrzań społecznych gminy żydowskiej; w języku polskim odpowiednikiem synagogi jest bożnica (bóżnica)

²²² jesziwa - znaczy posiedzenie, żydowska wyższa szkoła talmudyczna dla nieżonatych studentów; *Talmud* jest zbiorem praw religijnych obowiązujących wyznawców tradycyjnego judaizmu;

największą jesziwą na świecie była Lubelska Szkoła Mędrców złożona w 1930 w Lublinie

²²³ cadyk - znaczy sprawiedliwy, charyzmatyczny przywódca chasydyzmu - odłamu judaizmu, wzór pobożności, pokory i sprawiedliwości; otaczany był powszechną czcią ze względu na przypisywaną mu zdolność uzdrawiania i czynienia cudów

²²⁴ Ludwik Narbutt - ur. 26.08.1832 w majątku Szawry w pow. lidzkim, zm. 05.05.1863; syn znanego i cenionego historyka Teodora Narbutta, polski ziemianin, dowódca powstania styczniowego na Litwie w rejonie Lidy

²²⁵ Maciej Kalenkiewicz - ur. 01.07.1906 w Pacewiczach w pow. wołkowyskim, major dyplomowany saperów, 28.09-03.12.1939 zastępca ca mjr Henryka Dobrzańskiego „Hubala” d-cy Oddziału Wydzielonego Wojska Polskiego; w W. Brytanii współtwórca koncepcji lotniczej łączności z krajem oraz polskich wojsk spadochronowych; cichociemny - skok do Polski 27/28.12.1941, od 03.1944 d-ca Zgrupowania Nadniemeńskiego AK, współautor operacji „Ostra Brama” - oswobodzenia Wilna z okupacji niemieckiej, od 05.08.1944 pełniący obowiązki, a od 17go d-ca Nowogródzkiego Okręgu AK; awans na stopień podpułkownika nie zastał go już żywym

²²⁶ linia Curzona - linia demarkacyjna między Polską a Rosją Sowiecką zaproponowana w czasie ofensywy bolszewickiej na Warszawę VII 1920 przez brytyjskiego ministra spraw zagranicznych G.N. Curzona; po II wojnie z niewielkimi zmianami została uznana za wschodnią granicę Polski

²²⁷ zaścianek - dawna osada wiejska zamieszkała przez drobną szlachtę jednego nazwiska, natomiast okolica szlachecka była osadą składającą się z rodzin pochodzących z różnych rodów

²²⁸ Henryk Adam Aleksander Pius Sienkiewicz herbu Oszyk pseudonim „Litwos”; ur. 05.05.1846 w Woli Okrzejskiej w pow. Łukowskim na Lubelszczyźnie, zm. 15.11.1916 w Vevey nad Jeziorem Genewskim w Szwajcarii; polski nowelista, powieściopisarz i publicysta; laureat Nagrody Nobla w dziedzinie literatury w 1905 roku za wybitne osiągnięcia pisarskie w literaturze epickiej, kawaler francuskiej Legii Honorowej, członek zagraniczny Czeskiej i Serbskiej Akademii Nauk i Umiejętności, jeden z najpopularniejszych pisarzy polskich przełomu XIX i XX wieku; nowele: *Stary sługa*, *Selim Mirza*, *Szkice węglem*, *Janko muzykant*, *Za chlebem*, *Latanik*, *Sachem*, powieści: *Na marne*, *Trylogia* (*Potop*, *Ogniem i mieczem*,

Pan Wołodzyjowski), *Rodzina Połanieckich*, *Quo vadis*, *Krzyżacy*, *W pustyni i puszcy*, *Legiony*, reportaże: *Listy z podróży do Ameryki*, *Listy z podróży do Afryki*

²²⁹ Zielona Karta - karta stałego pobytu w Stanach Zjednoczonych Ameryki uprawniająca do przebywania, mieszkania oraz podjęcia pracy na ich terytorium; jest kartą identyfikacyjną osoby która nie posiada obywatelstwa USA, uprawnia do przekroczenia granicy z Kanadą bez posiadania wizy kanadyjskiej

²³⁰ kalaska - podręczny wózek na dwóch kółkach

²³¹ Edward von Ropp, baron, ur. 02.12.1851 w Lixna (Liksna) koło Dyneburga, zm. 25.07.1939 w Poznaniu; biskup wileński (1903-1917), ordynariusz w Tyraspolu (1902-1903), ostatni arcybiskup mohylewski (1917-1926); za próby rozwiązania konfliktów narodowościowych i popieranie interesów polskich zmuszony został przez władze rosyjskie w 1907 do opuszczenia diecezji; skazany przez władze sowieckie na śmierć został deportowany 29.04.1919 ze Związku Sowieckiego do Polski

²³² Białynicze - miasto rejonowe nad rzeką Drucią (prawym dopływem Dniepru) w obwodzie mohylewskim, dawniej w woj. Witebskim I Rzeczypospolitej Obojga Narodów; słynne sanktuarium Maryjne zwane kiedyś białoruską Częstochową; koronacja obrazu 1767

²³³ Adampol - polska wioska w Turcji niedaleko Satmbułu; założona w II poł. XIX w. dla przebywających tam emigrantów z powstania listopadowego; poświęcona 19.03.1848 Adampolem na cześć księcia Adama Czartoryskiego, który sfinansował nabycie terenów pod osadę

²³⁴ mahiłki - cmentarz

²³⁵ baksy - potocznie dolary

²³⁶ Seweryn Wysłouch - ur. 19 III 1900 w Pirkowicach (pow. Kobryń na Polesiu), zm. 27.II.1968 we Wrocławiu; uczeń Stefana Ehrenkreutza, przed II wojną pracownik naukowy Uniwersytetu Stefana Batorego - kierownik Referatu Mniejszościowego w Instytucie Naukowo-Badawczym Europy Wschodniej, po wojnie początkowo pracownik naukowy Uniwersytetu Łódzkiego i później Wrocławskiego, współorganizator Wystawy Ziem Odzyskanych we Wrocławiu w 1948, twórca szkoły naukowej *Szkoła badań historii ustroju i prawa*

²³⁷ kirpicz - cegła (ros.); cegła (brs.)

²³⁸ Adam Falkowski - proboszcz w Iszczólnie (kościół Świętej Trójcy) dekanatu lidzkiego; za przeczytanie z ambony manifestu Polskiego Rządu Narodowego wzywającego do powstania przeciwko Rosji, został skazany na śmierć i 24.06.1863 rozstrzelany w Lidzie na Wygonie

²³⁹ kruszyć kapustę - szatkować dużym nożem

²⁴⁰ maładzik - księżyc w nowiu

²⁴¹ paklikaū- zawołał

²⁴² winogronówka - samogon z winogron

²⁴³ krużka - kubek (ros.), kubak (brs.)

²⁴⁴ kipiaczonaj wady - przygotowanej gorącej wody

²⁴⁵ butterbrod - kanapka

²⁴⁶ Leonid Breżniew - (1906-1982), radziecki działacz partyjny oraz państwowy, marszałek Związku Radzieckiego, od 1966 sekretarz generalny KC KPZR, od 1977 przewod. Prezydium Rady Najwyższej ZSRR, odpowiedzialny za interwencję zbrojną wojsk Układu Warszawskiego w Czechosłowacji 1968 i wojsk radzieckich w Afganistanie 1979

²⁴⁷ puhacca - być przestraszonym (ros.), spałohacca (brs.)

²⁴⁸ Jaćwiegowie - wymarły lud prusko-litewski osiadły w średniowieczu między jeziorami Mamry i Śniardwy a Biebrzą, Niemnem i Szeszupą; w drugiej poł. XIII w. pobici przez Krzyżaków i zagrożeni całkowitym wyniszczeniem uchodzili na Litwę i Ruś

²⁴⁹ kalady - Boże Narodzenie, kucja - wigilia

²⁵⁰ Polskie Towarzystwo Gimnastyczne „Sokół” - najstarsze polskie towarzystwo gimnastyczne, którego członkowie przyczynili się do popularyzacji gimnastyki w społeczeństwie polskim, powstania wielu klubów sportowych oraz Związku Harcerstwa Polskiego; jednym z głównych celów „Sokoła” było podtrzymywanie i rozwijanie świadomości narodowej oraz postaw obywatelskich; „Sokół” bardzo aktywnie działał w okresie zaborów, po odzyskaniu niepodległości i w całym okresie międzywojennym XX w.

Internet

- <https://www.archives.gov.by>** - strona Archiwum Białorusi
- <https://www.bialorus.pl>** - polski portal poświęcony współczesnej Białorusi
- <https://www.catholic.by>** - portal kościoła katolickiego na Białorusi, posiada polską wersję
- <https://www.globus.tut.by>** - portal poświęcony wielu zabytkom Białorusi, zawiera dużo ciekawych zdjęć
- <https://www.grodnensis.by>** - portal diecezji Grodzieńskiej, z początku miał też polską wersję
- <https://www.ivynews.by>** - strona gazety „Iwiejski kraj”
- <https://www.oszmianszczyzna.pl>** - polski portal poświęcony historii i współczesności powiatu oszmiańskiego
- <https://www.pawet.net>** - portal Ziemi Lidzkiej w języku białoruskim, ale także z tekstami w języku polskim i rosyjskim
- <https://www.pawet.net/niechwiadowicz>** - moja strona na Ziemi Lidzkiej
- <https://www.radzima.org>** - spuścizna Wielkiego Księstwa Litewskiego, którego obecne terytorium Białorusi było najważniejszą częścią składową, posiada polską wersję
- <https://www.radzima.net>** - projekt genealogiczny „Znajdź swoich przodków i krewnych na Białorusi” obejmujący trzy województwa II Rzeczypospolitej: Wileńskie, Nowogródzkie i Poleskie z ich administracyjnym podziałem z 1926 roku, ma również polską wersję
- <https://www.soleczniki.pl>** - polski portal poświęcony rejonowi Soleczniki Wielkie na Wileńszczyźnie
- <https://www.stryjec.pl>** - strona poświęcona życiu i twórczości Ryszarda Stryjca
- <https://www.facebook.com/Zabytki-kultury-polskiej-na-Bia%C5%82orusi-Litwie-i-%C5%81otwie-170132449787782/>** - osobista strona Mariusza Proskienia

Spis treści

Kocham cię Gawio / 5

Wstęp / 6

Poszarpane wybory (15-21.03.2006) / 10

Podróż - Prowincja - Głosowanie

Wizyta druga (22.06-07.0.2006) / 18

Święto w Surwiliszkach - Bazar w Iwiiu - Krowy mają pierwszeństwo - Kobieta z telefonem - Spływ Gawią - Deszcz na kolonii - Krótka w Trokielach - Na koniec Grodno

Białoruś po raz trzeci (8-15.09.2006) / 27

Droga - Sobotniki - Jabłonie - Kosa - Jesień - Wykopki - Świat - Łuniniec - Lida - Trokiele - Powrót

Sakawik 2007 (15-24.03.2007) / 39

Poznań - Granica - Smorgonie - Ukryci celnicy - Taxi 44444 - Berdówka - Lipniszki - Maryna Kiewra - Danuta Biczal - Lidzki mszar - Autobusem do Sobotnik - Późna kolacja - Nasze miasteczko - Śmierć Janka Nowickiego - Kolonia nad Łyntypką - Wspomnienia Józika Rusakiewicza - Dowgiałowska Droga - Żurawie - Turyści z Mińska - Koniec Żemłosławia? - Rybaki - Pogrzeb Janka - Poczestunek - Józik Nowicki - Pieśni pogrzebowe - Ryszard Stryjec z Lipniszek - Kapucyn Krzysztof Groszyk - Pieszko do Sobotnik - Odjazd do Lidy - Iwiejski szlak - Parafia Świętej Rodziny - Kościół na Słobódce - Ulice Lidy - Moje książki w Grodnie - Trasianka - Towarzystwo Twórców Ludowych - Grodno - Dom rodzinny - Kim bym był?

Czerwień/lipień 2007 (26.06-11.07.2007) / 96

Jadę z mamą - Przyjemny Białystok - Szybko do Lidy - Kuzyn Janek - Nasz kościół - Rodzinne spotkanie - Żyhuli - U Zosi na kolonii - Darożka - Trąba powietrzna - Niespodziewane spotkanie - Ciocia Jadwiga - Cudowny sen - Obrazy naszej

ziemi - Wspomnienia sióstr - Prosta mowa - Babcia Wikto-
ria - Łyntupka - Waluś Tuczkowski - Puciulowie - Caryca
- Żebraczka - Starość - Księża z Polski - Ola i Wacek - Psalmy
dla Aliny - Pogrzeb Ali - Staś Tuczkowski - Mahaziny - Ko-
lejkowe rozmowy - Adnapolcy - Autałaŭka - Ahrogaradok
- Zdjęcie - Renia - Borowiki - Za chlebem - Zosia Pietryman
- Pożegnanie miasteczka - Początek IX Zjazdu Lidzian - Moja
50tka - Noc Kupały - Staś Sudnik - Zalane miasto - Wycieczki
z Polski - Mama na szlaku - Msza dla kresowiaków - Imiona
dzieci - Ognisko nad Niemnem - Pożegnanie Zjazdu

Żniwień 2007 (17.08-29.09.2007) / 137

Męcząca podróż - Z Siarhiejem do Lidy - Dwie Marysie
z Iwia - Żydzi i Tatarzy - Książki u Świętej Rodziny - Na
kawie u Witka - Nareszcie w Sobotnikach - Remont szkoły
- Kobiety na Białorusi - Kopanie bulby - Dowgiałowszczyzna
- Poszukiwanie Szluchów - Czechowce - Pogawja - Raksowie
z Nackowicz - Na plebanii - Na cmentarzu - Tadzik Aniśkie-
wicz - Dziecięca odlewnia - Powojenna szkoła - Patriotyczne
wychowanie - Rowerem do Chilewicz - Kolonia nad Matru-
ną - Wujek Wacek - Zamawianie róży - Staś Kulesza z Wasi-
lewicz - Roczniki przedwojenne - Konie i furmanki - Choro-
ba ojca Franciszka - Praca i płaca - Niebezpieczny koncert -
Z Alesiem na Gawii - Kajakiem do Polski - Powrót autobu-
sem - Ksiądz Andrzej Łysy z Gieranion - Jadwiga Smosarska
- Konwaliszki - Język polski i białoruski - Mariusz Proskień
- Pałac w Żemłosławiu - Czas odjazdu - Wykopki - Ciocia
Władzia - Przed uniwersamem - Białoruska RTV - Mamy
chrześniak - Za i przeciw - Pożegnanie Lidy - Nad Niemnem
- Sen o powrocie

Zakończenie (25.06-04.07.2009) / 197

X Zjazd Lidzian - Dziwna droga - Fest na Świętego Włady-
sława - Spotkanie z agentem - Młyn na Gawii - Rodzinne
groby - Chłopcy nad Gawią - Kuprełowa Kudra - Witold
Juchniewicz - Sianokosy - Czerwona wstążka - Rocznic

wyzwolenia - Leon Lauresz - Mociewicz nad Niemnem
- Łarysa Geniusz - Edward Woyniłłowicz - Traktat ryski
- Czerwony kościół - Polskie szkoły - Granica - Koronacja
w Trokielach - Odejścia

Lipień 2010 (08-16.07.2010) / 215

Pustki przed konsulatem - Sobotniki popularne - Licwin
Czesiu - Spis 1921 - Dwie łódki na Gawii - Droga do Wo-
ronowa - Polski rejon - Dożynki w Lidzie - Jagody i grzyby
- Olek i Leon - Ziamliak z Radunia - Sól ziemi

Zapach (23.05.2011) / 243

Październik w bliskich stronach

(21-31.10.2011) / 244

Spotkanie z Iną - Szczęśliwa podróż - Telefon do Ola - Sy-
gnalizacja świetlna - Poczciwy autobus - Rejestracja w Iwiu
- Janek i Olo - Milewscy z Gieranion - Wspaniały prezent
- Wystawa fotograficzna - Kuzynka Alicja - Maryna - Eksport
do Rosji - Odejścia - Na mahiłkach - Niespodzianka Saszy
- Na przystanku - Biblioteka w Iwiu - Dłużej w Lidzie - Trzy
koty Władzi - Leo i Olek - Ksiądz Falkowski - Z powrotem
do Sobotnik - Wschód słońca - Droga na kolonię - Kruszenie
kapusty - Ważne groby - Różaniec za zmarłych - Szasłyki,
czebureki i winogronówka - Maliny koło Mażul - Doktor?
Czarownik! - Mauzoleum Loni - Partyjny kandydat - Po-
nowna wystawa - Storta z Nowosiad - Na kogo głosować?
- Drugorzędny język - W szpalerze brzoź - Dajnowa - Ranczo
Wasilewskich - Busem do Grodna - Przeplacony bilet - Kala-
dy

Powtórnie na Wszystkich Świętych

(28.10.2013-09.11.2013) / 278

Uczynny taksówkarz - Rafikam do Lidy - Wizyta w rajspał-
komie - Jan Buiko - Ksiądz Paweł - Porządki na cmentarzu
- Ciekawostki z Internetu - Piękna pogoda na Wszystkich
Świętych - SPK im. Umiastowskiego - Nowoczesna ferma

- Biały chleb - Miejscowe ceny - Stary cmentarz w Lidzie
- U Kazika w Sauhuciach - Poszukiwania krewnych rodzin
mieszkających w Polsce - Wyprawa Marcina Pozaucia

Ludzie i wydarzenia / 298

Major Tadeusz Sokołowski - Filozof Henryk Elzenberg - Po-
żar w Żemłosławiu - Stanisław Iwanowski - Jan Poźniak
- Kara dla Kołyszki - Nowa książka Leo - Antoni Tuczkowski
- Wanda Czejdo - Zofia Jamontt - Janek Kononowicz - Witold
Juchniewicz - Krzyż „Olecha” - Czesław Wasilewski - Wa-
claw Niechwiadowicz - Franciszek wraca do Polski - Nowy
proboszcz

Na Różańcową (02-11.10.2014) / 310

Kontrola w Grodnie - Bolesna przypadłość - Lidzkie
elegantki - Z Lidy do Iwii - Sobotnickie nowości - Edzia
- Fest na Różańcową - Ponownie na cmentarzu - Małaja
- Poszukiwania spadkobierców - Karmię lidzkie koty -
Autobusem do Warszawy - Droga do Poznania

Krótki zimowy wypad (28.02-07.03.2016) / 323

Bez tytułu (22.06-01.07.2016) / 325

Janek / 332

Mama / 333

Tęsknota / 335

Przypisy / 336

Internet / 358

Spis treści / 359

